

Carroll Jonathan

Białe Jabłka

Przełożył Jacek Wietecki

DOM WYDAWNICZY REBIS

POZNAŃ 2002

Tytuł oryginału

White Apples

Wydanie I

ISBN 8373012575

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60171 Poznań

tel. 8674708, 8678140; fax 8673774

email: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Dla Andrei L. Padinhy niegdyś studentki,
później przyjaciółki,
na zawsze mojej bohaterki,
oraz
dla Neila Gaimana

Stokrotne podziękowania dla:

Niclasa Bahna,

Borisa Kiprova

i Chrisa Rolfe'a

za ich nieustającą zachętę do pracy
nad Białymi jabłkami.

Miłość, sen i śmierć nadchodzą pomału;

Schwyć mnie za włosy i mocno pocałuj.

A. C. Swinburne, W ogrodzie

Bóg z wody

Cierpliwość nie życzy sobie w domu Zdumienia, bo Zdumienie to okropny gość. Zużywa cię do cna, nie przejmując się tym, co kruche i nie do zastąpienia. Jeśli cię uszkodzi, wzrusza ramionami i idzie dalej, jakby nigdy nic. Nieproszone, często sprowadza swych podejrzanych przyjaciół: wątpliwość, zazdrość, chciwość. Razem zaprowadzają własne porządki; przemeblowują wszystkie twoje pokoje dla własnej wygody. Mówią dziwnymi językami, nie siląc się na tłumaczenie. Pitraszą w twoim sercu nieznanne potrawy o dziwacznych smakach i aromatach. Co czujesz, gdy wreszcie odchodzą - radość czy smutek? Cierpliwość zawsze zostaje z miotłą w ręku. Lubiała trzymać świece w sypialni. Zdaniem Ettricha świece miały swoje miejsce w kościele, na urodzinowym torcie i podczas przerwy w zasilaniu. Nigdy jednak jej tego nie powiedział, nawet półżartem. Była bardzo wrażliwa - brała na serio wszystko, co mówił. Wkrótce po tym, jak się poznali, zdał sobie sprawę, że łatwo, zbyt łatwo, można ją zranić. Wystarczyło jedno ostre słowo lub sarkastyczna uwaga, by całkiem ją znokautować. Sama wyznała, że dopiero niedawno wydobyla się z poczucia, że musi zadowolić cały świat.

- Brałam narkotyki, choć ich nie cierpiałam - oświadczyła. - Chciałam, żeby mój chłopak mnie kochał, więc ćpałam razem z nim. Byłam śmierzącym tchórzem.

Umiała się przyznać do błędów. Od początku była gotowa zdradzić mu swoje najintymniejsze sekrety. Było to zarazem ekscytujące i zenujące. Ettrich trochę ją kochał. Któregoś dnia, spacerując przez miasto, przeszedł obok sklepu. Na widok kobiet oczy Ettricha stawały się żarłoczne. On nie był tego świadom, lecz jego oczy widziały wszystko, co wiązało się z kobietami: ich stroje, sposób palenia papierosów, rozmiar stóp, odruch zaczesywania włosów, kształt torebki, odcień lakieru na paznokciach. Czasem mijała sekunda, zanim pojął, że jego umysł coś zarejestrował: szczegół, odgłos, mgnienie. Wtedy spoglądał ponownie. Za każdym razem przekonywał się, że odebrane nieświadomie impulsy były prawdziwe: rzeczywiście dostrzegł połysk słońca na zielonej jedwabnej bluzce naciągniętej na pokaźny biust. Dłoń na stole, dziwnie szorstką i toporną, należąca do niezwykle eleganckiej kobiety. Albo intrygujące oczy w kształcie migdałów czytające francuską gazetę sportową. Albo promienny uśmiech na twarzy niepozornej kobiety, który zmieniał ją nie do poznania.

W dniu, kiedy się spotkali, Ettrich przeszedł obok jej niewielkiego sklepu. Mijał go przedtem wiele razy w drodze do pracy, nigdy jednak nie zaglądał w okno wystawowe. A jeśli nawet, nie przypominał sobie, co tam widział. Był to fragment codziennej scenerii, tło jego życia. Ale dziś spojrzął tam i zobaczył ją - wpatrzoną w niego.

Co dostrzegł najpierw? Później usiłował sobie przypomnieć ten moment, ale bez skutku. Obszerne szklane drzwi sklepu były zamknięte. Kobieta gapiała się prosto na niego. Była drobna. Może właśnie to przykuło jego uwagę. Była drobna i miała szczupłą, zmysłową twarz psotliwego aniołka. Wyglądała jak podrzędny cherubinek; który przypadkiem znalazł się na fresku w wiejskim kościele gdzieś we Włoszech. Mimo świętego oblicza w jego spojrzeniu jest coś jeszcze, jakaś przekora, która każe się domyślać, że modelem dla tego niebiańskiego duszka była zapewne kochanka artysty.

Miała na sobie błękitną letnią sukienkę, która opadała jej akurat do kolan. Choć nie zachwyciła Ettricha urodą, tak jak inne kobiety, jednak zwolnił kroku, a potem zrobił coś dziwnego. Zatrzymał się i pokiwał do niej. Nieznaczny ruch dłoni uniesionej na wysokość piersi. Wykonując ten gest, pomyślał: po co ja to robię? Upadłem na głowę? Powietrze wokół niego wypełniło się nagle wonią gorącej pizzy. Ettrich obrócił się lekko i ujrzał faceta niosącego wielkie białoczerwone

pudełko. Kiedy odwrócił się z powrotem, kobieta za szklanymi drzwiami odpowiedziała mu kiwnięciem ręki. Przez moment, trwający może półtorej sekundy, zastanawiał się, dlaczego ona to robi. Czemu do mnie macha? Był to ładny, bardzo kobiecy ruch. Jej prawa dłoń, przysunięta do piersi, poruszała się szybko w lewo i w prawo, jak wycieraczka na szybie auta. Spodobały mu się zarówno ten gest, jak i kryjący się za nim uśmiech - ciepły, otwarty, śmiały. Postanowił wejść do środka.

- Cześć - rzucił bez wahania. Jego serce przepełniały spokój i szczęście. Był w swoim żywiole. W ciągu lat Vincent Ettrich nawiązał znajomość z tak wieloma kobietami, że perfekcyjnie opanował modulację swego głosu. Tym razem powitanie zabrzmiało radośnie i przyjacielsko - cieszę się, że cię widzę! W jego głosie nie było mrocznych, męskich czy seksualnych tonów. Jeśli przez następne kilka minut wszystko dobrze się ułoży, Ettrich będzie mógł to wykorzystać później.

- Cześć - odpięła cicho, jak małe dziecko, które patrzy na ciebie z nadzieją w oczach, chcąc i jednocześnie bojąc się podejść. Cofnęła rękę i oparła ją na lewej piersi, jak gdyby badała sobie tętno. - To było bardzo miłe. Podobało mi się, że pan to zrobił. Poczuję pustkę w głowie.

- Co takiego?

- Że pomachał pan do mnie. Mimo że się nie znamy. To jak podarunek od nieznajomego.

- Nie mogłem się powstrzymać.

Zmarszczyła brew i odwróciła spojrzenie. To z kolei jej się nie spodobało. Nie chciała słyszeć od następnego mężczyzny, że jest ładna i że tamten chce ją poznać. Pragnęła tylko otrzymać nieoczekiwany prezent od nieznajomego, po czym wrócić do normalnego życia.

- Zobaczyłam pana wcześniej niż pan mnie - dodała, nadal unikając jego wzroku.

- Często tędy przechodzę, ale jakoś nie zaglądałem do środka. - Podniósł głowę i rozejrzał się wokół siebie. Uśmiechnął się, a zaraz potem zachichotał. Otaczała ich damska bielizna: biała, brzoskwiniowa, fioletowa, czarna... Setki kompletów. Wszędzie wisały biustonosze i majteczki, białe tangi i śliwkowe stringi, przezroczyste nocne koszule... Wszystko, o czym marzy kobieta, by na siebie włożyć, i co mężczyzna pragnie z niej zdjąć. Ettrich uwielbiał sklepy z damską bielizną. Bywał w wielu i kupował mnóstwo dla różnych kobiet.

- 34-B?

- Słucham?

Wskazała na jego pierś i zrobiła kółko palcem.

- Przypuszczam, że nosi pan rozmiar 34-B. - Uśmiechnęła się i był to uśmiech cudowny: wesoly i filuterny. Ettrich złapał jej żarcik w locie i posłał jej natychmiastową ripostę.

- Czy kobiety, które tutaj przychodzą, są z reguły zadowolone ze swoich biustów? Niemal wszystkie, które znam, uważają, że mają albo za duże, albo za małe piersi. Kobiety są bardzo wyczulone na tym punkcie. - Odczekał sekundę, sprawdzając, czy złapała jego podwójną kontrę. Jej podstępna mina i nagle rozszerzone oczy powiedziały mu, że zrozumiała go świetnie. Pokrzepiony na duchu Ettrich ciągnął dalej: - Praca tutaj musi być ciężka.

- Dlaczego?

- Codziennie musi pani spełniać wymagania klientek, które na ogół nie są zadowolone ze swojego wyposażenia. Jej uśmiech powrócił wolno. Miała małe, lekko zakrzywione ząbki.

- Wyposażenia?

Ettrich nie wahał się ani przez moment.

- Tak jest, a pani praca polega na dopasowaniu tego wyposażenia do najnowszego rynsztunku bojowego. Kobieta wykonała szeroki łuk ręką, zagarniając sklepowe wnętrze.

- Więc tak to wygląda? Jak rynsztunek? - Nie przestała się uśmiechać. Zaczynała go lubić.

Ettrichowi udało się wsadzić jedną nogę w drzwi. Sięgnął po leżący na ladzie atlasowy biustonosz w odcieniu miedzi i podniósł go takim gestem, jakby prezentował dowód rzeczowy w procesie sądowym. - Proszę połączyć ten kolor z piękną czarną skórą, a otrzyma pani broń binarną. - Odłożył biustonosz i wziął jasnoniebieskie stringi, które ważyły tyle co mgiełka. - A oto pocisk klasy ziemiapowietrze. Zabójczy bez względu na odległość od celu.

- Jeśli włożysz go dla swojego chłopaka, to już po nim?

Skinął głową.

- Właśnie. Co więcej, mężczyźni nie dysponują ekwiwalentnym uzbrojeniem. Czy zdaje sobie pani z tego sprawę? Nie istnieje nic, co mężczyzna mógłby włożyć, aby wyrzucić na kobiecie wrażenie podobne do tego, jakie te fatalaszki robią na nas. To nie fair.

Taksowała go wzrokiem, jakby się zastanawiała, czy jest bezczelny czy zabawny. Czy warto podtrzymywać tę rozmowę? Ettrich niemal widział wiszący nad jej głową znak zapytania. Zbliżała się jedna z przełomowych chwil we wczesnej fazie znajomości. Wymienili powitania, zagaili rozmowę, trochę się podręczyli. Zapadła pauza pod tytułem „Czy będziemy to ciągnąć?” Następnym ruch należał do niej. Ettrich był szalenie ciekaw, co zrobi.

- Jak pan ma na imię?

- Vincent. Vincent Ettrich.

Wysunęła rękę do powitania, po czym nagle, nie wiedząc czemu, ją cofnęła. Był zdezorientowany, póki się nie przedstawiła:

- Ja mam na imię Coco. Coco Hallis.

- Nie! Naprawdę nazywasz się Coco Hallis? To niesamowite.

- Czemu?

- Bo to rzadkie imię, a ja już znam kogoś, kto je nosi.

Teraz z kolei ona mu nie uwierzyła, chociaż mówił prawdę. Poczuł, jak łącząca ich więź słabnie, i zdecydował się na dramatyczny gest. Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer. Młoda kobieta skrzyżowała ręce i stanęła wyczekująco, dając do zrozumienia, że czeka na dowody. Podniósłszy słuchawkę do ucha, Ettrich odczekał chwilę, po czym prędko podał jej telefon.

- Posłuchaj!

Wzięła go z jakimś wahaniem, zdążyła jednak usłyszeć po drugiej stronie kobiecego głosu mówiący mocnym, profesjonalnym tonem:

- Cześć, tu mówi Coco. Przez najbliższe dwa miesiące będę przebywać za granicą. Można skontaktować się ze mną w Sztokholmie pod numerem...

Zanim nagrana wiadomość dobiegła końca, Coco numer dwa oddała telefon Ettrichowi.

- Nie do wiary. Jakie jest prawdopodobieństwo takiego zdarzenia? Czym ona się zajmuje?

Ettrich wsunął komórkę z powrotem do kieszeni.

- Nafciarstwem. Jeździ po świecie, szukając nowych złóż ropy naftowej i gazu. Wraca z różnych przedziwnych miejsc, Baku albo Kirgistanu, i opowiada wspaniałe historie o...

- A czym ty się zajmujesz, Vincencie?

Po ukończeniu college'u zatrudnił się w reklamie i pracował tam do tej pory. Ponieważ był bystry i umiał przewidzieć, co powinno/może/musi stać się następnym przebojem, szybko odniósł sukces. Kariera w reklamie nie robiła jednak na kobietach pożądanego wrażenia, chyba że same pracowały w tej branży. Chciały, by je oczarował zarówno mężczyzna, jak i jego zawód. Większość widziała się w ramionach tytanów, geniuszy albo podróżników - co najmniej zaś artystów, których by zainspirowały do stworzenia nowych, wielkich dzieł. „A czym ty się zajmujesz, Vincencie?” Ileż razy słyszał to pytanie przez te wszystkie lata, kiedy uganiał się za kobietami? Czym się zajmował? Próbował skłonić ludzi, by kupili keczup, śliniaczki i kiepskie samochody. Mydlił klientom oczy kolorowymi obrazkami, chciwością i pięknymi ludźmi, aby przekonać ich do zakupu tego, co akurat lansował. Choćby nie wiadomo jak pokrętej czy sprytnej odpowiedzi udzielał na to pytanie, taka była prawda na temat jego pracy. Często podawał się za „kreatywnego konsultanta” - cokolwiek to, do diabła, znaczyło. Przekonał się, że oczy kobiet rozjaśniają się na dźwięk słowa „kreatywny”, toteż rzucał nim przy każdej nadarzającej się okazji.

- Latam balonami na ogrzane powietrze - poinformował Coco Dwa.

Szczeknęła głośnym, spontanicznym śmiechem i zatrzepotała rękoma, jakby pokazując, że to kompletna niedorzeczność.

- Akurat!

Dokładnie takiej odpowiedzi oczekiwał. Trafnie ją rozszyfrował.

- Nie wierzysz mi? - Uśmiechnął się niewinnie.

- Nie, nie wierzę. Zawsze nosisz garnitur i krawat, kiedy szykujesz się do lotu?

- Nigdy nie wiadomo, kogo się tam spotka. - Miał opanowany, pewny siebie głos. Choć przed chwilą nazwała go kłamcą, nawet nie drgnęła mu powieka.

- Nie, serio, Vincencie. Czym naprawdę się zajmujesz?

- Jestem operatorem żurawia.

- Żurawia?

- No wiesz, to taki ptak o długich nogach, który...

Tym razem prychnęła śmiechem, równie donośnie jak poprzednio. To znaczyło, że uwielbia jego żarty.

- Noo, powiedz!

- Produkuję francuzy. Reguluję odległość ich szczęk służących do odkręcania śrubek...

Niektóre kobiety wspaniale łapały się na tę sztuczkę. Klucz, lawiruj i rozbaw je do łez, lecz nie mów im prawdy, dopóki ich śmiech nie przygaśnie i nie pojawi się pierwsza odrobina złości. Dzięki temu, gdy w końcu się przyznasz, będą szczęśliwe i niemal wdzięczne.

Ettrich obserwował zanikającą w jej oczach wesołość, choć jej twarz oświetlał wciąż ogromny uśmiech. Zbliżał się moment wyznania, w przeciwnym bowiem razie kobieta zirytuje się albo uzna go za pomyłeńca.

- Pracuję w reklamie.

- Jesteś dobry? - spytała natychmiast.

- Proszę? - Nikt nigdy nie zadał mu tego pytania. A już na pewno nie ktoś, kogo poznał zaledwie dziesięć minut wcześniej. Czy jej bezczelność obudziła w nim niesmak czy zainteresowanie?

Podniosła błękitne stringi, które przed chwilą trzymała, i cisnęła nimi w niego.

- Sprzedaj mi je. Pokaż, jak byś mnie zachęcił do kupna. Był to dobry, niespodziewany pomysł - i duża frajda. Coco Dwa okazywała się świetną dziewczyną. Ettrich wziął skąpe figi i wlepił w nie wzrok. Był mistrzem w swoim fachu, toteż pomysł przyszedł mu do głowy w ciągu paru sekund.

- Nie próbowałbym ci ich sprzedać na seks, bo tego właśnie się spodziewasz. Znasz tę scenę: urodziwa dziewczyna na plaży odwrócona ku morzu, której stringi służą za cały przyodziewek. Jakiś przystojniak stojący nieopodal gapi się na nią. Zapomnij. Zbyt płaski koncept, zbyt ograny - widzieliśmy to już ze sto razy. Robimy kampanię do czasopisma czy telewizji? Coco skrzyżowała ręce i wzruszyła ramionami. Udawała klientkę, której Ettrich stara się zaimponować.

- Wszystko jedno. A więc żadnych nagusek?

— Żadnych. Wykorzystaj seks do sprzedania czegoś nudnego, nad czym klient się nie zastanawia: kremu do golenia albo piecyka kuchennego. Jeśli chcesz sprzedać coś, co samo w sobie jest seksowne, powinnaś przyjąć inną strategię.

— Na przykład?

W jego kieszeni tkwiła pocztówka, którą dziś rano dostał od swej byłej żony, Kitty. Choć nim gardziła, zawsze przysyłała mu ciekawe pocztówki. Był to jeden z jej sposobów, żeby skomunikować się z nim bez konieczności bezpośredniej rozmowy. Zdjęcie przedstawiało płowego sharpei, tego cudacznego chińskiego psa, którego pysk i ciało są tak pofałdowane, że przypominają bryłę roztopionej masy karmelowej. Zwierzak miał na głowie ozdobne meksykańskie sombrero i wyglądał, jakby mu ktoś złamał serce. Ettrich położył pocztówkę na kontuarze. Z drugiej kieszeni wyjął dwie fiszki wielkości trzy na pięć cali i gruby czarny flamaster. Na psim pysku zakreślił wielki „X”.

Coco spojrzała najpierw na zdjęcie, a potem na Vincenta. Umieścił pocztówkę obok majteczek i napisał na fiszkach dużymi drukowanymi literami: NAJLEPSZY PRZYJACIEL CZŁOWIEKA. Jedną położył nad oznaczonym X - em zdjęciem psa, drugą nad błękitnymi stringami.

- Coś w tym stylu. To lepsza strategia.

Vincent ani razu nie podniósł wzroku, aby wybadać reakcję Coco. Trzymał rękę na podbródku i wpatrywał się w swoją reklamówkę, rozważając różne plusy i minusy. Znajdował się w jej sklepie, ale przede wszystkim był teraz we własnym świecie. Jego praca liczyła się dla niego nawet wtedy, gdy traktował ją z przymrużeniem oka.

W kilka tygodni później zaprosił ją do restauracji „Acumar”. Miejsce to działało wszystkim na nerwy, o czym Ettrich - jako stały bywalec - doskonale wiedział. Była to ulubiona restauracja kierowników pracujących w jego firmie. Nawet kelnerzy nosili dwurzędowe marynarki, białe koszule i krawaty. Z jedzeniem i z klientami obchodzili się tak, jak gdyby się bali, że mogą sobie poplamieć mankiety.

Człowiek, który odnosi w życiu sukces, musi być gotowy udać się w pewne miejsca, gdzie płaci się za upokorzenie. Niepisane prawo stanowi, że istoty ludzkie muszą całe życie cierpieć - tak czy inaczej. Jeżeli miałeś szczęście wspiąć się na społeczny szczebel, na którym nikt nie znęca się nad tobą za darmo, to trudno: musisz za tę usługę płacić. Modne restauracje, ekskluzywne butik, diler MercedesaBenza czy osobisty trener, który wyrzuca ci nadwagę i kiepską kondycję, to tylko niektóre przykłady owych tortur.

- Dlaczego ten lokal nazywa się „Acumar”?

Ettrich zabierał się akurat do zjedzenia tyciutkiej kromeczki przybranej główką sardynki na liściu mniszka.

- Chyba od nazwiska właściciela.

Coco zerkała co chwila przez ramię i kręciła się na krześle, przypatrując się stylowemu wnętrzu i innym gościom. Ettrich mógłby jej zwrócić uwagę, że tego rodzaju prostackie maniery nie uchodzą w restauracji, ale nie zrobił tego. Mimo wszystko miło było na nią patrzeć. Przywykł do kobiet opanowanych, które tchnęły takim chłodem, że chyba jedynie Sąd Ostateczny mógłby zmusić je do uniesienia brwi.

Coco wzięła swoją sardynkową przystawkę, spojrzała na nią i zmarszczyła nos.

- Nie lubię ryb. Czy mogę tego nie jeść?

- Naturalnie. - Na znak solidarności odłożył również swoją zakąskę.

- „Acumar”. Śmieszne... Jeśli masz na imię Bili i nazwiesz swoją restaurację „U Billa”, ludzie wezmą ją za jakąś dziurę. Ale „Acumar” brzmi tajemniczo i egzotycznie. - Coco spojrzała na długą, posrebrzaną kartę dań otwartą pod jej rękami. - Wszystko wygląda pysznie. Co mi radzisz, Vincencie? O, nie, popatrz na to! - Skrzywiła się i zmrużyła oczy, wpatrując się w menu.

- Co? Co się stało?

- Spójrz na tę potrawę... „Bóg z wody”. Coś takiego. Ani to śmieszne, ani gustowne.

Ettrich musiał zdusić w sobie uśmiech. Czy naprawdę była tak pruderyjna i spięta?

- Czujesz się urażona?

Już miała odpowiedzieć, kiedy obok nich przebiegł jeden z kelnerów. Podniosła rękę, jak policjant zawiadujący ulicznym ruchem, żeby go zatrzymać. Gest ten, a może wyraz jej twarzy, miał w sobie coś, co osadziło kelnera w miejscu.

- Nie jestem państwa kelnerem, ale zaraz zawołam kolegę.

- Nie chcę mojego kelnera. Chcę o coś zapytać pana.

- Przepraszam, bardzo się spieszę...

- Mam to gdzieś.

Obaj, kelner i Ettrich, zareagowali identycznie - wyprostowali się na baczność i posłali jej badawcze spojrzenie.

- Co to jest „Bóg z wody”?

- Słucham?

- Ta potrawa w karcie. O tutaj. „Bóg z wody”. Co to takiego? - Wskazała menu i postukała palcem w odpowiedni punkt.

Zakłopotany kelner schylił się nieco, aby lepiej widzieć.

Raptownie nakrył dłonią usta.

- Och, to chochlik drukarski! Powinno być „Bób z wody”.

Muszę powiedzieć o tym Acumarowi. Bóg z wody. To ci dopiero numer!

Kiedy się ulotnił, Ettrich i Coco spojrzeli na siebie. Żadne się nie odzywało. Gdy milczenie zaczęło się przedłużać, Ettrich zaświergotał wesoło:

- Zdaje się, że uratowałaś Acumara przed kompromitacją.

Pokręciła głową.

- Wątpię, czy wymienią wszystkie karty. Chciałam im tylko pokazać błąd. Zaskoczyła cię moja reakcja, prawda? Wiedział, że jeśli skłamię, będzie rozdrażniona, więc nie skłamał.

- Nie jestem zbyt religijny. Muszę przyznać, że na pierwszy rzut oka wydało mi się to dość zabawne. - Nie potrafił rozgryźć jej miny. Jej zazwyczaj ożywiona twarz była pusta. Uniosła głowę i popatrzyła na coś za jego plecami.

- Vincent?

Ciesząc się ze zmiany tematu, Ettrich podniósł wzrok i ujrzał stojącego nad swoją głową Brunona Manna. Pracowali w tej samej firmie. Często podróżowali razem w interesach i byli prawie przyjaciółmi. Bruno wydawał się głęboko poruszony.

- Cześć, Mann! Jak leci?

- Myślałem, że... Vincent, to naprawdę ty!

- Owszem. Dobrze się czujesz? - Nie widział się z Mannem od paru tygodni, lecz zaskoczenie, jakie odmalowało się na jego twarzy, było tak wielkie, jakby Ettrich powrócił właśnie z wyprawy kosmicznej.

Ciągle się gapiąc, Bruno uszczypnął się lekko w policzek i potrząsnął z niedowierzaniem głową. Z jego oczu wyzierało przerażone zdumienie. Popatrzył na Coco. Spojrzała mu prosto w oczy, nie odrywając wzroku.

- Pozwól, Brunonie: to jest Coco Hallis.

Uścisnęli sobie dłonie, ale nie wymienili przyjacielskiego uśmiechu, ukłonu ani słowa powitania. Żadne nie wydawało się zainteresowane drugim. Zadzwonił telefon Ettricha. Wyjawszy go z kieszeni, spojrzął na wyświetlacz, żeby zobaczyć, kto to. Kitty. Eksmałżonka dzwoniła do niego jedynie w bardzo ważnych sprawach, zwykle związanych z dziećmi. Przeprosił Coco i Brunona, po czym pokonał krótki odcinek dzielący go od ulicy, aby móc swobodnie rozmawiać. Stał plecami do restauracji, z palcem wetkniętym w drugie ucho, aby wytłumić wszechobecne hałasy.

- Halo?

- Vincent? To ja, Kitty.

- Cześć. Co słychać? Wszystko w porządku? - W kontakcie z Kitty zawsze starał się być przyjacielski i wesoły. Pod wieloma względami nadal ją kochał, ona jednak zniechęciła go szczerze i do końca życia po tym, co zrobił z ich małżeństwem.

- Przed chwilą stało się coś dziwnego, Vincencie. Nie wiem, czemu zadzwoniła akurat do mnie. Nawet nie bardzo go znałam. Zamiast do ciebie, jego przyjaciela, ona zadzwoniła do mnie.

Pomimo chęci, by wrócić do restauracji i Coco, Ettrich uśmiechnął się. Kitty paplała bez umiaru. Jej gładzenie przeważnie miało w sobie pewien urok; po kilku latach małżeństwa Ettrich nauczył się je puszczać mimo uszu, tak aby nie zorientowała się z jego miny. Toteż teraz, kiedy trajkotała jak najęta, odwrócił się i spojrzał przez szybę do wnętrza restauracji.

Ku swemu zdziwieniu stwierdził, że Bruno dosiadł się do Coco i że rozmawiają ze sobą. Coco wymachiwała rękoma na lewo i prawo, raz po raz celując palcem w Brunona Manna. Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że robiła mu awanturę. Bruno wyglądał na skruszonego. Co chwilę wbijał zgaszony wzrok w stół, po czym zerkał na Coco.

- ...umarł. Po prostu umarł. W głowie się nie mieści. Był w naszym wieku!

Ettrich, usłyszawszy słowo „umarł”, wyprężył się jak struna.

- Co? Kto umarł? Nie dosłyszałem, co mówiłaś, Kitty. Są jakieś zakłócenia na linii. Kto umarł?

- Bruno Mann. Miał atak serca. Jego żona przed chwilą do mnie dzwoniła. Czemu do mnie, skoro chciała powiadomić ciebie? Przecież wie o naszym rozwodzie...

Ettrich był tak oszołomiony, że nie mógł się skoncentrować. Bez przerwy mrugał powiekami, jakby do oczu wpadł mu nagle piasek. Z tego wszystkiego zapomniał, że ciągle trzyma słuchawkę przy uchu.

- Vincent?

- Ja... Słuchaj, Kitty, odezwę się do ciebie, dobrze? Muszę trochę ochłonać. - Drugą rękę położył na czole i zamknął oczy. Czuł walące mu w piersi serce. Równie przerażone jak on.

- Nic ci nie jest? Nie wiedziałam, że łączyły cię z Brunonem tak bliskie stosunki - dodała niepewnie Kitty cichym, zaniepokojonym głosem. - Przedzwonię. - Nadusił kciukiem guzik przerywający połączenie, zanim Kitty zdążyła cokolwiek dodać. Wpatrywał się w mały aparat w swojej garści, jakby ten mógł mu jakoś pomóc. Może by tak do kogoś zatelefonować i spytać, co ma robić? Co powinien uczynić? Wrócić do restauracji i pogadać z nieboszczykiem? Jak to możliwe, że człowiek nie żyje i zarazem siedzi tam, rozmawiając z Coco? Czy Ettrich powinien wziąć nogi za pas? Nie miał ochoty ani na jedno, ani na drugie. Nie chciał nawet patrzeć, co się dzieje przy stoliku, ale się przemógł.

Bruno Mann zniknął. Coco siedziała sama - trzymała swój wysoki kieliszek czerwonego wina tuż przy ustach i rozglądała się po sali. Wreszcie ich oczy się spotkały. Uśmiechnęła się i zasygnalizowała gestem, aby wrócił do środka. Nieboszczyk sobie poszedł. Ale dokąd? Ettrich mógł wrócić i zapytać ją, o czym rozmawiali. Będzie musiał jednak zachować ostrożność, gdyż Bruno mógł czaić się w pobliżu - a kto wie, co by się stało, gdyby wrócił? Ettrich miał wiele wad, lecz nie był tchórzem. Ściskając w dłoni srebrny telefon komórkowy, jakby trzymał talizman przeciw złym duchom, nakazał sobie otworzyć drzwi i wrócić do „Acumara”.

Pośrodku wszystkich stolików sterczały zapalone świece. Miały rzadko spotykany szarobłękitny odcień, który pasował do obrusów. Kiedy zajmowali miejsca, Coco oznajmiła, że bardzo chciałaby mieć sukienkę w tym kolorze. Gdy Ettrich maszerował teraz przez salę, jego spojrzenie przykuła świeca na ich stoliku. Płomień stał w powietrzu prosto i nieruchomo.

- Vincencie?

Przez ułamek sekundy, krótką, lecz przerażającą chwilę, Ettrich był pewien, że to Bruno Mann wypowiedział jego imię. Pytanie powtórzyło się; głos niewątpliwie należał do kobiety - do Coco. Ponieważ jego mózg wpadł w popłoch, upłynęło trochę czasu, nim Ettrich wziął się w garść i zebrał myśli. Coco zawołała go po raz trzeci, tym razem natarczywiej.

Jego imię nie kończyło się już znakiem zapytania.

On tymczasem ciągle wpatrywał się w płomień świecy. Ni stąd, ni zowąd zdał sobie sprawę, że nie spogląda już na błękitną świeczkę w restauracji, ale na żółtą. Żółtą świecę na nocnym stoliku obok łóżka. Na którym teraz leżał. Czuł przyciśniętą pod sobą własną rękę. Leżał na łóżku i patrzył na nieruchomy płomień żółtej świecy. Wszystko to pojawiło się i skrzystalizowało w jego umyśle równocześnie. Wyprostował się z trudem i jęknął.

- Co? - odezwała się za nim Coco. - Co się stało? Wszystko w porządku?

Byli w łóżku. Ujrawszy swoje obnażone kolano, Ettrich uświadomił sobie, że jest nagi. Szok. Zrozumienie. Ulga - wszystkie te emocje przeleciały przez niego niczym stado wzbijających się do lotu ptaków. Znajdował się nie w restauracji „Acumar”, ale w sypialni Coco Hallis, i gapił się na jej żółtą świecę. Coco i jej świece. Ani śladu Brunona Manna. Najwyraźniej Ettrich zasnął i wyśnił sobie cały ten koszmar! Położyła mu rękę na plecach i przesunęła ją wolno w dół kręgosłupa.

— Coś nie tak? Co się z tobą dzieje? - W jej głosie pobrzmiewała delikatność i słodycz.

— Jezu, miałem niesamowity sen. Był taki realny, widziałem każdy najdrobniejszy szczegół. Nawet kolor świeczek! - Potrząsnął głową i energicznie potarł twarz dłońmi, aby przywrócić krążenie.

Ręka Coco zsunęła się i oderwała od jego pleców. Coco ziewnęła przeciągle. Zezłościł się. Podczas gdy on drży jak osika, usiłując otrząsnąć się z koszmaru, ona sobie ziewa. Wiedział jednak, że to nieuczciwe. To on miał sen, nie ona. Spróbował odepchnąć od siebie rozdrażnienie. Chciał się obrócić i spojrzeć na nią, położyć na niej dłoń i poczuć jej miękką, zawsze ciepłą skórę. Stanąć z powrotem mocno na ziemi. Coco była pierwszorzędną kochanką. Jedyną znaną mu kobietą, która w momencie szczytowania śmiała się ekstatycznie jak dziecko. Po pierwszym razie zapytała nieśmiało, czy mu to nie przeszkadza. Nie, odparł, bardzo mu się podoba. Skąd to pytanie? Wyjaśniła, że niektórzy mężczyźni nie cierpieli jej śmiechu, gdyż wbrew jej zapewnieniom sądzili, że śmieje się z nich.

Chciał jej teraz dotknąć i kochać się z nią. Kiedy przewrócił

się w jej stronę, powiedziała coś, czego nie dosłyszał. Leżała na brzuchu. Linia jej pleców i wysoki, pełny tyłek ukazały się w całej okazałości. Nie wstydziła się swego ciała - twierdziła, że lubi, jak Ettrich patrzy na jej nagość. Głowę miała odwróconą, z rozpostartymi na boki rękoma wyglądała jak pływaczka unosząca się na wodzie. Ettrich położył dłoń na jej tyłku. Nie poruszyła się. Z rozkoszą powiódł palcami po jej plecach, po wznoszącej się i opadającej linii jej krągłości. Miała ciepłą skórę. Bardzo to lubił - skóra Coco zawsze była ciepła. Jego ręka przesunęła się na obojczyk,

a potem na szczupły kark. Coco miała krótko przycięte włosy. Podniósł je do góry, wspinając się na tył głowy. Raptem się zatrzymał. Na szyi Coco czerniała jakaś plama. Zmrużył oczy i usiłował zobaczyć, co to takiego, w migotliwym świetle sypialni. Niewiele dostrzegł. Nie przypominał sobie, aby Coco miała na karku jakiś pieprzyk czy znamię. Przytrzymał jej włosy, wychylił się i przyjrzał z uwagą.

Był to tatuaż. Z całą pewnością tatuaż, poczerniały w skąpym świetle sypialni. Proste drukowane litery układały się w napis: BRUNO MANN. Na karku Coco Hallis widniało nazwisko zmarłego.

Ettrich zerwał się jak oparzony. Bo też tak właśnie się czuł.

- Co to? Co to jest?

Zatrzymał się dopiero w połowie sypialni. Wymierzył oskarżycielski palec w swoją piękną, młodą kochankę, która wciąż spoczywała bez ruchu. Pozostawała w tej samej martwej pozycji. Na brzuchu, z odwróconą głową i rozpostartymi rękoma.

- Coco, spójrz na mnie, na miłość boską! Co to znaczy? Co to za tatuaż?

Milczała, nadal się nie poruszając. Ettrich pomyślał przez moment, że umarła. Zobaczył jej niewiarygodny tatuaż i to w jakiś sposób ją zabiło. Co za pokręcony pomysł! Miał ochotę podejść i jej dotknąć. Chciał też jak najszybciej się ubrać i wynieść stąd do stu diabłów.

- Coco!

W końcu uniosła głowę i powoli się obróciła. Otworzyła oczy i popatrzyła na niego.

- Co?

- Co to za tatuaż? Dlaczego go... W odpowiedzi wybełkotała coś, czego nie zrozumiał. Zabrzmiało to tak, jakby mówiła przez sen.

- Co? Co powiedziałaś? - Zbliżył się do niej o dwa kroki.

Musiał. Musiał się dowiedzieć, o co jej chodzi.

Odezwała się głośniej. Była wyraźnie poirytowana.

- Powiedziałam, że to twój sen. Wiesz, kim jest Bruno. - Położyła palec na karku i potarła nim po tatuażu. Sam ten gest wystarczył, by Ettrich cały się zatrzęsł.

- Ale po co... jak znalazł się na twojej szyi? Przedtem go tam nie było. Jestem pewny, że jeszcze wczoraj go nie miałaś. Coco podniosła się do pozycji siedzącej i popatrzyła na niego.

- Zgadza się. Zrobiłam go dzisiaj. Bóg z wody, Vincencie.

Pamiętasz ten fragment twojego snu? Kiedy oświadczyłeś, że nie jesteś zbyt religijny?

Zdębiał. Ta kobieta wiedziała, co mu się śniło!

Sięgnęła do nocnego stolika i wzięła paczkę marlboro light. Wyłuskała papierosa i przypaliła go od płomienia żółtej świecy. Światło w sypialni zapełgało, gdy mały płomień powędrował ze stolika do jej ręki i z powrotem na stolik. Zaciągnęła się mocno i, z odchylną do tyłu głową, wypuściła pod sufit wąską smużkę szarego dymu.

- Usiądź, Vincencie. Chodź, zapal ze mną. Przecież lubisz palić. - Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Ettrich podszedł posłusznie i przycupnął w kącie u stóp łóżka. Cóż innego mógł zrobić? Chciał wyrzucić z siebie wszystko, lecz nic nie przychodziło mu do głowy.

- Chodź bliżej. Chcę cię dotknąć. - Skinęła na niego ręką z papierosem. Pokręcił głową i zamknął oczy.

- Tu jest mi dobrze.

Powoli położyła się i utkwiała wzrok w suficie. Wciągnąwszy dym, próbowała puścić kółko, ale nieszczęśliwie jej się to udało.

- Jak długo się znamy?

Była taka spokojna. Świat Ettricha rozleciał się właśnie na kawałki, a ona pytała, od kiedy ze sobą chodzą. Chryste Panie.

- Półtora miesiąca, może dwa. Nie wiem. Opowiedz mi o tatuażu, Coco. Proszę cię.

Dobrze, ale najpierw uważnie mnie wysłuchaj, Vincencie, ponieważ to, co chcę ci powiedzieć, jest bardzo ważne. Zgoda? - Jej wielkie oczy przesunęły się wolno na niego. Wyraz jej twarzy domagał się pełnej uwagi. Ettrich przytaknął.

- Świetnie. Czy pamiętasz swoje życie z czasów, zanim się spotkaliśmy?

Pytanie to wydawało się tak dziwne i nie na miejscu, że w pierwszej chwili Ettrich pomyślał, że się przesłyszał.

- Czy pamiętam moje życie? Oczywiście, że pamiętam. - Wściekłość buchnęła mu w piersi jak miotacz ognia. Co to za bzdury? - Niby czemu miałbym nie pamiętać swego życia?

- A zatem pamiętasz pobyt w szpitalu? Pamiętasz, jak długo tam byłeś po chorobie?

- Co? - Ettrich cieszył się zdrowiem konia pociągowego.

Nigdy na nic nie chorował. Raz do roku zimą łapał łagodną grypę, która trwała zwykle trzy dni i przyprawiała go o nieszkodliwy katar. Czasem brał aspirynę na lekki ból głowy. I to wszystko - nawet zęby miał zdrowe. Umawiał się na wizytę u dentysty tylko po to, aby je oczyścić.

- W jakim szpitalu? Nigdy nie byłem w żadnym szpitalu!

- Nie pamiętasz Tillmana Reevesa i Wielkiego Psa Michelle?

- Jakiego znowu Wielkiego Psa? Co ty pleciesz? - Ledwie zadał to pytanie, w jego umysł powoli wsączył się pewien obraz, niczym gęsty syrop wlewany do szklanki. W głowie zamajaczyła mu zniszczona chorobą twarz czarnego mężczyzny, który śmiejąc się, patrzył wprost na niego. Miał szerokie, pożółkłe zęby i zapadnięte policzki i oczodoły. A jednak się śmiał. Za nim wyrosła OGROMNA czarna kobieta w stroju pielęgniarki. Na jej piersi widniała czerwona tabliczka: Michelle Maslow, pielęgniarka dypl. Ona również się uśmiechała, ale szorstko, jakby na przekór sobie. Jak dyrektorka szkoły, która przyłapała dwóch niesfornych uczniów. Jej tusza i olśniewająca biel jej stroju kontrastowały silnie z leżącym przed nią w łóżku pokurczonym człowieczkiem. O ile siostra emanowała siłą i dobrym zdrowiem, o tyle pacjent wydawał się raczej martwy niż żywy.

Siostra Maslow podparła się pod swoje obłe boki i oznajmiła wszem i wobec: - Już ja wiem, że to pan wymyślił mi ten wredny przydomek, profesorze. Pan Vincent Ettrich to dżentelmen. Nie jest taką niewdzięczną myszą, jak niejaki profesor Tillman Reeves. - Miała wspaniały, stentorowy głos, którym mogłaby podbić wszechświat.

Leżący w łóżku mężczyzna warknął, ani na moment nie odrywając swoich wesołych, lecz naznaczonych chorobą oczu od Ettricha.

- Hau. Hau. Wielki Pies w swojej budzie.

Pielęgniarka przybrała zrozpaczoną minę i zrobiła „pstpst”.

- Tylko tak dalej, a doigra się pan. Mała, piskliwa myszka.

Niech pan weźmie przykład z pańskiego sympatycznego kolegi. To, że jest pan chory, profesorze, nie znaczy, że może być pan niegrzeczny dla swojej pielęgniarki.

Uśmiech Reevesa rozszerzył się. Zwrócił się do niej znad swego chudego ramienia.

- To, że nazywam panią Wielkim Psem Michelle, nie znaczy, że nie darzę pani szacunkiem, siostrzo Maslow. Au contraire. Przedśmiertne spotkanie z Cerberem to jedno z najwspanialszych doświadczeń w moim życiu. Szkoda tylko, że nie wiedziałem wcześniej, że jest pani osobnikiem płci żeńskiej. W Teogonii Hezjod powiada, że Cerber ma pięćdziesiąt głów, jednakże mając zaszczyt obcować z panią od kilku tygodni, wiem, iż jedna głowa w zupełności pani wystarcza, madame. Kobieta skrzyżowała ręce.

- Pięćdziesiąt głów, mówi pan? Coś panu powiem. Sprawdziłam tego pańskiego Cerbera. Rzeczywiście. Jeśli jestem psem strzegącym bram piekła, to lepiej niech się pan ma na baczności, bo mam zęby ostre jak brzytwa!

- Hau!

Pochyliła się, jak gdyby zamierzała mu odpowiedzieć. Na jej twarzy rozlał się wielki uśmiech. Obserwujący ją Ettrich uświadomił sobie, że wcale nie jest gruba, tylko potężnie umięśniona. Był przekonany, że zdołałaby podnieść ich obu bez większego wysiłku.

I wtedy namiot się zapadł. Takie wrażenie odniósł Vincent

Ettrich w chwili, gdy zaczął umierać. Cała jego istota przypominała wielki cyrkowy namiot, w którym ktoś nagle usunął podtrzymujące go żerdzie. Gdy Michelle Maslow i Tillman Reeves ryknęli śmiechem, jego życie się zawaliło. Stało się to tak szybko, że nawet nie zdążył się przestraszyć. Stracił oddech. Raptem całe ciało odmówiło mu posłuszeństwa - usta, gardło, płuca. W ciągu jednej sekundy przestał funkcjonować. Nie westchnął, nie jęknął ani nawet się nie zakrztusił; drżąca ręka nie wysunęła się po pomoc. Skończył się. Życie opuściło go na moment przedtem, nim uzmysłowił sobie, że umiera. Zmarł, patrząc na dwoje miłych, roześmianych ludzi. Oczywiście otoczyła go czerni. Oczywiście nastąpiła kompletna pustka. Była jednak fizyczna, namacalna. Miał takie uczucie, jakby stał w wielkiej, ciemnej szafie. Miał uczucie. Otóż to: Ettrich czuł, choć był martwy. Zaledwie uprzytomnił sobie tę zdumiewającą myśl, gdy oślepiło go jasne światło, jakby przed oczami zapalono mu żarówkę.

- Gratuluję, Vincencie. Najwyższy czas, żebyś przejrzał na oczy. Oto mały prezent dla ciebie. Mam nadzieję, że nie ostatni.

W dalszym ciągu raziło go światło, kiedy poczuł, że jakiś przedmiot wsuwa mu się w dłoń. Dłoń. Miał rękę. Mógł dotykać. Był w stanie czuć. Pomału spojrzął w dół i zobaczył, a raczej poczuł to, co trzymał: niewielki prostokąt. Kawałek papieru, fotografia. Stopniowo powracała mu zdolność widzenia, tak iż mógł rozpoznać ów obrazek. Gdy to uczynił, głowa odskoczyła mu do tyłu, jakby powąchał amoniak. Zajęcie pokazywało bowiem ludzi, których Ettrich widział w chwili śmierci: Tillmana Reevesa i Wielkiego Psa Michelle. Patrzyli na niego i śmiali się.

Oderwał wzrok od fotografii i uświadomił sobie, że znów znajduje się w sypialni Coco, że ciągle nagi siedzi w rogu jej łóżka.

- Nareszcie! Już zaczynałam tracić nadzieję. - Westchnęła obcesowo i podniosła się z posłania. Nie patrząc na niego, poczłapała po podłodze i wyszła z sypialni. Chwilę później Ettrich usłyszał, jak oddaje mocz w łazience obok. Rozległ się odgłos spuszczonej wody i krótki syk wody w umywalce. Wróciła do sypialni i zatrzymała się. Spojrzała na niego z nieskrywanym rozbawieniem.

- Umarłem? - wykrztusił. Słowo nie chciało mu przejść przez gardło.

- Owszem, Vincencie. Umarłeś.

- Jestem martwy?

- Nie, byłeś martwy. Teraz żyjesz ponownie. Rozejrzyj się. Wszystko po staremu. Twoje życie toczy się dalej.

Kręcił głową. Na razie nie potrafił tego ogarnąć.

- Ale dlaczego? Dlaczego wróciłem do życia? Czemu nie pamiętam, jak umierałem? - zapytał słabo. Jego głos zdawał się napływać z daleka, choć przecież wydobywał się z niego. Nawet głos go już zdradzał. W jednej chwili świat stał się obcy i bezsensowny.

Stojąca o trzy kroki od niego Coco zdjęła ręce z bioder i wzruszyła nimi, jakby mówiła „nie mam pojęcia”.

- Więc kim ty jesteś? Przynajmniej to mi powiedz.

Jej głowa zatańczyła między lewym a prawym ramieniem - mały, głupawy gest.

- Jestem Coco, figowa dziewczynka.

- Błagam, nie żartuj. Kim jesteś?

- Twoją kochanką. Twoim skarbem. Mapą, na której X oznacza ukryty skarb. Zresztą widziałeś.

- Dotknęła karku w miejscu, gdzie było wytatuowane nazwisko Brunona Manna. - Jestem po to, abyś wytrwał. Jestem twoim aniołem stróżem. - Zaśpiewała tytułowe słowa piosenki Someone to Watch Over Me, - Jestem tym wszystkim i niczym. Mam ci pomóc odnaleźć drogę, Vincencie. - Po czym dodała cichym, srebrzystym głosem: - Moment, w którym tamtego dnia zobaczyłeś mnie w sklepie, był momentem twojego odrodzenia. Dlatego zapytałam cię wcześniej, czy pamiętasz swoje życie sprzed naszego spotkania.

Jej odpowiedź była zbyt niewyobrażalna, nieznośna i upiorna, aby przyjąć ją do wiadomości. Ettrichowi zebrało się na wymioty. Ukrył twarz w dłoniach i spróbował zagonić szaleństwo z powrotem za ogrodzenie.

- Nie żyję? Umarłem i wróciłem do życia, tego samego życia? - Mówił w zasadzie do siebie. Czuł potrzebę wypowiedzenia tego głośno, by usłyszeć, jak to zabrzmie. Podrzucił głowę i krzyknął do tej kobiety i do Boga: - Więc czemu nie pamiętam?! Czemu nie pamiętam umierania? Ani śmierci? Jak można nie pamiętać czegoś takiego?

Coco ugięła nogi jak łapacz przygotowujący się przed następnym rzutem miotacza.

- W szpitalu leżałeś miesiąc z rakiem wątroby. Pod koniec przenieśli cię do sali, gdzie leżał, także śmiertelnie chory, Tillman Reeves. Nazywał siebie Tillman Umarlak. Opiekowała się wami Wielki Pies.

- Ale ja nic z tego nie pamiętam! - wrzasnął Ettrich. - Nic!

Zero! Jak to możliwe? - Przemknęło mu przez głowę, że zaraz zwariuje. - A przecież pamiętam tamten dzień. Pamiętam, co robiłem, zanim cię zobaczyłem. Pamiętam, jak rano się ubierałem...

Pokręciła przecząco głową.

- Nie, składasz sobie to wszystko z życia, które kiedyś znałeś. Stare, dobre czasy, Vincencie. Niezliczone wtorki, piątki, urlopy i deszczowe dni, kiedy twoje serce jeszcze biło. Gdy byłeś pewien, że twój czas nigdy się nie wyczerpie. Teraz natomiast jesteś przerażony, więc po prostu wsuwasz głowę do worka i wyciągasz stamtąd stare wspomnienia. W pamięć zapadły mu słowa „kiedy twoje serce jeszcze biło”. Już miał jej kazać dowieść, że mówi prawdę. Zamierzał skrzyżować ręce, wysunąć podbródek i prychnąć: „Udowodnij!” Lecz Coco uprzedziła go, mówiąc „kiedy twoje serce jeszcze biło”. Czas przeszedł.

Jego lewa ręka leżała na kolanie. Powoli ją obrócił. Położył dwa palce prawej dłoni na lewym nadgarstku i spróbował wyczuć tętno. Zrobił to, nim skończyła mówić, mając nadzieję, że tego nie zauważy.

Nie miał tętna. Przycisnął mocniej palce, szukał. Nic z tego. Przyłożył palce do gardła i ponownie sprawdził puls. Nic. „Kiedy twoje serce jeszcze biło”. Serce Vincenta Ettricha przestało bić.

Zaczął drzeć. Dygotał jak w ostatnim stadium śmiertelnej choroby. Szczekał zębami, czując, że zalewa go fala szaleństwa. Ledwie trzymał się ostatniego szczątka wraka, który jeszcze przed godziną był Vincentem Ettrichem - szczęśliwym biznesmenem, wytrawnym flirciarzem, przyzwoitym ojcem i okazjonalnym wegetarianinem.

Z twarzą ukrytą w dłoniach, zamkniętymi oczami i łokciami na kolanach, Ettrich zaczął się kiwać to w przód, to w tył. Nie wiedział, że wydaje z siebie dźwięk - coś w rodzaju kwilenia lub mruczenia. Prawie nieludzki odgłos, który narodził się w jego trzewiach i wleciał do ust, by w końcu wyjść na świat. Strach, żal i rozpacz zamienione w szum. Nawet Coco wzdrygnęła się na dźwięk tego dziwnego, przejmującego mruczenia.

- Vincent.

Zlekceważył ją i zawodził dalej. Z ukrytą twarzą, kiwał się jak dziko rozmodlony żyd.

- Przestań marnować czas. Posłuchaj mnie!

Nie przestał. Pieprzyć ją! Marnować czas? Dopiero co dostał kosmiczną lewatywę, a ona każe mu siebie słuchać. Rozległy się westchnienia, gwizdy, śmiech i uliczny hałas.

Tak głośne i bliskie, że nie mógł nie sprawdzić, co się dzieje. Gdy tylko otworzył oczy, minęła go żółta taksówka, chluszcząc w niego lepką breją z kałuży. Zerwał się na równe nogi. Siedział na krawężniku tuż obok przewalających się z hukiem pojazdów. Ciągle był nagi. I osaczony teraz przez dobrze znany koszmar - kiedy nam się śni, że stoimy goluteńcy pośrodku jakiejś ulicy w centrum miasta. Otaczający nas ludzie są oczywiście ubrani i wytrzeszczają oczy.

Bez wątpienia ludzie wybałuszali oczy na Ettricha. Gapili się, wytykali go palcami, pohukiwali. Stojąca o kilka stóp dalej Coco Hallis przesywała go wściekłym wzrokiem, tyle że sama też była naga. Mimo wszystko, co niedawno zaszło i czego się dowiedział, Ettrich zakrył wstydliwie swoje przyrodzenie rękami. Tłum jeszcze bardziej się rozjazgotał. Przystojny zbir w brązowej skórzanej kurtce podszedł do Coco i przyjrzał jej się z uznaniem od stóp do głów.

- Cześć, mała - odezwał się. - Kupuję wszystko, co masz na sprzedaż.

Ignorując go, Coco zwróciła się do Ettricha:

- Czy teraz będziesz uważał?
- Ej, mała! Zachowuj się. Mówię do ciebie.

Coco obróciła się wolno do faceta i powiedziała na tyle głośno, by ją usłyszał:

- A teraz ja mówię do ciebie, Bernie. Zrobiłeś dzieci dwóm kobietom, ale się ich wyparłeś. Nawet nie raczyłeś ich zobaczyć. Nie poszedłeś na pogrzeb własnej matki, a kobieta, z którą ostatnio sypiasz, Emily Galvin, puszcza się z innym facetem, kiedy jesteś w trasie. Chcesz poznać więcej szczegółów? Bernie wywalił oczy jak złapany w pułapkę szczur. Włączył wsteczny bieg i oddalił się od Coco.
- Możemy już iść, Vincencie? Trochę przemarzłam. - Wykonała kolisty ruch ręką, zagarniając całe miasto i gęstniejący z każdą chwilą tłum, który zgromadził się jakby tylko po to, aby się na nich gapić.
- Tak! Zabierz nas stąd.

Nim dokończył, znaleźli się z powrotem w sypialni. Było ciemno i ciepło, powietrze pachniało jeszcze świeżym seksem sprzed kilku minut.

- No, i co ja mam robić, Coco? Czego ode mnie chcesz?

Obserwowała go bez słowa. Jej milczenie było złowróżbne - zwłaszcza po tym, co przed chwilą zrobiła - ale Ettrich nie czuł się zagrożony. Wiedział, że Coco czeka, aż sam się połapie, co dalej. Bezradny jeszcze raz spróbował wymacać tętno; nie mógł się pogodzić z faktem, że nie miał pod skórą nic, co mogłoby mu wystawić świadectwo życia.

Przypomniał sobie, jakie to uczucie mieć tętno. Jak mocno pulsowało mu w gardle, kiedy denerwował się podczas negocjacji albo gdy zbliżał się do kobiety. Ilekroć kładł się do łóżka na lewy bok, czuł owo głucho, podwójne bębnienie, które zawsze wywoływało w nim nieokreślony niepokój. Wiemy, że mamy serce, wiemy, że krąży w nas krew. Jednak miarowe „bambum” naszego tętna przypomina nam, że jesteśmy tylko pracującymi maszynami i że nasz mechanizm mało ma pierwiastków boskich czy nieśmiertelnych. Czując pod palcami milczący nadgarstek, Ettrich na dłuższy czas zatopił w nim wzrok, jakby usiłował coś sobie przypomnieć. Potem wziął bardzo głęboki oddech i wypuszczając wolno powietrze, westchnął: - O rajajuajuaju...

Jego myśli zaprzętnął Bruno Mann. Po chwili Ettrich spojrzał na Coco i wyrzekł głośno jego nazwisko. Wprawdzie Coco pozostała niewzruszona, było widać jednak, że oczekuje od niego dalszego ciągu.

- Jeśli Bruno nie żyje, a ja go widziałem, to znaczy, że jest w takim samym położeniu jak ja. Poza tym rozmawiałaś z nim w restauracji. Mówiłaś, że wróciłem do życia z chwilą, gdy cię zobaczyłem. - Jedna ze świec na nocnym stoliku zaskwierczała. Ettrich zerknął w tę stronę i oblizał usta, podczas gdy jego umysł złapał oddech i ruszył ku następnej myśli. - Prawdopodobnie dzieje się tak ze wszystkimi: spotykasz ich w chwili powrotu do życia. - Teraz mówił już wyłącznie do siebie. Coco była tam, lecz nie liczyła się tak bardzo jak jego rozumowanie. - Muszę odnaleźć Brunona i pogadać z nim na ten temat. - Zetknął palce wskazujące obu rąk. Jego sytuacja zaczynała się klarować; wyłaniał się plan działania. - Ma się rozumieć, ty nie piśniesz ani słowa więcej. Muszę go zatem odszukać i wymienić się informacjami. To już jakiś plan. Chyba brzmi sensownie, co?

Uniósł spojrzenie znad palców, ale Coco zdążyła się oddalić. Przypomniał sobie, że mówiła, iż jest jej zimno. Uznał, że wyszła narzucić na siebie coś ciepłego. Siedział i planował kolejne kroki. Jego

samopoczucie nieco się poprawiło, choć ciągle nie było dobre. Jako pragmatyk, Ettrich najchętniej zadałby Coco parę konkretnych pytań, lecz był pewien, że mu nie odpowie. Będzie musiał uporać się z tą łamigłówką na własną rękę. Zanim jednak cokolwiek zrobi, musi ustalić jedną rzecz, i tylko Coco może mu w tym pomóc. Nie mógł kontynuować planów, dopóki Coco nie udzieli mu takiej czy innej odpowiedzi. Nagle zniecierpliwiony wstał i poszedł jej szukać. Kimkolwiek była, aniołem stróżem czy wyszczerzoną kostuchą, Coco mieszkała w dosyć nędznym lokum. Sypialnia, pokój dzienny, służący też za jadalnię, kuchnia i łazienka, kropka. Ettrich potrzebował niecałych dwóch minut, aby obejść mieszkanie i stwierdzić, że zniknęła. Prawie się nie zdziwił. Mógł tylko wzruszyć ramionami. Co to znaczyło? Czy przepadła na dobre czy jedynie ulotniła się na jakiś czas? W pokoju dziennym pod oknem tkwiła biała kanapa. Przed nią stał okrągły szklany stół. Ettrich spostrzegł dwa leżące na blacie przedmioty, których z pewnością wcześniej tam nie było. Coco nie lubiła bałaganu na stole. Sama mu o tym powiedziała. Podszedłszy bliżej, Ettrich zobaczył, że to dwa zdjęcia. Na jednym, które już widział, byli śmiejący się Wielki Pies Michelle i Tillman Reeves. Drugie ukazywało zbliżenie szyi Coco z tatuażem „Bruno Mann”.

Trzymał fotografie w dłoniach i zezował od jednej do drugiej. Wytatuowany kark i dwoje rozbawionych Murzynów. Obrazki te niewiele mu mówiły, wiedział jednak, że stanowią jego nowy początek. Kiedy maszerował z powrotem do sypialni, aby się ubrać, przyszło mu na myśl, że jeśli nie zdoła odnaleźć Brunona Manna, to następną osobą, za którą się rozejrzy, będzie Michelle Maslow.

Wielkie, głębokie „może”

Vincent wrócił do mieszkania i popatrzył na swój dobytek, przekrzywiając głowę jak pies, który słyszy grającą harmonijkę. Kiedy usiadł za biurkiem, jego wzrok padł na przyklejoną do lampy karteczkę, na której widniała zapisana myśl: „Niektóre kobiety są po to, by je wielbić, inne - żeby je bzykać. Problem mężczyzn polega na tym, że ciągle myślą pierwsze z drugimi”.

Ludzi określa wykonywana praca albo szkody, jakie powodują, posiadane dzieci lub spadek, który zostawiają, sposób widzenia świata lub oszukiwania go, by postrzegał ich innymi, niż są naprawdę. Vincent Ettrich nie obraziłby się, gdyby ktoś stwierdził, że jego określały kobiety, które poznał - i czasem pokochał - w swoim życiu. Chociaż był martwy, a raczej umarł i z jakiegoś powodu wrócił do życia, patrząc na ów cytat, pomyślał, że nic się jednak nie zmieniło. Mam identyczne zdanie o kobietach. Mam identyczne zdanie o życiu. Jeśli zachorowałem i umarłem, ale nic nie pamiętam, to co z tego wynika? Czego się nauczyłem? Dziś zależy mi na tym samym co wczoraj - na ciekawej pracy, paru dolarach w kieszeni i na kilku kobietach, w których towarzystwie dobrze się czuję. Co z tego, że Ettrich nie miał tętna i że dowiedział się o sobie czegoś niewiarygodnego, skoro nie mógł zmienić ani jednego, ani drugiego?

Przypomniał sobie artykuł, który kiedyś czytał, na temat reinkarnacji. Pewnego eksperta w tej dziedzinie zapytano, dlaczego, jeśli reinkarnacja naprawdę istnieje, nie pamiętamy tego, co się stało w naszych poprzednich żywotach? Celność odpowiedzi eksperta sprawiła, że Ettrich się roześmiał. „Ja nie pamiętam nawet, co jadłem na obiad dwa dni temu. Jakim cudem mam sobie przypomnieć, jak się żyło w starożytnym Egipcie?”

Na myśl o ripoście Ettrich uśmiechnął się leciutko i powiódł spojrzeniem po biurku. Zobaczył stary list od Isabelle z Austrii i wyciągnął po niego rękę, gdy jego uwagę przykuło migające światelko automatycznej sekretarki. Ktoś dzwonił pod jego nieobecność. Odchylił się w lewo i wcisnął guzik.

- Tu Bruno Mann. Musimy pogadać. Wiesz dlaczego, Vincencie. Mój numer to 1337898. Dryndnij. Ettrich opadł na krzesło, tak że aż głowa odskoczyła mu boleśnie do tyłu. Oszłołomiał go nie tyle fakt, że zadzwonił do niego człowiek, z którym najbardziej chciał porozmawiać, ile to, że numer telefonu Brunona był taki sam jak jego: 1337898. Ettrich nauczył się wybierać numery telefonu kciukiem. Ludzie wytykali mu ten nawyk, kobiety uważały, że to słodkie. Tym razem jednak ręka tak mu drżała, że przy pierwszej próbie wcisnął niewłaściwy klawisz.

- Diabli, diabli. - Po raz pierwszy od lat wybrał własny numer, używając do tego palca wskazującego. Stwierdził posepnie, że linia jest zajęta. - Do diaska, z kim rozmawia nieboszczyk? - Wtedy pomyślał o sobie i skrzywił się. Próbował jeszcze czterokrotnie w ciągu następnych dwóch minut, ale numer ciągle był zajęty. Wiedział, że jak wkrótce mu się nie poszczęści, to zwariuje. Żeby się czymś zająć, chwycił list od Isabelle i przeczytał go. Zawsze jest coś, o czym muszę ci niezwłocznie donieść, Vincencie. Zawsze coś ważnego: niuans, gest, dźwięk, wspomnienie, widok, anonimowa tablica nagrobna z czarnej stali na miejskim cmentarzu, klucz ptaków na niebie widziany z okna gospody Hansy'ego, jedzący obiad mężczyzna i jego ograniczony umysłowo syn, którym przyglądaliśmy się tego dnia, zapach pocałunku, miłosne westchnienie, pot na twoich dłoniach, łzy na moich policzkach, aromat kawy unoszący się w cukierni „A/DA”, ten białoszary oddech w zimowy wieczór. Zawsze jest coś ważnego, o czym natychmiast muszę ci powiedzieć. Bo jesteś niezbędny, bo jesteś mój, bo rozumiesz - bo tchnąłeś w moje życie nowe życie. Jest tak wiele przyczyn. Dziękuję Bogu za Ciebie. Mam tylko jedno życzenie. Nieważne, czy je spełnisz w kilka dni czy lat. Oto ono: napisz do mnie list, swoim pięknym pismem, powiedz w nim wszystko, co chcesz mi powiedzieć: czym dla ciebie jestem, czym ty jesteś dla mnie, czym jesteśmy - jeżeli pewnego dnia nie będę w stanie się wykąpać, to przeczytam ten list i będzie on moją ukochaną wodą. Cudowna, wrażliwa Isabelle. Isabelle Neukor. Siedemdziesiąt pięć procent doskonałości, dwadzieścia pięć potłuczonego szkła. Jednakże Ettrich przeszedłby po tym szkłe na bosaka, a nawet by je zjadł, gdyby w ten sposób mógł ją zdobyć. Poznali się w Wiedniu. Firma, w której Ettrich pracował, została wynajęta do promocji Wiedeńskiego Festiwalu Filmowego, a on biegle władał niemieckim. Isabelle była jedyną znaną mu kobietą, o której z pełnym przekonaniem sądził, że mógłby być z niej zadowolony, gdyby wciąż nie krzyżowała mu planów. Próbował przez całe lata i niekiedy mówiła: Dobrze, zgadzam się, daj mi swoje życie, a ja dam ci moje. Potem nagle oblatywał ją strach - czasem już po chwili, czasem w ostatniej chwili. Wtedy znikwała - lądowała zawsze w innym kraju, a czasami w ramionach innego mężczyzny. Pisała do Ettricha o swoim wielkim szczęściu i o tym, że zawsze będzie go kochać jak przyjaciela, ale...

Za każdym razem, gdy przychodził taki list, serce Ettricha podrywało się w piersi jak dziecko budzące się w Boże Narodzenie. Swoim pięknym pismem zanotował kiedyś cytat, na który się natknął, i podarował go jej: „Ci, co przeprawiają się przez morze, zmieniają niebo nad głowami, ale nie żagle”. Zimny dreszcz przebiegł mu teraz po plecach, gdy przypomniał sobie słowa Coco - że odrodził się w momencie, kiedy ją ujrzał pierwszy raz. Czy to znaczy, że Isabelle jest nierealna? Czy związane z nią wspomnienia i wszystko, co zaszło w jego życiu, stanowi jedną makabryczną iluzję?

Nie zdążył się nad tym zastanowić, bo zadzwonił telefon. Ettrich złapał słuchawkę i rzucił „Halo?” tak szybko, jak pozwoliły mu jego usta.

- Vincent? Tu Bruno.

- Dzięki Bogu. Po drugiej stronie zapadła na chwilę cisza, a potem Bruno zapytał:

- Jesteś pewien, że On istnieje? Bo ja w tym momencie mam pewne wątpliwości.

- Amen, bracie.

- Ty umarłeś, Vincencie, prawda? Byłem na twoim pogrzebie. Zachorowałeś i umarłeś? Pamięć kompletnie mi szwankuje. Jak zobaczyłem cię dziś w restauracji, o mało nie sfajdałem się w spodnie. Przecież byłem na twoim pogrzebie! Odwiedziłem cię w szpitalu St. Julian's i przyniosłem ci bukiet kwiatów! Ettrich wziął długopis i zapisał „St. Julian's” u dołu listu Isabelle.

- Wszystko się zgadza, Bruno, tyle że ja też nic nie pamiętam. Nic z tego, co się ze mną działo. Trzeba mi było przypomnieć. A kiedy jej nie uwierzyłem, pokazała mi. Musiała mi to udowodnić.

- Właśnie! Właśnie! Ze mną było tak samo. Gdzie się spotkamy? Możesz już teraz? Dostaję na głowę. Wszystko jest po staremu, Vincencie. Umarłem i wróciłem, ale nic się nie zmieniło! Pamiętam tylko to, co mi powiedział i pokazał w restauracji. Ettrich zmarszczył brwi. Oczami wyobraźni ujrział Coco i Brunona rozmawiających w „Acumarze”.

- „Pokazał”? Kto?

- Brandt. Mężczyzna, z którym byłeś w restauracji: Edward Brandt.

- Byłem tam z kobietą, Bruno. Przedstawiłem was sobie. Nazywa się Coco Hallis.

Bruno zaskrzeczał wariackim śmiechem, który urwał się równie nagle, jak zaczął.

- To był mężczyzna, Vincencie. Przy twoim stoliku siedział mężczyzna, nie kobieta. Przedstawiłeś mi Edwarda Brandta. Twarze mężczyzn po obu stronach linii telefonicznej przybrały ten sam zakłopotany, upiorny wyraz. Obaj również pomyśleli to samo: O Boże!

Zanim Ettrich opuścił mieszkanie, by spotkać się z Brunonem, wykonał jeszcze jeden telefon. Nie miał na to ochoty, ale wiedział, że musi. Zadzwoił do Kitty. Nie była szczęśliwa. Z miejsca spytała obcesowo, o co chodzi, dodając, żeby się streszczał, bo jest późno. Starając się nadać swemu głosowi jak najbardziej sympatyczny ton, Ettrich zapytał, czy odezwała się do niej ponownie żona Brunona Manna. Z jeszcze większą irytacją odpowiedziała mu pytaniem, po co Nancy Mann miałyby do niej dzwonić.

- No, wiesz, ze względu na to, co się stało z Brunonem.

- A co się z nim stało?

Choć Ettrich nie zdawał sobie z tego sprawy, jego głos nabrał twardości.

- Kitty, dzwoniłaś do mnie rano. Mówiłaś, że...

- Nic nie mówiłam. Cały dzień byłam poza domem, Vincencie. Pracowałam. Po co miałabym dzwonić do ciebie? - Rozłączyła się.

Zarówno dla niej, jak i dla reszty świata Bruno Mann nigdy nie umarł.

Kiedy Vincent Ettrich szedł na spotkanie z Brunonem, dokonał swego pierwszego cudu. Mieszkał w południowej części miasta, Bruno zaś na dalekich zachodnich przedmieściach. Umówili się w modnym barze „Hof” specjalizującym się w rzadkich gatunkach whisky. Ettrich lubił to miejsce, gdyż pokazała mu je Isabelle Neukor. Jedna z wielu jej uroczych niespodzianek. Kiedyś w pracy dostał od niej email. Isabelle uwielbiała korespondować i gdy dobrze się między nimi układało, zdarzało jej się pisać do niego trzy albo cztery razy dziennie. Czasem był to list w biurowej

poczcie, inne czekały w jego komputerze jak pocałunki ze słów. Tym razem przysłała tylko nazwę i adres nieznanego baru i kazała mu się tam stawić o trzynastej po odbiór niespodzianki. Uśmiechnął się, przypuszczając, że zamówiła mu telefonicznie z Wiednia smaczny lunch. Kiedy się pojawił, Isabelle siedziała przy stoliku i rozmawiała z Margaret Hof, właścicielką baru. Był zdumiony, ale nie zaskoczony.

Pewnego razu, gdy byli w łóżku, poprosiła, żeby opisał ją jednym słowem. Bez przerwy zasypywała go podobnymi prośbami - żeby zamknął swój świat w jednym słowie, zdaniu albo w obrazie, który by jej ukazał, jak on patrzy na rzeczywistość.

Zamyślił się na moment, po czym odrzekł:

- Opera włoska.

Pokręciła głową. - Miało być jedno słowo.

- Nie ma takiego słowa, które by objęło cię całą, Isabelle.

- Spróbuj.

Zastanowił się dłużej i raptem znalazł:

- Morze.

- Może? Jak w „być może”?

- Nie, jak ocean. - Na nocnym stoliku stała szklanka z wodą. Podniósł ją. - Większość znanych mi kobiet przypomina tę szklankę wody. Ty jesteś morzem.

Wspomnienie to odżyło w jego pamięci, kiedy Ettrich stał na ulicy, czekając na taksówkę. Odkrył ze zdziwieniem, że ma łzy w oczach. Na myśl o Isabelle często zbierało mu się na płacz. Ona była i włoską operą, i morzem. Nie mógł uwierzyć, jak bardzo go wzruszała; często go to przerażało. Nadjechała taksówka i Ettrich wszedł. Gdy ruszyli od krawężnika, podał kierowcy adres. Zaczął się zastanawiać, co powie Brunonowi i o co go zapyta, ale wszystko to znów wydało mu się tak przytłaczające i niewiarygodne, że odsunął od siebie te rozważania - najdalej jak mógł - i po prostu zatopił spojrzenie w nocy.

Pomyślał o rozzłoszczonej Kitty. Po raz tysięczny, odkąd żyli w separacji, zrobiło mu się żal tej dobrej, kochającej kobiety. O ironio, pierwszy raz w swoim dorosłym życiu kierował się wyłącznie miłością, a nie inną pobudką.

Przez lata, przez większość swego małżeństwa, Vincent Ettrich uganiał się za kobietami jak pies tropiący zwierzynę. Nie traktował ich źle. Przeciwnie - był władcą kobiecych serc. W tym cały kłopot: ubóstwiał kobiety. Uwielbiał w nich wszystko, one zaś wyczuwały to już w momencie spotkania.

Wiele wyznawało, iż zakochało się w nim po uszy, bo posiadał zarówno serce kobiety, jak i jej wrażliwość na świat. Było to wręcz zabójcze połączenie u mężczyzny, który nigdy nie ma ich dość. Najlepsza przyjaciółka i dawna kochanka Ettricha, Leah Maddox, całkiem serio nazywała go swoją najlepszą przyjaciółką. Zaliczał się do tej rzadkiej odmiany mężczyzn, którzy potrafią godzinami siedzieć i wysłuchiwać ze szczęśliwą miną kobiety mówiącej o ważnych dla niej sprawach. I nie był to pusty gest, wybieg, sztuczka, które miałyby przekonać kobietę, że go interesuje. Jego ciekawość była szczerą, troska aż nadto wyraźna. To, że chciał przelecieć każdą z nich, było czymś zupełnie innym. Większość mężczyzn traktowała kobiety jak wyzwanie, on uważał je za skarby.

- Proszę pana?

Ettrich zamrugał, przytomniejąc, i spojrzał we wsteczne lustro. Napotkał tam wzrok taksówkarza, chudego, łysawego człowieka o wielkich oczach i wąskim nosie.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale mam okropną zgagę.

Pozwoli pan, że staniemy na moment przy aptece, żeby coś kupić? Wskoczę na parę minut, a resztę drogi pojedziemy za darmo.

- Jasne, niech pan idzie. Nie spieszy mi się.

- O, wspaniale. Wielkie dzięki. Tu zaraz, przecznice dalej, jest apteka. Postaram się szybko obrócić.

- Nie ma sprawy. - Ettrich wiedział, że przybędzie do baru przed Brunonem, i rzeczywiście mu się nie spieszyło. Do celu podróży zostało mu jakieś pięć minut. Poza tym wiedział, jak uciążliwa bywa zgaga, gdyż był to jeden z efektów ubocznych pracy w reklamie. Wszyscy jego koledzy nosili w neseserach buteleczkę tagametę.

- To tutaj. - Taksówkarz zjechał wolno do krawężnika przed jasno oświetlonym frontem całodobowej apteki. Zgasił silnik i spojrzał na Ettricha w lusterku. - Czy mam coś panu kupić? Nitkę dentystyczną, film do aparatu, loda? Ettrich uśmiechnął się i pokręcił głową. Kierowca przytaknął i obrócił się w fotelu, żeby otworzyć drzwi, po czym znieruchomiał z lewą ręką uniesioną w powietrzu. Wyglądał, jakby miał powiedzieć: zaczekaj chwilę! Jego ręka opadła i ze świszczącym oddechem osunął się na kierownicę. Ettrich wychylił się naprzód.

- Hej! - Wyciągnął rękę i dotknął ramienia kierowcy. Mięśnie były zwiótczałe, ciało straciło sprężystość. I wtedy to się stało: Ettrich doznał wrażenia, jakby wkładał rękę do letniej wody. Mokre ciepło ogarnęło pomalutką jego przedramię i podążyło do ramienia.

Natychmiast zdał sobie sprawę, że wnika w niego życie kierowcy. Ta „ciecz”, która wpłynęła jedną ręką i wypłynęła drugą, to numen, boska substancja, święty duch zamieszkujący nasze ciało i podtrzymujący nas przy życiu. Chwilę przedtem nie znał ani tego słowa, ani jego sensu. Jak tylko poczuł przenikające go ciepło, zrozumiał wszystko. Taksówkarz umierał i jego numen wchodził w innego człowieka, który był już martwy. Instynkt podpowiedział Ettrichowi, że odzyska tętno i inne oznaki życia, które utracił w momencie zgonu. Że odzyska życie. Ettrich jednak nie mógł tego przyjąć, nie mógł odebrać płomienia oświetlającego życie drugiego człowieka. Zdjął dłoń z ramienia kierowcy i wstrząsnął się cały, jakby oderwał się raptem od przewodu wysokiego napięcia. Położył obie dłonie na głowie mężczyzny i siłą woli zmusił numen do powrotu do ciała tamtego.

Najpierw szło mu to wolno i nieudolnie - zupełnie, jak gdyby próbował popchnąć wodę. Im dłużej jednak koncentrował się na substancji, tym bardziej krzepła i, choć z trudem, pozwalała się przenieść w przeciwną stronę. Gdy była między ramieniem a łokciem, Ettrich napał na nią ze wszystkich sił. Im dłużej tkwiła w jego ciele, tym trudniej było mu się jej pozbyć, ponieważ wprawiała go w stan niewyobrażalnej ekstazy. Nagle zniknęła. Resztki ciepła szybko i bezboleśnie spłynęły z jego palców. Wyczerpany Ettrich osunął się na oparcie kanapy. Taksówkarz jęknął. Był to dźwięk nasycony seksem, jakby mężczyzna właśnie szczytował. Jego głowa wzdrygnęła się i jęknął ponownie - tym razem z bólu. Ettrich poszukał po omacku klamki i pociągnął za nią. Drzwi otworzyły się i wyszedł na zewnątrz. Oślepiły go białe światła apteki. Zobaczył poruszających się w środku ludzi, kompletnie nieświadomych tego, co się dzieje na ulicy. Zrobił kilka chwiejnych kroków; nie zatrzymał się jednak. Tylko raz obrócił się wstecz i zerknął na samochód. Światła

sklepu odbijały się od przedniej szyby, przez co wnętrze auta tonęło w mroku. Niemniej kierowcy nic się nie stało. Ettrich był tego pewien. Gdy dotarł do baru „Hof”, był zdenerwowany i bliski strachu. Nie z powodu tego, co się przed chwilą stało. Wiedział, że postąpił słusznie, i cieszył się z tego, choć przy okazji poświęcił coś bezcennego. Nie: Ettrich bał się relacji, którą usłyszy od Brunona. Martwił się, że kiedy porównają swoje wersje wydarzeń, nie znajdą punktów styczności. Że ich doświadczenia okażą się całkiem różne. Co wtedy? Jak ma dalej działać? „Hof” roił się od młodych par. W zwykłych okolicznościach Ettrich byłby zadowolony. Lubił siadać z boku i obserwować kobiety i mężczyzn podczas rytuału - oddających się tańcowi, który albo ich do siebie zbliżał, albo też im uświadamiał, że nie ma sensu tego dalej ciągnąć. Ettrich umiał genialnie odczytywać ludzkie reakcje, dzięki czemu - między innymi - odnosił sukcesy na polu zawodowym i osobistym. Jego matka twierdziła, że jeśli właściwie odczytasz wyraz twarzy, to odczytasz też duszę, i Ettrich był tego samego zdania. Pomachał do stojącej za barem Margaret Hof i usiadł przy niewielkim stoliku zwróconym przodem do wejścia. Margaret przyniosła mu szklaneczkę słodowej whisky, którą lubił. Podparta pod boki zapytała, jak Ettrich się ma. Uśmiechnął się i odparł, że nie najgorzej.

- Wiesz, napisała do mnie Isabelle. Parę dni temu dostałam od niej list.

Margaret pochodziła z Austrii i przyjaźniła się z Isabelle od lat. Poznały się w Wiedniu, kiedy Margaret pracowała w restauracji „Silberwirt”. Mówiła biegle, ale śmiesznie angielszczyzną kogoś, kto ma w nosie poprawność gramatyczną. Wiedziała o ich burzliwym związku i czasem brała na siebie rolę arbitra w ich potyczkach. Bardzo lubiła Vincenta, a zarazem była wobec niego szczerą aż do bólu. Zawsze wydawała werdykt zgodny z własnym przekonaniem, który z reguły był dla Ettricha niekorzystny. Gdy odszedł od Kitty do Isabelle, przez kilka tygodni mieszkał w kawalerce, która należała do Margaret. Zmarszczył czoło i wlepił wzrok w szklanę whisky.

- Czy to, co pisze, jest dla moich uszu? - Isabelle nie skontaktowała się z nim od dwóch miesięcy. Dwadzieścia razy dziennie zastanawiał się, co u niej słychać. Sam ją o to zapytaj. Przyjeżdża pojutrze.

- Co? Po co? Dlaczego przyjeżdża?

- O to musisz sam ją zapytać, Vincencie. Prosiła, żebyś przyjechał po nią na lotnisko. Chciałam zadzwonić i ci powiedzieć. W piątek, o dwudziestą. Austriackie linie lotnicze, lot numer 622. - Klepnęła go w ramię i odwróciła się.

- Margaret?

- Tak, Vincencie?

- Czy niczego przede mną nie ukrywasz?

Zawahała się, a potem skinęła głową. Wsunęła rękę do kieszeni swych pięknych jedwabnych spodni i wyciągnęła złożoną kartkę papieru.

- Przysłała mi to w zeszłym tygodniu. Mam ci to dać, jak dojdę do wniosku, że nadeszła właściwa chwila. Odebrał od niej kartkę, chcąc jak najprędzej ją przeczytać.

- Dlaczego nie dałaś mi jej wcześniej?

- Dlatego, że cokolwiek się zaraz stanie, czeka cię duża zmiana.

Chciał się dowiedzieć, co Margaret ma na myśli, lecz najbardziej pragnął przeczytać list od Isabelle. Patrzyli na siebie jeszcze chwilę, po czym Margaret się oddaliła. Rozłożywszy kartkę, Ettrich zobaczył, że to wiersz. Tak dawno nie miał od niej żadnych wieści.

*Ty, na jednej nodze
Coś, czego nie chcę zapomnieć
ani nie mogę ty, stojący na jednej nodze.
Prawie nagi, twoje slipy
to biała plama w twojej dłoni.
Patrząc na mnie, zsuwasz je
z uniesionej nogi.
Jesteś cały ze skóry, z wyjątkiem
tej jaskrawej zmiętej bieli
w garści.
Kochałam cię jeszcze bardziej,
gdy zataczałeś się lekko,
tracąc na moment równowagę,
i z uśmiechem podchodziłeś do łóżka.
Widziałam cię potem na jednej nodze
w wielu miejscach.
Lecz najlepiej pamiętam u Miriam,
tam bowiem stało się to pierwszy raz.
W jej zagraconej sypialni suszące się pranie, wypchane zwierzęta
I nieprzyjaźnie nastawione łóżko.
Byliśmy tacy szczęśliwi!
Uniosłeś nogę
i zsunąłeś z niej tę biel,
a ja pomyślałam:
Skoro istnieje taka chwila,
To musi być jakiś Bóg.*

Jestem w ciąży, Vincencie. Z twoim dzieckiem. Z naszym dzieckiem. Na razie nie podjęłam w tej sprawie żadnej decyzji. Będę w kontakcie.

Jego umysł ciskał się na wszystkie strony jak mucha schwytna w dłonie. Przyjeżdża. Jest w ciąży. Od kiedy? Czemu go nie zawiadomiła? Po pierwszej fali pytań pojawiło się to najistotniejsze: Jak to możliwe, skoro umarłem? Ettrich wziął szklanekę whisky i opróżnił ją jednym haustem, nie czując smaku. Kiedy tak siedział z zadartą głową, błędząc wzrokiem po barze, ujrzał obserwującą go Margaret. Nie mógł rozgryźć wyrazu jej twarzy. Teraz zresztą nie miał na to czasu. Wyjął kieszonkowy notatnik i uważnie wpisał doń numer i godzinę lotu Isabelle. Podniósł odruchowo szklaneczkę i wypił nie istniejącą zawartość. Miał ochotę na jeszcze jedną porcję, ale nie chciał jej zamawiać, bo musiałaby do niego podejść Margaret i trzeba by jej było coś powiedzieć. Nie teraz. Może później. Na głowę runęła mu przed chwilą bomba atomowa i radioaktywny grzyb ciągle puchł i rozrastał się. Ettrich gapił się w notatnik, majtając długopisem w palcach. - Vincent? Kurwa mać, przepraszam za spóźnienie.

Bruno przysunął sobie krzesło i klapnął naprzeciw Ettricha. Wyglądał, jakby uciekł właśnie z pożaru. Jego włosy, zawsze starannie zaczesane do tyłu i lśniące jak focze futro, jeżyły mu się na głowie. Prawdziwy dandys, który chwalił się garniturami od Kitona, nosił teraz wygnieciony dres

z nosorożcem na piersi i złachmaniałe robocze spodnie. Zgiął się wpół, żeby zasnurować brudne tenisówki. Pociągnął za mocno i jedno ze sznurowadeł pękło mu w rękach.

- Kurwa mać. A to zołza pierdolona! - Podniósł wystrzępioną tasiemkę i wlepił w nią nienawistne spojrzenie.

- Spokojnie, Bruno. Czego się napijesz?

- Niczego. Żłopię przez cały dzień i tylko głowa mnie od tego boli. Może po śmierci nie można się urżnąć. Jak myślisz, Vincencie? Sądzisz, że panują nowe reguły? - Mówił dosadnym, lecz zmartwionym tonem. Chciał robić wrażenie twardziela, ale nie bardzo mu się to udawało.

- Sprawdzałeś swoje tętno? Czy twoje serce bije?

- Nie. - Bruno rozejrzał się podejrzliwie na boki, jakby każdy ich ruch śledziła zgraja szpiegów. Potrząsnął głową. - Co jeszcze? Zauważyłeś jakieś inne zmiany, od kiedy odkryłeś prawdę?

Facet był tak roztrzęsiony, że Ettrich postanowił na razie przemilczeć niedawny incydent z taksówkarzem. Wszystko w swoim czasie. Jak Bruno trochę się otrząśnie, podrzuci mu tę bombę. Dlatego, z lekkim poczuciem winy, zaprzeczył.

- Ja też nie. Co robić, Vincencie? Co to wszystko znaczy?

- Najpierw powiedz: pamiętasz, jak umierałeś? Pamiętasz swoją śmierć? Cokolwiek?

- Nic. Totalna pustka. Chyba to mnie najbardziej przeraża.

Jak można umrzeć i nic nie pamiętać? Nie pamiętam niczego.

Ettrich westchnął i potarł dłonią usta.

- Ja tak samo. Miałem nadzieję, że może coś pamiętasz, że będziemy mogli od tego zacząć, ale najwyraźniej ta możliwość nie wchodzi w rachubę. Słuchaj, opowiem ci po prostu, jak było ze mną. Porównamy nasze doświadczenia.

- Okej, dobra myśl. Opowiadaj.

Powoli, starając się niczego nie pominąć, Ettrich zreferował Mannowi swoje spotkanie z Coco, ich romans i wydarzenia, które nastąpiły tamtego wieczoru. Bruno milczał, czasem tylko przytakiwał, prosił gestem o więcej szczegółów lub o chwilę przerwy, żeby przeżuć w myślach nie znane mu fakty. Usłyszawszy, że Coco miała wytatuowane na karku jego imię, zamknął oczy i przygryzł obie wargi. Po chwili parsknął śmiechem, ale wciąż się nie odzywał. Wziął do ręki pustą szklanekę do whisky i obracał ją bez końca w dłoni. Ettrich zakończył swoją historię, pominąwszy tylko dwa zdarzenia: zajście w taksówce i list od Isabelle.

- Dlaczego Coco przez tyle tygodni kazała ci sądzić, że wszystko jest w normie? W jakim celu?

- Powiedziała, że sam muszę na to wpaść. Czekala tylko na znak ode mnie. Kiedy cię zobaczyłem, po twojej śmierci - to było to. Ale ja nie wiem, czy mam jej wierzyć, Bruno, bo wkrótce potem Coco znikła. A co się działo z tobą? - Ettrich siedział na krześle z szeroko rozstawionymi nogami, opuszczonymi ramionami, trzymając łokcie na kolanach. Wydawał się znużony i przybity, jakby dopiero co otrzymał fatalną wiadomość albo przeżył koszmarny dzień w pracy. Bruno potarł oczy nasadą swoich małych dłoni. Był przystojnym mężczyzną. Miał w sobie rodzaj powagi, która sprawiała wrażenie solidności i rzetelności. Chciało się go mieć po swojej stronie.

- Jestem gejem, Vincencie. Zleciało mi całe życie, zanim sobie to uświadomiłem, a następnie przyznałem się do tego. Poczułem ogromną ulgę. Nie zrozum mnie źle - mam uroczą żonę i oboje byliśmy ze sobą szczęśliwi. Ale moje życie było kłamstwem, w głębi serca zawsze o tym wiedziałem. - Urwał na chwilę. - Wiesz, co mi się w tobie podoba, Vincencie? Twoja miłość do kobiet. Nie tyle to, jak się do nich odnosisz, bo nieraz widziałem, że potrafisz być gnojkiem. Ale zawsze miałaś tę pewność, że nie ma nic lepszego na tej planecie niż kobiety. Pewność. Zawsze byłeś pewien, kim jesteś i czego chcesz.

A ja odwrotnie. Byłem typowym utajonym gejem. Mniejsza o detale - kogo to zresztą obchodzi? - ale cały czas odsuwałem się od tego, jakby to była zaraza. W końcu jednak trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Zwłaszcza obecnie, kiedy chęć bycia z drugim mężczyzną nie jest już najgorszą zbrodnią na świecie... Wtedy poznałem Edwarda Brandta.

- Tego faceta, którego rzekomo przedstawiłem ci w „Acumarze”?

- Właśnie. Przez wzgląd na ciebie udaliśmy, że się nie znamy. Tymczasem znaliśmy się od miesięcy. Brandt jest właścicielem „La Strady”, męskiego sklepu odzieżowego. Słyszałeś o nim?

- Nie. - Ettrichowi wpadła nagle do głowy pewna myśl, jakby ktoś tupnął nogą w podłogę. - Jest właścicielem sklepu? Gdzie to jest? Gdzie jest ta „La Strada”?

Brunonowi nie spodobało się, że przerwano mu opowieść.

- Przy North Wells.

Ettrich położył obie dłonie płasko na blacie.

- North Wells 678, zgadza się?

- Skąd wiesz?

- Stąd, że tam właśnie znajduje się sklep Coco. Nasi przyjaciele prowadzą dwa różne sklepy pod tym samym adresem. Ciekawe, co? - Mężczyźni patrzyli na siebie, aż wreszcie na twarzy Ettricha wykwitł mały uśmiešek. - Co więcej, sprzedają rzeczy, które nas zachwycają w ich sklepach: ja mam bzika na punkcie kobiet, więc Coco sprzedaje damską bieliznę. Ty interesujesz się modą, toteż Edward Brandt sprzedaje męskie ubrania. Ciekawe - gdybyśmy tam poszli, żeby zobaczyć, który sklep stoi tam teraz. Może żaden. Jak się poznaliście?

- Wszedłem do „La Strady”.

- Ja tak samo spotkałem Coco. Was vor ein Zufall.

- Co?

- To po niemiecku. Cóż za przypadek.

Dyskutowali przez następną godzinę, porównując swoje doświadczenia i zastanawiając się, co powinni uczynić. Nie doszli jednak do żadnych optymistycznych wniosków. W którymś momencie Bruno zapytał, czy od czasu „odkrycia” Vincent nie stwierdził u siebie jakichś dziwnych mocy. Ettrich nie wahał się ani trochę.

- Poza brakiem tętna? Hmm, nie. A ty?

- Nie, ale ciągle mam nadzieję, że ta sytuacja ma swoje dobre strony, rozumiesz? Że na przykład jutro przekonamy się, że umiemy latać. Jestem zmęczony, Vincencie. Idę do domu się przekimnąć, inaczej padnę na twarz. - Zachichotał. - Zmartwychwstanie może cię zamęczyć.

Gdy tylko Ettrich wsadził Brunona do taksówki i odprowadził wzrokiem odjeżdżające auto, ponownie ogarnęło go napięcie i zdenerwowanie. Wiedział, że po powrocie do mieszkania będzie chodził w kółko albo włączał i wyłączał telewizor, jakby to była nocna lampka. „Dom” to ostatnie miejsce, w którym chciał się w tej chwili znaleźć. Położona w dobrej dzielnicy kawalerka oferowała mu widok na rzekę i pustą lodówkę, nie licząc butelki wódki „Chopin” i stosu pizz do mikrofalówki. Ettrich postanowił pokonać pieszo siedem przecznic między barem „Hof” a sklepem Coco i sprawdzić, czy coś się tam zmieniło. W trakcie jego spotkania z Brunonem spadł deszcz. Ulice nabrały lśniącego blasku, samochody sunęły z seksownym sykiem. Nocne powietrze pachniało mokrym brukiem i metalem. Minęły go dwie roześmiane kobiety, dzieląc się z nim wonią dobrych perfum. Kiedy tak szedł, kolorowe światła sklepów kładły mu się pod nogi, nadając jego butom różnobarwne odcienie. Gdy przechodził obok baru, drzwi rozwarły się gwałtownie i wynurzyło się trzech osiłków w bejsbolówkach; Queen zagrał Another One Bites the Dust. Maszerujący Ettrich długo jeszcze słyszał w głowie linię basów.

Kitty lubiła deszcz, Isabelle śnieg, Coco wołała letnie upały. Idąc z opuszczoną głową, ze snującą się za nim piosenką Queen, Ettrich zaczął układać w myślach listę podobieństw i różnic między tymi trzema kobietami. Kitty usilnie próbowała zostać wegetarianką. Coco do szczęścia wystarczały hamburgery. Isabelle uwielbiała mięso - im tłustsze, tym lepsze. Często nazywała siebie chłopką, twierdząc, że pasuje idealnie do obrazu van Gogha Jedzący kartofle. Akurat! Z jej szwedzkimi blond włosami i wielkimi, błękitnymi oczyma przypominała raczej piękność z reklamy kosmetyków niż smagłą chłopkę pędzla van Gogha.

Po drodze Ettrich uzmysłowił sobie, że prócz Margaret Hof z nikim nie rozmawiał na temat Isabelle. To, co o niej myślał, zachowywał dla siebie. Nawet wówczas, gdy dochodziło między nimi do nieporozumień i rozpaczliwie chciał się kogoś poradzić, trzymał język za zębami. Co to znaczyło? Pokonał ostatni narożnik i skręcił na North Wells Street. Sklep Coco był na przeciwległym rogu ulicy. Zbliżył się do niego z uczuciem nie tyle lęku, ile zaciekawienia. Ten dzień był tak szalony, że jeszcze jedno wariactwo miałoby nawet sens. Zobaczył jednak ze zdumieniem, że sklep stoi na swoim miejscu. I że nie jest to „La Strada”, tylko znajomy butik ze szklanymi drzwiami i damską bielizną na wystawie. Ettrich wbił ręce w kieszenie i sterczał tam dobre pięć minut, zastanawiając się, co dalej. Zamyślony nie spostrzegł, że w pewnej chwili zatrzymał się za nim samochód.

- Ej, kolego, co tam robisz?

Obrócił się i stanął naprzeciw policjanta gapiącego się nań z wnętrza auta. Uśmiechnął się.

- Zastanawiam się, czy nie kupić bielizny.

Policjant nie wyglądał na rozbawionego.

- Jest pierwsza w nocy. Masz zamiar czekać, aż otworzą ten sklep?

Ettrich zobaczył, że drugi gliniarz pali papierosa i patrzy prosto przed siebie.

- Nie, panie władzo. Wyszedłem na spacer i przystanąłem tylko, żeby popatrzeć.

- No to spaceruj dalej.

Ettrich już miał odpowiedzieć, kiedy coś zobaczył. Coś, co przydarzy się kierowcy za kilka dni. Rodzinna sprawa - nic strasznego, ale bardzo nieprzyjemna. Choć policjant był winny, nie uświadamiał sobie konsekwencji swego czynu. Ettrich ujrzał następnych kilka tygodni z jego

życia, wypełnionych smutkiem i żalem. Przyszłość mężczyzny ukazała się przed nim równie wyraźnie jak jego twarz spowita szarym welonem papierosowego dymu.

Odszedł bez słowa.

Moje serce to zegar

Dwa dni później Ettrich wjechał na zastawiony do połowy parking, kiedy nadleciał boeing 747 i na kilka ogłuszających sekund zakrył całe niebo, a potem cały świat. Ettrich chętnie odbierał ludzi z lotnisk. Uwielbiał panującą tu atmosferę - wieczny ruch, potężne emocje, wypełniające powietrze niczym ozon, rozstania na wieczność, powroty po latach, namacalną bezpośredniość tej właśnie chwili, gdy zaczyna się lub kończy coś ważnego.

Zrobił kilka kroków, zawahał się i spojrzał za siebie na samochód. Godzinę temu umył go i odkurzył, uwijając się przy tym jak demon. Zazwyczaj auto, choć wciąż nowe, przedstawiało żalony widok. Jeździł nim wiele tygodni, a czasem miesiące bez mycia. W środku zalegała niesamowita masa papierów, owijek po słodyczach, czasopism, książek, monet i tym podobnych efemeryd, które wylądowały pod siedzeniami. Na podłodze z tyłu leżała kaseta z rozwiniętą taśmą. Obok spoczywała skrócona o głowę lalka Barbie należąca do jego córki (głowa wpadła w szparę i zaklinowała się na amen). Bogactwo śmieci nie miało końca, niekiedy mogło zaskakiwać, zawsze budziło odrazę. Ettrich czyścił samochód jedynie wtedy, gdy wiedział, że będzie nim wiozł ważną osobę, albo gdy oddawał go do przeglądu i stacja obsługi oferowała darmowe mycie. Samochód Kitty odznaczał się nieskazitelną czystością. Isabelle jeździła starym landroverem, który też był brudny, lecz nie umywał się do jego auta. Żaden pojazd mechaniczny nie wytrzymał porównania z nim. Któregoś dnia jadąc nim Isabelle orzekła, że jego samochód musiał nieźle narozrabiać w poprzednim wcieleniu, skoro został skazany na życie u niego. Co powie Isabelle, ujrawszy jego lśniący wóz? Czy będzie pod wrażeniem, czy też okaże rezerwę w związku z tym, że wypucował go specjalnie na tę okazję? Przypomniał sobie pocztówkę, którą jej wysłał po tym, jak uciekła od niego ostatnim razem. Napisał wtedy: Odchodząc, zabrałaś część mojego życia, która nie należała do ciebie. Była moja, Isabelle, ani twoja, ani nasza wspólna. Więc stałaś się złodziejką. Jak to przyjęła? Nie dowiedział się - ilekroć uciekała, zrywała z nim wszelki kontakt. Jeszcze dotkliwiej niż jej odejście zabolowało go okrucieństwo jej milczenia. Zabijało ono ich związek i bliskość, którą osiągnęli. Jej nagłe milczenie było zwykłym tchórzostwem, zdradą zaufania, którym się darzyli. Nieraz przyznawali, że umiejętność szczerej, intymnej rozmowy o wszystkim, co się dla nich liczyło, była najlepszą rzeczą, jaką mieli; delectowali się nią. Milczenie Isabelle położyło temu kres. Chociaż była tylko jedną osobą ich dialogu, wciągnęła ich oboje w tę ogołoconą ze słów czarną dziurę. Dotknął kieszeni płaszcza, sprawdzając, czy ma przy sobie aparat. Inne dziwactwo Isabelle - miała obsesję na punkcie odbierania z lotnisk i dworców ludzi, którzy przyjeżdżali do niej z wizytą. Twierdziła, że w jej rodzinie to ważny obyczaj. Nawet jeśli nie masz na to ochoty, gościom należy okazać szacunek, dać im odczuć, że są mile widziani od pierwszej minuty. Ettrich uważał, że Isabelle odrobinę przesadza, lecz zarazem podobało mu się jej przywiązanie do tradycji. Toteż zawsze stawiał się na spotkanie, bez względu na to, gdzie na świecie wyznaczyli sobie rendezvous.

Isabelle zawsze brała ze sobą aparat, żeby sfotografować osobę, z którą się spotykała, w chwili przejścia przez bramkę. Uwielbiała oglądać te zdjęcia z hali przylotów. W domu miała ich setki.

Ettrich miał swój aparat - piękną cyfrową leicę, którą przed

dwoma laty podarowała mu na urodziny. Gdy rozpakował prezent, poprosiła, żeby codziennie fotografował swoje życie i przysyłał jej zdjęcia pocztą elektroniczną. Nie muszą to być wielkie dzieła sztuki, wystarczy, że coś zainteresuje go na tyle, by

jej pokazać. Był zaskoczony tym, jak wielką frajdę sprawiło

mu pstrykanie fotek. Posłał jej zdjęcia przedstawiające szczeniaka skaczącego nad kałużą, trzech meneli jedzących popcorn z wielkich, żółtych misek, małą dziewczynkę, nie więcej niż pięcioletnią, pokazującą mu język i środkowy palec. Zasypał Isabelle lawiną fotografii. Czasami je komentowała, ale rzadko. Bywał też rozczarowany jej brakiem odzewu, tak bardzo bowiem chciał poznać jej opinie.

Najgorzej było wtedy, gdy odeszła, a on przestał posyłać jej zdjęcia. Nadal je robił, zebrano się ich sporo na dyskietkach. Adresowane były do Isabelle, więc ilekroć na nie patrzył, uderzała go ich dziwna martwota. Nieżywe płody. W rezultacie jeszcze bardziej ją obwiniął i za nią tęsknił. Kiedy wchodził do terminalu, zapytał siebie, czy się denerwuje. Musiał się załatwić, a to znaczyło, że gdzieś w głębi zżerają go nerwy. Trochę się denerwował, trochę cieszył, w dużej mierze zaś wciąż kipiał złością... Był sałatką sprzecznych emocji. No i nie żył. Był trupem, trupem, trupem. A ściślej mówiąc, umarł i wrócił do życia. Najwyraźniej jednak nikt, nawet on sam, niczego nie spostrzegł, dopóki Coco nie oświeciła go swoim przedstawieniem obrazkowym. Czy Isabelle zauważy różnicę? Czy jego powrót do świata żywych ma jakikolwiek związek z nią?

Jakie wrażenie zrobi na Isabelle Neukor? Czy zobaczy w nim człowieka załamane, szczęśliwego i pełnego nadziei, czy też jedynie głupca? A może rozpozna w nim nieboszczyka? Czego ona się właściwie spodziewa? Przez głowę przegalopowało mu pytanie: „Czemu przyjeżdżasz akurat teraz?” Zaraz potem przycwałowała odpowiedź: „Bo jestem w ciąży z twoim dzieckiem, głuptasie”. W rzeczywistości jednak coś się tu nie zgadzało. Jeśli Ettrich nie mylił się w rachunkach, ostatni raz spali ze sobą blisko trzy miesiące temu. Isabelle miała bardzo regularny okres, więc od ponad sześćdziesięciu dni musiała wiedzieć, że zaszła w ciążę. Dlaczego zatem się nie odezwała? Dlaczego tak długo zwlekała? I czemu powiadomiła go tak okrężną drogą, za pośrednictwem Margaret Hof? Mogła przecież zadzwonić do niego, powiedzieć, co się stało, i zaproponować rozmowę.

Bo taka była Isabelle. Sama zresztą często to powtarzała, mówiąc o sobie: „Taka już jestem”. Z czasem zdanie to stało się droższe i bardziej irytujące niż cokolwiek, co usłyszał od jakiegokolwiek kobiety. Isabelle mówiła je, żeby wytłumaczyć swoją inteligencję, spostrzegawczość i nadzwyczajną hojność. Lecz używała go także, aby usprawiedliwić swoje nerwice, zniknięcia i egoistyczne milczenie. Na początku ich znajomości Ettrich zaklinał ją, by wyjawiała mu coś więcej na temat „Taka już jestem”. Jaka jesteś? Ale Isabelle nabierała wody w usta, a gdy nalegał, zamieniała się w bryłę lodu. Ettrich rychło zdał sobie sprawę, że puka do miejsca, do którego nie ma wstępu.

W dniu jej przylotu wysikał się sześć tysięcy razy i usiłował zająć się czymś aż do chwili, gdy nastanie pora wyjazdu na lotnisko. Zdjął z kominka jej zdjęcie. Obrócił je i jeszcze raz przeczytał to, co napisała na odwrocie:

*Jak dłoń na twojej twarzy
która umieszcza moją krew przy twojej
Tak bardzo cię pragnę.
Tykasz w mojej piersi.
Przez wszystkie sekundy.*

Moje serce to zegar.

Nie całkiem rozumiał, co znaczą te tajemnicze wersy, ale poruszały go one głęboko. Często je czytał. Fotografię wykonano w ich pokoju w Krakowie. Zatrzymali się w najstarszym hotelu w tym osobliwym mieście pełnym długich, majaczących cieni i średniowiecznych wież. Nad frontowym wejściem do hotelu widniał napis: „Oby ten hotel stał, dopóki mrówka nie wypije oceanów i żółw nie okrąży świata”.

Ettrich bawił w Londynie i nie planował spotkania z Isabelle podczas tej podróży. Zatelefonowała w przeddzień jego powrotu do Stanów i oznajmiła swoim głębokim, wibrującym głosem:

- Odkryłam miasto. Musisz tu przyjechać. Proszę cię. Zapamiętasz je do końca życia. To druga Wenecja, tyle że bez wody. Jest tu świetna restauracja, która nazywa się „Chłopskie jadlo”; siedzi się przy ręcznie rzeźbionych stołach i pije gorący, pieprzny barszcz. To będzie nasze miasto. Nie mieliśmy dotąd własnego miasta, Vincencie. Proszę cię, przyjeźdź. Był to początek końca jego małżeństwa. Patrząc wstecz, stwierdzał bez wahania - właśnie wtedy. Niezwłocznie zmienił plany i kupił bilet do Krakowa. Nigdy przedtem nie był w Polsce. Ale życie z Isabelle weszło w fazę, w której gotów był rzucić wszystko w diabły i polecieć dziewięćset mil do nieznanego miasta w środkowej Europie, dlatego że ona go o to poprosiła.

Fotografia pokazuje ich przed wysokim lustrem w łazience. Ettrich, robiąc zdjęcie, trzyma aparat z boku. Jego druga ręka owija się wokół Isabelle. Dotyka go swoimi szczupłymi dłońmi. Ma zamknięte oczy i głowę uniesioną ku niemu. Uśmiecha się błogo - jakby miała orgazm. Widać ją dokładnie, jego natomiast zamazał błysk flesza. Został tylko ciemny garnitur i biel dolnej szczęki. Niemniej Ettrichowi podobał się ten aspekt zdjęcia: jakby przez lampę błyskową przebiła się tylko jej promienność. Nie wiedział dlaczego, lecz wychodząc z domu, wsunął fotografię do kieszonki na piersi swojej sportowej marynarki.

Ponieważ był piątkowy wieczór, początek weekendu, Ettrich spodziewał się, że lotnisko będzie zapchane tłumami ludzi. Tymczasem było dość luźno, a nieliczni podróżni najwyraźniej donikąd się nie spieszyli. Nikt nie biegał, nie wykrzykiwał ostatnich poleceń czy spóźnionych wskazówek. Pasażerowie dreptali ku swoim terminalom w tempie typowym dla klientów supermarketów. Była to miła odmiana, choć budziła też nieokreślony niepokój.

Ettrich - jak zwykle - przybył grubo wcześniej. Cenił sobie punktualność, na lotnisku czy w hotelu meldował się na czas.

Zwykle przychodził do restauracji pierwszy i czekał na kobietę, z którą akurat się umówił na randkę. Nawyk ten podobał się jednym ludziom i złościł innych, spóźnialskich, którzy widzieli wyzierające z jego oczu niezadowolenie. Ettrich uważał to za jak najbardziej godną pochwały oznakę szacunku: mały gest świadczący o troskliwości. Pod tym względem Isabelle przypominała go co do joty; zaczęli prowadzić ze sobą grę w „Kto się zjawi pierwszy?” Na ich pierwszej oficjalnej randce, kiedy Ettrich przyszedł do „Cafe Diglas” dziesięć minut przed czasem, Isabelle czekała tam na niego już od dziesięciu minut. Zakochał się w niej tak szybko, jak nie zakochał się nigdy przedtem. Miała na sobie czarny kaszmirowy sweter. Na szyi nosiła kilka cienkich złotych łańcuszków. Jej białe dłonie leżały bez ruchu na szarym marmurze stołu. Ettrich podszedł do jednej z wielkich cyfrowych tablic, na których wyświetlały się godziny przylotów i odlotów. Dżibuti. Buenos Aires. Dublin. Isabelle pojawi się w ciągu najbliższej godziny, niosąc w brzuchu ich dziecko. Dublin. Wybrał się tam z Kitty w podróż poślubną. Zatrzymali się w hotelu „Shelbourne”, gdzie każdego popołudnia o czwartej pili herbatę. Pomyślał, że już nigdy nie będzie tak szczęśliwy. Nie odrywając wzroku od tablicy, po raz setny zastanowił się, co się z nim

dzieje i dlaczego. Dublin. Kitty. Isabelle. Śmierć. Cięża... Zdezorientowany, Ettrich nie od razu uprzytomnił sobie, że patrzy na numer lotu Isabelle: 622. Okazało się, że samolot wylądował pół godziny przed planowanym przylotem. Raptem Ettrich, jako jedyny człowiek na lotnisku, zerwał się do biegu. Dokładnie znał rozkład budynku i odległości między terminalami, nie miał jednak pojęcia, gdzie Isabelle może być: czy przechodzi przez odprawę celną, odbiera bagaże, czy rozgląda się za nim po hali z zasepioną miną, że jeszcze go nie ma?

Super. Super. Super, powtarzał w myślach, pędząc w stronę jej bramy. Że też musiał się spóźnić akurat teraz - jedyny raz w ciągu ostatnich pięciu lat. Super.

Sadząc w podskokach, usłyszał jakiegoś mężczyznę wołającego jego imię, ale nawet się nie obrócił, żeby sprawdzić, kto to. Ciągący się w nieskończoność korytarz wydawał się równie długi jak ten, który prowadził do tytułowego Czarnoksiężnika z krainy Oz. Super. Znowu ktoś krzyknął do niego. Czyżby tego wieczoru zlecieli się na lotnisko wszyscy jego znajomi? Rozkojarzony przebiegł obok Isabelle sunącej w przeciwną stronę na ruchomym chodniku. Nie zauważyła go, bo stała z pochyloną głową. Jedno z kółek jej nowiutkiej walizki obluzowało się i Isabelle sprawdzała, co się dzieje. Ettricha osadził w miejscu żakiet, który miała na sobie. Isabelle zawsze ubierała się ekstrawagancko. Była próżna. Dobierała sobie stroje, które podkreślały jej zgrabną sylwetkę i długie nogi. Nosiała obcisłe spodnie i lekkie kurtki. Długie buty. Zawsze długie, lecz z cienkiej skóry, szykowne i niepraktyczne. Zimą tak bardzo trzęsa się z zimna, że szczękały jej zęby. Dla żartu Ettrich zamówił jej grubą puchową kurtkę z katalogu „Land’s End”. Niebieskożółtą. Robotnik drogowy mógłby śmiało ją włożyć na środku autostrady, nie obawiając się, że potrafi go samochód, gdyż była widoczna na wiele kilometrów. Ku zdziwieniu Ettricha, kurtka bardzo przypadła Isabelle do gustu. Kiedy jej nie nosiła, spał na niej jej pies Zupa. Odjechała mu na pięć stóp, zanim wypluł z ust zdumienie i zawołał:

- Hej, ty! - Ich stałe powitanie. Z czułym przeciągłym „ty”.

Głowa Isabelle podskoczyła szybko i pojawił się uśmiech. Miała tak pełny, promienny uśmiech, że spytał ją kiedyś, czy ma milion zębów. W odpowiedzi oparła mały palec na zębie trzonowym i zaczęła je liczyć. Przyciągnął jej palec do ust i ucałował go.

Złożyła ręce i wsunęła je pod brodę.

- Już myślałam, że nie przyjedziesz, Vincencie.

Choć zdążył oprzytomnieć, nie znalazł dowcipnej odpowiedzi na jej uwagę. Milcząc, szedł prędko do tyłu, żeby dotrzymać kroku sunącemu chodnikowi. I dobrze się stało, że nic nie powiedział, gdyż zobaczył, że mimo uśmiechu Isabelle płacze. Piękne błękitne oczy zaszyły łzami, które stoczyły się po policzkach, zostawiając błyszczące ścieżki.

- Nie było cię tam i tam, i tam, więc myślałam, że... - Podrzuciła ręce w powietrze, starając się dokończyć. Wciąż się uśmiechała, ale na jej twarzy odbijał się ogromny smutek. Ettrich omal nie padł na kolana z bólu i z nagromadzonej za nią tęsknoty. Tak bardzo mu jej brakowało. Była jedyną, która kiedykolwiek się liczyła. Przez wiele miesięcy sądził, że odeszła, że przepadła na zawsze. Był o tym święcie przekonany. A teraz stała tutaj, tuż przy nim, mówiąc, że nie myślała, iż przyjdzie. Jak mogła w to wierzyć? Jakże mogło jej przyjść do głowy, że nie przyjdzie na jej wezwanie, gdziekolwiek by była? W następnej chwili stało się coś niezwykłego. Ruchomym chodnikiem nadbiegł rostry, brodaty mężczyzna, z poplamioną płócienną torbą przewieszoną przez ramię; zmierzał w tę samą stronę co Isabelle. Przebiegając, potrafił ją z takim impetem, że

pisnęła przerażona i zatoczyła się niebezpiecznie. Brodacz nawet na nią nie spojrział; bąknął tylko: „Głupia pizda” i pognął dalej.

Ettrich jednym susem przesadził barierkę między korytarzem a chodnikiem i ruszył za tamtym w pogoń. Doścignawszy, zaczekał na odpowiedni moment i podłożył mu nogę. Brodacz poleciał do przodu szczupakiem i wylądował na głowie i łokciu z donośnym tąpnięciem. Kiedy rymnął na podłogę, Ettrich pochylił się nad nim i wyrznął go w twarz. Raz. Przez cały czas zachowywał zimną krew, w pełni panując nad swoimi odruchami. Robił tylko to, co było konieczne. Nikomu nie wolno w ten sposób dotykać Isabelle! Zwłaszcza teraz, gdy jest w ciąży.

- Vincencie!

Odwrócił się wolno i spojrział na swoją ukochaną.

Tymczasem olbrzym otrząsnął się z szoku i huknął tubalnie:

- Co tu się, kurwa...

Ettrich dźgnął go trzema palcami w czerwoną szyję.

- Nie ruszaj się. Nie myśl. Nic nie rób. - Ton jego głosu przeraziłby największego twardziela. Mówił: zabiję cię. Brodacz wybałuszył oczy i stęzał w bezruchu. Ettrich podniósł się i zasygnalizował gestem Isabelle, aby szła za nim. Gdy zrównała się z nim krokiem, przeniósł jej walizkę nad leżącym mężczyzną, który ciągle wbijał wzrok w ziemię. Przeszła nad nim i oboje szybko się oddalili. Brodacz dojechał do końca chodnika, nie zmieniając pozycji. Nawet nie spojrział, żeby sprawdzić, czy zniknęli.

- To naprawdę twój wóz? Dom laleczki Barbie z urwaną głową? - Isabelle trzymała kanapkę w ręce i lustrowała nienagannie czyste wnętrze jego samochodu. Następnie obróciła się ku niemu, po raz pierwszy z uśmiechem w oczach odgryzła wielki kęs i zajęczała: - Mmm, palce lizać. Dziękuję, Vincencie. Był to jeden z ich rytuałów. Ilekroć lądowała na którymś z amerykańskich lotnisk, Ettrich kupował jej w najbliższych delikatesach sandwicza z wołowiną, przyprawionego sałatką i rosyjskim sosem. Isabelle nie tykała posiłków w samolotach, ponieważ - jak mówiła - nie mogła się przekonać do żywności podawanej w kwadratowych kartonikach. Kiedy Ettrich przybył do Wiednia, czekał już na niego Extrawurst Semmel, najlepszy sandwicz z kiełbasą, jakiego w życiu jadł. Siedzieli w jego samochodzie od kwadransa, a on nie włożył nawet kluczyka do stacyjki. Nie posiadał się z radości, mając przy sobie Isabelle. Jego świat nagle stał się znów całością. Życie jawiło się w pięknych barwach. Samochód wypełnił się charakterystycznym aromatem jej wody kolońskiej „Royal Water” od Creeda, tej samej, której używał Ettrich. Kiedy poczuła ją na ich pierwszej randce, bezceremonialnie wyciągnęła od niego jej nazwę, żeby ją kupić i skrapiać się nią „do końca życia”. Choć Ettrich bardzo lubił tę wodę, nie używał jej, kiedy byli razem, chcąc, by kojarzyła mu się z Isabelle. Nie przestając zachwycać się jego czystościem samochodu, zabrała się do pałaszowania pękatej kanapki i popijania z butelki swego ulubionego napoju: waniliowej lemoniady. Jedząc, prawie się nie odzywała, ale nie przeszkadzało mu to. Wydawała się równie szczęśliwa jak on, więc nie przejmował się jej małomównością.

- Mogłabym lekko zjeść jeszcze jedną. - Starannie złożyła lśniący woskowany papier po sandwiczu.

Uśmiechnął się, ale zaraz dotarło do niego, że Isabelle wcale nie żartuje. Nie wiedział, czy mu zaimponowała, czy go przestraszyła; zjedzony przez nią sandwicz był wielki jak jamnik.

- Serio? Chcesz jeszcze jedną?

Skinęła głową.

- Ciągle jestem głodna, Vincencie. Mam teraz apetyt jak zapaśnik sumo. Mogłabym pożreć księżyc na kolację. - Poglaskała się po brzuchu. Ponieważ miała na sobie puchową kurtkę, nie widział jej figury. Czy przybrała na wadze? Czy było już widać jej ciążę? Kiedy jadła, zerkał na nią ukradkiem, ale niczego nie dostrzegł. A jak twoje samopoczucie? Czy bolą cię plecy, masz ranne mdłości albo...

- Tym podobne utrapienia? - wpadła mu w słowo. Niespodziewanie chwyciła go za rękę i trzymała ją w obu dłoniach. - Owszem, trochę. Ale najbardziej daje mi się we znaki apetyt i, nie wiem czemu, ciągle jest mi zimno. Dzięki Bogu za tę kurtkę, praktycznie się z nią nie rozstaję. Moje dolegliwości to pestka w porównaniu z innymi kobietami. Podobno pierwsze trzy miesiące są najgorsze, a ja nie mogę narzekać. Po prostu wypchałam kieszenie czekoladowymi batonikami i paraduję w tym niebieskim igloo, które mi podarowałeś. Też mi wielkie halo. Słuchaj - dodała - czy możemy odłożyć tę rozmowę na później? Dalej kręci mi się w głowie po podróży i chciałabym kupić jeszcze coś do jedzenia. Najlepiej słodczy, jeśli nie masz nic przeciwko.

- Deser lodowy?

Ścisnęła mu rękę.

- Mogą być dwa.

Ettrich westchnął z ukontentowaniem i przekręcił klucz w stacyjce. Isabelle była tutaj. Siedziała na wyciągnięcie ręki od niego i razem wybierali się na lody. Czego więcej można oczekiwać od życia?

- Słyszałam.

Spojrzał na nią.

- Co słyszałaś?

- Jak wzdychasz. Z radości czy ze smutku?

Nim zdążył jej odpowiedzieć, zadała mu kolejne pytanie, po którym jego życie nabrało całkiem innego koloru.

- Jak to jest, Vincencie: być martwym?

Ktoś ich śledził. Gdyby Ettrich był trochę bardziej uważny, dostrzegłby wspaniały kabriolet austin healey 3000 mark III, rocznik 1969, który wytoczył się za nimi z parkingu. Przez całą drogę do restauracji samochód trzymał się o trzy długości z tyłu. Jak przystało na rasową maszynę, był wyposażony w tłumik, który nadawał mu pomruk auta rajdowego. Bez wątplenia kabriolet nie nadawał się do tajnych operacji, lecz siedząca za kierownicą kobieta miała to w nosie. Teraz, gdy Vincent Ettrich orientował się do pewnego stopnia w swoim położeniu, Coco Hallis zamierzała działać po swojemu. Nie wiedział, że Coco ma austina healeya. Poza tym zaparkowała na lotnisku na tyle daleko, że nie mógł jej zauważyć.

A nawet gdyby - nic by się nie stało. Niechby ją zobaczył: prędzej czy później będzie się musiał pogodzić z tym, że ona zagości w jego życiu na dłużej.

Czekając na ich wyjście z terminalu, Coco zabawiała się wymyślaniem sposobów, w jakie mogłaby się przedstawić tej cuddziewczynie Vincenta. „Cześć, jestem Coco, kobieta, z którą spał, kiedy go unikałaś”. Po czym dodałaby słodkim tonem:

„Vincent tyle mi o tobie opowiadał”. Co byłoby kłamstwem;

Vincent ledwie napomknął jej o Isabelle. Bajdurzył o wszystkim i o wszystkich, ale ten temat był objęty milczeniem. Coco nieraz usiłowała wydebić od niego różne szczegóły dotyczące Isabelle, lecz odnosiło to mizerny skutek. Zapaliła papierosa. Wypaliła go do połowy, gdy uświadomiła sobie, że jest bardziej zazdrosna o Isabelle Neukor, niż przypuszczała. Czy to nie zabawne? Miała ochotę się roześmiać, ale nie udało jej się, bo zazdrosne serce nie uznaje śmiechu. Już są! Coco wyprostowała się na swoim siedzeniu i pstryknęła papierosa za okno. Niedopałek poszybował w noc i rozbił się na ziemi snopem pomarańczowych iskier. Poznała język ich ciała, nim jeszcze była pewna, że to oni. Ach, ci zakochani! Ettrich taszczył wielką walizkę, podrygującą na kółkach. Dwa kroki za nim szła szczupła blondynka, obejmując się wpół, jakby mimo spokojnej jesiennej nocy było jej zimno. Oboje bez przerwy ocierali się o siebie, jak gdyby nie mogli się sobą nasycić. Isabelle nieustannie wyciągała rękę, by dotknąć Ettricha - jego ramienia, dłoni, głowy.

Coco włożyła swoje duże okulary w rogowych oprawkach, żeby lepiej widzieć pannę Isabelle Neukor. Czy była piękna?

Vincent z pewnością tak uważał, trudno jednak było to potwierdzić w tym wilgotnym, sztucznym świetle. Była dość wysoka i żywo gestykulowała. Kiedy się odzywała, jej ręce tańczyły na boki jak u dyrygenta, chyba że trzymała je pod pachami. Jej twarz rozjaśniał wielki, szczery uśmiech, obok którego nie można było przejść obojętnie. Jasne włosy opadały jej do ramion, lecz z powodu sztucznego światła nad parkingiem Coco nie umiała powiedzieć, czy Isabelle jest naturalną blondynką.

Okej, Isabelle była piękna, ale bez ostentacji. Nie miała tego rodzaju twarzy, która zaraz po wejściu do pokoju ściąga spojrzenia wszystkich mężczyzn, niczym odkurzaczy, i sprawia, że pozostałe kobiety czują się gorsze. Smutek. Otóż to - na twarzy Isabelle malował się smutek, który umniejszał jej piękno i zarazem dodawał jej niepowtarzalnej urody. Była to twarz kogoś, kto poznał zarówno wielkość, jak i tragedię, które odcisnęły na niej swoje piętno. Oba gołąbeczki wsiadły do samochodu, lecz zwlekały z odjazdem. Coco zobaczyła, jak Ettrich podaje Isabelle białą paczuszkę, która okazała się sandwichem. Kobieta zabrała się do jedzenia - jadła i jadła bez końca, podczas gdy Ettrich siedział beczynnie koło niej. Wyglądało na to, że w tym czasie nie zamienili z sobą więcej niż parę słów. I to ma być ten ognisty, rozdzierający duszę romans Vincenta? Kochankowie spotykają się po trzech miesiącach bolesnej rozłąki. On wrócił z umarłych, ona nosi w sobie jego dziecko - i pierwsze, co on robi, to daje jej kanapkę?

Coco zupełnie nie mogła się w tym rozeznąć, ale nie o to chodziło. Nie przyjechała tutaj studiować ludzkiego zachowania. Przyjechała, żeby uchronić Vincenta Ettricha od nieszczęść, które, począwszy od tego dnia, będą musiały mu się przytrafić. Po to ją tu wysłano. Nie przewidziała jednak, że zakocha się w tym mężczyźnie, czy to przelotnie, czy na dłużej. Gdy tak obserwowała samochód Ettricha z drugiego krańca parkingu, musiała przyznać, że zabujała się w nim bez pamięci, co źle rokowało na przyszłość. Ludzkie uczucia mogły sprawiać kłopoty. Coco zmarszczyła się i przewróciła oczami, czując obrzydzenie do samej siebie. Podniosła przy tym wzrok na jedno ze świateł palących się nad parkingiem. Tego, co ujrzała, nie widział dotąd żaden śmiertelnik. Parking był w kształcie prostokąta. W czterech narożnikach wznosiły się latarnie, trzy inne sterczały pośrodku ogromnego placu. Spojrzenie Coco przeskakiwało od jednej do drugiej. Światło płynące ze wszystkich siedmiu lamp zwalniało i zastygło w różnych znajomych postaciach. Lecz na skutek ograniczonej percepcji istoty ludzkiej nigdy by ich nie rozpoznały. To tak, jakby przyprowadzić psa do opery: zwierzę zauważy panujące tam zamieszanie i może nawet zaszczeka z podniecenia, ale muzyka Mozarta będzie dla jego uszu zwykłym szumem. Chociaż

Coco wiedziała, co ten świetlny pokaz zapowiada, nie mogła się powstrzymać, by nie chłonąć go w zachwycie. Widok był istotnie piękny. Strumień światła spływał z latarni. Zwalniając, częściowo wyginał się i dryfował, zatrzymywał się lub rozrywał, czasem wznosił się z powrotem. Jak roztopiony ołów czy lany na wodę wosk, światło zastygało, skręcało się i rozpryskiwało, łącząc się z innymi nićmi, by utworzyć nieopisane, ale za każdym razem cudowne kształty. Gdyby zapytano Coco, co się dzieje, odpowiedziałaby ze spokojem, że światło nabiera świadomości. Emanowało z ogromnych lamp jako ciało stałe, po wyjściu na świat zaś rozpadało się na fragmenty, spotykało z innymi i tworzyło nowe, obdarzone życiem postacie. Każdą z tych żywych form Coco potrafiłaby nazwać, ale nie było to potrzebne. Widziała już wcześniej, jak przebiega ten proces, i zareagowała na niego identycznie - lękiem i fascynacją. I tak zresztą nie mogła mu zaradzić, pozostawało tylko patrzeć. Twórcami tych fajerwerków były istoty leżące daleko poza jej zdolnościami pojmowania. Coco mogła jedynie obserwować toczące się wypadki i, jeżeli zajdzie taka konieczność, odpowiadać na nie na miarę swych ograniczonych mocy.

Świetliste kształty obniżyły się. Opadły na ziemię i zaczęły się snuć po chodniku jak tumany mgły. Niektóre wyraźnie czegoś szukały i po chwili trafiły na cel swoich poszukiwań: samochód Ettricha. Coco spodziewała się tego, odkąd ujrzała, jak formują się w powietrzu. Wiedziała, że przyszły po Ettricha i jego Isabelle.

Nieświadomi tego, co się wokół nich dzieje, kochankowie jakby nigdy nic siedzieli w aucie. Isabelle zjadała sandwicza. Vincent gapił się przed siebie, z rękami na kierownicy. Światło podpełzło pod drzwi pasażera. Wspięło się ku szybie, po czym rozdzieliło się na dwoje i rozeszło w przeciwne strony. Przyglądało się teraz obojgu pasażerom. Okrążając leniwie samochód, zaglądało do wnętrza z różnych punktów widzenia, uczyło się ich. Dowiadywało się o ludziach rzeczy, o których sami nie mieli pojęcia, które zrozumieć mogło tylko światło. Isabelle złożyła papier i powiedziała coś do Ettricha. Posłał jej blady, przelotny uśmiech. Sunące po dachu jego wypucowanego auta światło znieruchomiało nagle, jakby podśluchiwało, o czym mówią. Po chwili ruszyło dalej. Nie miało jeszcze pełnej wiedzy, ludziom zostało trochę czasu. Ale już niebawem. Gdy światło nabierze pełnej mocy i zyska inteligencję, będzie nie do zatrzymania.

Coco zapaliła następnego papierosa. Żałowała, że nie może wezwać pomocy. Taka bliskość ze światłem narażała ją na szalone ryzyko. Skoro jednak miała ochraniać Ettricha, musiała zostać i czuwać. Przez moment wściekała się na niesprawiedliwość tego wszystkiego. Była zbyt słaba, żeby osłonić Vincenta. On zaś nie miał jak się bronić przed zbliżającą się konfrontacją. Papieros smakował jak stary kapeć. Ludzie lubią takie świństwo? Coco zaczęła palić ze względu na Ettricha, a potem raczej przywykła do papierosów, niż się od nich uzależniła. Energicznie opuściła szybę i wyrzuciła niedopałek. Była zdenerwowana; siedząc tam i patrząc bezradnie, musiała czymś zająć ręce. Wyciągnęła zapalniczkę z deski rozdzielczej i zmiażdżyła ją zębami. Smakowała dużo lepiej niż papierosy. Coco siedziała w fotelu i mniej więcej zadowolona chrupała jeszcze ciepłą zapalniczkę, spoglądając na piękne i groźne światło omywające samochód Ettricha. W małej kabinie austina healeya rozlegał się dziwnie głośny chrzęst gryzionego i przeżuwanego plastiku oraz metalu.

Połknęła resztki metalowej spirali, lecz nadal była głodna. Rozejrzała się po desce rozdzielczej i podłodze, aż jej wzrok padł na gałkę skrzyni biegów. Była bulwiasta i okrągła, wykonana z pięknego sękatego orzecha. Coco nie przepadała wprawdzie za smakiem drewna, no, ale gdy się nie ma, co się lubi... Tak jak znajdująca się po drugiej stronie parkingu Isabelle Neukor - Coco Hallis miała apetyt na więcej. Chwyciła gałkę, obróciła ją z ogromną siłą i zaczęła odkręcać. Cały czas wpatrywała się w samochód Ettricha Anjo

- Co ja mam wziąć? - Ukochany głos Isabelle dobiegł z za dużego czarnożółtego menu, które studiowała z uwagą. Siedzieli naprzeciw siebie w usytuowanej przy oknie kabinie. Była dość obszerna, żeby pomieścić sześcioro ludzi. Zajęli ją bez obaw, gdyż jadłodajnia świeciła pustkami. Wieczorem ludzie nie zawracają sobie głowy jedzeniem. Większość klientów piła kawę albo jadła deser.

Ettrich przyjechał tutaj z lotniska, pamiętając, że Isabelle bardzo lubi to miejsce. Był to rodzaj skromnej, ale dobrej restauracji, która szczyciła się śniadaniem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i podawała pulpety z prawdziwymi tłuczonymi ziemniakami facetom w bejsbolówkach i kobitkom w dresach i adidasach. Kelnerki były sympatyczne, w średnim wieku, i nosiły imiona z lat pięćdziesiątych, w rodzaju Elsie albo Doris. Kiedy jedna z nich spytała: „Dolać ci kawy, skarbie?“, Isabelle uśmiechnęła się szeroko i przytaknęła jak dziecko. Jako Europejka uwielbiała bezpośredniość Amerykanów. Trzymała kciuki za Amerykę. Ettrich słyszał nieraz, jak Isabelle broni jego ojczyzny przed sceptycznymi, napuszczonymi Europejczykami, którzy uważali, że w Stanach świetnie robi się zakupy, ale żeby tam zamieszkać?

- Deser lodowy. - Zatrzasnęła menu z praskiem. Ettrich uśmiechnął się. - Z podwójną Schlagobers. Skinął głową i rozejrzał się za kelnerką.

- Wolisz mówić po niemiecku czy po angielsku? Nie pytałem cię o to dotąd.

- Obojętnie. To bez znaczenia. Niektóre rzeczy lepiej da się wyrazić w jednym języku, inne w drugim. Ich liebe dich brzmi dość paskudnie, jeśli wziąć pod uwagę, że znaczy kocham cię. Angielski jest miększy, lepiej dopasowuje się do uczuć. - Rozejrzała się po sali, łapczywie lustrując wnętrze. Ettrich nie znał drugiej takiej osoby, która by zwracała równie baczną uwagę na otaczający ją świat.

- Isabelle, skąd wiedziałaś, co się ze mną stało?

Jej wzrok przesunął się wolno na jego twarz. Kiedy się zatrzymał, Ettrich ujrzał w jej oczach całkowity spokój.

- Długo czekałeś z tym pytaniem, Vincencie.

- Bo się bałem. Wciąż się boję.

Przytaknęła na znak, że rozumie, i westchnęła.

- Pamiętasz naszą ostatnią noc w Wiedniu. Kiedy się kochaliśmy?

— Oczywiście.

Zjawiała się kelnerka.

— Cześć, ludziska. Czym mogę służyć?

Zaskoczony Ettrich spojrzał nieprzytomnie na stojącą nad nim kobietę, zastanawiając się, kto to, u licha, jest. Po chwili się połapał i spróbował coś zamówić.

Isabelle go ubiegła.

- Poproszę kawałek tortu brzoskwińskiego i gułkę lodów waniliowych.
- Znaczy się, gałkę. - Kelnerka skinęła zachęcająco głową.
- Tak, tak, gałkę.
- Ma pani uroczy akcent. Wolno zapytać, skąd pani pochodzi?
- Z Austrii. Z Wiednia w Austrii.

— Serio? Przyjechała pani aż z Wiednia, żeby zjeść kawałek naszego tortu? A pan, czego sobie życzy?

— Cołą proszę.

- Jasne. Zaraz wracam. - Mrugnęła do Ettricha i ulotniła się.

Isabelle odchyliła głowę i zerknęła na niego z ukosa.

- Widziałam, jak do ciebie mrugnęła. - Uśmiechnęła się.
- Myślałem, że weźmiesz deser lodowy.

Wzruszyła ramionami.

- Nigdy nie ufaj ciężarnej. - Umoczyła palec wskazujący w jednej ze szklanek z wodą, które przyniosła kelnerka. Wyjęła go i powiodła nim po dłoni Ettricha.
- Mów do mnie, Isabelle. - Dobrze, ale najpierw opowiedz mi o tamtej nocy, kiedy się kochaliśmy. To ważne. Powiedz wszystko, co pamiętasz. Ettrich odsunął się na oparcie i złożył palce w wieżyczkę nad swoim brzuchem.
- Zaproponowałem, żebyśmy zjedli kolację w twojej ulubionej restauracji. Więc poszliśmy do „Stella Marina”...
- Na jakiej ulicy? - przerwała. Zarówno jej twarz, jak i głos rzucały mu wyzwanie.
- Windmuhlgasse. W Szóstej Dzielnicy. Czy to sprawdzian?

Daj spokój, Isabelle, wiesz, że mam dobrą pamięć.

- Zobaczymy. Mów dalej.

Ettrich czuł się na razie bezpieczny, bo jego pamięć istotnie była niezawodna. Mógł zawsze na nią liczyć, nieraz pomogła mu w interesach i w życiu osobistym. Zapamiętywał całe słupki danych statystycznych, ulotne fakty, wiersze i drugie imię poznanej przed pięciu laty kobiety.

- Była piękna noc. Nie wiedzieliśmy, czy zająć stół w restauracji czy w ogródku. Zaczęłaś się nawet śmiać, bo nie mogliśmy się zdecydować. Wreszcie postanowiłem, że w środku, aby uliczne hałasy nie przeszkadzały nam w rozmowie. Czy interesuje cię, co jedliśmy?

Isabelle pokręciła przecząco głową. Pchała szklankę tam i z powrotem między rękami; woda kołysała się na ściankach, lecz nie wylała się ani kropla.

- Po kolacji poszliśmy na spacer wzdłuż Mariahilferstrasse i kupiliśmy lody. Twój lód roztopił ci się w ręce, a ja bez przerwy cię pouczałem, jak należy go lizać. - Ettrich uśmiechnął się do własnych wspomnień. Cóż to była za noc! Położył dłonie na blacie i spojrzał na nie. Pierwszy raz zobaczył, że na wierzchu lewej dłoni ma plamę wątrobianą. - Sądziłem, że zdążę się zestarzeć.

Nie przypuszczałem, że umrę, zanim z uszu zaczną mi wyrastać siwe włosy i ręce pokryją się plamami wątrobianymi. Pomyliłem się, he? Wyszedłem z przyjęcia dużo wcześniej, niż planowałem. - Z jego oczu wyzierały smutek i przygnębienie. - Nic nie pamiętam, Isabelle. Zero. Ani choroby, ani szpitala... Nie pamiętam nawet, jak umierałem. Jak to możliwe? Rozumiem, że można zapomnieć o śmierci: umierasz i przenosisz się w zaświaty. Potem wracasz do życia i nie pamiętasz tego miejsca, bo nie sposób go sobie wyobrazić. Ale jak można zapomnieć o umieraniu? To mnie przeraża najbardziej. Mam w pamięci jedną, wielką dziurę.

- Proszę bardzo, tort brzoskwinowy de la mode i cola.

Tak bardzo byli zaabsorbowani rozmową, że żadne nie spojrzęło na kelnerkę. Tamta już miała coś dodać, lecz wiszące w powietrzu napięcie sprawiło, że czym prędzej się oddaliła. Isabelle skinęła na Ettricha, żeby kontynuował opis ich ostatniej nocy w Wiedniu.

Skrzywił się.

- Po co? Jaki to ma sens?

- Zaufaj mi, Vincencie. To bardzo ważne.

- W porządku. No więc zjedliśmy lody i wróciliśmy do twojego mieszkania. Kilka minut staliśmy na podwórzu przed domem, gapiąc się na drzewa. Lubię patrzeć, jak światło latarni przesącza się przez liście w tej dziwnej żółtozielonej poświacie... Powiedziałem, że miasto musiało chyba tak wyglądać jakieś sto lat temu.

Nabierając na łyżeczkę ciasto z lodem, Isabelle wpatrywała się w twarz Ettricha. Biała kropla śmietany skapnęła jej na brodę. Ettrich machinalnie sięgnął tam ręką i starł ją kciukiem. Potem oblizał palec. Oboje zignorowali ten gest.

- Gdy tylko otworzyłaś drzwi mieszkania, Zupa dostała bzika. Skakała i kręciła się jak tańczący derwisz. Chciałaś wziąć prysznic, więc poszedłem do pokoju gościnnego i zacząłem się z nią bawić.

Isabelle opuściła rozmarzony wzrok na talerz i odkryła ze zdziwieniem, że ciastko i lody zniknęły. Pochłonięta opowieścią Vincenta, zapamiętała tylko tyle, iż torcik był słodki i kaloryczny. Aby przypomnieć sobie jego smak, przesunęła językiem w ustach.

- Na regale z książkami leżała kość z surowej skóry, którą Zupa uwielbiała gryźć. Zdjąłem tę kość i zacząłem się z nią bawić w kto kogo przeciagnie, kiedy... - Ettrich urwał zakłopotany, widząc, że Isabelle podnosi palec. Tak jak wbiega się z powrotem do domu po zapomniane klucze, tak on zanurkował w głąb swojej pamięci, żeby sprawdzić, czy czegoś nie pominął w swej relacji. Nie, wspominał o wszystkim. Dlaczego Isabelle każe mu przerwać? Jej oczy przybrały wyraz, którego nie umiał rozszyfrować. Najpierw dziwnie poruszała ustami, a potem nagle znieruchomiła i na jej twarz wypełził ów tajemniczy wyraz. Co miał oznaczać? Ettrich nigdy nie spuszczał oka z Isabelle, gdyż jej mimika zdradzała często jej myśli, zanim zdążyła je wypowiedzieć.

Otworzyła usta i jednocześnie uniosła rękę. Przemknęło mu przez głowę, że Isabelle zamierza wyciągnąć przyklejony do języka włos albo grudkę deseru, który właśnie zjadła. Ona jednak włożyła palec do ust i wyjęła stamtąd coś dużego, srebrnego i okrągłego: dzwonek.

- Jezu! - Przedmiot zjawił się tak nieoczekiwanie, że Ettrich odczuł to jak smagnięcie w twarz.

Isabelle wpatrywała się weń z radością i dumą. Jej twarz mówiła, że odkrycie srebrnego dzwonka w ustach wcale jej nie zdziwiło. Potrząsnęła nim - rozległo się srebrzyste, metaliczne dzyńdzyń. Isabelle spojrzała na Ettricha z mieszaniną nieśmiałości i sprytu.

- Jest tutaj.

Ettrich pochylił się ku niej i zapytał:

- Kto jest tutaj?

Położyła dzwonek na stole i przesunęła go ku niemu paroma ruchami palca wskazującego.

- Twój syn. Nasz syn. W ten sposób nas pozdrawia. - Ponownie pchnęła lekko dzwonek.

Vincent Ettrich kochał Isabelle Neukor bardziej niż jakąkolwiek inną kobietę. Nie wątpił w to, że jest tą j e d y n ą. Jeśli istniał kiedyś ktoś, za kogo gotów był oddać życie - była nim Isabelle. Ale patrząc to na ten głupi dzwonek, to znowu na nią, doszedł do wniosku, że postradała rozum. Po raz pierwszy, od kiedy się poznali, poczuł do niej wstręt. Coś sobie przypomniał: kiedy był chłopcem, jego matka hodowała kanarka. Trzymała go w kuchni, zamkniętego w niebieskiej klatce. W środku wisiał dzwonek w każdym calu podobny do tego. Ilekroć ptak pukał w niego dziobem, mały Vincent słyszał dzwonięcie, dochodzące czasem do najdalszych zakamarków domu. Złożył teraz dłonie nad dzwonkiem, jakby zakrywając go, mógł sprawić, że szaleństwo Isabelle zniknie. Właśnie tak się dowiedziałam, że umarłeś i wróciłeś, Vincencie. Nasz syn mi powiedział. Rozmawia ze mną. - Położyła swoje dłonie na jego. Z trudem przemógł się, by nie cofnąć ręki.

- Nasze dziecko z tobą rozmawia?

Jej uśmiech zdołałby oświetlić i ogrzać całe miasto.

- Tak, Vincencie... - Wskazała podbródkiem na dzwonek. - Teraz odzywa się również do ciebie. To jego powitanie. Nic. Nic nie przyszło mu do głowy, żeby jej jakoś odpowiedzieć.

Nadal się uśmiechała.

- Nie wierzysz mi.

Pokręcił głową.

- Chciałbyś zobaczyć dowód?

Skinął.

- Kanarek twojej matki, ten, o którym przed chwilą myślałeś, nazywał się Kolumb. Zdechł któregoś upalnego dnia, kiedy miałeś sześć lat. Pochowaliście go z matką za domem w pudełku od zapalek. Dwa dni później, kiedy matka wyszła na zakupy, wygrzebałeś go z ziemi. Chciałeś zobaczyć, czy już poszedł do nieba. - Podniosła dzwonek i wyciągnęła go ku niemu. - Zapytaj, o co chcesz, Vincencie. Zależy mu, abyś uwierzył, że to prawda.

- Co Coco Hallis ma na szyi?

Isabelle nie mogła wiedzieć, kim jest Coco. Chyba że wynajęła prywatnego detektywa, który śledził go przez ostatnie trzy miesiące, ale to nie w jej stylu. Przekrzywiła lekko głowę na bok i zamknęła oczy, by zaraz ponownie je otworzyć.

- Tatuaż. Nazwisko: Bruno Mann.

- Jak się macie, ludziska? Czy przynieść wam coś jeszcze? - Głos kelnerki uciął nabrzmiałą między nimi chwilę ciszy jak nóż. Twarz Ettricha nie zmieniła się. Popatrzył na kelnerkę i uśmiechnął się.

- Chce pani zobaczyć świetną sztuczkę?

Zaskoczona pytaniem kelnerka nie wiedziała, jak się zachować. Czy ten facet się z niej nabija?

- Sztuczkę? - wymamrotała. - Jasne. Ale czy to jest cudowna sztuczka, czy tylko świetna? - Odpowiedziała mu uśmiechem, dając do zrozumienia, że zna się na żartach. - Niech pani sama osądzi - zaproponował Ettrich. - Czy ma pani dzieci? Jej brew wygięła się w łuk.

- Owszem, jest tego trochę. Dlaczego pan pyta?

- Proszę spojrzeć. - Zwrócił się do urodziwej kobiety siedzącej naprzeciw. - Jak mają na imię jej dzieci? Isabelle przyjrzała się kelnerce, jakiś czas milczała i wreszcie odrzekła:

- Ron i Debby. Ron po Ronaldzie Reaganie, a Debby... - ponownie zawiesiła głos, zamyślona: - ..Debby po twojej siostrze Deborah.

Uśmiech na twarzy kelnerki zbladł. Przecież widzi tę kobietę pierwszy raz. Skąd ona zna ich imiona? Nie zdążyła o to zapytać, bo tamta znów się odezwała:

- Jeśli chodzi o twojego męża Deana... Badania, którym się poddał przedwczoraj... Jest zdrowy. To nie rak.

- Skąd pani o tym wie? Skąd pani wie o tych badaniach?

Isabelle nie odpowiedziała. Bo co tu rzec? Spojrzała na Vincenta, szukając u niego pomocy.

- Pytam: skąd pani zna szczegóły dotyczące życia mojej rodziny? - Zbulwersowana kobieta dała krok naprzód.

- Ona jest medium. Czy chciałaby się pani dowiedzieć jeszcze czegoś?

Kelnerka przeraziła się. Czytała o mediach i widziała je w telewizji, ale nigdy nie miała z nimi do czynienia. Ta obca kobieta знаła Deana i wiedziała o strasznej, ciemnej plamie na jego płucu. Ale przecież powiedziała też, że Dean będzie zdrowy! Czy to prawda? Pytania i rozterki kłębiły się w jej głowie, ale ostatecznie wypisała tylko rachunek, cisnęła go na stół i oddaliła się bez słowa. Po powrocie za ladę czuła potrzebę podzielenia się z kimś swoim przeżyciem. Zamiast tego jednak stała tam i patrzyła z kwaśną miną na dwoje nieznajomych. Kim są? Wszystko jedno... Oby jak najszybciej sobie stąd poszli.

- Wierzysz mi, Vincencie?

- Tak, Fizz. Wierzę. Co się dzieje? O co tu chodzi?

Kiedy usłyszała przydomek, który jej nadał, serce Isabelle rozwarło się niczym dłoń. Fizz - tajne hasło, którym się porozumiewali. Od tej pory mogli rozmawiać o wszystkim. Ma na imię Anjo...

- Dziecko?

- Tak.

Nie mogąc się powstrzymać, Ettrich przysunął głowę do jej brzucha.

- Nie narodzone dziecko powiedziało ci, że ma na imię Anjo?

- Tak, Vincencie. Zgadza się. - Wiedziała, że musi być cierpliwa, że wynik tej rozmowy zależy od tego, czy Ettrich uwierzy jej całkowicie.

W jego głosie przebiło się rozdrażnienie.

- Okej, okej. Zatem kim jest Anjo? Znaczy się, oprócz tego, że jest naszym synem.

Korciło ją, aby palnąć całą prawdę, lecz zapanowała nad sobą i zastanowiła się, od czego zacząć: jakie dobrać słowa, które wyrażenia będą najbardziej skuteczne. Nie mogła się pomylić - nie będzie miała drugiej szansy.

- Tydzień po naszym spotkaniu, jak wyjechałeś do Ameryki, zdałam sobie sprawę, że jestem w ciąży. Nie miałam cienia wątpliwości. Czułam to całą sobą. Chciałam do ciebie zadzwonić i powiedzieć...

- Dlaczego tego nie zrobiłaś? W Londynie też zapadłaś się pod ziemię. To był chwyt poniżej pasa. - Jego głowa i serce wypełniły się dawnymi urazami, żalami, gniewem. Miał wrażenie, jakby odżyły w nim na nowo. Nienawidził tych emocji, ale starczyło o nich pomyśleć, żeby powróciły jak nagle zapalone światło w ciemnym pokoju.

Isabelle wybuchła złością. Z trudem ją powstrzymała, zanim złość zdążyła wyskoczyć jej z gardła i rzucić się na Vincenta. Żeby się opanować, wyjrzała przez okno. Jej twarz musnęły światła samochodowych reflektorów.

- Sam nie wiedziałeś, czym mam dla ciebie być, Vincencie.

Stała partnerką czy dziewczyną na pół etatu, z którą można się spotkać w Europie i zabawić przez kilka dni, a potem wrócić do normalnego życia.

- Bzdura! Opuściłem żonę i dzieci, Isabelle. Zrezygnowałem z życia, żeby być z tobą! - Próbował ją zmusić, by na niego spojrzała, ale na próżno. Dalej wyglądała na ulicę. Dlaczego unikała kontaktu wzrokowego? W jego oczach zobaczyłaby twardą jak skała prawdę, potwierdzającą wszystko to, o czym ją zapewniał.

Gdy znów się odezwała, mówiła cicho, ciszej, niż się spodziewał.

- Ostatniej nocy w Londynie oświadczyłeś, że zrobiłeś to dla mnie. Nie mogłeś powiedzieć nic gorszego, Vincencie.

- Dlaczego? Rzuciłem wszystko, aby być z tobą. Co w tym złego?

- Nic. Ale ty oświadczyłeś, że rzuciłeś rodzinę, bo ja tak chciałam. Z twoich słów wynikało, że nie aprobujesz tej decyzji - że zrobiłeś to tylko dla mnie. Nie dla siebie, nie dla nas, ale dla mnie.

- Ach, Isabelle, nie łap mnie za słowa. Dobrze wiedziałeś, o co mi chodzi. Przestań się czepiać.

- Nie! Bo ty nie tylko to powiedziałaś, ale też mówiłaś całkiem serio. Za słowami poszły czyny. Obserwowałam cię. Nigdy przedtem nie śledziłam nikogo tak bacznie jak ciebie! - zaszczebotała. Mówiła coraz szybciej i głośniej. - Rozumiałam, że gryzie cię sumienie. Że się poświęcasz. Padałam przed tobą z wdzięczności na kolana. Ale nigdy nie miałam poczucia, że opuszczasz rodzinę w przekonaniu, że życie ze mną to najlepsze, co cię może spotkać. Że nareszcie odnalazłeś prawdziwy dom i przychodzisz do mnie z otwartym sercem i złąknioną duszą.

Znokautowało go słowo „złąkniona”. Jej angielszczyzna była w dziewięćdziesięciu pięciu procentach bezbłędna, czasem jednak Isabelle przechodziła samą siebie; zdarzało jej się wyciągać

z kapelusza słowa, które nazywały rzeczy celniej, niż potrafiłaby to uczynić osoba, dla której angielski był językiem ojczystym. Co, do cholery, znaczy „złakniona dusza”? Ettrich dobrze wiedział co, a także czemu użyła tego zwrotu. W odpowiedzi zdołał jedynie powtórzyć bełkotliwie:

- Zrezygnowałem dla ciebie z życia.

W końcu spojrzała na niego i ni stąd, ni zowąd sięgnęła do jego ręki.

- Zostawmy na razie ten temat. Możemy porozmawiać o czymś innym, Vincencie?

Wpatrzony w ich splecione dłonie, odpowiedział: - Nie. Muszę wyjaśnić tę sprawę do końca, Fizz. Twoja ucieczka wyrwała mi serce z piersi, zwłaszcza wtedy. Ciach. Zniknęłaś bez śladu z mojego życia, kiedy ja dałem ci dowód tego, że moja miłość do ciebie liczy się najbardziej. Kręciła głową.

- Zrobiłeś to, bo się bałeś, że mnie stracisz.

Zmrużył oczy i wycedził przez zaciśnięte zęby:

- Nieprawda. Nie pomniejszaj mojego uczynku, Isabelle.

Nie odchodzi się od dwójki dzieci i małżeństwa z szesnastoletnim stażem tylko dlatego, że człowiek boi się stracić kochankę.

- Nie żartuj, Vincencie. U mężczyzn to normalka.

Jak to się stało, że raptem doprowadziła go do białej gorączki? Miał ochotę walnąć pięścią w stół, zamknąć oczy i bić głową o ścianę. Gdy ponownie się odezwała, jej słowa zagłuszył grzmot piorunów, które huczały nadal w jego głowie.

- Co?

- Dwa tygodnie później poznałam pewnego mężczyznę.

Gniew, równie gwałtownie jak nadszedł, opuścił Ettricha w momencie, gdy wspomniała o innym mężczyźnie.

- Tak. Słucham.

- Kilka razy poszliśmy razem na kolację. Był niebanalny - mówił rzeczy, które zapadały w pamięć. Wyraźnie dążył do tego, aby między nami do czegoś doszło. Kiedy się spotkaliśmy po raz ostatni, powiedział mi to i zaczął na mnie nalegać. Wiesz, co mu odparłam? „Przykro mi, Berndt, ale nie ma cię na mojej liście lektur obowiązkowych”.

- Zrozumiał?

- Owszem, i strasznie się wściekł. Chciał mnie uderzyć.

- Co?

- Tak. Ale nic się nie stało. Anjo go powstrzymał. Mój obrońca.

- Co takiego?

- Anjo zawsze mnie broni.

- W jaki sposób?

- Powinieneś to zobaczyć na własne oczy. - Bez widocznego związku z rozmową, Isabelle wskazała leżący między nimi na stole dzwonek.

- Nie bardzo rozumiem. - Sam zobacz, co się stało. Uważam, że tak będzie lepiej.

Podnieś dzwonek.

Podniósł go. I w następnej chwili stwierdził, że siedzi przy małym stoliku w całkiem innej restauracji. Dwanaście razy otwierał i zamykał oczy, zanim oswoił się z nieznaną geografią i zaaklimatyzował w nowym środowisku. Wtedy rozszłościł się ponownie: znalazł się w wiedeńskiej restauracji „Stella Marina”. Przy sąsiednim stoliku siedziała Isabelle, pogrążona w rozmowie z mężczyzną, który trzymał ją za rękę i zaglądał jej w oczy, usychając przy tym z tęsknoty. Ettrich poczuł woń świeżo pieczonego chleba i smażącej się oliwy z oliwek. Wokół szwargotano po niemiecku, Pavarotti śpiewał w stereo Nessun dorma, a sztuce brzęczały na talerzach klientów wsuwających pyszne włoskie jedzenie.

Ettrich patrzył na kochasia szturmującego Isabelle przy użyciu całej gamy min i języka ciała - powagi, erotyzmu, wesołości, zadumy. Co prawda Isabelle pozwalała mu trzymać swoją dłoń, ale to nic nie znaczyło, Ettrich wiedział dobrze, że uśmiech płaczący się na jej ustach mówi „nie”. Zaraz, jak ten facet ma na imię? Aha, Berndt. Wyglądało na to, że Berndt dostanie kosza.

„Stella Marina” to mała restauracja - jedno nieregularne pomieszczenie - intymna i przytulna. Ettrich oderwał wzrok od Dwojga Gołabczków i przyjrzał się pozostałym klientom. Dopiero wówczas zauważył psa. Zwierzę było tak ogromne, że aż się przestraszył, dwa razy musiał się odwrócić. Nie wiedział, co to za rasa, ale psisko było imponujące - po prostu ogromne. Fila Brasileiro leżał bez ruchu koło stóp swego właściciela. Jego wielki jak kowadło łeb spoczywał na łapach, a smutne oczy przyglądały się otoczeniu z niezwykłą intensywnością. Ettrichowi nie zdarzyło się dotąd widzieć psa, który wypełniałby tyle psychicznej przestrzeni. Przywodził na myśl bestię z greckiej mitologii albo perskiej baśni. Kto trzyma takiego psa? Para starszych ludzi, która pochłaniała spaghetti aż im się uszy trzęsły. Pies leżał obok drobnego, wątlego mężczyzny. Jak ten staruszek utrzymuje takiego potwora na wodzy, gdy przyjdzie mu ochota za czymś pobiec? Ettrich spojrział na Isabelle. Patrzyła wprost na niego, ale nie dawała oznak, że go rozpoznaje. Czyżby był dla niej niewidoczny? Jakie reguły obowiązywały w tej restauracji? Kogo widziała, patrząc na niego z taką obojętnością? Jej oschłe spojrzenie nie tyle go zaniepokoiło, ile raczej zaintrygowało. W dniu, kiedy zobaczył na szyi Coco tatuaż, Vincent Ettrich został zmuszony do pogodzenia się ze wszystkim, czym zaskakiwał go ten nowy, nieobliczalny wszechświat. Przeniósł się do włoskiej restauracji w Wiedniu, gdzie jego ukochana patrzyła nań jak na przystawkę? Nie ma sprawy. Nie zostawało mu nic innego, niż siedzieć i obserwować, jak to się dalej potoczy.

- Isabelle? - Berndt wymówił jej imię „Izabejl”.

Oczy Isabelle skupiły się na towarzyszącym jej przy kolacji mężczyźnie, lecz Ettrich ucieszył się, widząc, że nie nabrały ciepła.

- Ja?

Berndt mówił piękną, literacką niemiecką. Miał niski, seksowny głos radiowego disc jockeya. Z uśmiechem spuścił wzrok, jak gdyby to, co zamierzał powiedzieć, było zbyt trudne, aby patrzeć przy tym w oczy.

- Od chwili, gdy się poznaliśmy, dużo ze sobą rozmawiamy, ale jak dotąd nie miałem odwagi, żeby ci wyznać, co naprawdę czuję. Teraz chciałbym spróbować.

- Nie. - Wysunęła szybko dłoń z jego ręki.

To słowo i ten gest oślepiły go.

- Dlaczego? Dlaczego nie?

- Dlatego że przyszłam tutaj w innym celu, Berndt. Myślałam, że to się rozumie samo przez się. Nie jestem ciekawa.

- Czego?

- Twoich uczuć. Nie chcę wiedzieć. - Najpierw usta, a potem skóra na jej twarzy ściągnęły się. Ettrich nieraz to już widział. Wyraz ten oznaczał, że Isabelle zamyka się, wyłącza. Gdy spojrzała w ten sposób na Berndta, jej oczy i nieprzenikniona, napięta twarz poinformowały go, że ten stąpa po polu minowym.

Gniew Berndta objawił się w geście, w jakim rozcapierzył

palce na stole. Palec wskazujący prawej ręki zetknął się z lewym i zaczął stukać w paznokiec, jak gdyby nadawał sygnały alfabetem Morse'a. Ruchy te, na pozór niewinne, świadczyły o tym, że mężczyzna zbiera się w sobie, by coś uczynić.

- Nie miałam dotąd powodu ci tego mówić, ale w tej chwili wszystko wskazuje na to, że go mam: Kocham kogoś innego. I jestem w ciąży - dodała stanowczo Isabelle, stwierdzając prosty fakt.

- Wciąż? Palec bębnił coraz szybciej. Berndt nieustannie zerkał to na poruszający się palec, to na twarz Isabelle, tam i z powrotem. Zaczął kiwać głową. Z daleka mógł sprawiać wrażenie, jakby zgadzał się z tym, co mówi jego towarzyszka. Tyle że potakiwał bez przerwy, a jego palec stukał jak najęty. - Czemu mówisz mi to dopiero teraz?

- Mówiłam ci, Berndt: nie miałam powodu. Ilekroć się spotykaliśmy, było miło i ciekawie. I to wszystko.

- To wszystko? - powtórzył z naciskiem, potrząsając głową.

- Tak. - Wciąż patrzyła na niego.

- Interesujące. Bo ja odniosłem zgoła inne wrażenie.

- Przykro mi, że wprowadziłam cię w błąd.

- Mnie również jest przykro. Bardzo przykro. - Berndt zarechotał, ale jego śmiech brzmiał tak, jakby coś utkwilo mu w gardle.

Jeżeli facet zacznie rozrabiać, czy Ettrich zdoła go pohamować? Czy może tutaj cokolwiek uczynić? Wcześniej Isabelle

spojrzała na niego jak przez szybę. Czy to znaczyło, że jest a) niewidzialny i b) bezsilny?

- Jestem strasznie wkurzony. Naprawdę jestem na ciebie wkurzony. - Berndt wgapił się w swoje dłonie, wolno zaciskając jedną z nich w pięść.

Zaalarmowany Ettrich wstał z krzesła. Równocześnie z podłogi podniósł się superpies, jakby spod ziemi wyrósł dodatkowy stół. Zwierzę przeszło wzrokiem Berndta i zawarczało na niego szorstkim, krwistym głosem, który mógłby napędzić strachu nawet umarłym.

Nikt w restauracji na nich nie spojrzał. Było to o tyle zdumiewające, że pies ryczał teraz na całe gardło, z uniesioną wysoko głową, tocząc z pyska białą pianę i ślinę. Choć potwór szykował się,

by ugryźć Berndta, ludzie nie tylko to lekceważyli, ale nie próbowali go nawet zatrzymać. Właściciele psa zjadali swój posiłek z całkowitą bez troską; starsza pani, siorbiąc, wciągała zielony makaron do ust, a jej mąż delektował się winem. Jedzący śmiali się i kręcili głowami, opowiadając sobie różne historyjki. Najwyraźniej tylko Berndt, Isabelle i Ettrich zauważali to, że jedno z nich zostanie lada moment pożarte.

- Spokój, Anjo - Isabelle zwróciła się cicho do psa. Ten nadal powarkkiwał i ślinił się, ale nie zbliżył się bardziej do Berndta. Jego dziąsła miały ciemnoróżowy odcień surowej wątroby. Zęby były długie i białe. Bez wątplenia pies mógłby odgryźć człowiekowi rękę.

Klienci tymczasem ucztowali w najlepsze. Ettrich zorientował się, że to, co się tu dzieje, umyka jakoś uwagi pozostałych gości. Chodziło jedynie o ich troje i o psa. Dlaczego Isabelle nazwała psa Anjo, skoro tak miało na imię ich dziecko?

- Chciałeś mnie uderzyć, Berndt? Czy gdyby nie pies, dostałabym pięścią w twarz? A może spoliczkowałbyś mnie otwartą ręką? Czy tak się zachowujesz, kiedy coś ci się nie podoba? Nie kręć głową: widziałam, jak się zamierzasz. - Osunęła się na krzesło i rzuciła serwetkę na stół. Pies gapił się i warczał na przerażonego mężczyznę.

Berndt nie wiedział, gdzie patrzeć. W ciągu pięciu minut Isabelle oznajmiła mu, że nie jest nim zainteresowana oraz że jest w ciąży. Gniew wytrysnął z niego jak wulkaniczna lava. Potem zjawił się ten pies z piekła rodem, żeby go rozszarpać. I co gorsza, nikt w restauracji nawet nie kiwnął palcem! Dlatego Berndt zrobił jedyne, co mu w tej sytuacji pozostało - zawołał:

- Na pomoc!

- Przymknij się, Berndt. Nikt cię nie słyszy. Nie wiedzą nawet, że tu jesteśmy. - Ku nieopisanemu zdumieniu obu mężczyzn, Isabelle wzięła swoją szklankę i oblała wodą starszą panią siedzącą przy stoliku obok. Woda chlusnęła jej w twarz i rozlała się na ładną czerwoną suknię. Kobieta jadła dalej, jakby nic się nie stało, mimo że woda ściekała jej z twarzy, a suknia nadawała się do prania.

Berndt wyszeptał przez ściśnięte gardło: Nic z tego nie rozumiem.

- A co tu rozumieć? Chciałeś mnie uderzyć, bo ci odmówiłam. Ale Anjo nie pozwoli ci mnie skrzywdzić. - Spojrzała na psa. Jego oczy pokazywały, że zwierzę dobrze pojmuje, o czym ona mówi.

- Co z nimi... - Berndt zatoczył wokół ręką. - Czemu nas nie widzą? Popatrzyła na psa i uśmiechnęła się.

Berndt oblizwał wargi i przełknął ślinę. Co teraz będzie?

- Czy mogę odejść, Isabelle? Mogę stąd wyjść? Przepraszam. Obiecuję, że już nigdy nie będę cię niepokoił. Proszę, pozwól mi odejść. - Zatrząśł się, gdy pies zaskowytał z niezadowoleniem. Nawet jeżeli ona go wypuści, czy to samo zrobi Anjo?

- Pamiętasz Olgę, Berndt? Tę przemiłą kobietę, która się w tobie zakochała. Pamiętasz, jak ją potraktowałeś w przyprawie złości?

- Znasz Olgę? - Zamurowało go z wrażenia. Jak to możliwe? Ponownie spojrzała na psa.

- Pewnie, że znam. Nie lubię cię, Berndt. Wiem teraz, do czego jesteś zdolny i jaki z ciebie parszywiec.

- Ale skąd? Skąd wiesz o Oldze?

- Od Anjo. Powiedział mi. Jesteś skończonym bydlakiem, Berndt. Wynoś się. Nie chcę cię więcej widzieć. Gdy tylko Berndt wybiegł z restauracji, pies podszedł do Isabelle i położył łeb na jej kolanach. Pogłaskała go roztargnionym gestem. Westchnął przeciągle i z lubością, niczym człowiek, który wkłada zimne nogi do ciepłej kąpieli. Ettrich zbliżył się do nich pomału.

- Isabelle?

Lekceważąc go, dalej gładziła olbrzymia po sierści i wpatrywała się nieruchomo w dal. Pies także nie otworzył oczu. Ettrich usiadł na krześle Berndta.

- Fizz, słyszysz mnie?

- Co za bezmyślność! Popatrz, co narobiłam. - Siedząca przy sąsiednim stoliku starsza kobieta zaczęła ocierać twarz i bluzkę papierową chusteczką, jakby oblała się z własnej winy. Kiedy skończyła toaletę, zauważyła stojącego obok psa. - Anjo! Wracaj tu! Przestań się naprzykrzać pani. Isabelle machnęła niedbale ręką i oznajmiła, że cieszy się z wizyty psiego gościa.

Do rozmowy wtrącił się staruszek.

- On nie wie, jaki jest wielki - zaświergotał. - Wydaje mu się, że jest kotem.

Pies otworzył na chwilę oczy, ale ujrzawszy, że wszystko jest w porządku, znów je zamknął. Na razie mógł odpoczywać.

- Wabi się Anjo. Skąd wzięliście państwo to imię?

Starszy pan zbierał się do odpowiedzi, ale nagle urwał, jakby go zatkało. Wybałuszył oczy na żonę, ta zaś spojrzała na niego. Na ich twarzach wykwitły podobne, zakłopotane uśmiechy. Staruszek wzruszył ramionami i pokazał żonie, aby to ona odpowiedziała.

- Nie wiemy. Zawsze tak się nazywał. Czy to nie zabawne?

O ile sobie przypominam, wabił się Anjo już wtedy, gdy kupiliśmy go jako szczeniaka, i tak zostało. No nie? - Spojrzała pytająco na męża, który potwierdził skinieniem głowy. - Na pewno pani nie przeszkadza? Jeśli tak, zaciągniemy go do nas. Jest wielki, ale jak mąż na niego krzyknie, robi się potulny jak baranek.

- Nie, nie. Jest wspaniały. Bardzo nam tu ze sobą dobrze.

Na potwierdzenie jej słów Anjo zapisał, gdy na chwilę przestała go pieścić.

Starsi państwo wrócili do jedzenia spaghetti.

- Isabelle, czy mnie słyszysz?

Nie słyszała. Wzięła do ręki widelec i nadziała na niego porcję jedzenia, unosząc przy tym łokieć, żeby nie poszturchnąć wielkiego, brązowego łba na jej kolanach. Ettrich obserwował ją. Patrzył, jak kroi jedzenie na drobne kawałki, po czym przenosi je pomalutku z talerza do ust. Bez wątplenia Isabelle była najwolniej jedzącą osobą, jaką znał. Często żartowali na ten temat. Twierdziła, że mogłaby przyjść do restauracji pół godziny przed nim, zamówić obiad i zabrać się do konsumpcji. Najprawdopodobniej i tak by ją prześcignął.

Niemniej te spędzone przy jedzeniu godziny należały do najwspanialszych w jego życiu. Dyskutowali, żartowali, opowiadali sobie wielkie i małe anegdoty, które opisywały i tłumaczyły ich życie. Kiedyś w restauracji „OKO Tower” w Londynie Isabelle wstała od kolacji, obeszła stół i pocałowała go w usta, szepcząc zmysłowo: „Uwielbiam to. Bardziej niż wszystko inne”. Wiedział,

o co jej chodzi. Nie miał żadnych wątpliwości. Z okna dwie stopy dalej rozciągał się widok na cały Londyn, rozjarzony światłami. Ta kobieta też była miastem: zatłoczonym, skomplikowanym, ekscytującym; niekiedy przypominała wielki uliczny korek.

Ettrich zamknął oczy, czując wzbierające łzy. Isabelle potrafiła tak łatwo go rozrzewnić. Czasem wystarczyło, że spojrzał na nią po drugiej stronie stołu, i łzy napływały mu do oczu. Czy wywoływała je miłość? Łzy były szczodre - przychodziły zarówno w chwilach szczęścia, jak i w smutku, lecz Vincent Ettrich znał je tylko w związku z tą kobietą. Jak długo miał zamknięte oczy? Cztery sekundy? Pięć? Na tyle długo, żeby dotknąć obu powiek kciukiem i palcem wskazującym i wepchnąć łzy z powrotem. W ciemności, która go na moment ogarnęła, usłyszał znajomy dźwięk: ciche brzęczenie dzwonka. Otworzywszy oczy, odkrył, że znów jest z Isabelle w jadłodajni - daleko od Wiednia, Berndta i psa Anjo. Wciąż trzymała ten dzwonek i szczerzyła się w uśmiechu.

- Zamówiłeś spaghetti al pesto?

- Co?

Uśmiechała się z figlarną miną dziecka.

- W „Stella Marina”. Przecież to twoja ulubiona potrawa.

Zamówiłeś ją?

- Wiesz, gdzie byłem?

- Jasne. Gapiłeś się na mnie i Berndta w „Stella Marina”.

Odchylił głowę do tyłu, splótł palce na karku i popatrzył w sufit.

- Czy zechcesz mi to wszystko wyjaśnić, Fizz?

Nie odpowiedziała. On wpatrywał się w sufit, ona milczała. Cisza, która między nimi zapadła, nie była jednak krępująca - stanowiła raczej antrakt przed zbliżającym się, kolejnym aktem.

- Anjo powiedział mi, że tej samej nocy źle się poczułeś.

Odezwał się wtedy do mnie po raz pierwszy albo drugi. Oznajmił, że masz raka i wkrótce umrzesz. Że sam jeszcze o tym nie wiesz.

- Wiedziałaś przede mną o mojej chorobie? - Ettrich opuścił głowę i spojrzał na nią. Jego oczy były martwe. Choć jej opowieść dotyczyła przeszłości, odczuł ją przejmująco blisko, jakby rozgrywała się na jego oczach.

- Tak, Vincencie. Każde słowo Anjo okazało się prawdą.

- Pies przepowiedział moją przyszłość.

Pokręciła głową.

- Anjo nie jest psem. Jest tym, czym chce, czym najwygodniej mu się stać. Potrafi wcielić się w różne postacie - zwierząt i ludzi. Ma dar.

- Kim on jest?

Znowu potrząsnęła głową.

- Naszym synem. Nic więcej nie wiem. Nie chce mi powiedzieć.

Ettrich zapuścił spojrzenie za okno, by zaraz skupić je na niej.

- Czy to on sprawił, że zachorowałem?
- Ależ skąd, Vincencie! Anjo wyprowadził cię ze świata zmarłych.

Żabi balet

W piętnaście minut po ucieczce Berndta restaurację opuściła Isabelle, wachając swoją dłoń. Przed wyjściem wyjęła z torebki flakonik „Royal Water”, z którym się nie rozstawała, i skropiła lekko nadgarstek. Po tym, co przed chwilą przeżyła, musiała poczuć piękny aromat wody kolońskiej Vincenta. Najchętniej poczułaby zapach jego samego, ale to było niemożliwe. Musiała się zadowolić „Royal Water”. Nawet jednak ta mała cząstka Vincenta spełniła swoje zadanie - zesłała na nią spokój. Sposób ten był niezawodny: parę kropeł na dłoń, zamknięte oczy, głęboki wdech - Vincent.

Gdzie jest teraz? Czym się zajmuje? Zadawała sobie tego typu pytania dziesięć razy dziennie. Myślała o nim dwadzieścia razy. Więcej. Czy znienawidził ją za to, że znowu uciekła? Miał do tego pełne prawo, szczególnie teraz, gdy zostawił rodzinę i wprowadził się tymczasowo do Margaret Hof. Dopóki nie uporządkuje swojego życia. Wtedy zamierzał przenieść się do Wiednia i zamieszkać z nią. Znalazł już sobie pracę w niemieckiej firmie reklamowej, która miała tam swoje oddziały. Dużo straci w porównaniu z tym, ile zarabiał w Stanach, ale nie przejmował się tym.

Vincent różnił się od innych mężczyzn. Nie składał jej obietnic po to, żeby raptem wycofać się w ostatniej chwili. Oświadczył jej tylko raz, że nie może bez niej żyć i że odejdzie od rodziny, kiedy poczuje, iż ma wystarczającą siłę i determinację. Nie wątpiła, że to uczyni, Ettrich bowiem zawsze dotrzymywał danego słowa. Isabelle nie spodziewała się jednak, że zabierze się do dzieła tak szybko. Kiedy zadzwonił i oznajmił:

„Już po wszystkim. Jestem sam”, spadło to na nią jak grom z jasnego nieba. Mówił zasapanym głosem, jakby dopiero co przebiegł wiele mil. Już wtenczas wiedziała, że jest w ciąży, ale nie powiedziała mu. Chciała widzieć jego twarz, gdy przekaze mu tę wieść. Umówili się na najbliższy weekend w Londynie. Zapytała, czy wieczorem mogą się wybrać na kolację do „OKO Tower”, żeby obejrzeć bajeczny widok na miasto i Tamizę ze szczytu restauracji. To tam chciała mu powiedzieć. Urokliwość miejsca, krzyżujące się linie ich losów i tajemnica, którą miała mu wyjawić, tak silnie ją wzruszyły, że w połowie kolacji wstała, obeszła stół i pocałowała go w usta. „Uwielbiam to”, wymruczała tuż przed jego zachwyconą twarzą. „Bardziej niż wszystko inne”.

Pół godziny później - z jej punktu widzenia - ich związek dobiegł końca. Przedtem temat odejścia Ettricha od rodziny leżał nietknięty, niczym gorąca potrawa, która musi ostygnąć po wyjęciu z pieca, zanim będzie ją można zjeść. Mówili o innych rzeczach, o zmianach, jakie zaszły w ich życiu, odkąd widzieli się ostatni raz. Przez cały czas jednak popatrywali na ową potrawę, zastanawiając się, czy wystygła już na tyle, aby zaryzykować pierwszy kęs. Ettrich poruszył tę kwestię niemal a propos, stwierdzając, że dziwnie żyje mu się samemu w małym mieszkaniu po tylu latach spędzonych w przestronnych wnętrzach i wśród rodzinnego gwaru. Wywiązała się dyskusja. Niebawem oboje siedzieli sztywno na krzesłach, spoglądając na siebie ze sporą dozą niechęci. Ku jej przerażeniu, Vincent oświadczył, że zostawił rodzinę dla niej. Ku jego przerażeniu, zgromiła go wzrokiem, zupełnie jakby ją spoliczkował. Była to jedna z tych konwersacji, które przechodziły w sprzeczkę, by zakończyć się krwawą kłótnią. Nie powinna się była zdarzyć. Oboje byli głusi na wzajemne argumenty, a że tej nocy grały im w duszach żywe emocje, ich słowa zostały przekręcone, źle zinterpretowane i w końcu użyte jako amunicja do

ostrzelania partnera. To była najgorsza rozmowa w ich życiu. Wstali od stołu, a raczej zatoczyli się w stronę wyjścia, jak oszołomieni rozbitkowie po przejściu tornada, które zabiło ich bliskich, zrównało z ziemią domy i pozostawiło im tylko oddech w płucach.

Drugim głupstwem, jakie popełnili, był wspólny powrót do hotelowego pokoju w Chelsea, który Vincent wynajął specjalnie na tę okazję. Wydawało im się, że pogodzi ich łóżko. Nic „z tego nie wyszło: oboje utkwili spojrzenia w suficie, nie mając ochoty dotknąć drugiego.

Wyczerpany podróżą i ostatnimi wstrząsami Ettrich nie obudził się, gdy Isabelle wstała skoro świt, spakowała swoje nieliczne rzeczy i wyszła. Nie zwołała kroku przy drzwiach, w nadziei, że usłyszy jego głos, ani żeby zerknąć przez ramię, by sprawdzić, czy on patrzy. Chciała natychmiast odejść. Na dole w foyer skreśliła krótką wiadomość; zamierzała napisać dłuższy list, gdy tylko jej myśli oczyszczą się ze złych emocji. Wręczyła kartkę recepcjoniście. Obrzucił ją podejrziwym wzrokiem, jakby była prostytutką kończącą nocną zmianę. Kiedy indziej przyjęłaby takie nieporozumienie z zachwytem i śmiechem. Tym razem odwróciła się i rozpłakała, ruszając w stronę kunsztownie rzeźbionych frontowych drzwi. Słowa wypowiedziane przez Vincenta zeszłej nocy wżerały jej się w serce jak kwas. Porzucił swoje życie dla niej. Nie dla siebie, nie dlatego, że uzmysłowił sobie w końcu, że najważniejsze jest bycie razem. Oto jego wielki „podarunek”. Uśmiechnęła się gorzko na myśl, że po niemiecku gift oznacza truciznę.

Zatrzymała płową taksówkę i kazała się wieźć na Heathrow. Nie miała pojęcia, o której odlatuje najbliższy samolot do Wiednia. Zorientuje się na lotnisku. Najważniejsze, aby ruszyć z miejsca, zostawić za sobą jego, ten hotel i to miasto, w których ostatniej nocy - osiem godzin temu - kryła się obietnica wszystkich cudów świata. Niech go szlag trafi! Razem z jego „Zrobiłem to dla ciebie”.

Wiedziała, że ucieczka jej nie pomoże. Że świadczy o jej tchórzostwie i niedojrzałości, ale Isabelle Neukor była tchórzem. Choć bardzo się chciała zmienić, brakowało jej wewnętrznej siły.

Miała trzydzieści jeden lat. Wychowała się w cieplarnianych warunkach, które nie dały jej twardości i wewnętrznej siły, kiedy ich potrzebowała. Wiedziała o tym, ale udawała często, że jest inaczej, wprowadzając po drodze w błąd wielu ludzi. Ci jednak, którzy dobrze ją znali, wiedzieli, że Isabelle to papierowy lew. W głębi ducha śmiali się z jej porykiwań, gdyż były to zwykłe sztuczki dźwiękowe, wymyślone przez nią jak przez Czarnoksiężnika z krainy Oz, który ukryty za swoją kurtyną szarpał za płataninę dźwigni i przycisków. Rodzinne pieniądze przypominały papierosy: i jedne, i drugie były - niestety - łatwo dostępne. Nieważne, czy było ci wesoło, czy smutno, leżały zawsze na wyciągnięcie ręki, gotowe cię uszczęśliwić, choćby na kilka chwil. Zbyt często w trudnych chwilach Isabelle wędrowała do banku. Miała trzydzieści jeden lat i wiele razy salwowała się ucieczką. Cierpiała na ataki paniki i często zażywała środki uspokajające. Pewnego razu Ettrich wziął połowę takiej tabletki. Była to najbardziej ciężkostrawna rzecz, jaką kiedykolwiek połknął, i o mały włos kopnąłby w kalendarz. Nie mógł uwierzyć, że Isabelle bierze całą tabletkę niemal każdego dnia.

Dla Vincenta Ettricha jednak wszystko to nie miało znaczenia. Kochał ją bezwarunkowo. W college'u chodził z Włoszką, która zwykła mówić: „Ja po prostu za tobą szaluję”. Zdanie spodobało mu się, choć nie uwierzył swojej ówczesnej dziewczynie. Dopóki nie poznał i nie zabijał się w Isabelle Neukor. Wówczas zyskał stuprocentową pewność, że wie, co to znaczy po prostu za kimsz szalować.

W ciągu czterech dni od ich spotkania Isabelle odkryła przed nim większość swoich tajemnic. Była tym faktem zdumiona i podniecona. Wyznała, że bierze środki uspokajające, które mają uleczyć ją

z nerwicy. Opowiedziała mu o swoich lękach i ukrytych nadziejach na przyszłość. Pewnego dnia chciała mieć dziecko. Wcześniej nie przyznała się, że chce mieć dziecko, przez co pogrzyżyła matkę w rozpacz. Chociaż spała z wieloma mężczyznami, nie spotkała dotąd takiego, z którym chciałaby mieć dzieci. Później podzieliła się z Vincentem swymi sprzecznymi odczuciami na temat jej interesującej, trudnej rodziny. Opowiedziała mu o sprawach, których nie zdradziła nikomu innemu, nawet swemu dobrodusznemu chłopakowi, z którym mieszkała w Nowym Jorku przez trzy lata. A gdy odkryła, jak dobrze jej się z Ettrichem rozmawia, otworzyła się przed nim do końca.

Nie minęło więcej niż pół godziny, odkąd zaczęła się ich pierwsza oficjalna randka, gdy zapragnęła dotknąć jego dłoni, żeby się przekonać, czy są ciepłe, czy zimne. Zamiast tego spytała, co jego zdaniem jest w życiu najważniejsze. Miała nadzieję, że powie coś niezwykłego, a przynajmniej oryginalnego. Na pewno nie „miłość”, „wolność” czy „bycie sobą”. Błagam, tylko nie te wyświechtane frazesy. Chciała widzieć Ettricha jako twórczego i obdarzonego wyobraźnią; chciała go podziwiać. O ile celem Ettricha było za nią „szalować”, o tyle Isabelle dążyła do tego, by choć raz móc podziwiać mężczyznę. Wyczuł, że od jego odpowiedzi wiele zależy. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w swoje ręce, aż wreszcie odrzekł: „Być zrozumianym”.

Jak mężczyzna, który to powiedział, mógł tak kiepsko zrozumieć to, co chciała usłyszeć ostatniej nocy? Dlaczego nie oświadczył: „Zostawiłem wszystko za sobą, bo teraz ty jesteś całym moim życiem”. Albo: „Tylko ty się liczysz, Fizz, i nic oprócz siebie...” Tak byłoby lepiej. Wprawdzie w tych słowach też odzywałyby się lekko zranione uczucia, ale mogłaby z nimi żyć. Ale: „Zrobiłem to dla ciebie”? Z chwilą, gdy to wypowiedział, Isabelle usłyszała zgrzyt przecinającej ich związek gilotyny. Vincent wydał wyrok śmierci na ich związek. Isabelle patrzyła z okna taksówki na Londyn, na ruch uliczny panujący w Hammersmith nazajutrz rano. Co teraz pocznie ze swoim życiem?

Zadzwoił jej telefon komórkowy. Przykryła torebkę rękami, usiłując stłumić ostry, piskliwy sygnał. Była pewna, że to Vincent, nie chciała ulec pokusie odebrania telefonu. Co on jej powie - wróc do mnie? Co się stało? Pogódźmy się? Nie wygłupiaj się. Skazujesz nas na piekło z powodu jednego zdania. Nie bądź dzieckiem, Isabelle. Nie zachowuj się jak tchórz. Staw raz czoło przeciwnościom. Komórka nie chciała przestać. Z każdą sekundą zdawała się dzwonić coraz głośniej. Isabelle mocniej przydusiła torebkę, jak gdyby mogło to jakoś pomóc. Jak inaczej miała się go pozbyć? Zamknij się. Zamknij. Odejdź. Uciszyć się. Daj mi spokój - nie wracam do ciebie, Vincencie. Przypadkiem zerknęła we wsteczne lustro. Kierowca patrzył na nią, wyraźnie zastanawiając się, czemu nie odbiera telefonu. Cholera! Otworzyła torebkę i pomacała w środku, szukając komórki.

Wyłączy to paskudztwo i będzie spokój! Drrrrrr. Telefon leżał na dnie torebki. Wcisnęła wyłącznik i trzymała na nim palec.

Zielony wyświetlacz zgasł, a mimo to dzwonienie nie ustało. Zmarszczyła brwi. Co się dzieje? Jak wyłączony aparat może dzwonić? DrrrDrrr. Podniosła klapkę i wyciągnęła baterię. W jednej ręce miała baterię, w drugiej telefon, który dalej pisał po swoim.

- Przepraszam panią - odezwał się głośno kierowca. - Mogłaby pani odebrać? Ten pisk rzuca mi się na mózg. Sześć razy nadusiła czerwony guzik. Komórka jednak wciąż dzwoniła, tyle że ni stąd, ni zowąd zmieniła się melodyjka. Teraz była to słynna fraza z walca Johanna Straussa Nad pięknym modrym Dunajem: Dadadadada/Didi/Didi. Mały ekranik rozjarzył się ponownie, tym razem na pomarańczowo. Nigdy przedtem nie był pomarańczowy. Czarne logo

przedstawiało tańczącą parę, sunącą po wyświetlaczu w takt muzyki. Po chwili tancerze zniknęli, a melodyjka umilkła. Zamiast nich pojawiły się słowa „ZADZWONÍ DO ANJO”. Z wytrzeszczonymi oczami Isabelle pokręciła głową, nie przyjmując tego, co się dzieje, do wiadomości.

- Kto to jest Anjo? - zapytała równie głośno jak przed chwilą taksówkarz.

- Dziękuję.

Zaskoczona zmrużyła oczy i spojrzała we wsteczne lusterko.

- Co?

Taksówkarz uniósł podbródek.

- Dzięki za odebranie komórki.

Isabelle znieruchomiała, próbując wyregulować ostrość widzenia swego umysłu. Nie miała pojęcia, o czym ten facet mówi. Jej nawiedzony telefon tkwił w jednym ręku, a bateria w drugim. Taksówkarz paplał bez sensu, ona zaś miała zadzwonić do niejakiego Anjo, o którym nigdy wcześniej nie słyszała. Isabelle urwała, by napić się wody. Obserwowała Ettricha znad krawędzi kieliszka, dużymi, szczęśliwymi teraz oczami. Gadała od dłuższego czasu. Ani razu nie wszedł jej w słowo.

Przyglądał się jej twarzy, malującym się na niej zmiennym nastrojom, ślicznym małym ustom i zwinnemu, mokremu językowi, nadającym formę słowom. Kiedy tak słuchał i patrzył, Isabelle odżywała w jego wspomnieniach, choć siedziała przecież na wprost niego i snuła swoją szaloną opowieść o telefonicznych komunikatach odbieranych od ich nie narodzonego dziecka.

- A więc pierwszy raz Anjo skontaktował się z tobą tamtego ranka w Londynie, używając twojego telefonu jak pagera? Odstawiła kieliszek na stół z cichym brzdęknięciem.

- Pagera?

- No, kiedy wysłał SMSa na twój telefon?

- Tak.

Skrzyżowali znaczące spojrzenia, jego oczy mówiły: „To jakiś obłąd”, jej odpowiadały: „Wiem, ale to prawda”.

- Twoja komórka naprawdę zagrała Nad pięknym modrym Dunajem?

- Tak, i ta melodia została do dzisiaj. Nie mogę jej zmienić.

Próbowałam. - Roześmiała się. - Nienawidzę tego walca. Nawet nie wiesz, ile musiałam się go nasłuchać, żyjąc w Wiedniu. - Przeniosła wzrok nad ramieniem Vincenta i zobaczyła stojącą w kącie kelnerkę, rzucającą w ich stronę kwaśne spojrzenia. Isabelle wiedziała, że tamta się ich boi; przełękała się tego, co usłyszała od niej na temat swojej rodziny. Był to zapewne ten sam rodzaj strachu, który poczuła, gdy Anjo zjawił się pierwszy raz i odkąd zaczął ją prześladować. A może tylko jej dokuczał? Sama nie wiedziała, czy Anjo jest inteligentny, czy okrutny. Wkraczał w jej życie i znikał nagle i nieprzewidywalnie, jak niespodziewany bukiet kwiatów albo bolesny kuksaniec w plecy.

- Kiedy tak naprawdę zaczął z tobą rozmawiać?

— W kawiarence w Wiedniu. Chciałbyś zobaczyć?

— O nie! - Ettrich podrzucił obie ręce w górę, odtrącając jej zaproszenie do ponownej „podróży” w przeszłość. - Po prostu opowiedz mi o tym, Fizz.

- Mniejsza z tym. Dużo ważniejszy był moment, kiedy Anjo poinformował mnie o tobie i o tym, co ci się przydarzy.

- Opowiedz mi o tym. - Ettrich stwierdził, że przyspieszył mu się oddech. Niezadowolony przewrócił oczami. Kolejny symptom postępującego starzenia się: jego ciało reagowało bardziej emocjonalnie niż dawniej. Sytuacje i wydarzenia, które niegdyś skwitowałby wzruszeniem ramion, teraz budziły w nim żywe odczucia. W zeszłym miesiącu usłyszał w radiu rockową grupę The Blue Nile śpiewającą Midnight Without You, cudowną, nieco jazzującą balladę o końcu miłości. Dzięki Bogu, że Ettrich był sam w domu, bo po kilku taktach rozbeczał się jak dziecko.

Ostatnio, ilekroć dopadały go nerwy, zaczynał dziwnie sapać albo zaciskał dłonie aż do bólu. Czasem też zbierało mu się nagle na odcedzanie kartofelków. W pewnym sensie jego ciało cofało się do czasu dzieciństwa, w którym akcji odpowiada prosta reakcja: jest ci smutno, więc płaczesz. Boisz się, więc sikasz w majtki. Może starzenie się oznacza, że stajesz się więźniem zachcianek własnego ciała.

- ...idąc Windmuhlgasse...

- Powoli, Fizz. Nie dosłyszałem pierwszej części. Mogłabyś powtórzyć?

- Wysłałam ze „Stella Marina” i zdałam sobie sprawę, że jak wrócę do domu, po tym, co się stało, nie będę mogła usiedzieć w miejscu. Była dopiero dziewiąta, ale nie chciało mi się jechać do centrum. Wtedy przypomniałam sobie, że „Ritter” otwarta jest do późna. Pięć minut drogi na piechotę, postanowiłam tam pójść. Wiesz, jak wygląda JRitter” - ogromna kawiarnia w stylu lat pięćdziesiątych, zasnuta dymem i cieniem, nawet za dnia. W środku było niemal pusto. Od razu zauważyłam dziecinniego wózek stojący przy jednym ze stolików. Pomyślałam, że to dziwne, brać dziecko na spacer w tak późny wieczór. Usiadłam przy oknie z tyłu sali i zamówiłam kieliszek wina. Zadzwoiła do mnie Córa. Tak się z nią zagadałam, wyglądając przez okno, że zapomniałam o bożym świecie. Nagle coś dotknęło mojego kolana. Odwróciłam się i zobaczyłam, że opiera się o mnie małe dziecko. Patrzył na mnie mały chłopczyk. Wyglądał na Turka albo Jugosłowianina, miał ciemną karnację, grube czarne kędziory i wielkie brązowe oczy. - Przygryzła dolną wargę i zachichotała. - Był też wyjątkowo brzydki. Wiem, że nie powinno się tak mówić o dzieciach, ale takiego brzydala chyba tylko matka mogłaby pokochać. Oczami wyobraźni Ettrich ujrzał małego gнома, trolla żyjącego pod bajkowym mostem.

- W jakim sensie? - zapytał. - Był odrażająco szpetny czy po prostu brzydki?

- Zwyczajnie brzydki. Płaski nos, wielkie, obwisłe usta. Brzydka. Patrząc na niego, myślałam sobie: no, może jak dorosnie, to trochę wyprzystojnieje. Ale na dobrą sprawę wiedziałeś, że tak nie będzie. Dlatego wzrusza mnie widok kobiet rozplwających się w zachwytach nad brzydkimi dziećmi. Niech je Bóg błogosławi, wiesz, co mam na myśli?

Ettrich nie oparł się pokusie, żeby dać jej prztyczka.

- Nadęta snobka.

Isabelle przytaknęła i uśmiechnęła się.

- Nazywam rzeczy po imieniu.

Ucałował dzielące ich powietrze i poprosił, aby kontynuowała.

- Najpierw myślałam, że to jego wózek. Rozejrzałam się za jego rodzicami, ale ponieważ siedziałam bokiem, nie widziałam ich stolika. No więc mały pan Brzydał i ja badaliśmy się wzrokiem. Był tyciuteńki, pamiętaj o tym, wyobrażając go sobie. Kiedy szedł, kołysał biodrami jak kacuszka. Gdybyś dał mu palec, objąłby go całą ręką. Po jakimś czasie uśmiechnęłam się do niego, ale on nic. Zamiast się uśmiechnąć, odezwał się cicho, lecz bardzo wyraźnie: „Posadź mnie na swoich kolanach”. Mówił dziecinnym głosem, ale dziecko to to nie było, Vincencie.

- Chryste Panie. - Ettrich odchylił się na krzesło i mocno potarł dłonie, jakby usiłował strząsnąć wszy.

- W porządku, domyślam się, co czujesz. Ale pamiętaj, że Anjo jest figlarny, a czasem wręcz niegrzeczny. Po jakimś czasie można się przyzwyczaić do jego sztuczek.

- Nie, Fizz: wybac. Podczas jednego wieczoru Anjo przychodzi do ciebie najpierw jako stufuntowy pies obronny, a pół godziny później jako dziecko gadające jak stary? Nigdy nie przyzwyczajają się do czegoś takiego.

- Niestety, nie miałbyś wyboru. No więc podniosłam go i posadziłam na kolanach. Kazał mi się ze sobą bawić jak ze zwykłym dzieckiem, żeby otaczający nas ludzie nie nabrali podejrzeń. Popierdolony - rzucił Ettrich, dalej pocierając ręce.

- Co takiego?

- Ten cały bajzel. - Jego głos przeszedł w falset. - To jest zupełnie chore. Siedzimy tutaj i rozmawiamy o tym spokojnie, ale to jedno wielkie wariactwo!

Isabelle umilkła, czekając, aż sztorm się wyhuczy. Vincent dyszał i prychał, zbierając siły do dalszej tyrady, wreszcie jednak dał za wygraną.

- Czy mogę mówić dalej? - odezwała się z naciskiem i uniosła pytająco brew.

- Oczywiście! Powiedz mi, w jaki sposób ten mały zgred oznajmił ci, że czeka mnie śmierć.

- Po kolei...

- Powiedział: „Po kolei”? Nie rozumiem.

- Zamknij się, Vincencie. Coś tu się nie zgadza.

Nie trzeba mu było tego dwa razy powtarzać. Ettrich wyprężył się w środku na baczność. Zlustrował czujnie restaurację, niczym agent służb specjalnych ochraniający zmieszanego z tłumem prezydenta. Szukał wroga z taką pilnością, że nie spostrzegł, jak Isabelle zebrała swoje rzeczy i się podniosła.

- Musimy wyjść.

- Dlaczego?

- Tak mówi Anjo. Mamy się stąd zaraz ewakuować.

Ettrich cisnął na stół dwudziestodolarowy banknot i pozbierał się na nogi. Isabelle opuściła już swoją część kabiny i była przy drzwiach. Wyciągnęła do niego rękę. Ujął ją i oboje wyszli szybko na zewnątrz. W ostatnim momencie Ettrichowi mignęła twarz obsługującej ich kelnerki. Malował się na niej triumf - wychodzili.

Zamiast do jego samochodu Isabelle skierowała się w przeciwną stronę. Pociągnął jej rękę, próbując ją zatrzymać.

- A ty dokąd? Samochód jest tam. - Wskazał palcem na parking.
- Nie możemy jechać twoim autem. Chodź. - Teraz z kolei ona pociągnęła jego.
- Hej. Tam są wszystkie twoje bagaże.
- Mniejsza o nie. Ruszajmy, Vincencie! - Zerknęła na niego przez ramię, a potem spojrzała ku restauracji. Z jej jasnych oczu wycierał strach - Ettrich bez namysłu także się odwrócił. Wszystko było na swoim miejscu.

Znawali się na tym charakterystycznym pasie ziemi niczyjej, który rozciąga się między wielką metropolią a lotniskiem i przez który samochody śmigają tam i z powrotem, rzadko się zatrzymując, zwłaszcza w nocy. Strefa tranzytowa, jakiś przystanek autobusowy, na którym nigdy nie stajesz, obszar między tu i tam, część miasta znana ci jedynie z okna samochodu. Pobudowane tutaj sklepy wydają się otwarte, ale wiecznie opustoszałe - tanie bary z szybkim jedzeniem, sypiące się w gruzy szkoły karate i sklepy meblowe z grubą metalową siatką osłaniającą wąskie drzwi. Raz po raz widzi się idącego tędy człowieka, ale wygląda on na pijanego, zagubionego albo niebezpiecznego.

Isabelle ścisnęła Ettricha za rękę, maszerując prosto przed siebie; ani razu nie obróciła głowy. Sprawiała wrażenie, że wie, dokąd idą, czas jednak upływał, a ona wciąż szła i szła. Przez pierwszą milę Ettrich trzymał język za zębami, ciesząc się ze wspólnego spaceru i oglądając tę dziwną, szarą strefę, przez którą wcześniej przemyczał w drodze na lotnisko. Od czasu do czasu mijali ich jasno oświetlony autobus, wypełniając powietrze hurkotem silnika i duszącymi spalinami. Ettrich uzmysłowił sobie, że zewsząd otacza ich albo szum ciężarówek i aut osobowych, albo też stukot ich własnych kroków na chodniku. Była to wielkomięjska cisza w rodzaju tej, która zapada o trzeciej nad ranem, kiedy po wyjściu z przyjęcia człapiasz ulicą, daremnie szukając taksówki.

- Isabelle, dokąd idziemy?
- Nie wiem. Czekam.
- Na co?
- Aż Anjo powie mi, dokąd iść.

Wydął usta.

- Okej. Czy możesz mi przynajmniej wyjaśnić, dlaczego musieliśmy tak nagle zmyć się z tej jadłodajni i pójść na spacer?

Obok przejechał srebrny jeep cherokee, którego wewnątrz dudniło ciężką muzyką, pełną basów i bębnow. Z okna pasażera wystawał trupioblady łokieć. Isabelle odpowiedziała coś, lecz jej słowa utonęły w powodzi dźwięków.

- Co? Nie dosłyszałem, co mówiłaś.
- Wyszliśmy, bo znalazłeś się w niebezpieczeństwie. Anjo je wyczuł i mnie ostrzegł. Twój samochód też nie był bezpieczny, Vincencie. - Nadal maszerowała dziarsko przed siebie, nie wiadomo dokąd.
- Stój. - Ettrich chwycił ją za ramię. Próbowwała iść dalej, ale jej nie pozwolił. Wolnego.
- Vincencie, musimy...

- Nie. Tu i teraz masz mi powiedzieć, jakie niebezpieczeństwo mi grozi. Tym bardziej że... już jestem martwy. Albo byłem. Co jeszcze mogą mi zrobić - zabić mnie drugi raz? Ty natomiast żyjesz i jesteś w ciąży.

Rozejrzała się na lewo i prawo, jak gdyby zamierzała przejść na drugą stronę ulicy i sprawdzała, czy nie zbliżają się samochody. Gdy obróciła się ku niemu, w jej oczach były miłość i przerażenie.

- To strasznie skomplikowane, Vincencie. Potrzebuję mnóstwo czasu, żeby ci to wszystko wytłumaczyć. Nie przekonała go.

- Streść się w paru słowach. Nie mam się czego uchwycić, Fizz. Daj mi jakiś punkt zaczepienia.

- Ciebie nie powinno tu być. Umarłeś, odszedłeś. Ale Anjo przywrócił cię do życia, bo jesteś mu potrzebny. Musisz mu pomóc, zanim się narodzi. Oboje musimy żyć, dopóki Anjo nie przyjdzie na świat.

- Dlaczego?

- Nie chce mi powiedzieć.

Obok nich przemknęły dwie ogromne ciężarówki - niebieska i, tuż za nią, czarna.

Ettrichowi cisnęło się na usta pięćdziesiąt pytań, wiedział jednak, że zdąży zadać co najwyżej kilka.

- Czemu nic nie pamiętam? Choroby, pobytu w szpitalu, umierania... Wszystko to uleciało mi z głowy.

- Tylko w ten sposób Anjo mógł cię wskrzesić. Kasując twoje wspomnienia z tamtego okresu.

- Kiedy tu nie chodzi tylko o mnie, Isabelle. Wszyscy traktują mnie tak samo jak przedtem: Kitty, koledzy z pracy, Margaret Hof. Nie wiedzą, że umarłem. Jak to wyjaśnić?

- Anjo nadał wszystkiemu nową formę.

Ettrich nie uwierzył jej.

- Jeśli jest taki potężny, umie dokonać takich rzeczy, to czemu potrzebuje mnie? I ciebie?

Isabelle uśmiechnęła się - pierwszy raz od ponad godziny.

- Potrzebuje mnie, ponieważ jestem jego matką. A dlaczego potrzebuje ciebie, poza tym, że jesteś jego ojcem? Może dlatego, że wie, jak bardzo jesteś mi potrzebny. Podejźmy do tego przystanku. Wejdziemy do następnego autobusu. - Ruszyli w stronę niewielkiej metalowoszklanej wiaty stojącej pięćdziesiąt stóp dalej. - Musisz wiedzieć o jeszcze jednym, Vincencie: teraz, gdy znasz prawdę, dysponujesz wielką mocą. Jeżeli dotychczas nie odkryłeś w sobie niezwykłych zdolności, wkrótce to nastąpi.

Ettrich przypomniał sobie, jak parę dni temu przywrócił numen umierającemu taksówkarzowi, ratując mu życie. Była jeszcze jedna sprawa, która nie dawała mu spokoju.

- O mojej śmierci wie również dwoje innych ludzi: Coco Hallis i Bruno Mann. Znasz ich?

- Wspominałeś mi o niej. Nie, nie znam ich.

- Cała ta historia zaczęła się od tego, że zobaczyłem na jej karku wytatuowane imię i nazwisko Brunona.

- Na jej karku? O raju, to się nazywa miłość. Nie wiem, czy bym się na to zdecydowała, nawet dla ciebie. Od kiedy oni są ze sobą?

- Nie są ze sobą. W ogóle się nie znali, dopóki ich sobie nie przedstawiłem. Kilka dni temu.

- Aha, i wtedy Coco wytatuowała sobie jego nazwisko na karku? - zapytała Isabelle ze zdumieniem i podziwem. Ettrich nie zdążył sprostować, gdyż nadjechał zielony autobus i zatrzymał się przed nimi. Drzwi otworzyły się z sykiem. Oboje wspięli się po dwóch schodkach i weszli do wnętrza.

Kierowca otaksował ich szybko wzrokiem, sprawdzając, czy są niegroźni, po czym wcisnął guzik zamykający drzwi. Na końcu siedziało dwoje pasażerów. Autobus ruszył i Isabelle, łapiąc równowagę, chwyciła Ettricha za rękę. Wsadził drugą dłoń do kieszeni, szukając drobnych, żeby zapłacić za przejazd.

Powstrzymała go.

- Nie, nie. Pozwól.

Przypomniał sobie, że Isabelle lubi kupować bilety, wrzucać monety do automatu, odliczać resztę i rachować na kalkulatorze. Otworzyła torebkę i wyjęła ładny portfel z brązowej skóry, który kupił jej u „Connolly’ego” w Londynie podczas ich ostatniej wizyty. Mimo upływu czasu Ettrich skrzywił się lekko na wspomnienie tej katastrofalnej wycieczki. Kiedy szli wąskim przejściem między siedzeniami, Ettrich zapytał:

- Gdzie poszłaś wtedy rano w Londynie, po tym jak mnie zostawiłaś?

- Co? - Autobus rozpedził się z warkotem silnika, wpadając w dziury i podskakując na wybojach, jakby nie miał amortyzatorów. Isabelle przystanęła i opadła na wolne miejsce przy oknie. Zaprosiła go gestem, aby się przysiadł. Zajął wolne siedzenie obok niej.

- Gdzie poszłaś wtedy rano, jak mnie zostawiłaś w Londynie?

- Pojechałam taksówką na lotnisko - odparła suchym staccato. - Siedziałam tam trzy godziny i czekałam na samolot do Wiednia. I ryczałam. Nienawidziłam cię.

Ettrich wiedział, że lepiej na razie nie drążyć tego tematu. Kiedy Isabelle była zdenerwowana albo niepewna, jej głos wyraźnie się podnosił. Mówiła też znacznie szybciej, jakby jej słowotok miał cię przekonać, że mówi prawdę, a przynajmniej nie dopuścić cię do głosu. Jeżeli - mimo to - wciąż się z nią nie zgadzałeś, zaczynała trajkotać jeszcze prędzej, często nie żałując ci przy tym złośliwości, które zostawiały niepotrzebne rany.

Kilka sekund później wszystko to przestało się liczyć, gdyż znienacka Vincenta Ettricha przeszył ból tak dotkliwy, że powinien był go zabić. Ettrich nie mógł zamknąć oczu, wziąć oddechu ani mrugnąć powieką. Co gorsza, zachował pełną jasność myśli i natychmiast sobie przypomniał, że jest to ten sam ból, jaki poczuł w momencie śmierci. Oto, co go wykończyło parę tygodni temu. Pierwszy raz od powrotu do życia świadomie przypomniał sobie coś, co wiązało się z tamtym wydarzeniem.

Tym razem jednak ból nie skończył się błogą nieświadomością. Trwał dalej. Był tak przejmujący, że pochłoniął jego kości, mózg i krew. Był wszechpotężny. Był Bogiem.

- Nie poddawaj się. Jesteś silniejszy.

Słowa te dotarły do Ettricha z agonii nie kończących się chwil, a on nie tylko je usłyszał, ale też zrozumiał. I wtedy ból ustał. Skończył się równie nagle, jak się zaczął, pozostawiając Ettricha z

uczuciem wewnętrznej pustki, wydrażenia. Ettrich poczuł się lekki jak powietrze, niby chmurka przesuwaną się wysoko nad ziemią.

- Vincent?

Ktoś go wołał.

- Vincencie!

Bezwiednie obrócił głowę i dopiero teraz uprzytomnił sobie, że patrzy na kogoś. Kobieta: Isabelle Neukor. Nie zareagował. Zamknął powoli oczy, jak wygrzewająca się na słońcu jaszczurka.

- Co się stało, Vincencie? Dobrze się czujesz? - Trzymała go za rękę.

Świadomość, ostrość widzenia i wreszcie świat powróciły do niego bez zbędnego pośpiechu. Najpierw usłyszał Isabelle, potem ją zobaczył, w końcu zaś rozpoznał, kim jest - i ucieszył się. Wkrótce doszły zapachy: gęsty smród spalin, świeży ryżowy chleb w plastikowej siatce, pomarańcze. Ale nie koniec na tym. Po chwili Ettrich wyczuwał woń trzech wytartych miedzianych centówek tkwiących w przedniej kieszeni spodni kierowcy. Smażonego dorsza w małej budce, którą autobus mijał na trasie, i miętowy krem na ustach kobiety siedzącej o kilka rzędów za nimi. Jakby ktoś wyciągnął z niego filtr odcadzający zapachy życia, tak iż zalała go fala woni i aromatów. Autobus przyhamował gwałtownie, by uniknąć zderzenia z samochodem, który go wyprzedził. Isabelle wciąż go dotykała; czując zapach jej ciepłej skóry pod dużym zegarkiem JBreitling", Ettrich opowiedział jej cicho o tym, co mu się właśnie przydarzyło. Ból, tajemniczy głos, pustka następująca po bólu, zapachy wypełniające pustkę... Podczas gdy zdawał jej tę osobliwą relację, autobus toczył się dalej, wioząc garstkę pasażerów przez miasto. Trudno sobie wyobrazić bardziej powszedni widok: niemal pusty wieczorny autobus. W nim czwórka pasażerów, z których dwoje patrzy przez okno ślepymi, okrągłymi oczkami wypchanych zwierząt. Mógłby to być obraz Edwarda Hoppera. Tyle że jeden z pasażerów - czterdziestoletni mężczyzna rozmawiający z urodziwą kobietą - niedawno umarł i został wskrzeszony przez nie narodzone dziecko, które kobieta nosi w swoim łonie.

- Głos, który słyszałeś, musiał należeć do Anjo. To, że go usłyszałeś i zrozumiałeś, uratowało ci życie. Ponieważ ten ból był twoją śmiercią, Vincencie. Przyszedł po ciebie. Wyszliśmy z restauracji, bo zbliżała się po ciebie Śmierć. Siedziała już w twoim samochodzie, dlatego nie mogliśmy nim jechać. Myślałam, że uciekniemy, ale się pomyliłam. To wspaniale, że udało ci się ją pokonać.

- Anjo ci to powiedział?

Przytaknęła.

- Co jeszcze?

- Że Śmierć jest głupia, ale bardzo uparta. Zabiła cię raz tym bólem, więc spróbowała ponownie. Nie udało jej się, bo teraz, dzięki Anjo, jesteś silniejszy. Odzywając się do ciebie, Anjo przypominał ci, że nie jesteś już tą samą osobą, która umarła z bólu poprzednim razem. Śmierć chce cię odzyskać jako swoją własność. Nie należysz do tego świata. Wylezie ze skóry, żeby tylko cię dostać. Twoja przewaga polega na tym, że... - Odwróciła wzrok. Gdy znów na niego spojrzała, jej oczy lśniły. - Chciałam cię okłamać, ale nie potrafię. Szansa, że pokonasz Śmierć, jest minimalna. Anjo uprzedził mnie o tym, zanim sprowadził cię z powrotem. Śmierć jest co prawda głupia, ale nigdy się nie poddaje. Być może przyjdzie szybciej, niż się spodziewasz.

- Dobrze, a co z ludźmi takimi jak ja? Tymi, którzy wracają? Czy obowiązują ich te same reguły? Pokręciła głową.

- Nie wiem, Vincencie. Nie mam pojęcia, jak to działa.

Dalej jechali już w milczeniu. Ettrich stopniowo wychodził z szoku, odzyskując siły i przytomność umysłu. Isabelle oparła głowę na jego ramieniu i przymknęła powieki. W tej chwili najbardziej pragnęła pójść z tym mężczyzną do łóżka i kochać się z nim do utraty tchu.

W godzinę później, po trzech przesiadkach, znaleźli się przed blokiem Ettricha. Budynek nie spodobał się Isabelle, lecz nie pisnęła o tym ani słowem. Wyglądał zbyt nowoczesnie i bezduszenie - dokładnie tak, jak powinien wyglądać pseudopostmodernistyczny apartamentowiec, do którego przeprowadza się zamożny mężczyzna po rozstaniu się z rodziną, żeby czekać na samolot do nowego życia.

Wjechali na czwarte piętro lśniąca metalem i szkłem windą, która tchnęła lekką wonią kolendry. Ettrich nie wypuszczał ręki Isabelle. Korytarz na czwartym piętrze miał ten charakterystyczny beżowołososiowy odcień, który widzi się w modnych restauracjach i sklepach z meblami w stylu New Age. Isabelle zachnęła się. W takich budynkach mieszkały japiszony, faceci w szelkach, posiadacze mercedesów i milionerzy z Microsoftu. Ludzie, którzy zastanawiali się, czy kupić domek letniskowy w Kostaryce czy na jednej z greckich wyseppek. Dlaczego Vincent wybrał sobie takie lokum? Widok. Jak tylko otworzył drzwi do swego jednopokojowego mieszkania, Isabelle podeszła wprost do dużego okna i przycisnęła ręce do zimnej szyby. Widok nie był wspaniały, ale przykuwał uwagę. Położona po drugiej stronie miasta wieża telewizyjna sterczała jak srebrnoszary palec wycelowany w nocne niebo. Isabelle długo wpatrywała się w krajobraz; czuła się coraz bardziej bezpieczna w tym małym mieszkanku nad miastem, razem z Vincentem. Podeszedł do niej i podał jej kieliszek Chivas Regal z kroplą wody - jej ulubiony drink. Wiedział, jak Isabelle lubi whisky. Wiedział, co lubi, a czego nie. Na parapecie leżał przedmiot, na którego widok uśmiechnęła się, sącząc drinka. Był bardzo ważny dla nich obojga.

Ettrich trzymał go zawsze na widoku. Jego kawalerka była pusta, sterylna i przygnębiająca. Wynajął ją tylko dlatego, że czuł się znużony separacją i potrzebował tymczasowego miejsca, które by mógł nazwać domem. Oddychał tutaj, jadł posiłki na wynos, spał niespokojnym snem i trwonił czas na rozmyślenia o tym, gdzie wolałby teraz być. Ten przedmiot na parapecie, choć wydawał się głupawy, stanowił jego talizman. Pocięczał go i dawał nadzieję na lepszą przyszłość. To pierwszy prezent, jaki sprawiła mu Isabelle.

Była to zielona gumowa żabka, wysoka na jakieś dziesięć cali, ubrana w białą spódniczkę baletnicy. Stała w klasycznej baletowej pozie, na jednej wielkiej, zielonej stopie, z rękami wygiętymi w łuk nad głową. Wyglądała zarazem absurdalnie i frapująco.

Isabelle kupiła ją za mniej więcej dolara na wiedeńskim pchlim targu, kiedy miała dwadzieścia cztery lata. Żabka podróżowała z nią po świecie i była jedną z pierwszych rzeczy, które Isabelle wyciągała z walizki i umieszczała na upatrzonym miejscu po każdej przeprowadzce. Osądzała ludzi po tym, jak reagowali na żabkę. Jeśli ktoś brał ją za dziewczęcą błahostkę, skreślała go bez namysłu. Jeżeli okazywał powagę, zachwyty lub zaciekawienie, dopuszczała go bliżej do swego serca. Nie wyjaśniała, jak weszła w posiadanie figurki, dopóki nie poznała zdania danej osoby na jej temat. Gdy Vincent ujrzał żabkę po raz pierwszy, podniósł ją, poobracał chwilę w palcach i mruknął do siebie: „Święta prawda”. Zaintrygowana Isabelle spytała go, co ma na myśli. Zanim odpowiedział, żabka puściła się w taniec na jego dłoni.

- Wszyscy jesteśmy jak ta żaba. Nosimy śmieszne sukienki do baletu, próbujemy tańczyć Jezioro łabędzie. To takie smutne i urocze. Żabi balet z udziałem tysięcy ludzi. Ale - milionów, miliardów!

Kilka dni po pierwszej nocy spędzonej z Vincentem Isabelle zaskoczyła samą siebie, podarowując mu żabkę. Wzruszenie, które ją opanowało w chwili, gdy mu wręczała figurkę, zażenowało ją. Drżącym z emocji głosem oświadczyła uroczyście:

- Chciałabym, żebyś to zatrzymał.

Ettrich bez słowa wziął żabkę i przyłożył ją do piersi.

- Jej oddanie znaczy dla mnie dużo więcej niż oddanie ci mojego ciała. Rozumiesz?

Zrozumiał. Dostrzegła to na jego twarzy. Okropnie się bała. Od lat nikt nie sprawił, że czuła się tak otwarta, bezbronna i szczęśliwa, a już na pewno nie żaden kochanek. To się stało w mgnieniu oka. Wspomnienia skłębiły się w jej głowie, kiedy tak stała, z kieliszkiem whisky w ręku, i gapiała się na sterczącą na parapecie żabkę.

Wskazała ją kieliszkiem.

- Dałeś jej jakieś imię?

- Skąd! To byłoby świętokradztwo. Ta żaba to Jederfrosch.

Zachichotała z jego kiepskiego żartu.

- Ale się z nią nie rozstajesz?

- Nigdy. To moja prawa ręka. No i jedyna dekoracja w tej chałupie.

Głowa Isabelle przesunęła się z lewej na prawą, wolno lustrując pokój.

- Zauważyłam. Przecież lubisz ładne przedmioty. Czemu twoje mieszkanie jest takie puste? Takie... jałowe? Zrobił krzywą minę.

- Powiesiłem raz fotografię na tej ścianie, ale była tak śliczna, że psuła mi humor, więc ją zdjąłem. To nie mój dom, Fizz. Dom jest w Wiedniu, przy tobie. No, przynajmniej miał tam być, zanim umarłem. - Rozbawiony własnym spostrzeżeniem uśmiechnął się.

- Czemu się uśmiechasz?

- Powiedziałem to bez namysłu. Jakby to była najzwyklejsza rzecz w świecie - zanim umarłem.

Postawiła kieliszek na parapecie obok żabki i podeszła do Ettricha.

- Nie wiem, co będzie później, ale teraz jestem tutaj. Jesteśmy znowu razem. Objął ją w talii.

- Dzięki Bogu.

Rozpięła górny guzik jego koszuli. Zawahał się, po czym przykrył jej zimne dłonie swoimi ciepłymi, zatrzymując ją w połowie gestu.

- Myślisz, że Anjo nie będzie miał nic przeciwko temu? - zapytał zaniepokojonym tonem. Mówił całkiem serio. Uśmiechnęła się do niego słodko. Kochała go za jego troskę.

- To miło, że się troszczysz, ale na razie nie jestem taka kruchotka. To dopiero trzeci miesiąc. Nic mi nie będzie. Mamy mnóstwo czasu. A jeśli mu będzie ciasno, przesunie się w głąb pokoju. - Odpięła mu drugi i trzeci guzik, wyłuskując je z dziurek sprawnymi palcami. - Twoje mieszkanie musi nabrać trochę rumieńców.

- Mówiłem ci już...

Delikatnie tryknęła go głową w podbródek.

- Zaraz, tej nocy. Trzeba wlać w nie trochę życia. Na myśl, że siedzisz tu samotnie noc w noc, przechodzą mnie dreszcze.

- No, nie jest znowu tak źle - zaoponował, patrząc, jak jej palce pokonują ostatni guzik.

- Jest koszmarnie. - Ściągnęła z niego koszulę, położyła mu ręce na ramionach i odwróciła go tyłem do siebie. Wiedział, co Isabelle zamierza zrobić. Był szczęśliwy. Kiedy Ettrich był dzieckiem, niemal każdej nocy, gdy szykował się do snu, do jego pokoju przychodziła matka. Po tym jak umył buzię i wyczyścił zęby, podciągał bluzę piżamy i kładł się twarzą w dół na łóżku. Matka siadała koło niego i powoli, powoli, lekko, leciutko, leciuteńko muskała go po plecach swymi długimi, czerwonymi paznokciami, w górę i w dół. Nazywała je „robaczkami”. Czasami rozmawiali, lecz z reguły panowała cisza - oboje zresztą woleli wtedy milczeć. Przez kilka minut oddawali się własnym myślom, połączeni przez te cudowne małe paluszki, sunące jak rozmarzone raz tu, raz tam po plecach. Zabiegi te niechybnie uspokajały, pocieszały i w końcu hipnotyzowały małego, nerwowego chłopca, który poddając im się, zasypiał obok matki. Jako dorosły i ojciec, Ettrich wzruszał się, wiedząc, że matka musiała ostrożnie obciążać górę jego piżamy i okrywać go kołdrą, tak aby się nie zbudził.

Ettrich opowiedział Isabelle o „robaczkach” pewnego ranka, kiedy pitrasił w jej domu śniadanie. Miał na sobie bokserki i bawełnianą koszulkę. Uwielbiała jego historyjki z dzieciństwa, każdej wysłuchiwała z najwyższą uwagą. Tym razem jednak, podczas jego opowieści, podkraǳła się do niego i zniemacka naciągnęła mu koszulkę na głowę. Znieruchomiał jak kamień, trzymając łopatkę w powietrzu, z głową całkowicie przykrytą bawełnianym kapturem.

W przeciwieństwie do jego matki, Isabelle nie miała długich paznokci, lecz niedostatki te nadrabiała cudownym, migotliwym wyczuciem. Dotknęła podstawy jego karku i przesunęła pomalutku wszystkie dziesięć palców wzdłuż jego pleców. Ich ulotna lekkość sprawiła, że dostał gęśiej skórki. Wciąż miał zasłonięte oczy i trzymał w powietrzu jajowatą łopatkę, tak iż przypominał coś na kształt szurniętej Statuy Wolności.

- Nie chcesz wiedzieć, jak się kończy moja opowieść o robaczkach? - zapytał spod koszulki.

- Nie. Bo zamierzam dopisać ciąg dalszy. - Jej palce spłynęły mu po kręgosłupie niczym pierwsze krople deszczu padające na okno. Po chwili dołączył do nich język. Ettrich wstrząsnął się, jakby go poraził prąd.

- Hoo! Uwaga: następny program przeznaczony jest dla widzów od lat osiemnastu. Czy mogę przynajmniej odłożyć łyżkę?

- Nie. Jak się poruszysz, to przerwę. - Język ześlizgnął się w dół. Lekko uszczypnęła go w tyłek, i drugi raz - mocniej. Oddech uwiązał mu w gardle, a następnie opuścił je z ostrożnym westchnieniem. Nie miał pojęcia, co Isabelle zaraz zrobi. Pyszna zabawa. Jej kąśnięcia były zarazem bolesne i rozkoszne. Jedną ręką ściągnęła mu bokserki, a drugą gładziła go po nagim brzuchu. Stojący z zakrytą głową i szortami wokół kostek Ettrich wyglądał jak nieboskie stworzenie. Gdyby Isabelle podniosła na niego wzrok, uśmiełaby się do łez. Ale była zbyt pochłonięta pieszczotami. Przesunęła delikatnie kciukiem po jego łydce i powoli zsunęła się na wewnętrzną stronę nogi.

- Założę się, że tego mama z tobą nie próbowała.

Łopatką wyleciała mu z dłoni; jej głośne stuknięcie nie miało żadnego znaczenia. Ręce opadły mu bezsilnie wzdłuż boków, niczym dwaj gapie.

Wiele miesięcy później, w mieście położonym bardzo daleko od Wiednia, palce Isabelle znowu przesuwają się po plecach Ettricha. Oboje spoglądali przez okno. Raz po raz ich pole widzenia przecinały podchodzące do lądowania samoloty. Ettrich sięgnął pamięcią ku niezliczonym nocom, kiedy obserwując te samoloty, roił sobie, że w jednym z nich siedzi Isabelle. I oto naraz ona przybywa, tak po prostu, i puka do jego drzwi. To ja, Vincencie. Musiałam przyjechać. Musimy porozmawiać. Kocham cię. Tyle że Isabelle nigdy tego nie uczyniła. Nawet teraz, gdy stała za nim, muskając jego plecy, wspomnienie okazało się tak gorzkie, że Ettrich mocno zamknął oczy, starając się je odepchnąć.

Po długim, spokojnym milczeniu Isabelle wyrecytowała cicho:

*Moja miłości,
odnaleźliśmy się
spragnieni i
wypiliśmy wszystką wodę i krew
odnaleźliśmy się
głodni
i pogryźliśmy się
tak jak gryzie ogień,
Zostawiając w nas rany.
Ale poczekaj na mnie,
Zachowaj swoją słodycz.
Ja także dam ci
różę*.*

Oparła czoło o jego nagie plecy i położyła mu dłonie na obojczykach.

- Przeczytałam ten wiersz tydzień po tym, jak uciekałam od ciebie w Londynie. I rozkleiłam się, bo on mówi o tobie i o mnie. Anjo jest naszą różą. Dlatego, za karę, wyuczyłam się go na pamięć.

Ettrich nie obrócił się. Gdyby spojrzął jej w twarz, mógłby nie powiedzieć tego, co musiał.

- Znienawidziłem cię, Fizz. I nie do końca przestałem cię nienawidzić. Za to, że tak łatwo się poddałaś. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym się wtedy dowiedział o Anjo. Ale ty znowu czmychnęłaś. Nie dałaś mi nawet szansy. Nie dałaś nam szansy. Powiedziałem jedno idiotyczne zdanie, które ci się nie * Pablo Neruda, Nieobecność, z tomu Wiersze Kapitana, 1952. spodobało - szastprast! i już cię nie było. A przecież tak łatwo można było to wyjaśnić. Byliśmy gotowi. Wszystko grało. Do jasnej cholery!

Skinęła głową na jego plecach i oboje wychylili się do przodu.

- Potem dowiedziałaś się, że umieram, i nie raczyłaś się do mnie odezwać? - dodał tonem niedowierzania.

- Nie pamiętasz tamtych dni, Vincencie. Anjo wymazał ci wszystkie wspomnienia. - Jakby dla podkreślenia wagi tych słów, naparła głową na jego plecy.

Wyprężył się.

- Nieważne. Teraz o tym wiem. Wiem, że cię przy mnie nie było.

- Bo nie mogło mnie być. Mówiłam ci: Anjo mi nie pozwolił.

- Dlaczego?

Zapadło milczenie. Wiedział, że tak będzie, i zezłościł się.

Tym razem nie zamierzał jej tak łatwo odpuścić.

- Dlaczego? - Chciał się odwrócić, ale Isabelle chwyciła go za ramiona. Przygryzł dolną wargę. W głębi jego gardła narastała wściekłość, rozchodząc się aż po koniuszki palców. Upłynęła kolejna niespokojna minuta i nagle Isabelle - jak grom z jasnego nieba - wyrzuciła z siebie słowa, które przecięły powietrze:

- Dlatego że to ja, a nie Anjo, musiałam po ciebie pójść.

- Co? Co takiego?

- Musiałam pójść po ciebie.

Potrząsnął głową, pokazując, że nie rozumie.

- Kiedy umarłeś, Vincencie, musiałam wstąpić w śmierć i sprowadzić cię z powrotem.

Rez Sahara i 25 Myszy

Nazajutrz rano Vincent Ettrich ocknął się u boku kobiety, której nigdy przedtem nie widział.

Świadomość nadeszła powoli, czuł się oszołomiony, tak jakby jego głowa na poduszce ważyła z trzysta funtów. Czy w ogóle spał? Miał wrażenie, że przez wiele dni był przytomny, a zasnął ledwie pięć minut temu. Samo otwarcie oczu i utrzymanie ich w tym stanie kosztowało go sporo wysiłku. Czy coś mu się śniło? Po głowie snuły mu się jakieś ciemne wspomnienia, które wyparowały tuż po przebudzeniu jak poranna mgła w gorącym słońcu. Pomógł mu sufit. Sufity bywają dobrymi kompasami: informują cię, gdzie się znajdujesz. Przez ostatnie miesiące Ettrich tak długo wylegiwał się na łóżku i gapił w desień na suficie, że nauczył się go bezbłędnie. Więźniowie i nieszczęśliwie zakochani często robią doktoraty z badań nad sufitem. Bezpośrednio nad głową Ettrich miał małą, brązową plamę, którą nazwał „ziemniakiem”, nie przyszło mu bowiem do głowy lepsze słowo na określenie jej kształtu. Wzięła się z wycieku wody w mieszkaniu piętro wyżej; kiedy się wprowadzał, właściciele budynku zapytali, czy życzy sobie ją usunąć. Wyobrażenie malarzy, łączących po jego nowym mieszkaniu, i smrodu świeżej farby, snującego się przez wiele dni, skłoniło go do odmowy - nie, plama mu nie przeszkadza. Od tamtej pory, po wielu godzinach wyślepiania oczu, zdążył ją nawet polubić. Stała się jego brązową Wyspą Ziemniaczaną pośrodku monotonnie błękitnego morza sufitowego.

Dlatego teraz, widząc ją nad sobą, Ettrich uzmysłowił sobie, że znajduje się we własnym łóżku. I że musi być rano,

jedyna pora dnia, kiedy pokój wypełnia się światłem. Po odnotowaniu tych faktów przechylił głowę na prawo i zobaczył, śpiącą tuż obok, urodziwą blondynkę. Przez chwilę nie poruszał się. Potem twarz przeciął mu łobuzerski uśmiech. Choć nie miał pojęcia, kim jest ta ślicznotka, ucieszył się. Jak brzuchomówca, nie ruszając ustami, powiedział do siebie cicho, lecz dobitnie:

- Hotdog!

Nie przyszło mu na myśl nic lepszego, niż przewrócić się z powrotem na wznak. Wpatrzony w Wyspę Ziemniaczaną zaczął się zastanawiać, kim ona jest. Co ja robiłem wczoraj w nocy, na

miłość boską? Gdzie jestem? Gdzie się poznaliśmy? Zapewne udałoby mu się wyslizgnąć z łóżka bez obudzenia kobiety, tylko po co? W tej chwili Ettrich był tam, gdzie trzeba. Nie miał co do tego wątpliwości.

Obrócił się ponownie i obejrzał ją dokładniej. Była naprawdę śliczna - w jego typie. Powiódł wzrokiem po jej twarzy i szyi do miejsca, gdzie jej ciało zniknęło pod cytrynową pościelą. Sądząc po konturach, pani Enigma była nie ubrana. Żeby zweryfikować to przypuszczenie, Ettrich wolno, wolniuteńko przysunął ku niej nogę i subtelnie - na ile noga pozwala subtelnie zbadać inne ciało pod kołdrą - zaczął macać. Macanie opłacało się. Miał rację: kobieta była absolutnie naga. Jeżeli chodzi o kobiety, życie Vincenta Ettricha obfitowało w liczne niespodzianki. Było ich tak wiele! Setki romansów w setkach miejsc i w setkach - czasem pięknych, czasem dziwnych - okoliczności. Ale to zdarzyło mu się po raz pierwszy: nie pamiętać nazajutrz ani kobiety, która leżała przy nim w łóżku, ani tego, co robili poprzedniej nocy. Jak ma na imię? Gdzie się poznali? Jak dawno się znają? Jaka jest w łóżku? Jego lista pytań ciągnęła się na półtorej mili. W porządku, leży w jego łóżku, ale jak się tutaj znaleźli? Przecież musi być jakieś wyjaśnienie. W gruncie rzeczy owa tajemniczość ani trochę Ettrichowi nie przeszkadzała. Wychylił się naprzód i wciągnął powietrze przez nos. Miał bzika na punkcie kobiecego zapachu. Rano, wieczorem, podczas seksu czy przy kąpieli, z perfumami albo bez - uwielbiał wszelkie kobiece zapachy. W tej chwili pragnął powąchać ją i jej oddech. Podpełził jeszcze trochę bliżej, aż znalazła się w zasięgu jego powonienia. Otworzyła oczy i rozpoznała go. Zatrzepotała powiekami i przywitała się:

- Cześć. - Miała zabójczy sennoseksowny głos. Oraz piękne białe zęby, które ukazały się, gdy uśmiechnęła się doń szeroko i ciepło.

Kusiło go, by jej dotknąć, ale się powstrzymał. Jeszcze nie teraz. Wpierw musiał się czegoś o niej dowiedzieć.

- Jak się masz.

Przetoczyła się na plecy. Wsunęła ręce pod głowę i przeciągnęła się, westchnąwszy z rozkoszą. Kołdra zsunęła się z górnej połowy jej ciała, ujawniając jej biust.

- Która godzina?

Wgapił się w nią. Nakazał sobie przestać, ale nie mógł się opanować.

- Nie wiem. Czekaj. - Sięgnął po zegarek leżący na nocnym stoliku. - Dziewiąta.

- Nie tak źle. Myślałam, że zaspaliśmy do południa. Po ostatniej nocy - dodała, patrząc na niego wymownie. Jej oczy mówiły seksseksseks. Władza angielskim dobrze, ale z lekkim akcentem, którego nie potrafił zlokalizować. Bez namysłu i wysiłku Ettrich przybrał znudzony wyraz twarzy pod tytułem: „Prawda, że było świetnie?” Przez lata dopracował do perfekcji tyle sztucznych min, że było ich więcej niż w najgrubszym magazynie filmowym. Co najgorsze zaś - kapitalnie mu wychodziły. Twarze te tak bardzo wrosły w jego osobowość, że niekiedy sam nie mógł odróżnić prawdziwych od fałszywych. Co w tym momencie wyraża moja twarz? Czy to jest prawda? Czasami nachodziły go takie rozterki, na ogół jednak Ettrich czuł się dobrze w swojej skórze i chętnie godził się na odrobinę introspekcji w zamian za ładną cipkę. Niewykluczone, że te rozważania zajęłyby mu dłuższą chwilę, kiedy tak leżał w wygrzanym łóżku obok tajemniczej naguski. Nagle jednak tamta powiedziała coś, po czym nic już nie było takie samo.

- Nie zapomnij, że dziś są urodziny twojej matki.

Ciężka jak hipopotam cisza zaległa na jego piersi, wyciskając z niego powietrze. W końcu jakoś wystękał:

- Skąd wiesz?

- No cóż, rok temu zapomniałeś i miała do ciebie żal. Nie pamiętasz?

Rok temu? Nie znał tej kobiety. Być może zeszłej nocy poznał ją w biblijnym sensie tego słowa, ale nie rok temu. Skądże.

- Jak moja mama ma na imię?

Tajemnicza kobieta uśmiechnęła się, nie otwierając oczu. Jej twarz była rozluźniona, skóra błyszcząca pięknie. Na szczęście pod prawym uchem widniał mały pieprzyk w naturalnym kolorze ciała.

- Co to: teleturniej? Twoja mama ma na imię Brigitta. Żona Petera, matka Vincenta i Judith.

Strach Ettricha wzbił się jak stado spłoszonych gołębi. Rozpierzchły się na wszystkie strony.

- Skąd o tym wiesz?

Z nadal przymkniętymi oczami, pokazała mu język.

- Skąd wiem? Hmm, bo mi powiedziałeś?

Chciał dotknąć jej ramienia, zaraz cofnął rękę, ale w końcu to zrobił.

- Powiedz, jak masz na imię?

- Ha, ha - bardzo śmieszne.

- Serio. Proszę cię, powiedz.

- Daj spokój, Vincencie. Za wcześnie na żarty. Najpierw napijmy się kawy.

- Do którego college'u chodziłem?

Skrzywiła się.

— Do Rhodes College. Memphis, w stanie Tennessee. Pierwsza praca: agencja Ortrpond w San Francisco. - W końcu otworzyła oczy, żeby mu powiedzieć, by przestał się wygłupiać, bo zaczyna ją to drażnić. Ale gdy ujrzała jego minę, zawahała się. - Co się stało?

- Skąd wiesz to wszystko? W jaki sposób...?

- Dosyć! To nie jest śmieszne. - Popchnęła go.

Potrząsnął głową.

- Kim jesteś?

- Vincencie, przestań!

Na jego twarzy malował się tylko jeden wyraz: zakłopotanie.

Wtedy zdała sobie sprawę, że Ettrich nie błaznuje.

- Jezu! - Odsunęła się od niego na skraj łóżka. Instynktownie naciągnęła na siebie kołdrę, nagle stał się wpatrzonym w jej nagość obcym mężczyzną, który budził w niej przerażenie. - Co ci się stało? To ja, Isabelle. Mam na imię Isabelle. W odpowiedzi pokręcił wolno głową. Jej imię nic mu nie mówiło.

- Święty Boże. - Uniosła się na łóżku, ale rzucił się i złapał ją za rękę. Odruchowo wrzasnęła. Natychmiast ją puścił.

- Proszę, nie odchodź. Nie zrobię ci krzywdy. Nic ci nie zrobię. Tylko błagam, powiedz mi.

Okryła się szczelnie pościelą, ale została w pozycji siedzącej.

- Co mam ci powiedzieć? Co się dzieje? Naprawdę mnie nie poznajesz?

- Nie. - Małe, przestraszone słówko. Ettrich był zagubiony.

- Nic nie pamiętasz? - Owinęła sobie kołdrę wokół piersi, skręcając ją w rękach.

Wdzięczny, że Isabelle nie próbuje uciekać, Ettrich mocno potarł twarz dłońmi.

- No, coś pamiętam. Jasne.

- Słucham.

Machnął niedbale ręką, jakby zamierzał wygłosić truizmy o rzeczach powszechnie znanych.

- Nazywam się Vincent Ettrich. Pracuję w agencji reklamowej, mam czterdzieści jeden lat, rozwiedziony, dwójka dzieci. Isabelle podskoczyła na łóżku.

- Dlaczego się rozwiodłeś?

- Dlaczego? - Zrobił skruszoną minę. - Bo nie byłem najlepszym mężem, jaki chodził po tym świecie. Moja żona była pocziwą kobietą. Znosiła moje występki - do czasu. W końcu miarka się przebrała i wyrzuciła mnie z domu.

- Ale konkretnie, z jakiego powodu?

Spojrzał jej prosto w oczy i wyznał:

- Z powodu innych kobiet.

- Nie jakiejś szczególnej?

- Zbyt wielu szczególnych. Powinienem być przejść na islam. Miałbym kilkanaście żon i byłbym pewnie bardziej zadowolony z życia.

Powoli świtało jej w głowie, co się stało Vincentowi. Chciała jednak mieć całkowitą pewność. Toteż zadawała mu kolejne pytania na temat jego życia i tego, kim jest. Odpowiadał jej cierpliwie, lecz z każdą chwilą był coraz bardziej zaniepokojony, uświadamiając sobie, jak dużo ta piękna nieznajoma o nim wie.

Gdy skończyły jej się pytania, zrezygnowana zwiesiła ramiona. Wiedziała już, że miała słuszość. Wszystkie wspomnienia dotyczące jej i ich związku zostały precyzyjnie usunięte z mózgu Vincenta. Inne wydarzenia z jego życia pozostały nienaruszone. Ją - wycięto.

Chyba że... Isabelle aż usiadła na łóżku, tak iż zsunęła się z niej kołdra.

- Czy pamiętasz swoją chorobę?

- Jaką chorobę?

Otworzyła usta, lecz ugryzła się w język. Następnie przechyliła głowę, jakby nasłuchiwała. Jej twarz stopniowo się uspokajała. Dotknęła wysuniętego spod kołdry brzucha i przesunęła po nim ręką, tam i z powrotem.

- W porządku. Spróbuję.

Przemówił do niej Anjo.

Ettrich był zdezorientowany.

- Co? Co spróbujesz?

Zignorowała go. Na jej twarzy gościł spokój.

- Chciałabym ci coś pokazać. Czy możemy dziś spędzić trochę czasu razem?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Bał się, że ta kobieta nie wróży mu nic dobrego. Chociaż była śliczna, wolałby, żeby się ubrała i sobie poszła. Ettrich był wszakże dżentelmenem. Dzięki temu cieszył się u kobiet tak niesłabnącym powodzeniem. Był szarmancki i wrażliwy, nigdy też nie dawał kobiecie odczuć, że ją wykorzystał.

- Dzisiaj sobota, Vincencie... jesteś wolny. Chodźmy na śniadanie. Zjemy jajecnicę na bekonie i wypijemy mnóstwo kawy. - Dziwnie się czuł, słysząc w jej głosie dystans i flirt. Owszem, próbowała go zdobyć, ale nie nachalnie. Jakby siedzący po drugiej stronie łóżka mężczyzna był nie tyle miłością jej życia i ojcem jej dziecka, ile przystojnym nieznajomym, którego nieśmiało starała się uwieść. - Przepraszam na chwilę - odparł, wskazując na łazienkę.

Bez namysłu wyszedł z łóżka i zrobił siedem kroków, zanim zdał sobie sprawę z tego, że nieprzyzwoicie jest paradować w tej chwili na golasa przed tą intrygującą kobietą. Nie zostało mu nic innego, jak unieść ręce w klasycznej pozie zakłopotania, wzruszyć ramionami i podreptać dalej. Z tyłu dobiegł go jej śmiech. Czy rozbawiła ją jego zimna krew, nagi tyłek czy cała ta sytuacja?

Śmiała się, bo w tym geście był cały Vincent. Ogarnęła ją wielka fala miłości i postanowiła sobie, że znajdzie jakieś rozwiązanie.

Zamknął drzwi łazienki i podszedł do umywalki. Dłuższy czas gapił się na siebie w lustrze, a potem zapytał:

- I co teraz, bracie? - Zdjął ręcznik z półki i przepasał się nim wokół bioder.

Co robić? Zjeść z nią śniadanie. Pójść na spacer. A potem - miłe, ale stanowcze arrivederci. Gdzie ona mieszka? Miał nadzieję, że w mieście, nie dalej, niż kursują taksówki. Drzwi uchyliły się i weszła Isabelle, ubrana w jego koszulkę, trzymając dwa kawałki czekoladowego ciasta. Nadgryzła jeden z nich i podsunęła mu drugi.

- Co to?

- Sachertorte. Twoje ulubione śniadanie.

Ettrich lubił tort Sachera i często go jadł. Za żadne skarby jednak nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek raczył się nim na śniadanie. Przyjął oferowany kawałek i oboje zabrali się do jedzenia wiedeńskiego tortu. Nie wiedział, jak jej, ale jemu bardzo się to podobało. Zjadłszy połowę ciastka, Isabelle pokazała mu, aby przejrzał się w lustrze. Uczynił to. Ich twarze lepiły się od okruszków.

- Gdzie twój aparat? Powinieneś nam zrobić zdjęcie.

Otarł usta wierzchem lewej ręki.

- Jaki aparat?

Już miała powiedzieć: „Ten, który ci dałam”, ale się powstrzymała.

- Nie masz cyfrowego aparatu fotograficznego?

- Nie.

- O. W takim razie... mm... - Kluczyła, nie wiedząc, co powiedzieć. Nagle otworzyła szeroko oczy. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. - Skoro mówimy o jedzeniu, oto pytanie dnia. Ale zanim odpowiesz, dobrze się zastanów. Nie mów pochopnie, okej? Opisz trzy najbardziej pamiętne posiłki, jakie zjadłeś w życiu. Śniadanie, obiad i kolację. Było to pytanie Vincenta. Ścisłej mówiąc, jedno z tych, które nazywał - z nadętym patosem - swoimi „pięcioma pytaniami”. Patrząc na jedzącego tort Vincenta, Isabelle szukała w jego oczach błysku zrozumienia, ale niczego nie dostrzegła. Rozważał tylko jej pytanie.

Którejś nocy w Krakowie leżeli w łóżku, nie mogąc zasnąć, ponieważ miniony dzień był tak zaczarowany, że żadne nie chciało, aby się skończył. Swoim zwyczajem więc leżeli wtuleni w siebie, skończywszy się kochać, i ucieli sobie wielogodzinną pogawędkę. W jej trakcie Vincentowi przyszło naraz do głowy pięć pytań. Później długo nad nimi myśleli, szperając w pamięci, roztrząsając zapomniane fragmenty swego życia, delektując się swoimi wyborami i zmieniając je po chwili; starali się, żeby ich opisy były jak najbardziej szczegółowe. Isabelle co jakiś czas dziękowała Vincentowi za wymyślenie tych pytań, gdyż wspaniale się przy nich bawili.

Stojąc teraz w łazience swojej kawalerki, przełknął kęs ciasta i wytarł dłonie w ręcznik owinięty wokół pasa.

- Nie mogą być trzy kolacje?

- Nie: śniadanie, obiad i kolacja. - Isabelle znała jego odpowiedzi. Przynajmniej te dawne. Jak mógłby zapomnieć krakowską kawiarnię „Redolfi” w to słoneczne niedzielne przedpołudnie? Zajęli stolik przy oknie wychodzącym na rynek i popijali, filiżanka za filiżanką, dobre cappuccino, które tam podają. Trzęsły im się ręce od nadmiaru kofeiny, niedoboru snu i od długiego seksu, który ostatniej nocy wyczerpał ich i nasycił. Bez przerwy spoglądali na siebie. Korciło ich, by wrócić do hotelu, ale nie zrobili tego, to miejsce bowiem, ten czas, ta chwila ich życia były tak samo doskonałe. Jak można czuć się aż tak szczęśliwym?

Vincent ogłosił swój pierwszy wybór.

- W porządku. Moje najulubieńsze śniadanie? Pamiętasz ten upalny sierpień w Wiedniu, kiedy całą noc nie zmrúżyliśmy oka, a następnego dnia pojechaliśmy do Tulln? Ma się rozumieć, że pamiętała, ale czekała, aż on przypomni tę opowieść. Okazało się wówczas, że wszystkie sklepy są pozamykane, bo w katolickiej Austrii jest niedziela. Jedynym otwartym o tak wczesnej porze miejscem była stacja benzynowa, na której zaopatrzyli się w mleko. Na szczęście w bagażniku jej samochodu spoczywała połówka Sachertorte - dziwaczny, ale typowy prezent od jej matki.

Usiedli na bulwiastych, okrągłych kamieniach nad Dunajem i zjedli śniadanie złożone z nieco wysuszonego ciasta i mleka. Spływająca rzeką rumuńska barka z węglem powitała ich rykiem syreny. Dziesięć minut potem przesunął się majestatycznie przed ich oczyma biały rosyjski statek wycieczkowy, kierując się na Morze Czarne. Później przemknęli w kajaku dwaj starsi panowie, niesieni naprzód przez rwący strumień. Po śniadaniu Ettrich podniósł z ziemi leżący nieopodal patyk; wsłuchując się w szum rzeki, powoli obrał z patyka korę i wsunął go do kieszeni. Spojrzała na niego i uniosła brew.

- Na pamiątkę - wyjaśnił krótko.

Stojący teraz w swojej łazience nowy Vincent pokręcił głową ze strapioną miną.

- Nie potrafię ci odpowiedzieć. A propos, gdzie kupiłeś ten tort? Był pyszny.

Gdzie go kupiła? W Wiedniu, w hotelu „Sacher”, skąd przywiozła go w plecaku, zapakowany w elegancki drewniany koszyk. Mało brakowało, a amerykańscy celnicy by go skonfiskowali. Nie oddała im jednak tortu - był jej znakiem pokoju ofiarowanym Vincentowi. Isabelle starannie wszystko zaplanowała, wyobrażając sobie tę scenę od chwili, gdy opuściła Austrię. Zamierzała wręczyć mu tort i zażartować na jego temat, ale tak, żeby oboje wiedzieli, iż jest to ważny i płynący z serca dar. Ze smutkiem otworzyła koszyk dziesięć minut temu, bezceremonialnie zdarła zeń plastikową osłonkę i szybko wykroiła dwa kawałki.

Twarz Vincenta okryła jakaś chmura. Ominął Isabelle

i wyszedł z łazienki. Isabelle zerknęła w lustro, spytała: „Co znowu?” i ruszyła za nim. Zastała go stojącego przed frontowymi drzwiami, z rękoma na biodrach, wpatzonego w jej pakowny plecak.

Wymierzył weń oskarżycielski palec.

- Twój?

- No.

- I w nim przywiozłeś tort? Przyjechaliśmy tu wczoraj wieczorem i poszliśmy do łóżka, a teraz zajadamy tort, który miałaś w tym wielkim tobole? I ja nic z tego nie pamiętam? Kompletnie nic?

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż zadzwonił telefon. Oboje przyjęli to z ulgą, ona, bo nie wiedziała, co powiedziec, on, bo miał już dosyć rewelacji.

Podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Tu mówi Coco. Przepraszam, że ci przeszkadzam, Vincencie, ale...

- Kto? Przepraszam, mogłaby pani jeszcze raz się przedstawić?

- Coco. Coco, Vincencie.

Imię to nic mu nie mówiło. Głos kobiety brzmiał obco.

- Bardzo przepraszam, czy my się znamy?

- Słuchaj, Vincencie. Wiem, że ona tam jest i że nic o mnie nie wie. Daj mi minutę na wyjaśnienie, zgoda?

- Wie pani, kto jest u mnie? - Spojrzał na Isabelle.

- Twoja Isabelle. Wiem, że odebrałeś ją wczoraj z lotniska.

Rozsierdził się.

- Ach, tak?! Skąd o tym wiesz? Kim jesteś, do cholery?

- Nie zachowuj się jak kretyn. Posłuchaj mnie przez dwie minuty...

Ettrich rozłączył się z ręką na słuchawce. Cisnął wściekłym spojrzeniem w Isabelle, jakby to ona była wszystkiemu winna.

- Skąd obcy ludzie wiedzą, że tu jesteś? Hę? I czemu oni cię znają, a ja nie?

- Kto dzwonił? - spytała najłagodniej, jak potrafiła.

- Jakaś Coco. Nie znam. Ale wiedziała, że jesteś u mnie, a nawet znała cię z imienia. Powiedziała: „Wiem, że odebrałeś ją wczoraj z lotniska”. Skąd o tym wiedziała? I kim w ogóle, do kurwy nędzy, jest ta Coco? Telefon zabrzączał ponownie. Ettrich wyszarpnął słuchawkę z widełek.

- Halo? Co? - W miarę jak słuchał, rysy jego twarzy łagodniały. - Cześć, Kitty. Jasne, że mogę. Oczywiście. Za pół godziny? Nie będzie za późno? Tak. - Stał jeszcze chwilę ze słuchawką przy uchu, po czym ją odłożył. Spojrzał zimno na Isabelle. - Muszę zawieźć jedno z moich dzieci do lekarza. Ubieram się. - Okręcił się na pięcie i zostawił Isabelle samą. Nie miała pojęcia, co zrobić, więc podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Po kilku minutach ciągle tam stała, gdy wyszedł bez słowa pożegnania. Odwrócona plecami nie widziała, jak Ettrich zatrzymał się na moment w drzwiach, z ręką na klamce, popatrzył na nią, zmarszczył brwi i wymaszerował. Co miał jej powiedzieć? Proszę stąd odejść? Czy: Zaczekaj, aż wrócę, wtedy załatwimy tę sprawę? A może: Zechcesz mi przynajmniej wyjaśnić, jak się poznaliśmy? Mniejsza o to - co się odwlecze, to nie uciecze. Jeśli ona jeszcze tu będzie. Następnym szoku przeżył w podziemnym garażu: skradziono mu samochód. Vincent miał swoje miejsce garażowe. Było ono puste. Widząc to i uświadamiając sobie związane z tym konsekwencje, poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Za dwadzieścia minut miał być u Kitty. Nie mieściło mu się w głowie, że ktoś mógł zwędzić jego auto. Był to wprawdzie jeszcze nowy, lecz monumentalnie brudny i całkiem przeciętny ford taurus. Tuż obok pyszniło się seksowne srebrne bmw. Czemu złodziej nie zabrał jego?

Nigdy przedtem nie ukradziono mu samochodu. Poczucił się zraniony i słaby, jakby raptem zawiódł się na życiu. I jeszcze ta kobieta w jego mieszkaniu - Isabelle. Na czym polega jej rola? Nie przypominał sobie, żeby między nimi do czegośkolwiek doszło, a przecież stanowczo zbyt dużo o nim wiedziała. Skołowany do cna Ettrich wjechał windą na poziom ulicy i zatrzymał taksówkę.

Podczas gdy Ettrich jechał ku eleganckim przedmieściom, na których mieszkał kiedyś z rodziną, Isabelle ukroiła sobie następny kawałek ciasta i przysunęła krzesło do okna. Jedząc, patrzyła na miasto. Odgryzła za duży kęs i płat czekolady upadł jej na kolana. Podnosząc go, nieopatrznie spojrzała na parapet. Jej tańcząca żabka zniknęła. A więc zabrali i tę figurkę, a także inne przedmioty łączące ją z Ettrichem.

- A niech to! - Musiał pozostać po niej jakiś ślad. Oprócz jej ciała przy oknie i plecaka koło drzwi musiał zachować się w tym domu jakiś znak, że stanowi część jego życia. Niemożliwe, aby bez reszty wymazali jej obecność; a jeśli nawet, to zamierzała ją przywrócić.

Dlatego zaczęła przeszukiwać mieszkanie.

Jako mała dziewczynka Isabelle Neukor była notoryczną złodziejką. Ponieważ jednak jej blond włoski i kobaltowobłękitne oczęta nadawały jej wygląd duszka, aniołka albo Dzwoneczka, przez lata udawało jej się zwodzić ludzi. Brała, co chciała. Pieniądze, cukierki, zabawki - lądowały w jej kieszeni, jeśli uznała, że są ładne. Kradzież nie wywoływała w niej zdenerwowania ani wyrzutów sumienia, które bywają piętą Achillesa młodocianych złodziejasków. Gdy smyknęła coś ze sklepu, jej serce biło równie spokojnie jak pięć minut wcześniej, kiedy szła ulicą. Nie kradła dlatego, że była zła czy rozpuszczona, ani po to, by poczuć zimny dreszczyk. Po prostu przywłaszczała sobie to, co akurat wpadło jej w oko, dusza zaś nie robiła jej z tej przyczyny wyrzutów.

Dobry złodziej to również mistrz myszkowania. Jego wyobraźnia potrafiła prześwietlić wszystkie potencjalne zakamarki, w jakich ludzie mają zwyczaj chować kosztowności, czy to będą pieniądze, czy cenne przedmioty, czy też pisemka porno.

Isabelle rozwinęła w sobie tę smykałkę w wieku ośmiu lat i już jej nie utraciła. Byłaby dobrym zegarmistrzem, skuteczne myszkowanie przypomina bowiem rozbieranie skomplikowanego mechanizmu. Zdejmuje się kolejne warstwy, kładąc poszczególne części w odpowiednim miejscu, tak aby niczego nie zagubić i nie pominąć, kiedy składa się zegarek z powrotem.

Jeszcze jako dziecko, ilekroć otwierała szufladę matki

z bielizną osobistą (diafragma, tabletki dexedryny, dużo gotówki, jeśli mama była niedawno w banku), najpierw starannie przyglądała się umieszczonym tam przedmiotom, by zapamiętać ich położenie. Potem wyjmowała je i odsuwała na bok, przetrząsając szufladę (albo torebkę, szafę, biurko, tornister, portfel ojca...) w poszukiwaniu łakoci. Na końcu zawsze sprawdzała, czy wszystko wróciło do pierwotnego porządku. Nie kierowała nią paranoja, ale jak najbardziej wskazany w tej sytuacji rozsądek. Tylko raz została przyłapana - przez klasową koleżankę, która walnęła ją pięścią w twarz za kradzież jej różowego długopisu.

Zaciskając mocniej pas szlafroka, Isabelle wkroczyła do sypialni Ettricha, gotowa zmierzyć się z tymi, którzy chcieliby wymazać ją i ich związek z pamięci Vincenta. Sypialnia jest zwykle emocjonalnym ośrodkiem domu. To tutaj mieszka fizyczna namiętność. A także głęboki spokój i smutek. Nigdzie nie jesteśmy bardziej samotni, niż leżąc w łóżku, z naszymi tajemnicami i wewnętrznym głosem, którym żegnamy lub przeklinamy mijający dzień. Jeżeli Isabelle badała czyjeś życie - co zdarzało jej się rzadko, bo większość ludzi jej nie obchodziła - zaczynała od sypialni. Mimo że przestała kraść, czasem trzeba zbadać grunt pod nogami, a wtedy jej dawny talent przychodził jej z pomocą.

Sypialnia Vincenta była duża, ale skromnie urządzona, tak jak reszta pomieszczeń. Podwójne łóżko, gruba dębowa komoda i krzesło projektu Eamesa; podłogę wyścielał czarnoróżowy chiński dywan. Przyglądając się sprzętom, Isabelle nie zdołała „rozgryźć” mieszkającego tu człowieka; był on w każdym razie skłonny wydać kilkaset dolarów na krzesło. Na podłodze leżała książka. Isabelle podeszła i odczytała tytuł na okładce. Uśmiechnęła się i klasnęła w dłonie. Pustelnia parmeńska Stendhala.

Vincent miał parę uroczych dziwactw, a jednym z nich było ciągłe dążenie do tego, aby być wzorowym „piątkowym” studentem. Przed laty postawił sobie za cel przeczytanie pięciu klasycznych powieści w ciągu roku. Często, gdy byli razem, taszczył ze sobą jakiś opasły tom, przez który usiłował się przedrzeć, niczym podróżnik maczetą torujący sobie drogę przez gęstą dżunglę. Ale Pustelnia parmeńska była jego nemezis. Odkąd Isabelle go poznała, zabierał się do jej lektury ze trzy razy - bez powodzenia. Zanim poległ, docierał zwykle w okolice setnej strony. Raz wyrzucił nawet książkę przez okno pociągu, gdy dojeżdżali do stacji w Salzburgu. Spojrzał na nią i obiecał: „Kiedyś ją przeczytam. Ale nie dzisiaj”. I oto książka była tu znowu. Isabelle nie rozumiała, czemu Vincent, zamiast mordować się nad Stendhalem, nie przeczyta po prostu czegoś innego, lecz tego rodzaju osobliwy upór także go cechował. Tak czy siak, widok książki nappełnił ją nadzieją, gdyż знаła historię tej powieści w życiu swojego ukochanego. Znała historię Vincenta i swoją rolę w jej tworzeniu. Teraz musiała odszukać w jego mieszkaniu konkretny dowód, który by tę wiedzę potwierdził.

Jadący przez miasto Ettrich i taksówkarz byli zatopieni w myślach. Dla hecy Ettrich zapytał tamtego, czy może wymienić trzy najbardziej pamiętne posiłki, jakie kiedykolwiek zjadł. Zanim

pokonali piąte zielone światło, taksówkarz opisał mu drobiazgowo swoje ulubione śniadanie i obiad. Ettrich nie wiedział, co wywarło na nim większe wrażenie - przejazd przez pięć zielonych światel pod rząd czy wyborna pamięć tego człowieka.

- Pan znał tak od razu odpowiedź? Ja nie mogłem nic wykombinować.

Kierowca zapalił papierosa, nie pytając pasażera o pozwolenie.

- No tak, ale wie pan, żaden z tych posiłków nie jest raz na zawsze. Może za godzinę przypomnę sobie lepsze, choć nie wydaje mi się. Ale tą kolacją to mi pan zabił klina. Bo ja zjadłem całą masę wspaniałych kolacji.

Jechali dalej w przyjaznej ciszy, zastanawiając się nad posiłkami swego życia.

Isabelle siedziała na łóżku i wpatrywała się w fotografię, gdy otworzyły się frontowe drzwi. Nie usłyszała tego jednak, jej myśli bowiem zaprzętało zdjęcie. Przedstawiało Vincenta, jego byłą żonę i ich dwoje dzieci. Byli na plaży, w strojach kąpielowych, opalem na brązowo, uśmiechnięci. Najbardziej zainteresowało ją ułożenie ich ciał. Isabelle widziała to zdjęcie setki razy. Vincent nosił je w portfelu i za to go lubiła. Nigdy nie rozstawał się z fotografią swoich dzieci. Kochał je, a one kochały jego. Był bardzo dobrym ojcem. Znalazła ten polaroid w jego komodzie, był on tak dobrze znajomy, że musiała go podnieść i jeszcze raz mu się przyjrzeć. Tym razem wszakże zobaczyła na zdjęciu coś nowego:

Kitty siedziała między dziećmi. Vincent kuczał za nimi. Jego ręce leżały na ramionach dzieci, lecz żadną częścią ciała nie dotykał Kitty. Czy to cokolwiek znaczyło? Isabelle czytała - O tym, jak współcześni psychologowie badają stare fotografie - analizują ukazany tam język ciała i umieszczenie postaci, żeby się dowiedzieć, co naprawdę kryje się w chwili, w której wykonano zdjęcie. Była to ciekawa koncepcja, która wydawała się całkiem sensowna. W związku z tym Isabelle zadawała sobie pytanie, czy fakt, że Vincent kuca za plecami swojej rodziny, nie dotykając żony, ma jakieś „znaczenie”. A może to Isabelle widzi zwierzęta w sunących po niebie obłokach?

- O, dzień dobry.

Zaskoczona uniosła wzrok i zobaczyła niską, śliczną kobietę stojącą w drzwiach sypialni.

— Dzień dobry. Jak pani tu weszła?

— Otwierając drzwi kluczem. - Ślicznotka skinęła głową, uznając dalsze wyjaśnienia za zbędne. Obie jednak wiedziały, iż w tej sytuacji słowo klucz miało siłę rażenia bomby atomowej. Dlaczego nieznajoma osoba ma klucz do mieszkania Ettricha?

- Nie ma Vincenta?

Serce Isabelle stało się nagle ciężkie jak stufuntowa kula. Choć nie znała tej kobiety, domyśliła się, kim jest. Jeszcze jedna panienska utrzymywana przez Vincenta. W dodatku wyjątkowo atrakcyjna, przez co tym trudniej było myśleć o niej ze spokojem. Była urocza, miała klucz do jego domu i mówiła pewnym sobie głosem; najwyraźniej uważała, że ma pełne prawo być tu, gdzie jest. Wszystko wskazywało na utrzymankę Vincenta. Niech to diabli!

- Dzwoniła jego żona z prośbą, żeby zawiózł jedno z ich dzieci do lekarza.

Kobieta zrobiła coś nieoczekiwanego: podeszła do łóżka i usiadła obok Isabelle.

- Jestem Coco. Coco Hallis. - Wyciągnęła rękę. - A pani ma na imię Isabelle.

Ciężar serca Isabelle podniósł się do dwustu funtów.

- Tak - potwierdziła.

Siedziały w ciszy. Po chwili Coco sięgnęła po rodzinne zdjęcie Ettricha. Spojrzała na nie, lecz wyraz jej twarzy nie zmienił się.

Ni stąd, ni zowąd Isabelle okręciła się w miejscu, zerknęła za siebie i zerwała się na równe nogi, jakby coś ugryzło ją w tyłek. Właśnie dotarło do niej, że obydwie pieprzyły się z Vincentem w tym łóżku.

- Co się stało?

- Nic. - Ruszyła ku drzwiom. - Napijesz się kawy?

- Nie. Nie odchodź, proszę. Co się stało?

Isabelle nie знаła tej kobiety. Co jej miała powiedzieć?

Coco położyła fotografię na kolanach.

- Chciałabyś wiedzieć, skąd cię znam?

Isabelle skrzyżowała hardo ręce na piersi, przygotowując się na najgorsze.

- Owszem. - A sekundę później wybełkotała: - Nie, nie mów mi! Nie chcę nic o tobie wiedzieć.

- Ależ chcesz. Będzie ci lżej. Chodź, usiądź przy mnie. - Coco poklepała łóżko.

Isabelle nie drgnęła. Uniosła sztywną dłoń w geście mówiącym „tu jest mi dobrze”.

— Czy miałaś rano wrażenie, że jest dziwny? Że zachowuje się jakoś inaczej?

— Nie poznał mnie! Nie wiedział, kim jestem. Obudził się i popatrzył na mnie jak na intruza. To było okropne. - Isabelle opowiedziała Coco dokładnie, jak wyglądał jej ranek z Vincentem. Doświadczenie to wydało jej się jeszcze bardziej nieznośne.

Coco wessała dolną wargę do ust, jakby nie mogła się zdecydować, czy ma się odezwać.

- A co powiedział Anjo?

Isabelle poderwała się.

- Co?

Coco wskazała znacząco na brzuch Isabelle.

- Co poradził ci Anjo?

- Skąd wiesz o...?

- Po to tutaj jestem, Isabelle. Żeby cię bronić. Zapytaj go.

Zapytaj Anjo, kim jestem.

Kobiety mierzyły się wzrokiem z czymś w rodzaju ostrożnej ciekawości. Coco interesowało to, jak tamta zareaguje. Isabelle - jak zwykle - chciała w pierwszym odruchu zrejterować, ale dokąd? Wiedziała, że sprawy zaszły zbyt daleko i że nie ma dokąd uciec. Do sąsiedniego pokoju? Z powrotem do Wiednia? Na koniec świata? Zbierając siły, zdołała zapanować nad sobą na tyle, żeby powiedzieć:

- Wychodzę do drugiego pokoju. Proszę cię, zostaw mnie samą.

- W porządku. Nie ruszę się stąd. Tylko spytaj go, proszę, od razu, bo nie mamy za wiele czasu.

- Czasu na co?

Głos Coco pozostał spokojny.

- Na to, żeby uratować was troje. Przecież widziałaś, co się wczoraj stało. A będzie jeszcze gorzej.

Roztrzęsiona Isabelle przeszła do pokoju gościnnego i usiadła na kanapie. Kilka godzin temu siedzieli na niej z Vincentem, ponownie całując się i dotykając, pierwszy raz od trzech miesięcy. Spojrzała na miejsce, gdzie siedział, i zauważyła, że poduszki są wciąż wgniecione. Dotknęła ich, przypominając go sobie, usiłując wyczuć jego obecność.

- Boję się - szepnęła do siebie, do Anjo, do Boga. Mimo to zmusiła się, by zamknąć oczy, i stopniowo poczuła materializującą się wokół niej kawiarnię. Za każdym razem działo się tak samo - zdążyła już do tego przywyknąć.

Pierwsze zawsze napływały dźwięki. Uliczny zgiełk - samochody, głośne klaksony, pisk hamulców, pomruk opasłych ciężarówek. Ulica przed kawiarnią była zatłoczona i nawet po zasyciu się w budynku słychać było dolatujące z zewnątrz hałasy. Następnie Isabelle poczuła krzesło - czasem twarde, a czasem miękkie. Nie miała wpływu na miejsce, które przyjdzie jej zająć w tej sali. Niekiedy trafiało jej się twarde drewniane krzesło bez podłokietników, innym razem zaś kabina z wytartą imitacją skóry albo miękkim zamszem. Tak czy owak z chwilą pojawienia się tych przedmiotów wiedziała, że jest na miejscu i że może otworzyć oczy. Kawiarnia „Ritter” w Wiedniu, gdzie po katastrofalnej kolacji z Berndtem pierwszy raz zobaczyła Anjo.

Nigdy nie wiedziała, w jakiej postaci Anjo się objawi. Parokrotnie wcielał się w owego małego brzydkiego chłopca, którego ujrzała tamtego razu. Kiedyś pojawił się jako wysoka, niezbyt ładna kobieta, ubrana w krzykliwe kolory, i cały czas szwargotał marną angielszczyzną z ciężkim niemieckim akcentem. Raz był nawet kelnerem, który przedstawił się jako Herr Karl. Czasem - kimkolwiek był - siedział już w kawiarni. Czasami jednak Isabelle musiała czekać, aż będzie łaskaw nadejść. Przed nią na stoliku stała szklanka soku ze świeżo wyciśniętych pomarańczy - jej ulubiony napój w „Ritterze”. W kawiarni zawsze byli jacyś ludzie, zwykle niewielu. Akurat tyłu, by całość wyglądała normalnie, nie zaś jak plan filmowy. Spragniona po przebudzeniu Isabelle pociągnęła wielki łyk soku ze szklanki, odchylając przy tym głowę. Gdy opuściła szklankę z powrotem, przy jej stoliku stał Abraham Lincoln i trzymał w rękach czarny melonik.

- Cześć, mamó - uśmiechnął się smutno i usiadł obok.

Coco przetrząsała akurat garderobę Ettricha, kiedy dobiegł ją dziwaczny rechot Isabelle. Z czego ona się śmieje? Coco chciała najpierw pójść do pokoju gościnnego i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Ale może ten śmiech to dobry znak. Może Anjo powiedział jej coś, co pozwoliło jej się odprężyć.

Zdjęła z wieszaka kolejną sportową marynarkę i włożyła rękę do kieszeni. Jeżeli Isabelle miała rację, to musiały odnaleźć mocny, namacalny dowód, który by pokazał Vincentowi, że są częścią jego życia. Wymazanie ich obu z jego pamięci to sprytna sztuczka, lecz Coco mogła - za pomocą odpowiednich narzędzi - ją anulować. Musiała je tylko znaleźć, tutaj, wśród jego rzeczy osobistych. Ettrich miał dziwne podejście do ubioru. Kupował kurtki, koszule i dzinsy wyłącznie od Girbaudów. Ale Vincent miał dziwne podejście do wielu spraw. Jeśli mógł, nie używał przy jedzeniu noża. Nigdy też nie ruszał się z domu bez scyzoryka - którym w ogóle się nie posługiwał. Jadąc samochodem, dyskutował z sobą żywo, jakby za kierownicą siedziało dwóch Ettrichów i rozprawiało, co robić dalej. Jego auto wręcz kleiło się od brudu, tak w środku, jak i na zewnątrz,

choć Vincent był istnym panem Czyściochem, biorącym prysznic rano i wieczorem. Kolekcjonował piękne nesesery i plecaki, ale sam prawie ich nie nosił. Kieszenie jego wytwornych ubrań ciągle pęczniały od telefonów komórkowych, palm pilotów, notesów i książek w miękkiej oprawie.

Tego typu dziwactwa czyniły zeń człowieka zakręconego, ale interesującego. Coco wolałaby nie wiedzieć, że piętnaście minut wcześniej Isabelle wyciągnęła bardzo podobne wnioski na temat Vincenta, robiąc dokładnie to samo - gmerając w jego rzeczach. Przeszukując kieszenie jego marynarek i spodni, Coco myślała o Isabelle, dopóki nie przyłapała się, że zaczyna je sprawdzać po łebkach. Postanowiła porozmawiać z tą kobietą, przekonać się, jaka ona jest. Wiedza Coco ograniczała się do tego, o czym niekiedy napomykał Vincent, zawsze wyrażając się o Isabelle w samych superlatywach. W którejś z kieszeni jej dłoń natrafiła na kartkę papieru. Wyciągnęła ją. Było na niej zapisane, pięknym charakterem pisma Vincenta, nazwisko Lucy Wallace oraz - poniżej - numer telefonu.

- Palant! - Zmięta papier, chcąc go rzucić na podłogę. Potem rozmyśliła się i wsunęła papierową kulkę do kieszeni. Kto wie? Może Lucy Wallace na coś się przyda? W istocie Coco nie wierzyła w to ani przez sekundę. Panna Lucy była zapewne jeszcze jednym kociakiem Vincenta. Ettrich i jego kobiety.

Jak Isabelle udało się sprowadzić jego nieuchwytne serce do parteru i zmusić je, by dobrowolnie się jej poddało? Na czym polegała magia Isabelle Neukor? Coco nie dostrzegła w niej nic szczególnego - ot, ładna kobieta, zjadająca kanapkę w samochodzie czy wybiegająca z jadłodajni z wielkim plecakiem, która dziś rano wyglądała na zmęczoną i zdenerwowaną. Miała zresztą prawo tak wyglądać, jeśli to, co twierdziła, było prawdą. Jeżeli obie zostały naprawdę wymazane z pamięci Vincenta, to czeka je nie lada zadanie. Coco wróciła do przeszukiwania jego ubrań.

Dziesięć minut później Isabelle wróciła do sypialni i pierwsze, co tam zobaczyła, to tyłek Coco wystający z garderoby Vincenta. Odchrząknęła, żeby powiadomić o swojej obecności, ale nie poskutkowało. Spróbowała ponownie, z równym szczęściem.

- Halo?

Z głębi garderoby odpowiedział jej stłumiony głos.

- Wiem, że jesteś. Zaczekaj moment, chcę ci coś pokazać.

Czy możesz się rozejrzeć za latarką? Strasznie tu ciemno. Zadowolona, że ma się czym zająć, Isabelle ruszyła na poszukiwania. Wiedziała, że Vincent lubi zbierać różne gadzety, wątpiła jednak, żeby w tej mnisiej celi było pudełko zapalek, a co dopiero latarka. Co niby miałby nią oświetlać - swój opustoszały pokój? Przypomniała sobie, jak pewnego razu, gdy jechali jej samochodem przez Austrię, wyciągnął latarkę ze schowka. Włączył ją i przytknął do nosa. „Popatrz na to” - zachęcił. Spojrzała i zatchnęła się z wrażenia. Wnętrze lewej dziurki jarzyło się niesamowitym pomarańczowym blaskiem. Światło oświetlało tylko jeden płatek jego nosa, toteż widok był jeszcze dziwniejszy. Ale Isabelle przywykła do tego rodzaju wyglądów. Vincent bez przerwy robił jej psikusy. Zachowywał się nie tyle jak dziecko, ile raczej jak żartowniś, oryginał, ktoś, komu szaloną radość sprawiają zmyślne dowcipy i niezwykle wpadki.

Otworzyła parę szafek w jego małej kuchni i odkryła ze wzruszeniem, że wszystkie naczynia występują w dwóch egzemplarzach - dwa talerze, dwa widelce i dwa kubki, otoczone bezmiarem wolnej przestrzeni. Jak łatwo się zasmucamy, widząc martwe przedmioty. Rzut oka - i już wiemy wszystko o życiu danej osoby. Isabelle skurczyła się wewnątrz na myśl o tym, jak Vincent kupuje

je sam w sklepie, porzuciwszy rodzinę i dom. Dwie łyżeczki. Dwa podstawki. Wszystko przez Isabelle. Która czmychnęła z chwilą, gdy on się uwolnił, żeby zacząć z nią nowe życie.

Jedna z szuflad pod zlewozmywakiem była jeszcze gorsza. Panoszyły się w niej jednorazowe plastikowe buteleczki z sosem sojowym i co najmniej dwadzieścia par chińskich pałeczek, wciąż owiniętych w papierki. Isabelle od razu zorientowała się, o co chodzi. Oboje lubili dalekowschodnią kuchnię. Tyle że Vincent używał do jedzenia widelca, bo z pałeczkami nie bardzo sobie radził. Ona natomiast posługiwała się nimi po mistrzowsku, wprawiając go w podziw. Zawartość jego szuflady mówiła, że zamawiał tony chińszczyzny na wynos i że zachowywał pałeczki, wierząc, że ona któregoś dnia wróci i będzie ich używać. Po cóż innego chomikowałby te bezużyteczne rzeczy? Isabelle wsunęła rękę między pałeczki i zamieszała je, dotykając wszystkich tych smutnych, zjedzonych samotnie posiłków. Sztywne papierkowe owijki zaszeleściły w kuchennej ciszy. Już miała zatrasnąć szufladę, kiedy uzmysłowiła sobie, że jest tam coś jeszcze. Wysunęła ją z powrotem i przyjrzała się bacznie. Pod pałeczkami leżała kartka papieru pokryta do połowy pismem Vincenta. Wyjęła ją i zaczęła czytać. Po trzech pierwszych liniijkach wiedziała już, co trzyma w ręku. Drugą dłoń przyłożyła do ust. Vincent był utalentowanym plastykiem. W college'u studiował malarstwo i został mu potem wierny, chociaż mało kto w jego rodzinie miał okazję zapoznać się z jego dziełami. Gdy pierwszy raz pokazał jej nieśmiało slajdy ze swoimi obrazami, Isabelle przyjęła to jak wielki komplement. W pierwszym roku ich znajomości, na kilka miesięcy przed jej urodzinami, zapytał, jaki chciałaby dostać prezent. Spytała, czy mógłby namalować dla niej obraz. Był szczerze zaskoczony; odparł, że będzie się musiał nad tym zastanowić. Wiedziała, że jeśli Vincent chwyci za pędzel, to będzie chciał, aby obraz był cudowny, w związku z czym obawiał się niepowodzenia. Napisała więc do niego list:

Poprosiłam Cię o obraz, bo chciałam ujrzeć następną część Twojej duszy, ale w innym świetle. Chciałam, żebyś namalował coś, z czym „będzie mi do twarzy”, abym mogła zobaczyć, jak mnie postrzegasz. Wybrałbyś dowolny obiekt - konia albo wazon pełen kwiatów stojący na parapecie pod gwiazdami. Może one mówią tym gwiazdom o pięknie odległości i muzyce barw. Ludzie nie mogą się przyłączyć do tej rozmowy, bo kwiaty i gwiazdy nie mają końca, a my na razie - tak. Ale obdarzają nas swym pięknem i aromatem. I kwiaty, i gwiazdy bowiem roztaczają tę samą woń - nadziei. Jej urodzinowy obraz zawisł na ścianie pokoju gościnnego, lecz ten list wypadł jej z pamięci. Napisała ich tak wiele. Nie myślała o tym, co Vincent z nimi robi. Zobaczywszy swój list przepisany jego ręką, wyobraziła go sobie, jak siedzi przy tym kuchennym stole: przed nim kubek herbaty, po szybie spływa deszcz. Wiedziała, czemu go skopiował. Tylko tak mógł wówczas się do niej zbliżyć. W Isabelle coś pękło. Położyła kartkę na kontuarze, żeby ją widzieć, i wzięła się ponownie do szukania latarki.

Kiedy wróciła do sypialni, w ręku trzymała wyłącznie list.

- Nie znalazłam latarki.

Coco była w łazience. Myła ręce.

- Mam zapąłki. Obie nie zmieścimy się w tej garderobie.

Uklęknij i wejdź tam. Zaraz do ciebie przyjdę. Isabelle przemknęło przez głowę, że Coco zamknie ją w garderobie i już tam zostawi. Choć zdawała sobie sprawę z absurdalności tej myśli, nie mogła się od niej uwolnić. Vincent by się ucieszył: wszedłszy do domu, usłyszałby, jak nieznajoma, z którą spędził noc, wydziera się, żeby ją wypuścić z szafy. A potem oskarża inną nieznaną kobietę, że ją tam uwięziła.

Coco weszła do sypialni, wycierając ręce w ręcznik.

- Przyjrzyj się dobrze lewej ścianie tuż przy butach. Na pewno to zauważysz. - Włożyła rękę do kieszeni i dwoma palcami wyłuskała stamtąd srebrne pudełeczko zapalek, na którym widniał gruby czerwony napis „Acumar”. - Oddaj mi je, jak skończysz, dobrze? To moje szczęśliwe zapalaki. Byłaś tam kiedyś? Przemiała knajpka. Isabelle ponownie spojrzała na zapalaki i zaprzeczyła. Coco zdusiła w sobie uśmiech triumfu. Miała ochotę wytknąć język i zaśpiewać: tralala, a mnie Vincent zaprasza do drogich restauracji. Zamiast tego spostrzegła w oczach Isabelle coś, co sprawiło jej jeszcze większą frajdę: nieufność.

- Nie chcesz wejść do garderoby, prawda?

Isabelle wzruszyła szybko ramionami jak dziesięciolatka.

- Myślisz, że splecę ci figła, he?

- Słuchaj, nie wiem o tobie nic poza tym, że jesteś... - Isabelle odcięła końcówkę zdania niczym cygaro. Coco upuściła ręcznik na podłogę, podparła się pod boki i zmrużyła oczy.

- Poza tym, że jestem...?

- Nieważne.

Coco zrobiła krok w przód.

- Przeciwnie. Chciałaś powiedzieć, że wiesz o mnie tylko tyle, że jestem cizią Vincenta?

- Cizią?

- Przyjaciółką. Kochanką. Rurą do ruchania.

Milczenie Isabelle mówiło wszystko.

- Dobrze, jeśli jestem zwykłą dupą Ettricha, to skąd wiem o Anjo?

Isabelle zadawała sobie identyczne pytanie. Anjo wyjawiał jej, że Coco nie jest człowiekiem i że ma pomóc im wszystkim. W porządku, ale nie omieszkał też dodać, że Coco była jedną z kochanek Ettricha.

- Pozwól na chwilę. Chcę ci coś pokazać. - Coco odwróciła się i weszła z powrotem do łazienki.

- Tutaj też to widać. Nie musisz pchać się do szafy.

- Co widać?

- Wejdz i zobacz z łaski swojej. Przestań być irytująca.

Isabelle wsunęła się do łazienki, jakby to było pole minowe.

- No więc: weszłam. I co z tego?

Raptem Coco wyciągnęła rękę i chwyciła Isabelle za nos.

- Nie jesteśmy w przedszkolu. Nie będę cię namawiała, żebyś wypila mleko. Kiedy mówię wejdz, to masz wejść i kropka. Gównu mnie obchodzi, czy ci się to podoba czy nie.

Coco nie wiedziała, że nos Isabelle stanowi nienaruszalną świętość. Nie wolno go było dotykać nikomu - członkom rodziny, kochankom ani ciekawskim niemowlętom. Sama Isabelle nie wiedziała, skąd się to u niej wzięło, ale tak już było - ludzie są dziwni. Vincent szybko odkrył tę jej słabość i bezwzględnie ją wykorzystywał. Seksualnie oboje za sobą szaleli - brali i dawali, ile

dusza zapragnie. Niemniej jednak, tuż po dzikiej sesji, od której drżały jeszcze żyrandole, kiedy leżeli nasytzeni i radośnie znużeni, Vincent szeptał jej do ucha:

„Jeśli naprawdę mnie kochasz, pozwolisz mi teraz dotknąć swojego nosa”. Na co ona powtarzała nieodmiennie: „Wykluczone”.

Gest Coco był tak nagły i grubiański, że Isabelle struchlała. Ściskająca jej nos Coco zbliżyła się, podeszła tak blisko, że Isabelle owionął zapach jej oddechu. Był przyjemnie miętowy. Ale również zimny. Szczegół ten nie dawał Isabelle spokoju, kiedy przypomniawszy sobie o nim później.

- Anjo jest w niebezpieczeństwie. Ty jesteś w niebezpieczeństwie i nie uciekniesz przed nim, Izuniu. Isabelle uderzyła Coco w brzuch. Był to wspaniały „hak”, silny i zajadły, bity z zaskoczenia, którego nie powstydziliby się rasowy pięściarz. Ale Coco nawet się nie zachwiała; wyszczerzyła się w uśmiechu i jeszcze mocniej ścisnęła nos Isabelle.

- Bardzo ładnie, skarbie. Ale na mnie to nie działa. Czy mogę wreszcie coś ci pokazać?

Isabelle najchętniej skinęłaby głową, ale to by jedynie zwiększyło ból.

- Tak - wymamrotała przez nos.

Coco puściła ją i uniosła rękę, jakby poddawała się policji.

- Proszę, nie chowaj urazy.

Isabelle pomacała nos, aby się upewnić, że nadal tkwi on na swoim miejscu, i zapytała:

- Co mam tam zobaczyć?

- Otwórz szafkę i dobrze się przyjrzyj.

Przez cały dzień Isabelle nie robiła nic innego. Ale szafka nie wyróżniała się niczym szczególnym. W końcu zamknęła drzwiczki i patrząc na odbicie Coco w lustrze, pokręciła głową. - Nic nie zauważyłaś?

- Nie.

- Więc chodź ze mną. - Niezrażona niepowodzeniem Coco pomaszerowała z powrotem do sypialni.

Gdy były o dwa kroki od garderoby, Isabelle zatrzymała się i wlepiła wzrok w podłogę, jakby usiłowała coś sobie przypomnieć.

- Zaraz, zaraz. - Wykonała w tył zwrot, wróciła do łazienki i ponownie otworzyła szafkę. Wyciągnęła z niej małą przezroczystą fiolkę z tabletkami. Odkręciła wieczko i wysypała kilka na dłoń. Pigułki były duże i białe. Na każdej widniało jedno lub dwa słowa, zapisane czarnym atramentem. Isabelle widziała je już przy pierwszych oględzinach. Czarne bazgroły na białych tabletkach. Upłynęła jednak dłuższa chwila, zanim obserwacja ta dotarła do jej umysłu i kazała jej wrócić do szafki, żeby zbadać ją powtórnie.

Pierwsza pigułka, na której skupiła wzrok, miała napis „Zupa”. Tak wabił się jej pies. Następna głosiła „Kraków”. Było też imię jej matki. Inna tabletkę miała z jednej strony napis „Cafe”, a z drugiej „Diglas”. Tam umówili się na pierwszą randkę. Wszystkie przedmioty znajdujące się w szafce Vincenta były opatrzone słowami odnoszącymi się jakoś do ich związku. Krem do golenia w aerozolu. Flakonik wody kolońskiej „Royal Water”. Jego pomarańczowa szczoteczka do zębów. Na każdym widniał jakiś napis.

— Wiedział, co go czeka. Wiedział, że spróbują mu ciebie zabrać. Dlatego poopisywał te wszystkie rzeczy. - Coco znowu odbijała się w lustrze, spoglądając na Isabelle od drzwi.

— Ale jak? Skąd wiedział, że to się stanie?

- Nie mam pojęcia. Może przecucie? Jeśli tak, to go nie zawiodło: pięknie wyprowadził ich w pole. Oto twój dowód - napisał słowa, które miały sens jedynie dla niego i dla ciebie. No, co nieco mi opowiedział. Jak bardzo spodobał wam się Kraków albo jak się nazywa twój pies. Chodź ze mną. Pokażę ci coś jeszcze.

Tym razem Isabelle nie ociągała się. Gdy tylko Coco podsunęła jej pudełeczko zapalek i kazała wejść do garderoby, natychmiast dała tam nura. Oparta na kolanach drasnęła zapalkę i spytała, za czym powinna się rozejrzeć.

- Lewa ściana, koło butów. Widać je jak na dłoni.

Powłócząc nagimi kolanami po podłodze, Isabelle zbliżyła płomień do ściany garderoby. Minęły dwie, trzy sekundy i wtedy je ujrzała. Zapalka wypaliła się i zgasła. Isabelle zapaliła następną i niecierpliwie wychyliła się naprzód. Na długości i szerokości około piętnastu cali nad podłogą, gdzie stały równo buty Vincenta, ściana była pokryta beładnymi słowami, liczbami i numerami. Płatanina rysunków, słów i prywatnych hieroglifów przypominała dzieło nawiedzonego artysty, wytrawnego graficiarza lub naukowca rozpisującego jakieś skomplikowane równanie. Galimatias ten fascynował i zarazem niepokoił, również Isabelle, jedyną prócz jego twórcy osobę na świecie, która rozumiała coś niecoś z tego, co przedstawiał. Kiedy nań patrzyła, przez głowę przemykały jej rozmaite skojarzenia: malowidła naskalne z Lascaux we Francji, widziana przed laty fotografia argentyńskiej celi, której ściany, od podłogi do sufitu, zabazgrane były przez graffiti setek więźniów. Pomyślała o kłęzącym w tej ciasnocie Vincencie, zapisującym na ścianie ich historię ze świadomością, że już niebawem stanie się ona jego jedynym kluczem do odnalezienia ich obojga.

Druga zapalka zgasła, ale Isabelle nie zapaliła następnej. Zamiast tego przesunęła dłonią po liczbach i rysunkach. Po obrazach i wspomnieniach, które Vincent postanowił tutaj utrwalić. Wiodła dłonią po ścianie z taką czułością, jakby była to twarz jej ukochanego. Robiłaby to dalej, gdyby Coco nie przerwała jej pytaniem:

- Kto to jest Rez Sahara i 25 Myszy?

Isabelle także dostrzegła ów napis na ścianie. Mimo to, słysząc tę komiczną nazwę wypowiedzianą na głos, uśmiechnęła się w ciemności.

- To jeden z pomysłów Vincenta na nazwę grupy rockowej.

Bawi go wymyślanie nie istniejących kapel. Rez Sahara była moją ulubioną nazwą. Więc Vincent wydrukował ją na koszulce, którą potem mi dał. Powiedział, że w ten sposób zostałam ich pierwszą grupie. Co za kretynstwo. - Przez Coco po prostu przemawiała zazdrość. Vincent nigdy jej nie wspomniał, że wymyśla nazwy zespołów rockowych.

- Kompletne. Dlatego tak mi się podoba.

- Ciemno tam choć oko wykol. Masz zamiar posiedzieć dłużej?

Isabelle jeszcze raz dotknęła ściany i poczuła, jak bardzo go kocha.

- Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek chciała stąd wyjść.

Pieprz i ołówki

Kiedy jechali przez miasto w kierunku szpitala, ich taksówka zatrzymała się na czerwonym świetle przed dworcem kolejowym. Ettrich spojrział tam i pomyślał: Moje życie wykoleiło się dzisiaj i pruje na łeb, na szyję przez pola i ugory. Albo coś w tym stylu.

Najpierw obudził się obok ślicznej nieznajomej, która zachowywała się i mówiła w taki sposób, jakby się znali od lat. Na śniadanie zjedli czekoladowy tort, stojąc (prawie) na golasa w łazience. Potem odkrył, że ktoś świsnął mu samochód z garażu. Do tego doszła pyskówka w domu Kitty i całkiem zbędna wycieczka do szpitala. Ettrich nie znosił szpitali.

- Pierdolone wykolejenie! - zaklął w duchu, po czym zaraz obwieścił to wszem i wobec, napawając się głośno wypowiedzianymi słowami. Jego ośmioletni syn, Jack, odwrócił się od okna i przyjrzał mu się ze spokojem.

- Co mówiłeś, tatku?

- Nic ważnego, gladiatorze. Jak się czujesz?

- Dziękuję, gorąco mi. - Chłopiec obrócił się z powrotem i przylgnął do szyby nosem i ustami. Gdyby to zobaczyła Kitty, dostałaby ataku apopleksji. Surowym tonem poleciłaby mu odsunąć twarz od okna. Ettrich milczał. Po pierwsze dlatego, że wiedział, iż przyjemnie dotyka się rozgrzaną skórą zimnego szkła. A po drugie, wszystko, co mówiła dzisiaj jego była żona, zamieniało się w swoje przeciwieństwo.

Choć czynił to już tyle razy, ilekroć dzwonił do drzwi swego starego domu, zawsze opanowywało go dziwne uczucie. Jakby robił głupi dowcip swemu dawnemu Ja". Przecież wchodził przez te niebieskie drzwi tysiące razy, wołając: „Jest tam ktoś?” Przeglądał pocztę na komódce, wahał powietrze, nasłuchiwał domowych odgłosów. Krzyków dzieci, śpiewu Kitty, włączonego telewizora lub radia, psa kulającego się na oświetlonej słońcem makatce. Dom składa się z tego, co niewidzialne, co uważa się za wręcz .oczywiste. Zmatowiały mosiężny haczyk, na którym wieszasz klucze, smuga na białej ścianie ganku, którą zrobiły rowerowe koła. Szczegóły i drobiazgi, które znasz na wylot i którym nie poświęcasz uwagi, dopóki dom nie zamieni się w domostwo, zamieszkane przez twoją eksmałżonkę i dzieci. Wtedy miejsce to staje się muzeum przeszłości, pełnym nakazów i zakazów. Musisz przybywać w godzinach urzędowania i płacić coś w rodzaju wejściówki. Brakuje tylko widocznych na każdym kroku napisów - nie rób tego, nie rób tamtego. Zwłaszcza ty, Vincencie Ettrichu. Osobom nieupoważnionym wstęp wzbroniony.

Dlatego ciągle zerkał kątem oka, szukając zmian, jakie zaszły w jego dawnym domu. Co ta smoczyca Kitty znowu zmieniła?

Wdusił guzik dzwonnka i cofnął się od drzwi, dając Kitty aż nadto miejsca, kiedy je otworzy.

W następnej sekundzie drzwi rozwarły się gwałtownie, jakby Kitty czyhała na niego po drugiej stronie. Gdyby nadal byli małżeństwem, skwitowałby to żartem, ale nie teraz. Ten rodzaj humoru dawno już umarł i został pochowany między nimi. Obecnie ich kontakty przypominały dwójkę bokserów w połowie pojedynku, mierzących się wzrokiem z własnych narożników, czekających na gong do rozpoczęcia kolejnego starcia.

Kitty wyglądała świetnie. Ostrzygła krótko włosy i pomalowała usta nową ciemną szminką w odcieniu śliwki. W pierwszym odruchu Ettrich chciał wyrazić swój podziw, ale niekiedy podobne komplementy obracały się przeciwko niemu, zwłaszcza ostatnio. Podczas gdy w głowie kłębiły mu się sprzeczne myśli, Kitty powiedziała:

- Chodzi o ucho.

Ettrich, zaskoczony raptownym otwarciem drzwi i nowym wyglądem Kitty, zrozumiał jej słowa jako „chodź Oucho”. Jaki Oucho? Czemu go tak nazwała? I co to ma wspólnego z chorobą Jacka?

- Dlaczego Oucho?

- Co? O czym ty mówisz? - zapytała Kitty, przybierając znienawidzony przez Ettricha ton. Ich małżeństwo rozpadło się z jego winy i brał za to na siebie pełną odpowiedzialność. Lecz nie mógł znieść jej nowego, zjadliwego tonu, który pojawił się od chwili rozvodu. Jej głos mówił, że to, kim Ettrich jest, co robi i myśli - jest albo głupie, albo godne pogardy. Ze ściągniętymi ustami Ettrich wypuścił powietrze przez nos.

- Spytałem, dlaczego nazwałaś mnie Oucho. Przed chwilą tak właśnie powiedziałaś: „Chodź, Oucho”. Zarechotała.

— Nie, Vincencie. Powiedziałaś: „Chodzioucho”. Twój syn dostał znów zapalenia ucha i ma gorączkę. Doktor Capshew jest w szpitalu i kazał go przywieźć.

— Cześć, tatusiu. - Mały Jack wyłonił się zza nogi Kitty i stanął w pół drogi między rodzicami.

Serce Ettricha uśmiechnęło się. Nie tylko kochał Jacka, ale też naprawdę lubił tego dzieciaka.

- Siemasz, Spidermanie. Mama mówi, że nie czujesz się za dobrze.

- Boli mnie ucho, tato. Znowu to głupie ucho. - Jack Ettrich był chodzącą wylegarnią dziecięcych chorób. Ledwie wylizał się z jednej, zaraz dopadała go następna, i tak w kółko. Zapalenie uszu, migdałki, świnka, ospa wietrzna, odra, różyczka... Biedny dzieciak oberwał od wszystkich tych choróbsk, a jednak zdołał zachować pogodne usposobienie.

Tylko jedna cecha odróżniała go od innych dzieci – Ettrich akurat bardzo ją lubił - a mianowicie to, że Jack mówił i zachowywał się jak mały dorosły. Miał osiem lat, był cichy, uprzejmy i zamyślony. „Proszę” i „dziękuję” figurowały na pierwszej stronie jego słownika. Inaczej niż jego rówieśnicy, nie rzucał się na czekoladowy batonik, ale smakował go powoli. Kiedy go o coś zapytano, długo i poważnie rozważał odpowiedź. Płakał rzadko, ale gdy już płakał, była to istna włoska opera; serce pękało ci w piersi i nie szczędziłeś wysiłku, żeby go pocieszyć. Ettrich czytał gdzieś artykuł o bardzo rzadkiej chorobie zwanej progerią, której ofiary starzały się co roku o dziesięć lat. Dziewięciolatki umierały ze starości. Czasami zastanawiał się, czy aby Pan Bóg nie dodał szczypty progerii do składników Jacka, zanim wstawił go do piekarnika.

- Gdzie twój samochód, tatusiu? - Jack wspiął się na palce i zakrył daszkiem dłoni oczy, omiatając wzrokiem ulicę przed ich domem.

- Ktoś go ukradł.

- Rany, zabrali ci samochód?

- To jakiś absurd, Vincencie. Kto by kradł takiego wraka?

- Nie wiem, Kitty. Ktoś. Ktoś jednak się znalazł.

Skrzyżowała ręce.

— Nie wierzę. Pewnie zapomniałaś, gdzieś go zostawił wczoraj w nocy, bo miałaś na głowie inne sprawy. No i ubrdałaś sobie, że ktoś go ukradł.

— Kitty... - zaczął, ale zrozumiał, że choćby ziarnko piasku w jego głosie sprowokuje ją do natychmiastowego ataku. Przełknął ślinę i spojrzał na chłopca. - Mam zawieźć Jacka do lekarza?

- Tak. Doktor Capshew dyżuruje do dwunastej.

— A może zaczekamy do tej dwunastej, a potem zabiorę Jacka do prywatnego gabinetu Capshewa? To dwie przecznice stąd, a do szpitala trzeba się tłuc pięć mil przez miasto.

— Moim zdaniem tato ma rację, mam. Nie lubię szpitali.

Nieprzyjemnie pachną.

Kitty nawet nie wysiliła się na odpowiedź.

- Muszę kupić Carmen trykot. W poniedziałek zaczyna lekcje tańca i od tygodnia suszy mi głowę. Jak chcesz dotrzeć do szpitala bez samochodu?

Ettrich wskazał na czekającą taksówkę i wtedy uderzyło go obco brzmiące imię.

- Kto to jest Carmen?

Chłopiec wyjaśnił mu z nutą dezaprobaty w swoim wysokim głosiku:

- Stella. Jej imię już jej się nie podoba i żąda, aby nazywano ją Carmen.

Stella była ich córką. Nosila imię, które Ettrich i Kitty jak to odkryli, ku swej nieopisanej radości, na pierwszej randce - chcieli zawsze nadać swojej córce.

- Carmen. Interesujące. - Ettrich wsunął ręce do kieszeni spodni i zakołysał się na piętach. - Zgodziłaś się na to, Kitty?

- Czemu by nie? Carmen to ładne imię.

W odpowiedzi Ettrich zagwizdał kilka taktów z opery Carmen. Falszował.

Kitty dotknęła ręki Jacka i powiedziała, żeby włożył buty i szykował się do wyjścia. Kiedy chłopiec zniknął, zwróciła się do Ettricha:

- Przywieź go od razu z powrotem.

- W porządku. - Zazwyczaj uwielbiał wałęsać się z dziećmi, dzisiaj jednak nie oponował. Musiał jeszcze zgłosić zaginięcie auta na policji. Musiał wrócić do domu i zastanowić się, co począć z nieznaną z czekoladowym tortem.

- Nie życzę sobie, żebyś pokazywał mu swoje mieszkanie.

Rozumiemy się? Jack ma się trzymać stamtąd jak najdalej. - Mówiła tak, jakby za moment miała pęknąć.

- Okej, Kitty. Odstawię go zaraz z powrotem. Domszpitalbęc. - W jego głosie była całkowita zgoda.

- Nie kpij sobie ze mnie, Vincencie. Nawet się nie waz.

Zmarkotniał.

- Nie kpię. Powiedziałem tylko, że odstawię go zaraz do domu.

- A czy wiesz, dlaczego chcę, żebyś go przywiózł do domu?

Bo wiem, że ona przyjechała. Ktoś widział was razem zeszłej nocy na lotnisku. No i co, Vincencie, jesteś szczęśliwy? Nie przeszkodziłam ci przypadkiem w porannych igraszkach? Bardzo mi przykro, ale tak się składa, że chodzi o twojego chorego syna!

- Co ty, do diabła, wygadujesz? Kto przyjechał? Co znaczy:

„Ktoś widział was razem zeszłej nocy”?

Kitty pokręciła głową, dając do zrozumienia, że nie da się więcej nabrać na jego kłamstwa. Co to, to nie. Skończyło się.

- Wciąż próbujesz się wykręcać, Vincencie? - Zmienionym, niskim głosem dodała: - „O co ci chodzi, Kitty? Nie byłem z żadną kobietą. Słowo honoru! Jak możesz tak o mnie mówić?” Bzdura, Vincencie. Bzdura! - Oszalałaś? Co ty wygadujesz, do diabła?

Na szczęście w drzwiach zjawił się ich syn. Na nogach miał kolorowe adidasy, które Ettrich kupił mu tydzień temu w Los Angeles, dokąd wyjechał w interesach. Jack podniósł jedną nogę i pokiwał się na drugiej.

- Co powiesz, tatusiu? Jak wyglądam?

- Bombowo. Pasują na ciebie jak ulał.

Jack wyskoczył naprzód i rzucając się na Ettricha, objął go rękami za szyję.

- O rety, ale urosłeś! Następnym razem mnie przewrócisz.

Jack zachichotał i przytulił się mocniej. Ettrich zobaczył kątem oka, że Kitty bardzo się stara nie uśmiechnąć. Poczul w głębi ukłucie żalu za to, jak potraktował Kitty i ich małżeństwo. Trzymając Jacka na rękach, oddalił się od niej, nie oglądając się za siebie.

W porównaniu z innymi szpitalami ten przedstawiał się pięknie. Otworzono go przed trzema laty, od tamtej pory zdobył liczne nagrody za twórcze wykorzystanie przestrzeni i światła, dające wrażenie przebywania na wolnym powietrzu. Wnętrze tchnęło nowoczesnością. Urządzenia wyglądały tak, jakby ściągnięto je z pokładu statku kosmicznego lecącego na Jowisza. Za każdym razem, gdy Ettrich przechodził przez szpital, maszyny te skłaniały go do zastanowienia, jak można umrzeć, będąc podłączonym do czegoś takiego. Jak te wszystkie migające lampki, dmące miechy i ciekłokrystaliczne wskaźniki mogłyby zawieść pacjenta? Wydawały się tak solidne i nieomyłne - jakżeby mogły się zepsuć? Zapytał raz o to doktora Capshewa, kiedy Stella znalazła się tutaj, aby wycięli jej wyrostek robaczkowy.

Capshew, który był porządnym facetem, uśmiechnął się. Pochylił się ku Ettrichowi i wskazał na przeciwną ścianę pokoju.

- Widzi pan tę maszynę, panie Ettrich? To sonogram. Wysyła fale dźwiękowe, które odbijają się od pańskich wnętrzności i umożliwiają specjalistom odczytanie ich wyglądu. Kosztuje około siedemdziesięciu tysięcy dolarów. A oto wielka tajemnica lekarska: to jest tylko narzędzie. Młotek ze stopniem profesorskim. Narzędzia potrafią naprawić to i owo, ale cudów nie zdziałają. My, lekarze, chcielibyśmy wmówić ludziom, że jesteśmy cudotwórcami, bo to mile łechce naszą próżność. Ale w istocie przypominamy mechaników samochodów rajdowych: dostrajamy bardzo kapryśne maszyny.

Ettrich i jego syn, trzymając się za ręce, weszli do szpitala i wsiedli do jednej z kilku wind. Mimo że kabina pomknęła zaraz w górę z cichym szumem, zatrzymała się trzy razy, nim dotarła do szóstego piętra. Wchodzili do niej i wychodzili ubrani na biało lekarze, ze stetoskopami na szyi i

notesami w rękę. Sprawiali wrażenie zdecydowanych i pewnych tego, że postępują w jedyny właściwy sposób. Ettrich zazdrościł im - bardzo by chciał, żeby jego praca była równie ważna i nie ograniczała się do wciskania ludziom rzeczy, które promował w swoich reklamach. Westchnął i bezwiednie chwycił mocniej rękę Jacka. Chłopiec odpowiedział mu uściskiem, spojrzął na niego i uśmiechnął się. Ettrich opuścił wzrok i ponownie uściśnął go dwoma krótkimi ruchami. Winda zwolniła i zatrzymała się. Za drzwiami ukazały się trzy czarne pielęgniarki, rozmawiające z ożywieniem. Dwie z nich weszły do środka. Trzecia stanęła w drzwiach, nie przerywając rozmowy. Ettrich zauważył ją ostatnią, gdyż pozostałe siostry były znacznie ładniejsze.

Kobieta oznajmiła tubalnym głosem:

- Chcę powiedzieć, że ta rozmowa nie jest zakończona. - Jej głos był tak imponujący, że przedarł się do świadomości Ettricha szybciej niż ona sama.

- Och, Michelle, ostatnie słowo zawsze należy do ciebie - poskarżyła się Pierwsza Śliczna Pielęgniarka, kręcąc głową. Dopiero wtedy Ettrich spojrzął na stojącą przed windą kobietę. Była ogromna. Wydawało się, że bez trudu pchnęłaby kulą poza obręb stadionu. Na sekundę ich spojrzenia się przecięły, po czym pielęgniarka odwróciła się do swoich koleżanek. Znał ją; pamiętał. Tylko skąd? Kiedy drzwi zaczęły się zasuwać, zerknął na jej plakietkę: Maslow. Michelle Maslow.

- Hej! - zawołał bez namysłu, ale winda już ruszyła.

- Co się stało, tatku? - Nic, Jack. Coś sobie przypomniałem.

Pytanie skrobało wewnątrz jego mózgu jak palec zakończony długim paznokciem. Popatrzył na metalowe drzwi i zmrużył oczy. Kim ona jest? Dlaczego był tak pewny, że ją zna? Wielka czarna pielęgniarka nazwiskiem Maslow. Kim jest?

- Przepraszam, czy mogłyby mnie panie poinformować, gdzie pracuje ta siostra? - Ettrich zwrócił się do kobiet, wskazując otwartą dłońią na zamknięte drzwi.

- Znasz ją, tato?

- Tak sędzę. - Uśmiechnął się.

Pierwsza pielęgniarka spojrziała na Jacka i puściła do niego oko.

- Jak się masz, przyjacielu? Wpadniesz do nas z wizytą? - Jej wzrok przesunął się na Ettricha. - Siostra Maslow dyżuruje w czwartym punkcie pielęgniarskim na czwartym piętrze.

- Trudno ją przeoczyć - dodała druga i zerknęła na swoją koleżankę, która skinęła głową z uśmiechem.

- Dziękuję paniom.

- Skąd ją znasz, tato?

- Nie jestem pewny. Wydaje mi się tylko, że znam.

Druga pielęgniarka nie mogła się oprzeć pokusie zapytania:

- Był pan kiedyś na naszym oddziale intensywnej opieki?

Ton jej głosu sprawił, że Ettrich potraktował jej pytanie na serio.

- Ee, nie.

- Właśnie tam można ją znaleźć.

Na tym nie koniec. Kiedy szli korytarzem w stronę gabinetu Capshewa, Ettrich zobaczył po drodze wolno stojący dystrybutor wody o futurystycznym kształcie. Wiedział na pewno, że nigdy z niego tutaj nie korzystał; jednocześnie zaś był przekonany, że próbował napić się z takiego samego dystrybutora, tyle że znajdującego się na innym piętrze szpitala.

Przypomniał sobie, że nie mógł wtedy rozgryźć, jak go uruchomić. Jego nieporadność sprawiła, że poczuł się głupio i bezsensownie. O mało się nie rozpląkał. Podparł się o ścianę, by zachować równowagę, tak bardzo czuł się zmęczony, słaby i chory. Był ciężko chory. Pamiętał to. Ale kiedy, do diabła, to było? Jego umysł miotał się. Ettrich nie miał cienia wątpliwości, że doświadczenia te odcisnęły się na jego życiu. Że chciał się napić wody, ale nie mógł się połapać, jak uruchomić ten cholerny dystrybutor.

Pamiętał przerażenie, jakim przejęły go odruchy własnego ciała. Dawniej zawsze mógł na nie liczyć. Odważemniał mu się tym samym - wysypiał się, ćwiczył, zdrowo się odżywał.

Pamiętał wyraźnie, że w pewnym momencie zapytał głośno:

„Czemu mi to robisz? Dlaczego mnie zawodzisz?” Jego ciało bowiem złamało ich święte przymierze - przestało o niego walczyć, bronić go przed chorobą. Pozwalało mu umrzeć. Wgapiony w dystrybutor Ettrich coraz bardziej zwalniał kroku, a głowę wypełniała mu spadająca lawina wspomnień. Ale czy to rzeczywiście były jego wspomnienia? Jak to możliwe? Skąd się wzięły w jego życiu?

- Który numer ma jego gabinet, tatku? - Znajomy głosik Jacka sprowadził Ettricha do teraźniejszości, ale nie całkowicie.
- Na końcu korytarza. Zaraz będziemy na miejscu.
- Zawsze wciska mi do ucha to świństwo. Nie znoszę tego.

Brandt. Był taki jeden, sanitariusz - jak się nazywają ci pracownicy szpitala, którzy przynoszą ci jedzenie i zmieniają pościel? Sanitariusze? Pielęgniarki? Na ich oddziale był nadzwyczaj przystojny, młody mężczyzna o nazwisku Brandt, który pracował na dziennej zmianie. Nazywali go Jimpy, choć właściwie miał na imię Jim. Chodził ciągle spięty, podkrecony. Uśmiechał się z byle powodu; paznokcie miał obgryzione do żywego ciała. Wykonywał swoje obowiązki dobrze, ale zbyt prędko, jakby bez przerwy się spieszył.

Michelle Maslow ochrzciła go Jimpy. I tak już zostało.

- Denerwujesz mnie, Jimpy. Chyba pod skórą zaległa ci się chmara myszek. Jak tylko cię zobaczę, zaraz mi skacze tętno. I to nie dlatego, że czuję do ciebie miętę, kapujesz? Serce ściska mnie za gardło, bo ty ciągle pędzisz jak nawiedzeniec. W odpowiedzi na jej zaczepki Brandt błyskał swoim dzikim uśmiechem i zabierał się do pracy. Michelle Maslow. Jimpy Brandt. Skąd Ettrich zna te nazwiska?

Dotarli do gabinetu doktora Capshewa i weszli do środka. W poczekalni siedziało kilkoro pacjentów, którzy wyglądali, jakby bawili tu od dłuższego czasu. Ettrich pomyślał, że ta wizyta może trochę potrwać.

Na stole w kącie pomieszczenia piętrzył się stos czasopism, zarówno dla dzieci, jak i dla dorosłych. Ettrich i Jack wzięli po kilka z nich. Nie zdążyli ich jednak otworzyć, gdyż recepcjonistka wyczytała nazwisko Jacka. Podnieśli się. Ojciec ruszył za synem do gabinetu, zakłopotany, że wpycha się bez kolejki.

Co gorsza, po dwóch minutach Ettrich został stamtąd odprawiony. Capshew postanowił poddać Jacka dodatkowym badaniom, żeby wykluczyć poważniejszą chorobę niż nawrotowe zapalenie ucha. W związku z tym poprosił o przeniesienie chłopca do szpitala. Zaproponował Ettrichowi, żeby wyskoczył na kawę i wrócił za czterdzieści pięć minut. Ettrich przemknął się więc z powrotem przez poczekalnię, jakby dopiero co zwędził wszystkim pacjentom portfele. Przechodząc tamtędy, czuł na sobie ich milczące pretensje. Gdyby byli węzami, pożegnali go ogłuszającym grzechotem. Znalazszy się na korytarzu, odczuł mieszaninę ulgi i niepokoju. Miał blisko godzinę wolnego czasu. Nie chciał nigdzie iść, obawiał się bowiem, że znowu najdą go te realistyczne wizje miejsca i czasu, o których wolałby już zapomnieć. Przez kilka sekund zastanawiał się, czy nie zejść na czwarte piętro i nie poszukać Michelle Maslow. Ale co miałby jej powiedzieć? O co zapytać? Znam panią. Czy pani mnie zna? Pewnie spojrzałaby na niego jak na wariata. I słusznie. A potem? Odnaleźć Brandta i spytać go o to samo? Siema, Jimp. Pamiętasz mnie, przystojniaku?

Wcisnął ręce do kieszeni i pomyślał, że najbardziej pragnie wrócić do swego małego, zakichanego mieszkanka, którego nie cierpi. Nie ma to jak własne cztery kąty. Wtedy przypomniał sobie, że mieszkanie także odpada, bo zainstalowała się tam Panna Tort Wiedeński. A więc znajdzie gdzieś bar. Wypije ten kubek kawy i poczeka na Jacka. Może do tego czasu ziemia nie zadrży mu pod nogami. Zapytał przechodzącego sanitariusza o drogę; bar mieścił się na parterze. Tym lepiej - zejdzie na dół, a potem wróci na górę. Musiał się czymś zająć, wypełnić jakoś ten czas. Może nawet wyjdzie na spacer. Stał przy windach, nacisnął guzik i czekał z założonymi na plecach rękoma. Kitty nazywała tę jego postawę „pozą starca”. Przyjmował ją nieświadomie. Pod koniec ich małżeństwa Kitty wpadała wręcz w złość na jej widok. Tak już jest, że kobiety złością się, denerwują lub są rozczarowane mężczyznami z tego czy innego powodu. To nieuchronne. Im bardziej cię przedtem kochały, tym większy zawód sprawiasz im na końcu. Dajesz za mało albo za dużo. Zły kolor, zły czas, zły gest. Powiedz im komplement, a zbędą cię wzruszeniem ramion lub zimną uwagą typu: „Spostrzegawczy jesteś”. Myśli te przelatywały Ettrichowi przez głowę, kiedy patrzył na zmieniające się czerwone numerki nad metalowymi drzwiami. Winda zatrzymała się z cichym metalicznym „ping”. Drzwi rozsunęły się na oścież. Wewnątrz stał jedynie Bruno Mann.

- Tutaj jesteś.

- Bruno! Co ty tu robisz?

Drzwi zaczęły się zasuwac. Mann machnął ręką przed okiem fotokomórki i drzwi posłusznie otworzyły się z powrotem.

- Szukam ciebie.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Obdzwoiłem paru ludzi. Kitty mi powiedziała.

- Czemu po prostu nie zadzwoniłeś na moją komórkę?

- Nie miałem numeru.

- Mogłeś zadzwonić do pracy. Mają nasze numery. To telefon służbowy.

Mann jakby się zmieszał, ale tylko na chwilę. Drzwi windy zaczęły się zamykać. Otworzył je machnięciem ręki.

- Nie myślę w tej chwili zbyt logicznie, Vincencie. Musimy porozmawiać. Możemy gdzieś iść? - Niecierpliwym gestem pokazał Ettrichowi, aby ten wsiadł z nim do windy. Drzwi znów się zaczęły zasuwac. Ettrich dostrzegł to na skraju pola widzenia, gdyż patrzył w stronę gabinetu Capshewa. - Mam tylko czterdzieści minut. Muszę odebrać syna od lekarza.

- Świetnie. Wspaniale. Czterdzieści minut wystarczy. Włącz.

Ettrich wszedł do windy. Tym razem Mann pozwolił drzwiom się zamknąć. Wdusił guzik oznaczony „hol”. Kiedy kabina niosła ich w dół, Ettrich czekał na wyjaśnienia, ale Mann milczał. Skrzyżował ramiona na piersi i spoglądał w podłogę. Najwyraźniej pogwizdywał sobie cicho pod nosem.

- No więc?

Bruno się nie odezwał.

W okamgnieniu Ettrich znalazł cel, na którym skupiły się wszystkie jego frustracje.

- Bruno, nie częstuj mnie ciszą, dobrze? Zaprosiłeś mnie na rozmowę. Więc wyjaśnij mi, co jest grane?

- Oni się z nami bawią, Vincencie. Zamknęli nas w słoiku jak robaczki świętojańskie i potrząsają nim, żeby zobaczyć, jak zareagujemy.

- Co ty pleciesz? Jacy „oni”?

Bruno wyprostował ręce.

- Masz tętno?

- C o? - Ettrich miał ochotę rzucić się do ucieczki. Nabrał podejrzeń, iż Bruno Mann dostał bzika i że on, Ettrich, znalazł się w pułapce z Panem Robaczkiem Świętojańskim.

- Od kiedy dowiedziałeś się prawdy, czy zrobiłeś siku? Czy choć raz musiałeś skorzystać z toalety?

- Z toalety? Oczywiście, że korzystam z toalety. Co ty, Bruno, naćpałeś się, czy co? Bruno pokręcił przecząco głową.

- Nie ja. A wiesz, co jest w tym wszystkim najzabawniejsze? Że tak długo nie zdawałem sobie z tego sprawy. Robisz tyle rzeczy machinalnie, że w ogóle o nich nie myślisz, dopóki nagle nie przestaniesz ich robić.

Ettrich uległ ciekawości.

- Przestałeś robić siku? Kiedy? - Prawie się uśmiechnął.

Bruno spostrzegł to i się wykrzywił.

- Wiem, to jest śmieszne. To wszystko przypomina jedną straszliwą komedię.

Winda zatrzymała się na piętrze. Drzwi rozsunęły się, ale nikogo tam nie było. Drzwi zamknęły się ponownie. Ruszyli. Ettrich czekał na dalszą część relacji Manna.

- No i?

- No i co?

- Chyba nie przytelepałeś się do mnie, żeby mi powiedzieć, że już nie siusiasz, Bruno.

Mann jakiś czas się nie odzywał. Następnie, jakby coś wyczuł, podniósł głowę i zmarszczył brwi. Wyciągnął rękę w górę.

- Cicho. Pssst.

Niezadowolony, że Bruno każe mu milczeć, Ettrich trzymał język za zębami.

- Czujesz to? Coś tu jest. Coś jest tutaj razem z nami. - Bruno mówił z napięciem, ale nie było po nim widać zdenerwowania.

- Uważam, że powinieneś szybko wykupić lekarstwa, Bruno. Cokolwiek zażywasz. - Ettrich wyprostował się i toczył szeroko otwartymi oczami po wnętrzu windy.

- Poprzednim razem winda stanęła, ale nikt nie wszedł.

Choć drzwi się otworzyły. Zauważyłeś?

- Co z tego?

Mann machnął w stronę drzwi.

- Wydaje mi się, że coś tu weszło. Tyle że my tego nie widzimy.

Ettricha przeszył ostry niepokój, jaki ogarnia cię wtedy, gdy znajdziesz się zbyt blisko kogoś, kto może za chwilę rozwinąć skrzydła, oblecieć wokół pokój i wylądować ci twardo na głowie.

Upłynęła wieczność, zanim dojechali do następnego piętra. Winda, dzięki Bogu, zatrzymała się w końcu i drzwi się otworzyły. Ettrich ruszył do wyjścia, lecz Bruno osadził go w miejscu, kładąc mu rękę na ramieniu.

Ettrich przyjrzał się trzymającej go ręce.

- Puść mnie, Bruno.

- Posłuchaj...

— Jak mnie nie puścisz, rozwalę ci łepetynę.

Bruno cofnął rękę.

— W porządku. Ale idę z tobą. Przed windą stał przystojny starszy Murzyn w skrojonym na miarę, zielonym garniturze i czekał, aż wyjdą. Ich sprzeczka jednak się przeciągnęła. Ledwie wyszli na korytarz, drzwi się zamknęły i winda odjechała. Ettrich zwrócił się do starszka z przeprosinami. Tamten również na niego spojrzał i uśmiechnął się. To właśnie jego wyszczerzone zęby przywróciły Ettrichowi pamięć. Były wielkie i pożółkłe, niczym stare fortepianowe klawisze.

Pamięć jest jak kocia kołyska splątanych nitek i połączeń. Pójdiesz za jedną z nich - w dół, w górę i dokoła - aż nagle uświadomisz sobie, że wracasz do punktu wyjścia. Zobaczywszy te żółte zębiska, Vincent Ettrich zachwiał się i dosłownie stracił równowagę, omal nie fikając kozła. Przypomniał sobie. W jednej chwili umysł Ettricha wypełnił się tym wszystkim, o czym zapomniał tego ranka, kiedy się obudził. Kobieta w jego mieszkaniu to Isabelle Neukor. Przez telefon rozmawiał z Coco Hallis. W tym szpitalu umarł. Bruno Mann zmarł także i powrócił. Ten uśmiechnięty staruszek nazywał się Tillman Reeves i dzielił z nim szpitalną salę w ostatnich dniach jego ziemskiej egzystencji.

- Tutaj jesteś, drogi Vincencie. Jak miło widzieć znajomą twarz z dawnych czasów.

Trzech nieboszczyków siedziało w szpitalnym barze przekąskowym i popijało wyborne cappuccino. Rozmawiali od dwudziestu minut, ale z wyjątkiem tego, że dają tu dobrą kawę, nie osiągnęli zgody w żadnym punkcie.

- Więc od chwili, gdy pan umarł, cały czas przebywa pan w tym budynku? I nie może stąd wyjść? - Bruno nie krył sceptycyzmu.

Tillman Reeves przytknął dwa palce do podbródka.

- Nie. Wrażenie jest takie, jakbym znalazł się w sztuce Sartre'a. A propos sztuk, panie Mann, czytał pan Doktora Fausta Christophera Marlowe'a? Wielkie dzieło, jedno z moich ulubionych. Jest tam taka scena, w której Faust pyta Mefistofelesa, gdzie jest piekło. A ten sprytny, mały skurczybyk odpowiada: „Pod niebem”. - Palce Reevesa oderwały się od jego podbródka i zakreśliły w powietrzu kółko, jakby pokazywały, że ich trzech także mieści się w tej definicji. Bruno spojrzał na Ettricha, szukając u niego wytłumaczenia. Lecz wyraz twarzy Vincenta nic mu nie powiedział, toteż obrócił się z powrotem ku staruszkowi.

- Nie rozumiem.

Reeves skinął głową.

- Abstrahując od powodów, dla których to się stało: wszyscy trzej umarliśmy i zostaliśmy wskrzeszeni. Do naszego poprzedniego życia, ni mniej, ni więcej, tyle że pogrążonego w bezładzie. Zgubiliśmy także istotne wspomnienia. Nie mamy bladego pojęcia ani dlaczego wróciliśmy, ani też co mamy robić. Pamiętacie, jak kiedyś lękaliście się śmierci? Gotowi byliście poświęcić wszystko, byle zostać tutaj i żyć dalej, tak jak dotąd. W naszym przypadku to pragnienie się ziściło, ale czy jesteśmy przez to szczęśliwsi? Piekło jest pod niebem. Marlowe miał rację.

Siedzieli bez ruchu, w ponurym milczeniu, przeżuując w myślach słowa Reevesa. Po chwili Murzyn podjął przerwany wątek:

- Choć nic a nic z tego nie pojmuję, zagadka wiąże się jakoś z pytaniem, dlaczego wy, panowie, możecie się swobodnie poruszać, podczas gdy ja jestem trwale przypisany do tego nieszczęsnego szpitala.

Bruno odchylił się do tyłu i splótł palce za głową.

- Co pan porabia przez cały dzień? Znaczy się, co można robić w szpitalu?

- Obserwuję lekarzy przy operacjach, rozmawiam z pacjentami... Ettrich wpadł mu w słowo.

- A jak oni się do ciebie odnoszą, Tillman? Pracownicy personelu, tacy jak Wielki Pies - jak reagują na twój powrót? Ci, którzy wiedzą, że zmarłeś? Którzy byli przy tym obecni?

- Wielki Pies? Kto to jest Wielki Pies?

- Pielęgniarka, która się nami opiekowała. Michelle Maslow.

- Owszem, rozpoznają mnie, ale jako kogoś innego. Przypuszczam, że wasi koledzy i przyjaciele odnoszą się do was podobnie. Nie licząc kilku fundamentalnych różnic, wszystko jest w normie. Witają się ze mną i ucinamy sobie miłą pogawędkę, ale nic więcej. Wszyscy ci ludzie mają ślepą plamkę na to, kim jestem i czym się dawniej zajmowałem. Dzień w dzień spotykają mnie i nie pytają, co tu robię ani czemu ciągle kręcę się po szpitalu. Mówią: „Dzień dobry”, zamieniają ze mną parę słów, po czym idą dalej. Uważają, że tutaj jest moje miejsce i że tak powinno być.

Doświadczenia Ettricha całkowicie potwierdzały tę wersję. Dopóki Coco nie wyjawiała mu prawdy, dopóty jego życie i znajomi zachowywali się tak samo jak przed sześcioma miesiącami. „Ślepa plamka” trafnie określała to zachowanie.

- Ale co teraz mamy robić? - zapytał Bruno jak małe, zagubione dziecko.
- Szczerze mówiąc, nie wiem, panie Mann. Ciągle mam nadzieję, że zostanę oświecony, ale jak na razie - nic.
- Czy ktoś z was pamięta, co się z wami działo po śmierci?

Mann i Reeves spojrzeli na siebie.

- Nie.
- Ja też nie.
- Tak myślałem. Czy to jednak nie dziwne? Żaden z nas nie pamięta najmniejszego szczegółu.
- Bo zabrali nam to wspomnienie, Vincencie. Nie chcą, żebyśmy pamiętali. Moglibyśmy użyć naszej pamięci z korzyścią dla siebie.

Ettrich spojrział na wiszący na ścianie zegar.

- Muszę lecieć. Muszę odebrać dzieciaka od lekarza. Idziesz, Bruno?
- Nie, pogadam jeszcze trochę z panem Reevesem. Będziesz potem w domu? Mogę dryndnąć?
- Jasne.

Reeves podniósł się z krzesła i ku zdumieniu Ettricha uściskał go.

- Obiecay mi, że jeszcze kiedyś tu wpadniesz, Vincencie.

Tęsknię za naszymi pogawędkami.

- Pewnie, że wpadnę, Tillman. Pamiętasz ten okres? Naprawdę pamiętasz, jak byliśmy tutaj razem? Bo ja nie.
- Przypomnisz sobie. Im dłużej będziesz świadom swego wskrzeszenia, tym więcej odzyskasz wspomnień z ostatnich dni życia. To coś w rodzaju ozdrowienia po amnezji. Nie są to na ogół zbyt miłe wspomnienia, ale dobrze jest znowu je mieć. Należą do ciebie. Stanowią twoje życie.

Bruno zachichotał.

- To ci dopiero numer. Ludzie zawsze pytają - jeśli reinkarnacja jest prawdziwa, czemu nie przypominam sobie poprzednich wcieleń? To samo nas spotkało: chociaż się odrodziliśmy, nie pamiętamy wiele z poprzedniego życia, które na dodatek jest naszym obecnym życiem.

Ettrich, wracając windą na szóste piętro, zastanawiał się nad tym, co usłyszał od obu mężczyzn. Mieli słuszność: wszyscy trzej doznali jakiejś niesamowitej reinkarnacji. Ale na co komu to doświadczenie, jeżeli nie wiadomo, co z nim począć? Jaki pożytek płynie z lekcji, jeśli niczego się nie nauczyłeś? Winda stanęła na drugim piętrze. Drzwi ponownie się rozsunęły, ale nikogo tam nie było. Ettrich był tak zamyślony, że uszło to jego uwagi. Drzwi zamknęły się i winda ruszyła. Ujechała kawałek, po czym stanęła. Ettrich zamrugnął. Zdezorientowany rozejrzył się po kabinie, jak gdyby powód postoju leżał gdzieś w środku.

- Nie mówcie mi, że winda stanęła między piętrami. Nie mówcie mi tego. Światła zgasty.

W następnym momencie Ettrich poczuł, że coś dotyka jego nogi.

Było łagodne i lekkie. Z początku Ettrich prawie go nie czuł.

Najpierw wyczuły to jego spodnie, materiał tuż nad kostką. Potem, w miarę jak dotyk stawał się bardziej natarczywy, twardszy, nogawka zawinęła się do środka i dotknęła jego nogi. To samo powtórzyło się na drugiej nodze, tyle że wyżej, w okolicy kolana. Najpierw dotknięcie materiału, potem materiał ocierający się o skórę.

Struchlały w ciemności Ettrich zapytał:

- O co chodzi?

Dotknięcie ustało, zniknęło, wróciło. Ettrich przypomniał sobie słowa Brunona - że coś weszło z nimi do windy. - O co chodzi? - Powtórzył tym razem cicho, niemal szeptem.

Dotknięcie rozeszło się po jego ciele, bardziej pewne siebie.

Przeciągało po nim od stóp do głów, jak gdyby go badało. Miał wrażenie, że jego ciało osnuły i omotały palce z dymu, mgliste i ulotne, ale zupełnie wyraźne.

Wsunęły mu się między nogi i wymacały przez spodnie jego kutasa. Jeden z palców prześlizgnął się wolno między jego pośladkami. Zsunęły się po plecach i nogach. Ettrich nie mógł się ruszyć. Nie chciał się ruszać - bał się. Palce przeszły na przód ciała, sunąc przez brzuch, szyję, twarz. Jeden z nich wszedł do dziurki w nosie, by zaraz przeciągnąć się na tył głowy. Jak kochanka, pomyślał Ettrich. Dotykają mnie jak nowa, ciekawa kochanka.

Trudno ustalić, jak długo trwało to badanie. Ettrich nie miał możliwości, by się mu przeciwstawić. Jego uległość zresztą uczyniła tę próbę nieco bardziej znośną. Gdy palce ponownie zaczęły pieścić jego twarz, nagle uświadomił sobie, czym są. Nie wiedział, w jaki sposób do tego doszedł. Może po prostu je rozpoznał. To bez znaczenia. Ważne było to, że Vincent Ettrich poznał w nich własne palce, palce swego martwego Ja", które głaskało teraz jego żywą twarz.

I wtedy ów zmarły Ettrich przemówił.

- Niektórzy nie powinni farbować sobie włosów na niebiesko - stwierdziła Isabelle i wskazała podbródkiem na siedzącego przy barze grubasa o kobaltowych włosach, sączącego puszkę dietetycznej coli.

Coco zlekceważyła mężczyznę i patrzyła, jak Isabelle pastwi się nad lunchem. Były w barze Margaret Hof; jadły sandwicze z wędzoną wołowiną i piły mrożoną herbatę.

- Pytanie: czemu otyli ludzie zawsze zamawiają dietetyczną colę? Kogo oni chcą oszukać?

Coco była zbyt zaabsorbowana obserwacją poczynań Isabelle, żeby odpowiedzieć. Isabelle zdjęła wierzchnią kromkę chleba, a potem wyjęła dwa grube plastry wołowiny. Położyła je z boku na talerzu. To, co zostało, złożyła starannie na pół i ugryzła pierwszy kęs. - Dlaczego to zrobiłaś?

Isabelle uśmiechnęła się z pełnymi ustami. Uniosła palec, sygnalizując, aby Coco zaczekała, póki ona nie przełknie.

- Z przyzwyczajenia. Aranżuję kanapkę według swoich upodobań. Dostałaś kiedyś idealnego sandwicza? Zawsze dadzą ci czegoś za dużo albo za mało. Wprowadzam małe poprawki. Wyraz twarzy Coco pozostał chłodny.

- Co na to Vincent?

- Podoba mu się. Uważasz, że to dziwne?

- Tak.

- Okej. Mogę być dziwna. Rodzina powtarzała mi to przez całe życie. Szkoda tylko, że nie jestem silniejsza.

- Sprowadzenie Vincenta z... ze świata umarłych wymagało dużej odwagi, Isabelle. Słabeusz by tego nie dokonał. Isabelle dotknęła dłonią brzucha.

- Poradziłam sobie dzięki Anjo. Bez jego pomocy nie byłoby to możliwe.

- Nieprawda. Pomógł ci, owszem, ale to ty podjęłaś decyzję.

Nikt nie mógł jej na tobie wymusić. Jak to się stało?

Isabelle nie kryła zdziwienia.

- Nie wiesz?

- Nie. Każdy musi przejść przez to sam. Nie ma jednej metody. Poza tym ja nie przychodzę stamtąd. Ciągłe ci to powtarzam.

- A skąd przychodzisz?

Coco wzięła szklankę i podniosła ją do ust.

- Ty pierwsza.

Isabelle nie przerwała jedzenia, toteż jej opowieść składała się z krótkich, fragmentarycznych odzywek.

- Raz w życiu każdy człowiek przeżywa we śnie własną śmierć. Ale że w ciągu życia śni nam się dwadzieścia pięć tysięcy snów, na ten jeden nie zwracamy uwagi. Ot, zwykły sen. Albo koszmar, z którego budzimy się zlanym zimnym potem.

I chcemy o nim jak najszybciej zapomnieć, bo tak się baliśmy. Więc zrywamy się z łóżka i zaczynamy nowy dzień, a sen w końcu ulatuje z pamięci.

- Jak się o tym wszystkim dowiedziałaś, Isabelle?

- Poznałam ten sen, zaraz jak mi się przyśnił. Wiedziałam od razu.

- Poznałaś swój sen o śmierci podczas snu?

- Tak.

Coco gwizdnęła przeciągle i pokręciła głową ze zdumieniem.

- Jestem pod wrażeniem. Nigdy nie słyszałam o takim przypadku, a wierz mi, słyszałam już niejedno. Isabelle wyciągnęła podłużny plasterzek mięsa z sandwicza.

- Może bycie dziwaczką ma swoje dobre strony.

- Widocznie. Czy mogłabyś mi opowiedzieć swój sen?

- Nie. Teraz moja runda pytań.

Wówczas Coco uczyniła coś niespodziewanego - chwyciła szklankę herbaty Isabelle i opróżniła ją duszkiem z bulgoczącym gulgul. Otarła usta wierzchem dłoni i wysapała:

- Pytaj.

- Skąd jesteś?
- Z czyścica.
- Naprawdę istnieje?
- Nie tak, jak wyobrażają go sobie ludzie. Ale to całkiem niezła wizja. Ujdzie.
- A więc jest też niebo i piekło?

Coco zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie. Życie, śmierć i czyściec. Człowiek wymyślił sobie niebo i piekło, żeby się torturować. Czy znałaś kiedyś zdrowego psychicznie albo naprawdę dobrego człowieka, który by twierdził, że zasługuje na to, aby pójść do nieba? Wątpię. Wszyscy sądzą, że ich postępowanie zostanie potępione.
- Więc jak to wszystko działa?

Prostota tego pytania spodobała się Coco: pięć słów w poszukiwaniu Boga.

Twarz Isabelle stężała. Wydała zduszony jęk, jakby ktoś zniechęca ją uderzył. Ogarnął ją niewyobrażalny, piekący ból. Osunęła się na oparcie krzesła, nie mogąc zaczerpnąć tchu. Jej usta otworzyły się, a język obwisł na krawędzi zębów.

Coco zareagowała błyskawicznie. Popchnęła swoją szklankę herbaty przez stolik.

- Wypij to. Wypij szybko.

Wybałuszając na nią otępiałe oczy, Isabelle resztkami sił wykonała polecenie. Gdy tylko przełknęła chłodną, słodką ciecz, ból zelżał, a następnie ustał. Drżącą ręką przetoczyła szklankę z ust na zarumieniony policzek.

- Pij dalej. Na wszelki wypadek wypij do końca.

Chłodna szklanka przy jej policzku była taka przyjemna.

Ból wypalił ją do cna, czuła się jak kupka popiołu.

- Co się stało? - wymamrotała.
- To moja wina. Piłam z twojej szklanki, powinnam była kazać ci wypić z mojej. Przepraszam, to był głupi błąd.

Widząc, że Isabelle nic z tego nie rozumie, Coco dodała:

- Piłam z twojej szklanki i przełknęłam twoją ślinę, która stała się tym samym częścią mnie. Tylko tak mogłam ci wytłumaczyć te kwestie w sposób dla ciebie zrozumiały. Gdybym mówiła normalnie, swoim językiem, odebrałabyś to jako bezsensowny bełkot.
- Jaki to język?
- Mówiłam ci: przychodzę z czyścica. Przebywam w twoim świecie, ale nie należę do niego. Isabelle wskazała na nią.
- To nie jesteś ty?
- Tylko w małej części - potwierdziła Coco i wskazała na kciuk Isabelle. - Jeślibym cię zapytała, czy ten kciuk to ty, odpowiedziałabyś: „To część mnie”.
- A pozostałe części?

- Nawet gdybym ci je pokazała, Isabelle, to i tak nie ogarnęłabyś ich rozumem. Musisz poczekać, aż twoje życie dobiegnie końca. Na tym polega rola czyścica - nauczyć cię rozumieć.

- Czemu przed chwilą złapał mnie ten okropny ból?

- Twoja dusza została przeciążona nieznanymi informacjami i przepalił się jej „bezpiecznik”. Nie byłeś w stanie przetworzyć danych, które ci przekazałam. Żeby to zrobić, potrzebowałabyś większego twardego dysku. Po wypiciu z mojej szklanki wskoczyłaś na wyższy poziom. Ale teraz czujesz się dobrze. Możemy rozmawiać. Nic ci nie będzie.

- Jak to działa?

Coco odliczyła na trzech palcach swojej dłoni.

- Życie to śmierć. Ludziom wydaje się, że z chwilą zakończenia życia umierają. Pomyłka. W rzeczywistości idą wprawdzie do czyścica, żeby nauczyć się, czym jest śmierć i jak do niej przystają.

- Czyściec to szkoła?

- Poniekąd.

- Umierasz i idziesz do szkoły?

- Schodzisz z tego świata i trafiasz do szkoły, owszem. - Coco poprosiła przechodzącego kelnera, żeby przyniósł im jeszcze dwie szklanki herbaty.

- A gdzie ja poszłam po Vincenta?

- Do czyścica.

- Przecież pamiętam to miejsce bardzo wyraźnie. Nie różniło się niczym od tego baru.

- Zgadza się. Czyściec zaprojektowano tak, żebyś tuż po przybyciu czuła się w miarę swobodnie. Ale im dłużej tam przebywasz, tym więcej się zmienia.

- A śmierć? Czym jest śmierć?

- Mozaiką. Wielką mozaiką.

Kelner podał im herbatę. Odpowiedź Coco rozczarowała Isabelle, co widać było po jej minie.

- Jaką znowu mozaiką? Co to znaczy?

- Tworzysz życie, które ostatecznie się kończy. Ale co się dzieje z tą istotą, z tą Isabelle, którą tak mozolnie tworzyłaś? Czy znika ona w chwili, gdy twoje oczy zamkną się na wieki? Przecież to nie ma sensu. Dlaczego cała energia, doświadczenie i wyobrażenia, zebrane w ciągu życia, miałyby pójść na marne? Czy trwające siedemdziesiąt lat wzrost i rozwój rozwiewają się w nicość, gdy twoje serce przestaje bić? - Coco uśmiechnęła się. - Gdzie się podziewa zapach pieprzu i ołówków?

Mimo wiszącego w powietrzu napięcia Isabelle także się uśmiechnęła.

- Uwielbiam te zapachy. Vincent wciąż się ze mnie nabija, bo wącham ołówki.

- I dodajesz za dużo pieprzu do jedzenia.

- Skąd wiesz o tym, Coco?

— Powiedział mi.

– Dużo ci o mnie naopowiadał.

– Nie. Tylko dobre rzeczy. Nie przypominam sobie, żeby powiedział o tobie złe słowo. - Coco przepchnęła szklankę z lewa na prawo i spojrzała na Isabelle. - Jego ochy i achy mocno mnie wkurzały.

- Opowiedz mi o śmierci.

Coco sięgnęła do kieszeni płaszcza.

- Czy widziałaś którąś z najszlachetniejszych na świecie mozaik? - Jej głowa przekrzywiła się na boki, jak gdyby to, czego szukała w kieszeni, wymykało jej się z ręki.

- Tak, nawet dwie. W Hagia Sophia i w kościele San Vitale w Rawennie.

- Znakomicie. - Coco wyjęła garść drewnianych liter z gry w Scrabble'a i kolorowe, wielokształtne ceramiczne kostki. Trzepnęła nadgarstkiem i wszystkie rozsypały się na całym stole. Niektóre podeszły aż do krawędzi blatu, ale żadna nie spadła na podłogę.

- Zawsze nosisz literki Scrabble'a w kieszeni?

- Tylko na specjalne okazje. Ustaw je w dowolny sposób.

Zmieszaj litery i kolory. Albo oddziel litery osobno, kolory osobno, jak chcesz. - Coco przesunęła dłonią nad rozsypanymi kostkami.

Isabelle wahała się przez chwilę, patrząc na wielobarwną plamę na stole. Następnie zaczęła przysuwać do siebie wybrane kostki. Nie spieszyła się. Nie wiedziała, o co tu chodzi, lecz zamierzała to rozegrać po swojemu.

- Mogę je ułożyć, jak mi się żywnie podoba? - upewniła się, zerkając co chwilę na kostki.

- Tak. To nie jest gra ani sztuczka. Ustaw je sobie według własnego uznania. Trochę tak, jak komponowałaś swojego sandwicza.

Isabelle odszukała dwie litery „F”, „E” i „R”. Ułożyła słowo „PEPR”, a wokół niego - niczym ramkę - umieściła kostki czerwoną, żółtą, niebieską i czarną. Nadal wyłuskiwała i przekładała płytki, spontanicznie odrzucając jedne i dodając drugie. Tylko raz podniosła wzrok, aby przyjrzeć się reakcji Coco: wpatrywała się w koniuszki jej palców.

Podeszła Margaret Hof, zaciekawiona dziwną układanką na stole i tym, czym zajmuje się jej wiedeńska przyjaciółka.

Kiedy jednak Isabelle zignorowała jej obecność, Margaret sapnęła „humf” i oddaliła się. Coco w dalszym ciągu milczała, popijając kawę i zaciągając się papierosem. Okazało się, że Isabelle wykorzystwała większość kostek. Zaczęła je nawet liczyć, ale Coco stanowczo jej przerwała.

- Nie licz. Nie trzeba tego robić. Nieważne, ile ich jest.

- Ja tylko...

- Powtarzam: nie licz. - Coco mówiła chłodno, z przekonaniem. Liczenie kostek było kiepskim pomysłem. Isabelle nie lubiła, kiedy jej rozkazywano. Mimo to przestała liczyć i oparła ręce na blacie.

- Dobrze. Co dalej?

Coco nie poruszyła się.

- Zabierz ręce. Połóż je na kolanach.

Bez względu na to, czego Isabelle spodziewała się w następnej chwili, nie stało się nic. Wokół nich nadal panował zwykły barowy ruch. Ktoś zaśpiewał refren piosenki the Monkees. Ktoś wybuchnął gardłowym śmiechem. Isabelle popatrywała na Coco, czekając na jej ruch. Nie doczekała się. Gdy minęła kolejna minuta, zaczęła się niecierpliwić; spojrzała na kostki w nadziei, że może ją zainteresują. Dwie drewniane litery „F” i „H” odstawały od reszty, więc przysunęła je bliżej. Zielona ceramiczna gwiazdka przestała nagle pasować do otoczenia, toteż Isabelle przesunęła i ją. Potem kolejna wymagała poprawki i jeszcze jedna. Ciągłe ulepszanie kompozycji pochłonęło Isabelle bez reszty, choć przecież sam pomysł, żeby przesuwac kostki po stole, był niemądry. Gdy Coco się odezwała, Isabelle nie zwróciła na nią uwagi.

- Jak raz zaczniesz grzebać przy mozaice, nie potrafisz się już od niej oderwać. Po przesunięciu jednej kostki stwierdzasz, że druga wymaga dopasowania. A potem trzecia. Całe życie przesuwasz je to tu, to tam, starając się uchwycić całościowy obraz. Czasem wygląda on przez chwilę dobrze, wydaje się idealny. Później przybywa ci latek albo w twoim życiu następuje zmiana - i raptem kostki trzeba poukładać od nowa. Wciąż i wciąż od nowa. Tak jak teraz.

Isabelle wpatrywała się w ułożony przez siebie wzór. Podniosła wzrok i zobaczyła, jak Coco wkłada jedną z wolnych

kostek do ust i zaczyna ją przeżuwać. Po chwili wzięła następną i także ją zjadła. Przełknąwszy, mówiła dalej jakby nigdy nic:

- Istnieją dwie mozaiki. Pierwsza to życie, które tworzysz i prowadzisz. Kiedy dobiegnie ono końca, zostanie umieszczone w większej mozaice. Tej, z którą wszystko ostatecznie się łączy.

- Kosmici też? - Isabelle zaskoczyła samą siebie, zadając to pytanie, ale w głębi serca pragnęła poznać odpowiedź.

- Kosmici, korsarze, karaluchy i Kopernicy - potwierdziła Coco. - Wszystkie żywe stworzenia, od „a” do „z”, wtapiają się w tę mozaikę, gdy ich życie dobiegnie końca.

- Ale po co? Znaczący się, jaki jest cel istnienia tej mozaiki?

- Ona jest swoim własnym celem.

- Nic mi to nie daje, Coco. Strasznie mętne wyjaśnienie.

Coco zjadła kolejną płytkę. Wzruszyła ramionami, jakby mówiła: mam w nosie, czy ci to coś daje czy nie - tak już jest i basta.

Siedziały jakiś czas w milczeniu, krzyżując spojrzenia.

Wreszcie Coco zapytała:

- Czy wiesz, że Vincent nosi w kieszeni małą, czerwoną plastikową łyżeczkę?

- Tak, to jego talizman. Byłam przy tym, jak ją znalazł.

Kiedyś wieczorem kupiliśmy w Wiedniu lody. Potem zeszliśmy nad Kanał Dunajski i usiedliśmy na ławce, liżąc je. Coco poprawiła się na swoim krześle, tak aby spojrzeć Isabelle prosto w oczy.

- Dobrze pamiętasz tamten wieczór?

- Bardzo dobrze. Dlaczego?

- Pamiętasz, jaki smak miały twoje lody?

- Rumowe z rodzynkami. HaagenDazs. Dopiero co otworzyli budkę w centrum miasta.

- Czemu Vincent nosi tę łyżeczkę?

Isabelle nie udało się stłumić dumy przebijającej się w jej głosie.

- Powiedział, że był to jeden z najszczęśliwszych wieczorów w jego życiu.

Coco wysunęła rękę i wzięła tkwiącą w środku mozaiki literę „H”. Podała ją Isabelle. Zjedz to.

- Co?

- Zjedz tę kostkę. Po prostu rób, co ci każe.

Isabelle wzięła mały drewniany prostokącik i jednym ruchem wsadziła go do ust. Natychmiast poczuła na języku ostry, wyrazisty smak. Zimny i bardzo słodki - lód. Rumowy z rodzynkami. Było to tak niespodziewane, a zarazem rozkoszne, że Isabelle zamknęła oczy, by zatrzymać tę chwilę, przedłużyć ją i przywłaszczyć sobie.

Gdy otworzyła oczy, otaczały ją ciepło, błogie zapachy i łagodne, złote światło letniego wieczoru. Stała na wiedeńskiej Graben i trzymała w ręku lodowy rożek. Vincent znajdował się dwa kroki dalej; jadł swojego rumowego loda z małego kubka, nabierając go czerwoną łyżeczką. Wycelował nią w Isabelle.

- Co chcesz teraz robić?

Wiedziała, co odpowie, gdyż powiedziała to już rok temu.

Przysłuchiwała się sobie z pełnym dystansu zaciekawieniem.

- Przejdźmy przez miasto nad kanał. Usiądziemy nad wodą. - Zdawała sobie sprawę, że w tym momencie w jej ciele żyją dwie Isabelle: ówczesna i obecna.

W ciągu następnej półgodziny obie Isabelle i Vincent Ettrich przechadzali się przez centrum Wiednia, mijając ekskluzywne sklepy, ulicznych grajków, grupy pędzących dzieciaków i opieszających japońskich turystów. Wszyscy napawali się tym ciepłym wiedeńskim wieczorem.

Dotarłszy nad kanał, usiedli na zielonej ławeczce i gadali ze sobą z tą wielką radosną czułością, jaką znają jedynie zakochani. Cieszyli się, że są razem. Odnaleźli się wzajemnie i oboje wiedzieli, że łączy ich coś wielkiego - to zupełnie oczywiste. Życie nigdy już nie będzie równie szczodre jak teraz. Vincent miał rację, mówiąc, że to jeden z najszczęśliwszych dni, jakie przeżył.

Ale Isabelle, przeżywająca go po raz wtóry, doświadczyła nieporównanie więcej. Świeży dreszczyk plus dawny aromat.

Nie kłóciły się ze sobą. Jakby jej dzisiejsze „ja” prowadziło samochód nową, nieznaną drogą. Druga Isabelle - ta, która

już tędy jechała i wspaniale się przy tym bawiła - siedziała na fotelu pasażera i słuchała zachwytów kierowcy, chłonąc jednocześnie wszystkie szczegóły, które umknęły jej uwagi za pierwszym razem.

Trzymając się za ręce, kochankowie patrzyli na Dunaj, który ciemniał w miarę zapadającego zmierzchu. Isabelle miała się odezwać, lecz nie zdążyła. W mgnieniu oka znalazła się ponownie w ciemnym barze, naprzeciw Coco, przy pokrytym kostkami stole.

Przez moment była zagubiona, a potem owładnęła nią potworna, wręcz fizyczna tęsknota za Vincentem i tamtą sceną nad Dunajem. Zdawało jej się, że obudziła się z przecudnego snu i

niczego nie pragnęła bardziej, niż do niego powrócić, choć na kilka minut. Tęsknota, dezorientacja, zawód. Wszystkie te mroczne uczucia przeniknęły serce Isabelle na wskroś.

- Co to było?

- Pierwsza lekcja czyśca: przeżywasz swoje życie ponownie, z obu stron.

- Całe życie? Przeżywasz od nowa całe życie? Jak długo to trwa? Coco wyszczerzyła się.

- Niedługo. Mamy coś w rodzaju przyspieszonego replaya.

- A co z przykrościami? Czy przeżywanie ich w dwójnasób nie sprawia bólu?

- Owszem, ale to konieczne. Zanim włączysz swoje życie w mozaikę, musisz dogłębnie je poznać. Przed chwilą przeszłaś pierwszy etap na drodze ku zrozumieniu, czym było twoje życie i jaki zrobiłaś z niego użytek.

- Czy jest wolna wola, Coco? Czyja... czy robię to, co chcę, czy ktoś inny pociąga za sznurki? No, wiesz... - Isabelle wskazała wymownie na sufit. - On?

- Ile chcesz wiedzieć? Chcesz liźnąć prawdę czy zjeść cały obiad? Isabelle nie wahała się ani sekundy.

- Cały obiad.

- W porządku. Spójrz na stół.

Kolejne zajście nastąpiło błyskawicznie. Gdyby Isabelle nie powiedziano, gdzie ma patrzeć, zapewne by je przeoczyła. Wszystkie kostki znajdujące się poza mozaiką poruszyły się. Przesunęły się ku środkowi stołu, gdzie parę minut wcześniej Isabelle ułożyła swój deseń. W ich ruchu nie było nic złowieszczonego ani niepokojącego - po prostu kilka płytek śmignęło po stole. Isabelle podniosła raz wzrok, żeby sprawdzić, czy ktoś jeszcze w barze widzi to, co one, ale nie dostrzegła nikogo takiego.

- Pomyśl o tym tak - zaproponowała Coco. - Wzór, który ułożyłaś, jest twoim życiem do tej chwili. Sama wybrałaś płytki i ułożyłaś je we własną mozaikę. Natomiast te, które pominęłaś, to przeszłe elementy twojego życia.

- Naprawdę? To rzeczywiście moje życie?

- Nie, ale założmy, że tak jest. W ten sposób najłatwiej to zilustrować. Widzisz: już się łączą w większą mozaikę.

- Tak. Poza tymi, które zjadłaś.

Coco wzięła następną kostkę i wsadziła ją do buzi.

- Hej!

- Spokojnie. Zjadłam ostatnie pięć lat twojego życia, ale nie będziesz tego żałować.

Nowa, większa mozaika wzbija się wolno i zawisa na chwilę w powietrzu, po czym obróciła się ku Isabelle.

- Oto twoja kreacja: wymyślona i ułożona Isabelle Neukor.

Tak będzie wyglądała w ostatnim dniu twojego życia. Większość ludzi sądzi, że ich życie składa się z serii rozrzuconych, przypadkowych zdarzeń, które nie sumują się w żadną całość. Nie można się bardziej mylić.

Mozaika wisiała w powietrzu, jakby podtrzymywały ją niewidzialne nitki. Odzywające się na przemian kobiety wpatrywały się w nią intensywnie. Nikt inny w barze jej nie widział.

- A co ze złem, Coco? Co ze strasznymi nieszczęściami, które spadają jak piorun? Z dzieckiem, które zostaje uprowadzone i poddane torturom? Z dobrą, dzielną kobietą z Florydy, która zapada na raka... Co z nimi? Przecież nie wybrali tych elementów do swojej mozaiki. Tylko mi nie wmawiaj, że było inaczej. Nikt ich sobie nie wybiera.

- Dojdziemy i do tego, Isabelle. Pozwól, że najpierw skończę wyjaśniać.

Isabelle skinęła głową.

- Oto więc twoje ukończone dzieło. - Coco odczekała moment, aby Isabelle mogła jeszcze raz przyrzeć się mozaice. Następnie wyjęła szczyryk Vincenta i otworzyła go z głośnym pstryknięciem. Wyciągnęła rękę i pchnęła nożem w sam środek mozaiki. Obracając nim na boki, wydłubała stamtąd jedną czarną kostkę.

Isabelle czekała na wytłumaczenie, co znaczy ten gwałtowny gest. Cały czas spoglądała na miejsce w mozaice, które zajmowała czarna kostka. Było to o tyle łatwe, że przez otwór, jak przez judasza, przeświecało z drugiej strony silne, białe światło.

Gdy uszkodzeniu ulega coś, na czym nam zależy, nie możemy oderwać oczu - ani myśli - od szczeliny, pęknięcia, rany. Pierwsza głęboka rysa na nowym samochodzie, pierwsze kłamstwo, na którym łapiemy nowego kochanka, dziura po brakującej czarnej kostce. Wiedzieliśmy, że to się kiedyś stanie, ale łudziliśmy się nadzieją, że może jednak nie. Czasem te uszkodzenia można naprawić. Ale nawet wtedy rzeczy nie odzyskują dawnego blasku czy proporcji. Nigdy. Czarna kostka leżała na otwartej dłoni Coco.

- Wyobraź sobie, że to jest twoja cała mozaika, skurczona do rozmiarów pojedynczej kostki. - Pokazała wiszący w powietrzu deseń. - Twoja kostka dopełnia tę większą. Wydaje się mała i nieważna. Dopóki nie zobaczysz, jak gotowa mozaika wygląda bez niej. Nadążasz?

Isabelle przytaknęła.

- Ta wielka mozaika nie jest śmiercią, lecz Bogiem. Tworzące Go kostki to wszystkie żywoty, jakie kiedykolwiek istniały. Każda ma w Nim swoje miejsce. Bez nich zaś Bóg jest niepełny. - Coco wręczyła jej czarną płytkę. - Włóż ją z powrotem.

Isabelle wychyliła się i wepchnęła kciukiem kostkę na poprzednie miejsce.

- Bóg jest zatem mozaiką, a my kostkami. Sposób życia, jaki wybieramy, nadaje naszej mozaice konkretny kształt?

- Właśnie.

Isabelle naturalnie czekała dalej, w nadziei, że Coco powie coś więcej, ale tamta milczała. - I to wszystko? Rozwiązanie życia: Bóg jest mozaiką, a my płytkami? Koniec?

- Skądże. Dopiero teraz robi się ciekawie. Spójrz.

Isabelle podniosła wzrok i mozaika eksplodowała. Wybuchła w całkowitej ciszy. Kolorowe kostki rozprysły się po barze niczym eksplodujący granat. Poruszały się cicho i wolno. Czarne, czerwone, zielone i żółte płytki oraz litery Scrabble'a przeleciały między, pod i ponad siedzącymi obojętnie klientami, niektóre zaś przesyły ich na wylot. Isabelle ujrzała, jak jeden z czarnych prostokątów wnika w czoło mężczyzny i wychodzi z tyłu głowy. Powoli. Facet dalej gryzł grubego precla i czytał gazetę.

Jedne kostki płynęły nisko, drugie wysoko, część przesunęła się ledwie o parę cali od punktu startu. Inne rozpięzły się w najdalsze zakątki sali. Dotarłszy do celu, płytki zwalniały i stawały, zawisając w powietrzu jak zamrożone. Isabelle gapiła się na to zdumionymi, przestraszonymi oczami małego dziecka, które pierwszy raz ogląda płonące ognisko. Coco nie przeszkadzała jej, chcąc, by Isabelle oswoiła się z widokiem. Kiedy minęła dość długa chwila, zakomenderowała:

- Obejdz salę i przyjrzyj się kostkom. Przyjrzyj się im uważnie. Potem powiem ci, co dalej.

Isabelle patrzyła, dotykała, zaglądała pod płytki. Zebrani w barze klienci posyłali jej jedno lub dwa spojrzenia, po czym zupełnie ją ignorowali. Jakby przechodziła przez salę w stronę toalety. Początkowo Isabelle niechętnie zbliżała się i dotykała kostek, ale jej obawy wkrótce ustąpiły. Już po wstępnych oględzinach uświadomiła sobie, że w kostkach zachodzi jakaś zmiana: wszystkie zmieniały kolor i kształt. Co więcej, począwszy od tych najdalszych, zaczęły stopniowo dryfować z powrotem ku stolikowi Coco.

Zobaczyła, jak przezroczysta płytka, płynąca w stronę stolika, zmienia się w pomarańczową rozgwiazdę. Drewniana litera Scrabble'a przedzierzgnęła się w lśniący metalicznie, srebrny pierścień. Palce otwartej błękitnej dłoni zacisnęły się w pięść, która po chwili stała się białym jabłkiem. Niektóre kostki nabrały niezwykłych kolorów. Inne z kolei stały się monochromatyczne. Wszystkie miały jedną wspólną cechę: poruszając się, zmieniały barwy i kształty.

Zauroczona Isabelle przechadzała się po barze. Płytki były wszędzie - przenikały ją na wskroś, ilekroć przecięła trajektorię ich lotu. Uniósłszy rękę, patrzyła, jak dwie kostki przepływają przez nią niczym ryby w wodzie. Otworzyła usta i połknęła coś na kształt brązowej sosnowej szyszki. Nic nie poczuła w gardle. Obejrzała się i zobaczyła, że szyszkopodobny twór zmierza w tym samym kierunku co pozostałe; brązowy kolor przechodził we wściekły róż, zmieniał się też kształt. Coco powiedziała coś i wszystkie kostki się zatrzymały. Wisząc w powietrzu, nadal przyoblekały się w nowe formy i kolory.

- Co?

- Czy słyszałaś o teorii Wielkiego Wybuchu?

- Pewnie. Tak podobno narodził się wszechświat. Czternaście miliardów lat temu. - Isabelle z ledwością odrywała wzrok od nieruchomej nawałnicy barw i kształtów, która zewsząd ją otaczała. Widok był wspaniały.

- Usiądź i wysłuchaj mnie, Isabelle. Przechodzimy do sedna; właśnie tego chciałaś się dowiedzieć. Wielki Wybuch to nie teoria, ale prawda. Ludzkość dopiero zaczyna rozumieć tę koncepcję. Nie wszechświat narodził się od wybuchu - tylko Bóg. Co pewien czas Bóg rozpada się na fragmenty, jak ta mozaika, którą przed chwilą widziałaś. Następuje ogroomna eksplozja, wskutek której części Boga rozpryskują się do najdalszych zakątków... hmm, sali. Podobnie jak nasza mozaika.

- Ale dlaczego?

Coco chwyciła jedną z wiszących płytek i pokazała ją.

- Zauważyłaś, jak zmieniają kształty i kolory, dryfując w powietrzu?

Isabelle przytaknęła z uczuciem zamętu w głowie.

- Więc patrz.

W ułamku sekundy nawalnica ułożyła się przed Isabelle w nową mozaikę. Wyglądała całkiem inaczej niż ta, którą stworzyła wcześniej. Była piękna i skomplikowana. Isabelle dała krok w przód, by przyrzeć się jej z bliska. Wtedy jednak mozaika rozpadła się ponownie i niezliczone kawałki - kostki składające się na tę nową układankę - odleciały hen daleko. Tym razem Isabelle nie śledziła ich wzrokiem. Obróciła się ku Coco i prychnęła niskim, rozdrażnionym głosem:

- Nie rozumiem.

- Każdy człowiek dokłada do mozaiki swoją kostkę, swoje życie. Mozaika zaś jest Bogiem. Proces ten dotyczy wszystkiego, co kiedykolwiek żyło we wszechświecie. Na tym polega także rola czyścica - uczyć ludzi o mozaice i o tym, że mają w niej swoje miejsce. Po złączeniu wszystkie płytki znów zostają wyrzucone. I tak w kółko. Pokonują określoną odległość, zatrzymują się i wracają. Ale podczas powrotu przemieniają się w coś zupełnie innego. W rezultacie kiedy znów się połączą, mozaika jest już inna - Bóg jest inny.

- Chcesz powiedzieć, że istniało kilku różnych Bogów? - usłyszała siebie Isabelle.

- Więcej niż kilku.

- Jak długo trwa ten proces?

Coco potrząsnęła głową.

- Nie można go zamknąć w czasie. To cała wieczność. Niewyobrażalny okres. W końcu jednak wszystkie kostki wracają do punktu wyjścia. Tak jak twoje życie: trzydzieści lat temu wyszłaś na ten świat, a teraz powracasz, jako inna osoba. Kto wie, jak długo potrwa twój powrót? Ale cały urok tej mozaiki polega na tym, że zawsze znajdziesz tam swoje miejsce, bez względu na to, kim się staniesz - miejsce, które jest twoje i w którym jesteś potrzebna. Widziałaś, co się stało z układanką pozbawioną jednej czarnej płytki. Jesteś niezbędną. Zawsze będziesz.

- Nieważne, jak żyłam?

- Tak jest. Właśnie tak.

- Ile czasu trzeba, żeby skompletować mozaikę? Utworzyć nowego Boga? Gdybym teraz umarła, czy musiałabym czekać dziesięć trylionów lat, aż ta mozaika złoży się do końca?

- Niewykluczone. Ale kiedy raz staniesz się częścią mozaiki, nie będziesz już sobie zawracać tym głowy. Ponieważ będziesz pochłonięta przeżywaniami doświadczeń i wrażeń wszystkich tych, którzy zdążyli już tam powrócić. W miarę dochodzenia nowych kostek twoje doświadczenie i wiedza będą się poszerzać. Isabelle nadal siedziała z rękoma skrzyżowanymi na piersi, z nieodgadnionym wyrazem twarzy, toteż Coco mówiła dalej:

- Wyobraź sobie, że musisz wziąć udział w przyjęciu, na którym nikogo nie znasz. W mieszkaniu, w którym nigdy przedtem nie byłaś. Idziesz tam niechętnie. Ale jak tylko otwierają się drzwi, witają cię najrozkoszniejsze zapachy, jakie kiedykolwiek czułaś. Okazuje się też, że zaproszeni goście są błyskotliwi, zabawni, przystojni i intrygujący. Erudyci, naukowcy, artyści, podróżnicy, piękne kobiety... itepe, itede. Po półgodzinie zdajesz sobie sprawę, że nie spotkałaś dotąd równie niesamowitych ludzi. Co więcej, nie tylko oni cię fascynują, ale także ty fascynujesz ich. Oto facet, który dopiero co wrócił z Mauretanii, gdzie pisał dla „New York Timesa” artykuł o białym niewolnictwie. Jego towarzyszką jest wulkanologiem fotografką, która badała erupcje Etny. Uwielbiasz wulkany i gotowa jesteś z zapartym tchem słuchać jej opowieści cały wieczór. Lecz ona wcale nie jest nikiem wyjątkowym. Im dłużej trwa to przyjęcie, tym więcej zjawia się fascynujących ludzi. Później proszą cię do stołu i jedzenie po prostu zbija

cię z nóg! Nie wiesz, czy masz jeść, rozmawiać, słuchać czy pożerać wzrokiem tych wszystkich przystojniaków siedzących na sali. A może tylko podziwiać samą salę, którą zdobią najwytworniejsze...

- Rozumiem - wtrąciła Isabelle. Choć wciąż miała skrzyżowane ramiona, jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

— Gdybyś znalazła się na takim przyjęciu, nawet nie spojrzalabyś na zegarek, żeby sprawdzić, czy już masz wyjść.

— Zwłaszcza jeśli stojący po mojej prawej ręce człowiek przyleciałby z Marsa - dodała Isabelle.

Ushminkowany szczur

Szczur zjawił się ponownie, zaraz po tym, jak Ettrich odwiózł syna do domu Kitty i wszedł do taksówki. Siedział na przednim siedzeniu pasażera. Kierowca nie wiedział o tym, ponieważ nikt oprócz Vincenta Ettricha nie widział zwierzęcia. Sześćdziesięciodunfuntowy szczur, który umiał mówić. Nazywał się Alan Wales.

Spotkali się w szpitalnej windzie. W środku było ciemno choć oko wykol, bo gdy winda się zatrzymała, pogasły wszystkie światła. W rezultacie Ettrich nie miał pojęcia, że gada z gryzoniem. Myślał, że rozmawia ze swoją zmarłą jaźnią. I rzeczywiście tak było - Ettrich nie wiedział bowiem, że zmarłe jaźnie wracają w dziwnych postaciach, na przykład jako gigantyczne szczury nazwiskiem Alan Wales.

Bestia zmaterializowała się teraz ponownie i zapytała:

- Co zamierzasz uczynić?

Ettrich zerknął na tył głowy kierowcy.

- Jesteś pewny, że ten facet nas nie słyszy?

Alan Wales parsknął przez nos, bo odkąd się spotkali, Ettrich pytał go o to ze trzy razy.

- Tak, jestem pewny. Skoro jestem tobą, nasze dialogi toczą się w twojej głowie, a nie na forum publicznym. - Szczur okręcił się na siedzeniu, tak że przywarł grzbietem do szyby i położył łapki na oparciu wytartego fotela z imitacji skóry. Miał czarne oczy wielkości wiśni i długie srebrne wąsy przywodzące na myśl rowerowe szprychy.

Ettrich poinstruował kierowcę, jak dojechać do jadalni, przed którą zeszłej nocy porzucił samochód. Potem zwrócił się do szczura: - Dlaczego przedstawiasz się jako Alan Wales?

Szczur odparł poirytowanym tonem:

- Daruj sobie głupie pytania. Dobrze wiesz dlaczego.

W rzeczy samej: „Alan Wales” to pseudonim, którym Ettrich się posługiwał, ilekroć meldował się w hotelach wraz z kobietami udającymi jego żonę. „Pan Alan Wales z małżonką”. Wymyślił to nazwisko przed laty; brzmiało brytyjsko i głupawo, jakby należało do pośledniego aktora z cieniutkim jak brzytwa wąsikiem, występującego w filmach z lat czterdziestych w rolach durnia lub fagasa.

Gdy szczur odezwał się do niego pierwszy raz, rozlegający się w ciemnej windzie głos ostrzegł:

- Nie spodoba ci się to, co zobaczysz po zapaleniu się świateł. Przygotuj się.

Mając świeżo w pamięci widmowe palce, które oplotły mu nogi, Ettrich starał się zachować spokój.

– Zobaczę samego siebie, tak? Powiedziałeś przecież, że jesteś martwym mną.

– Owszem, zobaczysz siebie. Zobaczysz siebie takiego, jakim sam się ostatnio widzisz.

Ettrich miał już spytać: „To znaczy?“, gdy nagle światła zapłonęły i ujrzał ogromnego szczura siedzącego w przeciwległym kącie. Miał ziemistobrunatne futerko i świdrował go wzrokiem. Kawał skurczybyka.

I wtedy zwierzę dodało głosem Ettricha:

- Jeśli dusza musi tutaj wrócić, przybiera postać wyobrażenia, które ma o sobie dany człowiek.

Zapominając o doznanym szoku, Ettrich warknął głośno:

- Nie uważam się za szczura!

- Faktycznie, kiedy pojawiłem się wcześniej, uważałeś się za kupę gówna. Wolałbyś tę postać? Mogę ją przybrać, jeśli sobie życzysz.

Siedzący na tylnej kanapie taksówki Ettrich oznajmił:

- Jadę po samochód. Musiałem go zostawić, kiedy uciekałem przed tobą wczoraj w nocy. Pamiętasz?

Zamiast odpowiedzieć, Alan Wales gapił się na niego. Ettrich nie potrafił zdecydować, co jest gorsze - szczur, który milczy, czy taki, który gada jego głosem.

- Mylisz mnie ciągle ze śmiercią, Vincencie. Nie jestem nią.

Jestem tobą - po śmierci.

Ettrich machnął niedbale ręką, pokazując, że na jedno wychodzi.

- Czego chcesz?

- Mówiłem ci: przyszedłem nakłonić cię do powrotu ze mną.

Nie masz tu czego szukać.

Przez dłuższy czas panowała cisza. Szczur obrócił się przodem do kierunku jazdy. Ettrich gapił się na wielki szczurzy łeb i widział podrygujące wąsiska. Nie miał powodu podawać jego wyjaśnień w wątpliwość. Tym światem, w którym przyszło mu istnieć, nie rządziły żadne prawa. A jeśli rządziły, on nie miał o nich pojęcia. Najbardziej groteskowy był w tym wszystkim fakt, że przez większość czasu życie wydawało się biec normalnym trybem. Aż tu znienacka wyskoczyły te szaleństwa, jak sprężynowy nóż, który otwiera się, by posiekać „normalność” w drobny mak.

- Czy ktoś mówił ci już o mozaice?

Ponieważ zwierzę było odwrócone, Ettrich nie dosłyszał całego pytania. Wsunął się do przodu.

- Co? Czy mówił mi o czym?

Szczur obrócił lekko głowę i rzucił przez ramię:

- Czy dowiedziałeś się już o mozaice?

- O mozaice? Nie, co to takiego?

Podczas gdy taksówka przedzierała się przez ruch uliczny, Alan Wales przekazał Ettrichowi część tych samych informacji, którymi wcześniej Coco podzieliła się z Isabelle. Natłok wydarzeń dnia sprawił jednak, że oszołomiony Ettrich bez przerwy wpadał mu w słowo. „Nie rozumiem” - powtarzał. „Co to znaczy, że jesteśmy kostkami?” Ponadto Coco miała kieszenie wypchane kolorowymi płytkami i pokazała Isabelle mozaikę w trzech wymiarach. Zamknięty w taksówce Alan Wales dysponował tylko słowami i futrzastymi łapkami, którymi kreślił w powietrzu obrazki i diagramy na użytek swojego skołowanego ucznia. Spróbujcie narysować niewidzialny obraz Boga szczurą łapką. Na domiar złego prowadzącemu taksówkę Pakistańczykowi rozwiązał się język. Ettrich musiał teraz zarówno rozszyfrowywać, co tamten do niego mówi, jak i słuchać szczura. Pięć minut później stali na światłach, gdy drzwi od strony Ettricha rozwarły się z impetem. Ktoś schwycił go za ramię.

- Wsiadaj. Płać facetowi i zmywamy się. - Ettrich usłyszał słowa, nim zobaczył stojącą za drzwiami Coco.
- Zamknij drzwi! - krzyknął szczur. - Nie słuchaj jej.
- Co się dzieje? - odezwał się taksówkarz.
- Co ty, do diabła, robisz? - spytał Ettrich.

Z tyłu rozległo się trąbienie klaksonu. Zapaliło się zielone światło. Zanim Ettrich zdążył pomyśleć, ogromna siła wyrwała go z wnętrza auta.

- Zapłać mu i zmywamy się - powtórzyła Coco.

Sięgając do kieszeni po pieniądze, zobaczył, jak Coco zgina się wpół przy oknie pasażera. Obrzuciła szczura wzrokiem, a potem spojrzała ku niemu.

- Daj mi pieniądze. - Wzięła od niego dziesięciodolarowy banknot, wysunęła rękę obok Alana Walesa i wręczyła należność kierowcy. Do trąbiącego klaksonu dołączyły dwa następne. Coco złapała szczura za pysk i pochylona tuż nad jego głową, odezwała się do niego językiem, którego nigdy nie było i nie będzie w historii ludzkości. Potem odepchnęła szczurzy łeb i rzuciła do Ettricha: - Idziemy.

Ruszył za nią jak mały braciszek - świerbiło go, by szarpnąć ją za dzinsową kurtkę i zawołać: „Wolnego, skąd wiedziałś, gdzie mnie szukać?” Oraz: „Widziałś go? Ale jak? Przecież mówił, że tylko ja go widzę”. A także: „Co tyś mu nagadała? Nic z tego nie zrozumiałem”.

Lecz Coco nie czekała na niego. Cofnęła się do pięknego zielonego kabrioletu austin healey i pokazała Vincentowi, żeby wsiadł. Stojący za nimi kierowca zasypał ich długą serią tiiiiitiiiij. Wytknął głowę przez okno i zaskomlał:

- Jasny gwint, co pani wyrabia?

Coco posłała mu ciepły uśmiech i pomachała jak rozpoznana na ulicy gwiazda filmowa. Wślizgnęła się za kierownicę i wskazała na sąsiednie siedzenie.

- Usiądź - poprosiła Ettricha. - Tamuję ruch na jezdni. Cóż miał robić? Popatrzył przed siebie, szukając taksówki, ale auto zdążyło już odjechać, unosząc w swoim wnętrzu Pakistańczyka i niewidzialnego szczura. Ettrich wsiadł do kabrioletu, a gdy tylko zamknęły się drzwi, Coco ruszyła naprzód z piskiem opon.

- Muszę zabrać swój samochód.

Nie zareagowała.

- Powiedziałem, że muszę zabrać swój samochód.
- Wiem, Vincencie. Pojedziemy po niego, ale przedtem musimy jeszcze gdzieś się zatrzymać.
- Widziałas go, prawda? Tego szczura?

Coco parsknęła.

- A ty widziałeś szczura?
- No, tak. Powiedział, że nazywa się Alan Wales.
- Szczur nazwiskiem Alan Wales. I ty mu uwierzyłeś, Vincencie? Nie przyszło ci do głowy, że ten obrazek może być nieco wykoślawiony?
- Zmaterializował się w windzie, Coco - wychrypiął Ettrich tonem usprawiedliwienia. - Winda stanęła między piętrami i nagle wyrósł przede mną ten gigantyczny szczur i zaczął gadać do mnie moim własnym głosem. Wiedział o mnie rzeczy, których nikt inny nie zna. Co miałem myśleć? Że robi mi kawał? To ci dopiero zajebisty kawał! Powiedział, że jest martwym mną.
- Jak mógł być martwym tobą, skoro był szczurem? - Spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby nie wiedziała, ile jest dwa dodać dwa.

Na moment zaległo ciężkie jak gład milczenie. Potem Ettrich zaskoczył siebie, zanosząc się gromkim śmiechem.

- Nic już nie kapuję. Jestem ciemny jak tabaka w rogu. Od tamtej nocy, kiedy zobaczyłem tatuaż na twojej szyi, moje życie dostało fioła.
- No cóż, panie Ettrich, zaraz pana wyleczymy. Pokażę ci wszystko, czego się powinienes dowiedzieć. - Zmieniła bieg na niższy i skręciła w lewo na szybki pas ruchu. Samochód wystrzelił naprzód z rykiem silnika. - A kiedy zobaczysz, o co tu chodzi, posrasz się ze strachu.

Ettrich zamknął oczy. - Dziękuję. To właśnie chciałem usłyszeć. Tego mi było trzeba. No więc - dokąd jedziemy, do piekła?

- Nie, do zoo. Czeka tam na ciebie Isabelle.

W samochodzie panowało milczenie. Cisza ta nieco zdziwiła Ettricha, który był pewien, że Coco zechce poznać bliższe szczegóły na temat jego spotkania z Alanem Walesem, ale tak się nie stało. Chciał jej opowiedzieć o zniknięciu szczura, gdy winda dotarła do piętra, na którym pracował lekarz badający Jacka, i o jego ponownym pojawieniu się, po tym jak chłopiec znalazł się u matki w domu. Chciał jej powiedzieć, o czym rozmawiali, wyjawić swoje tajemnice, które były szczurowi znane. Ettrich chciał, żeby Coco wysłuchała jego historii, a następnie wytłumaczyła mu ukryty w niej sens. Coco nie chciała go jednak słuchać. Pędziła swoim sportowym samochodem po ulicach, a gdy próbował włączyć radio, klepnęła go zakazująco w dłoń.

Ułożył ręce na kolanach i wlepił wzrok w tablicę rozdzielczą. O ile z zewnątrz auto prezentowało się nieskazitelnie, o tyle w środku, tam gdzie powinna być zapalniczka, ziała wielka dziura. Nie było też gałki na skrzyni biegów. Kiedy zatrzymali się na światłach, Ettrich zobaczył kobietę przechodzącą na drugą stronę ulicy. Była niska, brzydka, w zdefasonowanym ubraniu koloru gnijących jarzyn. Ettrichowi przemknęło przez myśl: „Żaden mężczyzna nie spróbuje nigdy rozśmieszyć tej kobiety”. Żaden nie będzie przed nią szpanował, próbował jej zaimponować, przekonywał, że warto z nim pójść na randkę.

Kilka przecnic dalej Ettrich ujrzał wyjątkowo piękną kobietę stojącą na przystanku. Ich oczy spotkały się, ale kobieta odwróciła wzrok i nie spojrzała na niego ponownie. Kobiety nie patrzą drugi raz. Zdał sobie z tego sprawę wiele lat temu. Była to jedna z jego małych epifanii. Kiedy mężczyzna mija na ulicy piękność, zwykle zatrzymuje się i odwraca, by znowu na nią spojrzeć. Kobiety nigdy się nie oglądają.

- Nazywa się Alice Hooper - poinformowała Coco, przekrzykując warkot silnika.

Alice Cooper?

- Hooper. Ta kobieta, na którą przed sekundą się gapieś.

Ta w czarnej kurtce.

Potań dłonie, jakby były zziębnięte. Silnik huczał tak głośno, że Ettrich prawie nie słyszał ocierających się o siebie rąk.

- Ty wiesz wszystko, no nie, Coco? Pewnie znasz odpowiedź na każde pytanie, które mnie nurtuje.

- Pewnie tak.

- Czy nie zechciałabyś zatem, do kurwy nędzy, oświecić mnie w kwestii tego, co się dzieje w moim życiu od kilku dni? Uśmiechnęła się, lecz puściła jego prośbę mimo uszu.

- Wiesz, Vincencie, czego nijak nie mogę zrozumieć? Ludzkiej miłości. Już mi się wydaje, że ma ona jakiś sens, i raptem wydarza się coś takiego, że znowu głupieję.

- A czego tu nie rozumieć?

Najwyraźniej Coco zamierzała mu odpowiedzieć, ale pokręciła tylko głową.

- Mniejsza o to. Jesteśmy na miejscu. - Skręciła w lewo i kawałek dalej wjechała na parking miejskiego ogrodu zoologicznego.

Ettrich znał zoo dobrze, gdyż zwiedzał je z dziećmi od lat. Ogród był tak zniszczony, że od dawna - choćby z powodów humanitarnych - wymagał renowacji. Klatki były zbyt małe, pracownicy w najlepszym razie nie dbali o czystość, a ludzie przychodzili tu jedynie w weekendy i podczas wakacji. Kiedyś mały Jack zapytał: „Tatku, czemu te zwierzęta są takie smutne?” Ettrich miał ochotę odrzec, że każdy, kto by tu zamieszkał, wyglądałby równie smutno.

Coco zapłaciła za bilety i weszli przez obszerną, łukowatą bramę. Z głębi zoo doleciało przeciągłe, donośne wycie jakiegoś zwierzęcia; brzmiało przerażająco i zarazem posępnie. Coco maszerowała dziarsko przez ogród, najwidoczniej wiedząc, dokąd idzie.

- Dziwnie się tu czuję bez dzieciaków.

- Nie chodzisz do zoo sam?

Zamyślił się nad jej pytaniem.

- Nie. Nie czytam „National Geographic”. Po co miałbym tu przychodzić?

- Ponieważ ogrody zoologiczne to miejsca święte, Vincencie. Dziwię się, że sam na to dotąd nie wpadłeś. Zważywszy na doświadczenia, które wyniosłeś ze śmierci.

- Święte? W jakim sensie?

- Zwierzęta istnieją na ziemi po to, żeby bronić ludzi. Jeśli zgromadzisz je wszystkie razem, tak jak tutaj, powstaje bezpieczny azyl. Nic ci nie grozi.

- Bzdura! W zeszłym roku lew poturbował tutaj dzieciaka, który podszedł za blisko do jego klatki.

- Bo go drażnił. Nie należy drażnić swoich stróżów. Mogłabym ci podać dziesiątki przykładów, kiedy dzieci wpadały do klatek i zwierzęta brały je w obronę.

- Nie wierzę.

- Twoja sprawa. Miej otwarte oczy.

W głowie Ettricha zaświtała inna myśl.

- Skoro mają nas bronić, a zoo to takie święte miejsce, czemu te zwierzęta wyglądają zawsze tak smutno?

- Nie znoszą życia w zamknięciu. Poświęciły swoją wolność, żeby ludzie czuli się bezpiecznie.

Doszli do sporych rozmiarów placu, przy którym stał pawilon dla słoń. Ziemię pokrywało w tym miejscu coś, co przypominało czerwoną cegłę. Choć Ettrich bywał tu często, pierwszy raz uzmysłowił sobie, że plac kojarzy mu się z boiskiem do bejsbola. To dlatego że zwierzęta nie znajdowały się za kratami. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że słońce mogłyby podejść aż do zwiedzających. Kilka kroków dalej jednak można było zobaczyć bardzo głęboki i szeroki wykop okalający cały wybieg. Po przekroczeniu pewnej granicy zwierzę wpadłoby do rowu i zapewne by się pokaleczyło czy nawet zabiło. Ettrich podszedł do sięgającego mu do piersi kamiennego murku, za który nie wolno było wstępować. Stał obok Coco i słuchał dziwnych, egzotycznych odgłosów dobiegających ze wszystkich stron. Skrzeczeń, ryków, pisków i pohukiwań, które są na porządku dziennym w ogrodzie zoologicznym, ale stanowią o jego niezwykłości.

- Czy twój przyjaciel szczurek powiedział ci o mozaice?

- Nie do końca. Nie bardzo zrozumiałem zresztą, o czym mówi.

- Nic dziwnego. Ile ci powiedział? Ettrich nie zdążył odpowiedzieć, bo rozległo się trąbienie słoń. Jedna z cudaczných rozkoszy zoo: dźwięki, które tak dobrze znamy z telewizji i filmów, tutaj brzmią całkiem realnie, przez co tym trudniej dać im wiarę. Ettrich podniósł wzrok i zobaczył małe słońiętko wybiegające truchtem z budynku, z zadartą wysoko trąbą i szeroko otwartymi ze szczęścia oczkami Szaroskóry bobas najwyraźniej dobrze się bawił. Zatrąbił ponownie, biegnąc przez ceglasty plac. Po chwili przez tę samą bramę wyszła roześmiana Isabelle. Ujrzawszy ich, stanęła i pokiwała im ręką, cały czas się śmiejąc. Za jej plecami zamajaczył gigantyczny cień, który po sekundzie zamienił się w dorosłego słoń, wielkiego jak śmigłowiec. Nie oglądając się wstecz, Isabelle sięgnęła za siebie i pogłaskała helikopter po trąbie. Zwierzę poruszyło lekko głową, a wtedy ona wyskoczyła do przodu. Znowu się roześmiała. Słońiętko zatrzymało się tymczasem o kilka stóp od Coco i Ettricha i gapiło się na nich.

- Co Isabelle tam robi?

- Odwiedza Fionę i April. Fiona to matka.

- Ale jak się dostała do pawilonu dla słoń, czy jak to się nazywa?

- Zaraz zobaczysz. Właśnie tam się udajemy.

- Nie przepadam za słońiami, Coco. Potrafią nieźle stratować człowieka.

Och, te dwie dziewczynki są bardzo miłe. Nie widziałeś, jak Isabelle pękała ze śmiechu? Chodźmy.

Okружиłi szerokim łukiem wybieg dla słoni. Ettrich nie spuszczał wzroku z Isabelle, obawiając się, że lada moment któraś ze słonic powali ją albo pożre, nadeptnie na nią lub zrobi coś równie przykrego. Wbrew jego lękom, Isabelle ujęła oburącz trąbę Fiony i przyciągnęła ją do twarzy. Słoniczy najwyraźniej to nie przeszkadzało.

- Nie spostrzegłeś, że twój szczur ma uszminkowane usta?

Ettrich przystanął i podparł się pod boki.

- Mówiłaś, że nie widziałeś go jako szczura. Że był czymś innym.

- Właśnie cofnęłam się w czasie i spojrzałam na to znowu, twoimi oczami. Jak mogłeś nie zauważyć szminki na jego pysku? Ten zwierzak naigrawał się z ciebie, Vincencie. Musisz wiedzieć - i zapamiętaj to sobie - że zwierzęta nigdy nie kłamią. Nie kłamią, nie przebierają się, zawsze są wierne swojej naturze. Dlatego można im ufać.

- Wybacz, Coco, ale ja nie ufam lwom. A także słoniom, węzom...

- Bo chcesz, żeby były tymi stworzeniami, które wyobrażałeś sobie jako dziecko. Lwy powinny być silne, ale łagodne, jak w kreskówce Disneya. One jednak takie nie są, a kiedy zachowują się jak lwy, masz im za złe, że nie są bajkowymi zwierzątkami z twojej wyobraźni. Rosyjskie niedźwiedzie nie wkładają kapeluszy i nie jeżdżą na rowerach. Ani nie śpią w łóżku razem ze Złotowłosą. To ludzie zmuszają je, żeby odstawiały tę błazenadę w cyrkach, filmach i bajkach dla dzieci. Oczywiście, jedne są bardziej potulne czy dzikie, a inne mniej, ale wszystkie zawsze pozostaną niedźwiedziami. Więc nie odwracaj się do nich tyłem. A nawet nie podchodź. To proste. Nie one cię okłamują - to ty je kłamliwie postrzegasz. Ettrich spojrzał z obawą na Isabelle.

- Jeśli to prawda, czy nie powinienem w tym momencie bać się o Isabelle?

- Owszem, powinieneś. Ale mówiąc ogólnie, Fiona i April lubią ludzi, nie trzeba się więc przejmować za bardzo. Ruszyli dalej. Ettrich nie mógł się powstrzymać, by nie zapytać:

- Jeżeli ten szczur nie był martwym mną, to kim w takim razie był? Coco nie zatrzymała się.

- Jest tak, jak ci mówiłam: zwierzęta nie kłamią, więc kiedy się natkniesz na wielkiego gadającego szczura, możesz się założyć, że to kłamca.

- Następnym razem będę o tym pamiętał. Ale kim był ten szczur? Musiał mnie jakoś znać, mówił o tylu rzeczach, które... Coco przygryzła dolną wargę, rozważając, czy ma udzielić długiej czy zwięzłej odpowiedzi.

- Był chaosem, Vincencie. Później ci to wytłumaczę, na razie bądź cierpliwy. Chaos nie jest twoim przyjacielem. Mnóstwo wie o tobie, ale twoim przyjacielem na pewno nie jest. Podczas gdy nowina ta kłębiła się w jego głowie, wszedł za Coco do pawilonu słoni. Natychmiast uderzył go panujący tutaj silny odór. Nie był ani przyjemny, ani odrażający, tylko całkiem obcy. Był to rodzaj woni, której jego nos nie zdołałby wymyślić przez milion lat. Ettrich nie pamiętał, czy budynek pachniał tak samo kilka miesięcy temu. Jack lubił słonie i kiedy przychodzili do zoo, zawsze chciał je zobaczyć. Wnętrze budynku przypominało swoimi gabarytami szkolną salę gimnastyczną. Zwierzęta były oddzielone od ludzi grubymi, ciasno ułożonymi metalowymi kratami, które ciągnęły się od podłogi po sufit. Wszędzie umieszczono tabliczki ostrzegające przed

przekraczaniem żółtej linii namalowanej na podłodze. Coco podeszła wprost do drzwi w klatce. Otworzyła je długim kluczem, który wyjęła z kieszeni.

Ettrich nie wierzył własnym oczom.

- Wchodzimy tam?

- Tak, nie masz wyboru. No już - ponagliła go i przestąpiła próg klatki, nie oglądając się za siebie. Ettrich podążył za nią, ale drzwi zostawił otwarte na oścież, w razie gdyby musiał pospieszyć się ewakuować. Vincent Ettrich przywykł sprawdzać wyjścia. Potrafił się mistrzowsko wymykać, zarówno dosłownie, jak i w przenośni. Umiejętność tę wyrobił w sobie przy okazji romantycznych podbojów. Coco wyszła na środek pawilonu. Stała twarzą do niego i ponownie zaczęła mu tłumaczyć sens mozaiki. Było to dość osobliwe miejsce na lekcję teologii. Jej głos odbijał się echem od ścian. Przenikliwy odór i świadomość tego, kto tu mieszka, bez przerwy zaprzętały uwagę Ettricha. Nikt nie wszedł w tym czasie do budynku, co było o tyle dziwne, że słonie przyciągały w weekendy wielu ludzi. Ettrich był pewien, że obmyślono jakiś sposób, żeby ich tutaj nie wpuścić. Podczas gdy Isabelle i słonice dalej baraszkowały na dworze, Coco uklękła spokojnie, wyjęła garść kostek i rozsypała je na betonowej podłodze.

- Podejź tu, Vincencie. Mam dla ciebie zadanie.

Podczas jej objaśnień Ettrich zerkał bezustannie na boki, przekonany, że za chwilę coś się stanie. Że ktoś wejdzie do budynku i zapyta, co tu się, do jasnej cholery, wyrabia. Albo, co bardziej prawdopodobne, że słonie wrócą z wybiegu i zażądają wyjaśnień, czego tych dwoje ludzi szuka w ich domu, bawiąc się kolorowymi płytkami rozrzuconymi na ziemi. Wszystko to jednak zmieniło się w chwili, gdy ułożona przez Ettricha mozaika uniosła się i rozprysła w powietrzu. Patrzył na to jak zaczarowany, podobnie jak wcześniej Isabelle. W lot pojał znaczenie tego, co się przed nim rozegrało. Nawet Coco była zdumiona, kiedy zaraz na początku jej wyjaśnień skinął głową i oświadczył zwyczajnie:

- Wiem. Wszystko wiem.

Zaskoczona, chciała zaprotestować. Przypomniała sobie jednak, gdzie był i skąd wrócił. Na jej twarzy zagościł spokój.

- No oczywiście - mruknęła. Szybko zakończyła pokaz, odpowiadając na kilka jego pytań.

- Tak, okej, rozumiem. Ale powiedz mi, dlaczego wróciłem.

Czemu się tu znalazłem?

Coco weszła w środek wielobarwnego konfetti wiszącego nieruchomo w powietrzu. Obracając się ku Ettrichowi, uniosła obie dłonie i spojrzała w lewo, w prawo, w górę i w dół. Zewsząd otaczały ją kostki.

- Jedna z nich, jak wiesz, jest tobą, Vincencie. Inna to Isabelle, a jeszcze inna... - Na oslep sięgnęła nad głowę i wyjęła z mozaiki białą kostkę. Opuściła ją na wysokość podbródka i wyciągnęła w jego stronę. - ...a jeszcze inna to chaos. Załóżmy, że to ta biała. Chaos zawsze był, i zawsze będzie, częścią boskiej mozaiki, bez względu na kształt, jaki ona przyjmie, i na przekształcenia, jakim ulegnie.

Ettrich przypatrzył się leżącej na jej otwartej dłoni kostce i pomyślał, że przypomina ona małe białe jabłko.

- Ale tak jak inne stworzenia, w każdej nowej mozaice chaos wygląda inaczej. Tym razem zyskał świadomość. - Jabłko zniknęło, gdy Coco objęła je palcami. - Dotychczas chaos był jedynie bezmyślną siłą, podobną do przyrody. Kiedy tornado zabija nagle ludzi mieszkających po lewej stronie ulicy, a oszczędza tych po prawej, nie ma to nic wspólnego ze świadomą decyzją. Traf chciał, że żywiol przeszedł akurat tędy, a nie tamtędy. Tornado nie myślą. Nie są zdolne do nienawiści, miłości czy refleksji. Rodzą się z pogody, a pogoda to ślepa siła. Do tej pory podobnie było z chaosem. Ale w tej mozaice chaos zyskał świadomość. Stał się zdolny do autorefleksji. - Coco rozwarła dłoń i jabłko, choć nadal białe, powiększyło się dwukrotnie. - Wtedy chaos zdał sobie sprawę, że podoba mu się ta egzystencja, że lubi być świadomy. - Zamknęła dłoń, by zaraz ją otworzyć. Jabłko skurczyło się do rozmiarów piłki golfowej. Coco umieściła je w powietrzu na pierwotnym miejscu. Odróżniało się od reszty kostek, było zbyt duże i nieprzystające. Coco spojrzała na nie. - Chaos nie chce żadnych zmian. Nie chce, żeby powstawały nowe mozaiki. Od wieków stara się, jak może, aby powstrzymać ten proces. Naraz wszystkie kostki, z wyjątkiem piłki golfowej, wróciły do miejsca, skąd przed chwilą eksplodowały. Na moment ułożyły się w nową mozaikę, zupełnie inną od wzoru, który stworzył Ettrich. Choć trwało to krótko, Ettrich zorientował się, że mozaika różni się od jego własnej. W tej samej chwili ponad połowa kostek spadła na podłogę i potoczyła się z grzechotem. Resztki nowej mozaiki, która wciąż wisiała w powietrzu, były dziurawe i fragmentaryczne, niczym kawałki puzzli, które ktoś zaczął, lecz nie dokończył już składać. Coco przykucnęła i zabrała się do zbierania najbliższych kostek.

- Rzecz jest dużo bardziej skomplikowana, ale w zasadzie chodzi o to, że chaos znalazł sposób, aby nie dopuścić powracających kostek do włączenia się w mozaikę. - Wzięła jedną z kostek, które podniosła z podłogi, i wsadziła ją w mozaikę. Płytką tkwiła tam przez moment, po czym wypadła.

- Jaki to sposób?

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem, Vincencie. Ja jestem zwykłą mrówką robotnicą. Tymi kwestiami zajmują się znacznie cięższe umysły. - Uśmiechnęła się. - Takie jak twój syn.

Ettrich cofnął gwałtownie głowę.

- Jack?

- Nie, Anjo.

Popatrzył na nią zdumiony, aż wreszcie zrozumiał. Wskazał niepewnie na zewnątrz, w stronę Isabelle.

- Tak jest: ten syn. On i jemu podobni zostali wysłani, żeby powstrzymać chaos...

Wysłani? Skąd, Coco?

- Z mozaiki.

Ettrich potarł podbródek.

- Nic z tego nie pamiętam.

- Ponieważ tak naprawdę nigdy nie trafiłeś do mozaiki.

Byłeś w czyścicu i pobierałeś właśnie lekcję mozaiki, gdy przyszła po ciebie Isabelle.

- Czy to sprawka Anjo?

- Częściowo. Ale to ona postanowiła cię stamtąd wyciągnąć.

Okazała niebywałą odwagę. Isabelle o tym nie wie, ale kiedy tam przyszła, Anjo pomógł jej cię odnaleźć.

- Dlaczego sam po mnie nie przyszedł?

- To niemożliwe. Może tego dokonać tylko żywa dusza, która podejmie świadomą decyzję.

- Czy Isabelle wiedziała o mozaice i chaosie, idąc po mnie do czyścica?

- Nie, Vincencie. Poszła, ponieważ cię kochała i dostała szansę, żeby cię odzyskać.

Wsunął ręce do kieszeni i mimo woli zacisnął je w pięści.

- A więc ją oszukałaś?

- Bynajmniej. Dostała to, czego chciała. Tyle że teraz, kiedy znalazłeś się po tej stronie, musisz załatwić kilka spraw.

- Na przykład? Dlaczego musiałem wrócić?

- Dlatego że kiedy Anjo się urodzi, nie będzie wiedział, co się stało. Tylko dzięki odpowiedniej edukacji uświadomi sobie, kim jest i co ma robić. Przede wszystkim musisz mu przekazać to, czego się dowiedziałeś w czyścicu, tak aby mógł wykorzystać tę wiedzę w swoim życiu.

- Coco, ja przecież nie pamiętam, co tam się działo! Mój mózg jest jak biała tablica. Straciłem wszystkie wspomnienia.

- Wobec tego będziesz się musiał zanurzyć w sobie i je odszukać. Nie masz wyjścia.

- A jak mi się nie uda?

Coco pokazała wybrakowaną mozaikę. Odpadły z niej następne dwie kostki.

W poczuciu bezsilności Ettrich podniósł jedną z nich i cisnął nią w stronę ściany. Upadła i potoczyła się po podłodze, nie docierając do celu. To szaleństwo. - Ostatnie słowo wyleciało z niego jak uderzenie pięści w stół.

- Co jest szaleństwem? - spytała Isabelle. Weszła niepostrzeżenie przez bramę na wybieg. Pół minuty później przybiegło małe słoniatko. Stojąc o dwa kroki od niej, wykręcało trąbą i wymachiwało nią w powietrzu. Wydawało się, że tylko czeka, aż jego nowa przyjaciółka wymyśli następną fajną zabawę.

- Coco powiedziała mi o mozaice i chaosie.

Isabelle czekała na ciąg dalszy. Ettrich z kolei spodziewał się jej wyjaśnień. Patrzyli na siebie. Słonik wywijał trąbą, wyraźnie się niecierpliwiąc. Troje ludzi i mały słon dzielili chwilę ciszy, w której żadne nie czuło się szczęśliwe.

- Wierzysz w to, Fizz? Uważasz, że opowieść Coco jest prawdziwa?

Dwie kolejne kostki odpadły od mozaiki. Isabelle spojrzała na nie i odezwała się:

- Miałam kiedyś chłopaka, który latał na myśliwcach w marynarce wojennej. Jeden z tych odważniaków, co to startują i lądują na lotniskowcach. Powiedział mi kiedyś coś, czego nie zapomnę. Wszyscy piloci, z którymi latał, zdejmowali jeden identyfikator i wsadzali go sobie do buta. Wiesz dlaczego? Ettrich zirytował się, słysząc o jeszcze jednym chłopaku Isabelle. A ten kiedy się nawinął? Ettrich miał gdzieś to, czemu lotnicy trzymają swoje identyfikatory w

butach. Wolałby się raczej dowiedzieć, jak dawno temu ów pilot wylądował na pokładzie Isabelle.

- Vincencie?

- Nie, nie wiem. Dlaczego?

- Bo kiedy któraś z tych maszyn się rozbije, rzadko odnajdują ciała pilotów, szczególnie na morzu. Zbyt wielka jest siła zderzenia. Ale o dziwo, w rozbitych wrakach często znajduje się nogi. Nogi pilotów. Z tego powodu wszyscy lotnicy wsadzają do butów identyfikatory: jeśli rozbiją się na miazgę, istnieje cień szansy, że coś po nich zostanie i że ktoś to rozpozna.

Nie wiem już, co jest prawdą, a co nie, skarbie. Wiem, że noszę w sobie dziecko i że wyprowadziłam cię z czyścica. Dla mnie

Anjo jest jak identyfikator w naszym bucie. Cokolwiek z nami będzie, jeśli zrobimy to, jak należy, Anjo przetrwa, a on jest naj ważniej szy.

- Przypuśćmy, że to prawda: co mamy robić, Fizz? Masz jakiś pomysł?

Zanim Isabelle odpowiedziała, do pawilonu weszło pierwsze dziecko. Z początku żadne z nich nie zauważyło małej dziewczynki. Miała na sobie nowiutkie niebieskie dżinsy, czerwone adidas y i białą jak śnieg koszulkę. Była nieśmiała. Jak wiele małych dziewczynek, próbowała ukryć swoją obecność. Oddaliła się małymi kroczkami w lewo, oparła się plecami o ścianę i znieruchomiła niczym mały posążek, usiłując jak najmniej rzucić się w oczy.

Pierwsze odezwało się słońiatko. Spostrzegłszy dziewczynkę, wydało z siebie krótkie powitalne trąbnięcie. Nikt nie zwrócił na to uwagi. Następny wszedł chłopczyk. Był niższy od dziewczynki i miał bardzo szeroką latynoską twarz. Nosił takie same rzeczy jak ona. Stojąc obok siebie, wyglądali, jakby mieli na sobie szkolne mundurki. Stopniowo napływało coraz więcej dzieci, wszystkie tak samo ubrane. Przystawały cicho przed kratami i patrzyły bez słowa. Żadne nie zbliżyło się do otwartych drzwi klatki. Dorośli widzieli je, ale zlekceważyli. Bądź co bądź byli w zoo. Dzieciaki przychodziły tu ze szkolnymi wycieczkami.

Ettrich i Isabelle rozmawiali z ożywieniem. Coco wtrącała się raz po raz, ale przeważnie milczała. Obserwowała ich baczenie, oni zaś patrzyli na siebie. Nikt z całej trójki nie zauważył, kiedy mała April podeszła do dzieci, stojących teraz przy prętach klatki i przyglądających się wszystkiemu. April chciała, żeby dały jej coś do jedzenia. Do pewnego stopnia rozumiała, że istnieją ludzie oraz pręty w klatce i że te drugie oddzielają ją od tych pierwszych. Ale wiedziała też, że jeśli człowiek chce, może wsunąć rękę między pręty i poczęstować ją smakołykiem. Żeby go osiągnąć, musiała wprawdzie mocno wyciągnąć trąbę, ale dawno już nauczyła się to robić. Większość wysuniętych ku niej rąk miała przysmaki, April liczyła więc, że i tym razem coś jej skapnie.

Stanęła dwie stopy od prętów i patrzyła, jak dzieci niepewnie unoszą i wyciągają ku niej ręce. Poznała też, czym jest głaskanie, ale nie ono ją interesowało. Chciała jedzenia. Widząc przepychające się ręce, pomyślała, że przynajmniej w niektórych musi być jakiś smakołyk.

April opuściła swoją wielką głowę i zakołysała nią wolno z lewej na prawą. Myśląc, często poruszała głowę na boki; było to przyjemne. Lubiła także podnosić trąbę z ziemi różne drobiazgi, takie jak siano, trawa czy marchew, i kłaść je na czubku głowy. Zerknęła na dzieci i odwróciła wzrok. Postawiła w ich stronę jedną nogę, ale zaraz ją cofnęła. Co one mają w tych rękach? Coś słodkiego czy gorzkiego? Czy to będzie miękkie czy twarde? Karmiono ją już wszystkim - popcornem, miętusami i korkami po szampanie. Ponownie zrobiła krok ku dzieciom i położyła

głowę. Jej czubek porastała kępa jasnorudej szczeciny. Kilkoro dzieci wskazało ją palcami i zachichotało. Z tyłu dobiegały April głośne, ciekawe głosy dużych ludzi. Lecz ona chciała się dowiedzieć, co też mali ludzie trzymają w rączkach. Podeszła do nich jeszcze trochę bliżej.

- Na miłość boską, Fizz, musisz wiedzieć coś więcej. Przecież byłeś w czyścicu. Wyprowadziłaś mnie stamtąd! - mówił Ettrich z rozpaczą i złością.

Isabelle spojrzała bezsilnie na Coco. I wtedy po drugiej stronie pawilonu ujrzała coś, co ją zmroziło. Ciszę rozdarł wrzask, jakiego żadne z nich nigdy nie słyszało. Wysoki, rozpaczliwy i dziki. Coco i Ettrich obrócili się w tamtą stronę. Gdy ujrzeni to, co rozgrywa się po drugiej stronie klatki, bardzo trudno było im się połapać, co się właściwie dzieje.

Słonik stał przodem do grupy dzieci, znajdujących się po drugiej stronie krat, i darł się wniebogłosy. Dorośli zrozumieli dlaczego - kilkoro malców chwyciło April za trąbę i ciągnęło ją do siebie. Mimo rozmiarów zwierzęcia i jego legendarnej siły, słoniątko najwyraźniej nie było w stanie im się przeciwstawić.

Ettrich wytrzeszczył oczy i wyszeptał upiornym głosem:

- Ja chyba śnię.

Scena wyglądała równie nieprawdopodobnie jak absurdalnie. Słoń przysiadł całym ciężarem na zadzie, jak uparty osioł ciągniemy za uzdę albo mały szczeniak na spacerze, i usiłował desperacko wyrwać głowę z uścisku. Bez skutku. Dzieciaki przyciągały go za trąbę ku sobie. April wydzieriała się, sunąc szybko po podłodze, zupełnie jakby jej wielkie cielsko ważyło w dziecięcych rączkach tyle co piórko.

Coco zaraz uświadomiła sobie, co się dzieje, ale nie mogła w to uwierzyć. Światem, z którego przyszła, rządziły rygorystyczne prawa i to było jedno z nich: zwierzęta broniły ludzi. Zoo było azylem.

Koniec. Chaos nauczył się pokonywać zwierzęta.

- Uciekaj, Vincencie! Zabierz Isabelle i zmykajcie stąd. - Coco wskazała otwartą bramę na wybieg. Rozległo się tam długie, głośne warknięcie. Nie był to jednak lew, ale słonica matka biegnąca ratować dziecko. Wpadła przez drzwi z przerażającą szybkością i podbiegła do April. Coco popędziła za nią. Ettrich złapał Isabelle za rękę i pociągnął ją w kierunku bramy. Zza pleców doleciał ich przeraźliwy wrzask, który nagle ucichł. Zaraz potem rozległy się dwa inne odgłosy: najpierw suchy, przejmujący chrzęst, później krwisty, płaszcący chlust.

- Nie! - krzyknęła Isabelle i próbowała się wyszarpnąć.

Ettrich nie puścił jej ręki. Pociągnęła znowu, tym razem oglądając się wstecz na zwierzęta. Obejrzał się także - i pożałował tego na całe życie.

Dzieci zdążyły zabić słoniątko, wciągając połowę jego wielkiej głowy między pręty klatki. Czaszka pękła, poląła się krew. Od zmiażdżonego mózgu do najdalszych rejonów ogromnego ciała biegły ostatnie informacje i polecenia, tak iż mogło się wydawać, że April jeszcze żyje. Nie wszystkie jej członki wiedziały, że to już koniec. Poruszały się, drżały, reagowały, starając się uniknąć śmierci, która już nadeszła. Nogi słoniątka ugięły się i oprócz głowy, wklonowanej między zakrwawione pręty, całe ciało osunęło się na podłogę. Matka podeszła do słoniątka i zaczęła je popychać, próbując sprawić, żeby stanęło, wróciło, odżyło. Popchnęła je trąbą, nogą, a potem podparła swoją brązową głową. Gdy jej wysiłki spełzły na niczym, zaczęła kiwać głową w górę i w dół, w górę i w dół.

Istoty ludzkie nie rozumieją śmierci. Dla nich oznacza ona tylko stratę, coś na zawsze odebranego, nową przestrzeń. Większość zwierząt jednak rozumie śmierć i dlatego traktuje ją zupełnie inaczej. Wyczuwają ją i odpychają, sikają na nią i idą dalej. Wiedzą, że któregoś dnia śmierć je zwycięży, ale jak długo żyją - są jej panami. Używają jej albo nią gardzą. Nikt z dorosłych, wpatrzonych w umierającą April, nie spostrzegł, że dzieci zaczynają wchodzić do klatki. Wsunęły się gęsiego przez otwarte drzwi. Nie spieszyły się. Na ich twarzach malowały się różne uczucia. Jedne były uradowane, inne obojętne. Krew słoniątka powalała ich białe koszulki i ręce. Wyglądały tak, jakby przed chwilą napsociły - pooblewały się czerwoną farbą albo urządziły sobie najedzenie, korzystając z chwilowej nieobecności nauczyciela. Krew na ich ubraniach zaczynała brązowieć. Tylko ręce i niektóre twarze zachowały jeszcze czerwony odcień.

Dopiero gdy wszystkie znalazły się w klatce, ruszyły w kierunku dorosłych. Coco jęknęła, wiedząc, że jest za późno. Droga ucieczki została odcięta, nie było sposobu, aby umknąć.

- Postaraj się to zapamiętać, Vincencie.

Ettrich nie spuszczał wzroku ze zbliżających się dzieci.

- Co zapamiętać?

- Śmierć. Pamiętaj, czego się tu nauczyłeś.

Nie zdążył nic powiedzieć, ani nawet pomyśleć nad odpowiedzią, gdyż z zewnątrz znów doleciał hałas. Był tak osobliwy, że wszyscy aż zamarli z wrażenia - dzieci, dorośli, a zwłaszcza słoń. Zrazu przypominał coś w rodzaju bębnienia, ale po chwili przeszedł w furkot, rozproszony trzepot, jakby tysiące ptaków wzbilo się równocześnie do lotu.

Ettrich wzdrygnął się, kiedy ktoś ścisnął jego dłoń. Spojrzał na Isabelle - jej oczy były nie mniej przestraszone niż jego.

- Vincencie, co to jest? Co to za szum?

Jego oczy łypnęły na boki. Potem za ich przykładem poszła głowa - obróciła się raz w lewo, raz w prawo.

- Nie wiem - odparł szeptem.

Dwadzieścia kroków dalej, na wybiegu, słychać było jeden z najbardziej pierwotnych odgłosów, jakie istnieją na świecie. Ettrich, Isabelle i Coco słyszeli go po raz pierwszy. Dźwięk ten rzadko można usłyszeć w naturze. Zbierały się zwierzęta. Najpierw przez bramę wbiegł lew, a za nim, tuż nad ziemią, wleciało wielkie stado gołębi. Ptaki rzuciły się na dzieci. Lew dał w ich stronę susa. Czwórka dzieciaków bez wysiłku złapała go w powietrzu i w ułamku sekundy skręciła mu kark. Zwierzę zważyło się na ziemię; padło na betonową podłogę z głuchym tąpnięciem, jak gdyby ktoś upuścił ciężki dywan. Przyszła kolej na gołębie. Choć widok był doprawdy zdumiewający, Ettrich zachował dość zimnej krwi, żeby się zastanowić, jak zaatakują ptaki.

Oczy. Ptaki poleciały prosto w twarze dzieci, próbując wykluć im oczy ostrymi dziobami. Przez jakiś czas wydawało się, że ta strategia się sprawdzi, że zatrzyma dziecięcy pochód. Większość dzieciaków, osłaniając z piskiem twarz rękoma, pokrytymi teraz ich własną krwią, zgięła się w pół i wtuliła głowę w ramiona, podczas gdy ptaki dziobały je, gdzie popadnie.

Nadbiegły cztery borsuki i ścięły dzieci z nóg. Jak przystało na nieprzyjaciół człowieka, dwaj bracia i dwie siostry natychmiast rzucili się, by zrobić użytek z ostrych pazurów i zębów. Nadciągały coraz to nowe zwierzęta: zebra, struś, dwa mrówkojady, o pazurach dłuższych niż

borsucze, i mandryle, które gryzły i walczyły nadzwyczaj szybko i zwinnie. Nie wahały się ani chwili.

Chaos jest uparty, ale nie jest głupi. Wkrótce zdał sobie sprawę z tego, że poniesie porażkę. Jego dzieci, choćby najsilniejsze i najbardziej okrutne, nie mogły dorównać rozwścieczonym zwierzętom z zoo. Wówczas chaos złamał kolejną zasadę obowiązującą na ziemi od początku czasu. Ettrich, Isabelle i Coco zobaczyli, jak dzieci przemieniają się w atakujące je zwierzęta. Obok czterech borsuków wyrósł nagle piąty, który odznaczał się siłą i zjadłością pozostałych czterech. Rzucił się na najbliższego z nich i odgryzł mu pysk. Reszta odskoczyła instynktownie, lecz borsuk nie zaprzestał ataku. Pokąsał i porałał pazurami brzuch jednego i przeciął odkryte gardło drugiego. Zabił je po kolei, wykorzystując przewagę zaskoczenia i szoku.

Wszystko to trwało parę sekund.

Oczywiście, zwierzętom zdarza się niekiedy atakować swych krewniaków. Kiedy urodzi się zdeformowane szczenię, matka instynktownie je zabija. Samce niektórych gatunków walczą na śmierć i życie o dominację w stadzie lub o kontrolę nad potomstwem. Czasem też jedno zwierzę zabija drugie na skutek szaleństwa.

Ale nie wybijają się w ten sposób. Nie co do jednego. Wszystkie zwierzęta, które przyszły w sukurs ludziom, zostały wymordowane przez swoich braci. Był to czyn gorszy niż świętokradztwo.

Ettrich pociągnął Isabelle za rękę; tym razem nie stawiała oporu. Wybiegli z klatki na opustoszały teraz i cichy plac przed budynkiem. Panujący tutaj spokój silnie kontrastował z dokonaną wewnątrz rzezią.

- Gdzie Coco?

- Nie wiem, chyba została w środku.

- Cholera. - Ettrich przesunął ręką po głowie. - Zaczekaj tutaj. - Wycelował palcem w ziemię, jakby miejsce, w którym akurat stali, było bezpieczne.

Teraz z kolei Isabelle nie chciała puścić jego ręki.

- Gdzie idziesz, Vincencie?

- Spróbuję ją stamtąd wyciągnąć. - Nie przyznał się Isabelle, że coś sobie przypomniał. W całym tym zgiełku wpadła mu do głowy pewna myśl. Był pewien, że jest prawdziwa i że okaże się pomocna. - Jezu, popatrz na to! Po drugiej stronie wybiegu stało rzędem pięć zwierząt i gapiło się na nich. Lama, oryks, pantera, pingwin Humboldta i rzadki zielony żuraw z Sam. Gdyby można powiedzieć, że zwierzęta mają wyraz twarzy, to miny tych stojących na placu wyrażały jedno: smutek.

Wiedziały, że muszą wejść do klatki, przystąpić do walki i zginąć w boju. Wcześniej oddały już swoją wolność i zamieszkały w tym ponurym, fałszywym ogrodzie; teraz zabierano im nawet tę marną egzystencję.

Życie upłynęło im w klatkach, choć każde z nich – gdyby chciało - mogłoby się stąd wydostać. Spędzały tysiące dłużących się niemiłosiernie dni, przesiadując na betonie, na pieńkach albo gołej ziemi; jadły tę samą żywność podawaną w tych

samych ilościach, rozmawiały z sobą i spały. Wiecznie znudzone, gapiły się, czekając, aż zdarzy się coś takiego. Po to żyły, dlatego znalazły się tutaj. A przecież zawsze im mówiono, że mają szansę przetrwać. Wiedziały teraz, że tak się nie stanie. Sprawa była prosta - umrą.

Ettrich wyczuwał ich odwagę i smutek. Straszliwa kombinacja. Uwolnił dłoń z uścisku Isabelle i delikatnie musnął jej policzek. Nie wiedział, że Anjo polecił jej, żeby go puściła. Mimo to Isabelle nie potrafiła się opanować.

- Ale co ty sam zdasz przeciwko temu? Co tu w ogóle można zrobić?

Chciał ją jakoś uspokoić, ale z powodu przerażenia nie wiedział jak.

- Zaczekaj tutaj. - Przeciął wybieg, idąc w stronę bramy.

W miarę jak się do niej zbliżał, coraz wyraźniej ukazywało mu się to, co dzieje się w środku. Widok był tak straszny, że Ettrich omal nie czmychnął.

Zacisnął pięści i zrobił coś, co przed chwilą uznał za najrozsądniejsze: odezwał się do swojego martwego Ja". Nie do ogromnego szczura z uszmkowanym pyskiem, ale do drugiej połowy Vincenta Ettricha. Tej, która narodziła się w momencie, gdy obecna jaźń umarła w szpitalu, parę miesięcy temu. Była to jedna z niewielu rzeczy, których był pewien: istnieje zarówno żywa, jak i martwa jaźń. Obie wiodą nas przez pełnię ludzkiego doświadczenia, a potem wprowadzają w mozaikę.

Ettrich zwrócił się głośno do swego martwego „ja”:

- Co mam robić?

Natychmiast padła odpowiedź:

- Nic. Ty jej nie pomożesz. Ale ja mogę. - Nie był pewien, czy to, co słyszy, nie jest jego urojeniem. Następnie głos dodał: - W śmierci nie ma chaosu, zatem on mnie nie widzi. Wyciągnij scyzoryk.

Bez wahania sięgnął do kieszeni i wyjął składany scyzoryk „Lile Lock”, który nosił od lat. Nóż był mały i pękaty, z intarsjowanym uchwytem. Ettrich uwielbiał obracać go w palcach, kiedy nie miał czym zająć rąk. Uważał scyzoryk za coś w rodzaju talizmanu, choć używał go rzadko, do otwierania listów albo przekrajania jabłek.

- Wejdiesz w swój scyzoryk, a wtedy ja przejmę kontrolę nad twoim ciałem. Dzięki temu staniesz się niewidoczny dla chaosu. Będziesz bezpieczny. Pomogę Coco na tyle, na ile będę mógł. Ale jednego musimy przestrzegać: ty i ja nie możemy się rozdzielić. Cały czas będę miał ten scyzoryk przy sobie.

- Jak chcesz to zrobić? Jak chcesz mnie... do niego wsadzić?

Z wnętrza pawilonu dobiegła seria gwałtownych i dziwnych hałasów. Piątka zwierząt na placu ruszyła w tamtą stronę. Isabelle zawołała do Ettricha, żeby wracał, wracał.

- Sam nie dam rady. Tylko ty możesz w niego wejść. Przelejesz swój numen z ciała do scyzoryka. Możesz to uczynić z dowolnym przedmiotem.

- Ale jak?

Isabelle nie rozumiała postępowania Vincenta. Ignorował jej wołania. Stał bez ruchu trzydzieści stóp od niej i trzymał w dłoniach coś, czego nie mogła dojrzeć. Tymczasem kierujące się ku budynkowi zwierzęta otarły się o nią, jakby była powietrzem. Pochód zamykał piękny, zielony

żuraw, który kroczył wolno na wielkich, płaskich stopach. Kołysał się przy tym komicznie na boki, jak przygłupawy filmowy tajniak. Mijając Ettricha, obrócił prędko długą głowę i przyjrzał mu się. Zatrzepotał skrzydłami i oderwał się od ziemi, odlatując z klekotem. Isabelle nie zauważyła, aby Vincent w jakikolwiek sposób spłoszył ptaka. Nawet się nie poruszył.

Kolana ugięły się pod nim i z ręki wysunął mu się trzymany tam przedmiot. Złapał go jednak tak szybko, że Isabelle nie zdążyła zobaczyć, co to jest. Wsunąwszy go z powrotem do kieszeni, pomaszerował w stronę klatki.

Martwa jaźń Ettricha weszła do budynku i przyjrzała się obojętnie skutkom krwawej bitwy. Wszystkie prawdziwe zwierzęta były albo martwe, albo umierające. Zwierzęta chaosu wymordowały je bez cienia litości. Nieco na uboczu, obok lwa, leżała twarzą ku ziemi Coco. Jej ciało zostało rozszarpane na strzępy.

Podczas gdy zwierzęta pracowały dalej, nieświadome obecności Ettricha, ten wyciągnął z kieszeni scyzoryk i otworzył go. Ruszył wokół klatki, dotykając ciało końcem ostrza. Nie czekał, żeby sprawdzić rezultaty swoich działań - schylał się, dotykał tego, co zostało, i zaraz szedł dalej. Tak jak przewidywał, zwierzęta chaosu nie wyczuły go, mimo że był tuż przy nich. Podczas jego obchodu w klatce zalegała coraz większa cisza, zwierzęta wydawały ostatnie tchnienia i umierały. Ettrich dotknął około trzydziestu z nich, a następnie wyprostował się, uważnie schował ostrze i wsunął scyzoryk do kieszeni. Ciało Coco ominął. Spojrzał jednak na nie dwa razy i uśmiechnął się, jakby wiedział coś, co przynosiło mu uspokojenie. Dokończywszy dzieła zniszczenia, zwierzęta chaosu - jak wszystkie zwierzęta - zaczęły się czyścić i doprowadzać do porządku.

Nowy Ettrich przez chwilę je obserwował. Przysunął prawą dłoń do oka i obracając nią tam i z powrotem, przyglądał się jej z natężoną uwagą. Podsunął rękę pod nos i obwąchał ją, a potem całe przedramię aż po łokieć. Wyczuł słabą cytrynową woń mydła. Potarł energicznie dłonie, aż zrobiły się ciepłe. Nigdy nie doznał podobnych wrażeń; były przyjemne. Opuścił ręce i zobaczył, jak z ciała pierwszego zwierzęcia, którego dotknął, wychodzi dusza. Wysunęła się z masywnej nogi martwej słonicy. Przypominała długą, białą strunę, która po chwili osiągnęła pełny rozmiar. Pozostałe dusze także zaczęły się podnosić. Wyłaniały się z uszu, obciętych skrzydeł, z lśniącego jeszcze oka martwego borsuka, i urosły do rozmiarów żywych zwierząt. Ettrich pierwszy raz był świadkiem czegoś takiego. Stojące obok niego zwierzęta chaosu wciąż niczego nie wyczuły. Oblizywały swoje pokrwawione nogi i brzuchy. Niektóre zamknęły z radości oczy i pocierały łapami po twarzach, wiedząc, że ich praca dobiegła końca. Kiedy dusze martwych zwierząt, Pemmagast, wyszły z ciała, na kilka sekund zapadła niemal kompletna cisza, w której martwy Ettrich pogrążył się z rozkoszą. Przesunął wzrokiem od jednego krańca klatki do drugiego. Roilo się w niej od stworzeń, które - podobnie jak on - nie miały swego miejsca na ziemi i nie powinny były się tutaj znaleźć. Jeszcze raz wciągnął w nozdrza zapach dłoni. Cytryna. Odczekał chwilę, dwie.

Po czym wyrzekł ich imię:

- Pemmagast.

I rozpętała się rzeź.

Parę mil nocy

- Nie żyje.

- Niemożliwe. Przecież to Coco. Ona jest...

- Fizz, ona nie żyje. Umarła. Wierz mi.

Siedząca na fotelu pasażera Isabelle wsunęła ręce pod pachy, jakby naraz zrobiło jej się zimno.

- Okej, nie żyje. Co mamy wobec tego robić? Jak się bronić?

- Na razie nic nam nie grozi.

- Co to znaczy „nic nam nie grozi”? Też mi pocieszenie! Skąd wiesz?

- Jesteśmy chronieni. Na razie wszystko jest w porządku.

- Daruj sobie tę tajemniczość, Vincencie. Nie mów tak do mnie. Chcę wiedzieć, co wiesz. Nie knebluj mi ust. Jedziemy na tym samym wózku, a w dodatku ja nie jadę sama. - Wskazała znacząco na swój brzuch.

- Masz rację. Strzegą nas teraz Pemmagast: duchy martwych zwierząt, o których ci mówiłem. To one uratowały nam życie w klatce. Zaatakowały chaos z zaskoczenia i ten nie znalazł przeciw nim obrony. Ale nie wiem, jak długo utrzyma się ich przewaga. Chaos jest sprytny - potrafi się szybko dostosować.

- A więc mogą nas nie obronić. Mogą się okazać bezradne, kiedy chaos wróci. - Głos Isabelle zdrzął. Mimo starań nie mogła nad nim zapanować.

Ettrich zawahał się i westchnął.

- Być może. Tymczasem są naszą jedyną nadzieją. Anjo odgrywa kluczową rolę. Chaos chce go dopaść, bo Anjo bezpośrednio mu zagraża. Ale wiem teraz coś, czego nie wiedziałem przedtem: kiedy Anjo się urodzi, chaos nie będzie mógł go tknąć. Nie będzie mógł mu zrobić krzywdy, ponieważ Anjo znajdzie się pod ochroną. Skąd wiesz o tym?

Ettrich odparł cicho:

- On mi powiedział.

Isabelle wiedziała, że chodzi mu o drugiego Ettricha.

- To prawda, Vincencie? Nie mówisz tego tylko po to, żeby mi poprawić humor?

- To prawda. Ale jest jeszcze coś, Fizz. Choć Anjo będzie za życia strzeżony, nie ma żadnych gwarancji, że się dowie o tym, co ma uczynić.

- Nie rozumiem.

- Jeżeli nie zadamy o jego wykształcenie, nie poradzi sobie z tym, czego oni od niego oczekują, kiedy dorośnie.

- I co z tego, Vincencie?! Niech się pocałują w dupę! Anjo to nasze dziecko, a nie ich. Będzie grał w koszykówkę albo oglądał się za dziewczynami, jeśli będzie miał na to ochotę - ja nie mam nic przeciwko temu.

- Nie, Isabelle. To nie takie proste.

Uderzyła obiema rękami w deskę rozdzielczą.

- Dla mnie to zupełnie proste!

Siedzieli w jego samochodzie zaparkowanym przed jadalnią, w której dzień wcześniej zjedli kolację.

- Kto jak kto, ale ty powinnaś to rozumieć, Isabelle. Twoje nie narodzone dziecko mówi do ciebie. Zgodzili się, żebym wrócił ze świata umarłych. No i widziałaś, co się dzieje, odkąd przyleciałaś do Stanów. Dzieją się rzeczy niemożliwe, które przecież nas dotyczą. Anjo nie jest takim sobie, pierwszym lepszym dzieckiem.

Wstrząsnęli się na dźwięk telefonu Ettricha. Wyciągnął go z kieszeni i spojrzał na wyświetlacz, żeby sprawdzić, kto dzwoni. Numer nic mu nie mówił. Wcisnął guzik odbioru i przyłożywszy aparat do ucha, odezwał się powoli:

- Halo?

- Vincent? Ta Bruno Mann.

Ettrich zgarbił się.

- Cześć, Bruno.

- Gdzie jesteś?

- W swoim samochodzie. Co u ciebie?

- Odwiozłeś już syna do domu? Ettrich znów się wyprostował. Tylko nie to, pomyślał. Błagam, nie teraz. Tylko nie Jack.

- Odwiozłem. Czemu pytasz?

- Wszystko było w porządku? Nie miałeś kłopotów w domu ani nic takiego?

- Nie. Dlaczego?

Mann zlekceważył go.

- I nie miałeś żadnych problemów, od kiedy wyszedłeś ze szpitala? Z innymi ludźmi?

Wprawdzie zdarzył się ów incydent w zoo, ale Ettrich nie chciał teraz poruszać tego tematu. Bezpieczeństwo dzieci stawiał na pierwszym miejscu.

- Nie, Bruno. O co chodzi? Czy coś się stało?

- A tak, Vincencie, stało. Wszyscy raptem wiedzą, że umarłem. Kiedy wszedłem do domu, mojej żonie odbiło z przerażenia. Jak mnie zobaczyła w drzwiach, zaczęła się drzeć, dosłownie wrzeszczeć: „Ty nie żyjesz, nie żyjesz!” Powtarzała to jak mantrę. Co miałem jej powiedzieć - tak, słoneczko, masz rację?

- No. I co zrobiłeś?

- Usiłowałem ją uciszyć. Ale gadaj zdrów - spróbuj uciszyć kogoś, kto zobaczył ducha. Czyli ciebie.

- Gdzie jesteś teraz?

- W domu. Siedzę na dole i próbuję ją jakoś przekonać. Ale wiesz, co to znaczy, Vincencie? Jeśli to prawda, jesteśmy odcięci od pracy, od przyjaciół, rodziny, konta bankowego, od wszystkiego. Nie możemy się widywać ze znajomymi. Nie możemy nawet dać się zobaczyć, bo to cholernie niebezpieczne. Umarliśmy dla świata, czyli że...

Ettrich przerwał mu bezceremonialnie:

- Kapuję, Bruno. Ale muszę to przemyśleć. Oddzwonię do ciebie za jakiś czas.

- Czy nie sądzisz, że powinniśmy się spotkać i pogadać?

- Nie, muszę to najpierw rozgryźć. Zadzwoń do ciebie. - Ettrich rozłączył się, zanim Bruno zdążył cokolwiek dodać. Nurtowała go myśl, że jeśli Bruno ma słuszość, on nigdy więcej nie zobaczy dzieci. Raz na zawsze straci z nimi kontakt.

Myśl ta była wręcz porażająca. Ettrich ścisnął w rękę telefon, tak że plastikowa obudowa aż zapiszczała. Usłyszawszy to, natychmiast wypuścił z ręki komórkę, która spadła na ziemię między jego nogi.

Isabelle odczekała, aż Vincent nieco się uspokoi, a potem zapytała, co się stało. Zrezygnowanym, monotonnym głosem wyznał jej swoje obawy.

Nie uwierzyła mu. Schyliła się, podniosła telefon i wybrała numer do jego domu. Ignorując ją, Ettrich gapił się przez przednią szybę na jadłodajnię i myślał o dzieciach.

- Halo? Dzień dobry, dzwonię z dziekanatu Rhodes College.

Chciałabym rozmawiać z Vincentem Ettrichem. O, przepraszam. Tak, jeśli to możliwe. - Klepnęła Ettricha w ramię. Gdy się do niej obrócił, pokręciła głową i uśmiechnęła się. - Tak, słucham. Tak, zapisałam. Serdecznie dziękuję. - Zakończyła rozmowę i upuściła telefon na jego kolana. - Twoja żona była bardzo uprzejma. Oznajmiła, że już tam nie mieszkasz, i podała mi numer do twojego nowego mieszkania. Zdaje się, że świat na razie uważa cię za żywego.

Twarz Ettricha rozluźniła się, ale jego oczy pozostały sceptyczne.

- Co to znaczy? Czemu Bruno miałby twierdzić, że wszyscy wiedzą o jego śmierci?

- Jedno z dwojga: Albo to spotkało tylko jego. Albo Bruno cię okłamuje.

- Po co miałby kłamać? Co by mu z tego przyszło?

Isabelle czekała, aż Vincent pociągnie swoje rozważania, ale on milczał.

- Ufasz mu? Wierzysz, że mówi prawdę?

- Chyba tak. Nie wiem. Pracuję z tym facetem. Znamy się kupę lat.

- To nie ma znaczenia, Vincencie, zwłaszcza teraz. Powinieneś zdawać sobie z tego sprawę.

- Jego nazwisko było wytatuowane na szyi Coco! Tak się zaczęła ta cała heca. Dlaczego Coco miała tatuaż z jego nazwiskiem?

- Nie powiedziała ci? - Isabelle położyła mu rękę na kolanie i lekko je ścisnęła.

Spojrzał na jej dłoń. Myśli tak kotłowały mu się w głowie, że miał wrażenie, jakby ktoś wsadził jego mózg do wirówki. Nie, ale przypuszczałem... - Głos uwiązł mu w gardle, by zaraz stamtąd wyskoczyć. - A co ze szpitalem? Jak wytłumaczyć to, co tam zaszło? Jaka była w tym rola Brunona i Tillmana Reevesa?

- Nie wiem, ale na twoim miejscu szczególnie ostrożnie bym dziś darzyła ludzi zaufaniem.

Przygryzł dolną wargę i nakrył jej dłoń swoją. W końcu przesunął ją na jej brzuch, tam gdzie się ukrywał ich syn.

- Przypomniałem sobie właśnie coś, co usłyszałem dawno temu: żeby wydostać się z labiryntu, trzeba przejść po nim górą.

- Co to znaczy?

- Dał mi tę radę dziadek Kitty i sądząc po jego życiu, przydała mu się nie raz, nie dwa. O mały włos dożyłby setki. Największy drań, jakiego znałem. Miał trzy żony i traktował je jak śmieci. Nie przeszkadzało mu to sypiać z każdą kobietą, która się na to zgadzała. Zapożyczał się na lewo i prawo, ale nigdy nie spłacał długów. Nie wiem, ile razy ogłaszał swoje bankructwo, ale zawsze udawało mu się wykaraskać z tarapatów... Dobre ziółko w teflonowym garniturze. Dociągnął do dziewięćdziesięciu siedmiu lat. Ale miał też swój urok - trzeba mu to oddać. W ostatnim dniu życia miał więcej osobistego uroku niż Clark Gable.

Isabelle uwielbiała sposób, w jaki Ettrich postrzegał życie i o nim opowiadał. W ciągu tych długich miesięcy rozłąki szalenie stęskniła się za jego historyjkami. Mimo tego, co się dziś zdarzyło, ucieszyła się z jego opowieści.

- Byłeś przy jego śmierci?

- Nie, tuż przed. Ubóstwiał Kitty, często więc odwiedzaliśmy go w szpitalu. Pamiętam dzień, w którym widziałem go ostatni raz. Weszliśmy z Kitty do jego pokoju. Ma się rozumieć, załatwił sobie separatkę, choć był doszczętnie splukany. Weszliśmy - miał na sobie jaskrawoczerwony dres, a na głowie czarną bejsbolówkę z napisem „Dorwać Małego” i przeciwsłoneczne okulary RayBan. Była godzina dziewiętnasta, styczeń. Z ogromnego magnetofonu w kącie leciała składanka Greatest Hits Abby. Mówił, że lubi ich, bo ostro czadują. Kurwa mać, stuletni staruszek! Przejdź przez labirynt, idąc górą. Całkiem niegłupia rada, no nie? - Co to twoim zdaniem oznacza?

Ettrich uśmiechnął się do własnych wspomnień.

- Opowiedział mi, jak wpadł na ten pomysł. Szedł kiedyś przez Piccadilly Circus w Londynie. Ktoś rozłożył na środku chodnika labirynt. Wyglądało to jak ogromna, czarnobiała plastikowa cerata. Miało z dziesięć na dziesięć stóp wielkości; porządny labirynt. Może był to jakiś wymysł sztuki konceptualnej. Dziadek Kitty zauważył, że piesi obchodzą go szerokim łukiem. Nadrabiali spory kawałek, żeby na niego nie nadebrać, choć było oczywiste, że labirynt położono w innym celu. Łaziły po nim tylko dzieciaki, które miały niezły ubaw, próbując znaleźć drogę do środka. Zebrał się tłum gapiów. W końcu przyszła jakaś staruszka. No wiesz, jedna z tych, które targają plastikowe torby i mamrocą coś pod nosem. Nie w głowie jej były takie głupstwa - chciała przejść z punktu A do punktu B, który akurat leżał po drugiej stronie labiryntu. Więc przeszła po nim dokładnie na skos. A najlepsze było to, że zebrani tam ludzie wyraźnie się rozzłościли, kiedy staruszka to zrobiła - że zignorowała labirynt. Było widać tę złość na ich twarzach. Ale po chwili spojrzeli po sobie i zaczęli się uśmiechać. Jakby się połapali, że cwana staruszka wystrychnęła ich na dudka. Bo i czemu nie przejść przez labirynt, jeżeli ci się spieszy? Ja muszę rozwiązać podobny problem. Dotychczas mówiliśmy sobie: jak nie można iść w lewo, to chodźmy w prawo. Tyle że to nie jest zwyczajny labirynt. Składa się nie tylko z lewych i prawych zakrętów, ale także ze stromizn i zjazdów, mozaiki, dusz martwych zwierząt i nie wiem, czego jeszcze. Nasze położenie przypomina trochę trójwymiarowe szachy, w które trzeba grać na wielu poziomach naraz.

- Ale jak to zrobić? Jak wznieść się nad nasz labirynt i spojrzeć w dół, żeby wybrać najlepszą drogę? Ettrich ponownie dotknął jej brzucha.

- Może Anjo nam w tym pomoże.

Bruno Mann był poirytowany. Nic nowego pod słońcem: nienawidził ludzi i tego, że jest człowiekiem. Nienawidził ociążałości swego ciała - jego mozolnego funkcjonowania, zapachów,

które wydzielalo, wymagań, które ciągle mu stawiało. Potrzebowało powietrza, jedzenia, ciepła i chłodu. Było wiecznie głodne, wciąż nienasycone i utyskujące, niezadowolone ze stanu, w jakim się znajdowało.

Bruno był człowiekiem od tak dawna, że niekiedy zdarzało mu się prawie zapominać, jak to jest być kimś innym. Była to dżuma, która atakowała twój organizm i zarażała całe twoje ciało, tak iż w końcu stawałeś się człowiekiem w sposób nieodwracalny. Bruno znał ludzi, którzy uważali, że wszystko jest w porządku. Znał paru takich, którzy polubili swoje człowieczeństwo i którym życie tutaj wcale nie przeszkadzało. Bruno Mann się do nich nie zaliczał. Przeciwnie, im dłużej miotał się na tej samotnej wyspie, zwanej Rasą Ludzką, tym silniejszą odczuwał do niej antypatię.

Najnowszą zniewagą była odmowa Vincenta Ettricha, żeby się z nim spotkać. Bruno kręcił się obok Ettricha od lat, bawiąc się nim jak rybą na haczyku. To popuszczał żyłkę, to znowu ją nawijał. Pozwalał Vincentowi odpływać na tyle daleko, by ten myślał, że jest wolny. Wtedy ściągał go ostro z powrotem. Ettrich nigdy się w tym nie połapał. Kiedy leżał umierający w szpitalu, Bruno należał do garstki osób, które go odwiedzały: Ettrich szlochał ze wzruszenia. A teraz, po wskrzeszeniu, Ettrich nie chciał się z nim spotkać, dopóki „tego nie rozgryzie”. Śmiechu warte! Vincent, który nie potrafił rozgryźć najprostszej rzeczy - na przykład tego, jak utrzymać swojego kutasa na wodzy.

Może Bruno był zły tylko dlatego, że tak bardzo cieszył się ze swego planu pod tytułem „Oni wiedzą, że umarliśmy!” Chciał w ten zmyślny sposób wprowadzić swoją rozgrywkę z Ettrichem w końcową fazę. Pomieszać mu szyki, zbić go z tropu, ograniczyć pole manewru, żeby na placu boju pozostał tylko on i jego nawiedzona dziewczyna. Wtedy skończy tę grę jednym posunięciem.

Bruno Mann został przed laty wysłany, by wykonać pięć zadań. Z Ettrichem zetknął się przez przypadek. Kiedy jednak poznał go bliżej i zauważył jego króliczy popęd seksualny, zdał sobie sprawę, że ten mężczyzna i jego obsesja na tle kobiet mogą mu się przydać. Niewątpliwie chaos przyczynia się do łamania serc i obietnic. To żałosne, lecz miłość zrównuje wszystko z ziemią; jedynie zbliżająca się śmierć wywołuje w ludzkiej duszy większy zamęt. Ponieważ Bruno często się nudził, wziął Ettricha pod swoje skrzydła i z przyjemnością obserwował, jak tamten przetacza się przez życie kobiet jak huragan, niszcząc po drodze wszystko, co zawadza jego dumie i ambicjom. Któregoś pięknego dnia Vincent istotnie porzucił żonę i dzieci, tylko po to, by nowa kobieta spławiła go i zniknęła z jego życia. Na dobitkę tuż potem zachorował na wyjątkowo entuzjastycznego raka, który szybciotko przerzucił się na całe ciało i zabił go w kilka miesięcy. Co prawda Bruno nie przyłożył do tego ręki, ale ten scenariusz, który sam się napisał, szalenie przypadł mu do gustu.

Dlatego parę miesięcy później przeżył nie lada szok, kiedy wszedłszy rano do biura, zobaczył Ettricha flirtującego w najlepsze z sekretarką. O co tu, do diabła, chodzi? Co to ma znaczyć?

Nikt nie umiał mu tego wyjaśnić - zaskoczenie było kompletne. Jak to się stało? Kto odpowiadał za odrodzenie się pana Ogiera? Zaczęły się zebrania. Posypały się wzajemne oskarżenia. Nikt nie przewidział powrotu Ettricha. Nikt też nie poczuwał się szczególnie do winy. Ktoś przemycił Ettricha do życia tuż pod ich nosem. Wyszli na totalnych kretyńców. Bić na alarm! Zmobilizowano oddziały. Opracowano nowe plany, które czym prędzej zaczęto wcielać w życie. Działania te - siłą rzeczy - zalaływały amatorszczyzną i prowizorką. Bruno wziął czasopismo, zerknął na okładkę i rzucił je z powrotem na stolik do kawy. Czym miał się zająć, czekając na „przemyslenia” pana Ettricha? Gdyby chodziło o kogoś innego, poszedłby do jego domu, sprzątnął go i zapomniał o całej sprawie. Ale odkąd Vincent zamienił się w Łazarza, należało działać ostrożnie, gdyż nie było

wiadomo, do czego jeszcze jest zdolny. Jeśli dodać do tego zdolności, które posiada to wyjątkowe, niebezpieczne dziecko Isabelle Neukor, sytuacja stawała się groźna nie na żarty.

Znów sięgnął po pismo i rozłożył je na rękach. Nim zdążył skupić wzrok na tekście, zabrzączał telefon. Podejrzewając, że to Ettrich, mruknął: „dobry piesek”, jak gdyby zwracał się do psa posłusznie aportującego patyk. Podniósł słuchawkę. To nie był Ettrich. Nie był to również człowiek. Dzwonił szef Brunona Manna. Mówił tym samym tajemniczym językiem, którym wcześniej Coco zbeształa uszminkowanego szczura - zrelacjonował Brunonowi wydarzenia, do których doszło w zoo. Podczas gdy trajkotał jak katarynka, Bruno przyjrzał się swoim paznokciom i poruszył językiem w ustach. Któryś już raz z rzędu zastanawiał się, czemu jego szef się upiera, aby komunikować się z nim przy użyciu telefonu. Czy uważa to za oryginalne czy za milutkie? A może stał się jednym z tych zarozumiałych głupców, którzy polubili życie w ludzkiej postaci i porozumiewanie się tą absurdalną metodą sprawiało im satysfakcję? Czyżby upadł tak nisko? Tak czy owak, Bruno wiedział, że szefowi nie wolno przerywać. Oczyścił umysł i czekał, aż brzęczący mu w uchu głos skończy swoją perorę. Informacje nie zaskoczyły go, choć były ciekawe. Mimo że nienawidził ludzkiej rasy, uznawał, iż jest dużo inteligentniejsza, niż sądzili jego przełożeni. Co rusz przekonywał się, że w obliczu niespodzianych problemów ludzie bywają sprawni i rozgarnięci. Nieraz podnosił tę sprawę na sesjach plenarnych, lecz zawsze go zbywano, mówiąc, że jest nadmiernym pesymistą lub że po prostu się myli. I kto się pomylił? Głupi, stary Ettrich zapędził ich w kozi róg i uciekł. Co gorsza, wskutek interwencji Pemmagast, które aż do dzisiaj nie ośmieliły się pokazać swoich ohydnych zwierzęcych mordek, nie znali miejsca pobytu Ettricha i jego dziewczyny. Gdy Bruno usłyszał, że tamci uciekli, brwi podjechały mu wysoko na czoło. Pemmagast? Żałował, że nie nagrywa tej rozmowy na taśmę, aby ją potem odtworzyć i jeszcze raz posłuchać, jak jego szef ślini się i sepleni, przeklinając te nędzne ektoplazmatyczne ścierwa, które go pokonały. Było to niewyobrażalne, śmieszne i zgodne z apelami, które Bruno od początku kierował do swoich przełożonych. Wrodzony cynizm podpowiadał mu, że teraz, gdy jego przewidywania się sprawdziły, szef wścieknie się na niego jeszcze bardziej. Nikt nie lubi być w błędzie, zwłaszcza kiedy ignoruje się szansę na to, by mieć rację. Opis pogromu w zoo wreszcie się zakończył i szef Brunona przestał kłapać szczęką. Bruno obgryzał paznokieć kciuka, czekając na następną tyradę, ale nie nadeszła. Nic nie nadeszło. Na nieznośnie długi czas zapanowała cisza, a raczej niemal cisza, bo kiedy chaos był przy telefonie, w tle zawsze słyszało się jakiś szum.

- Czy życzy pan sobie, abym coś zrobił? - Ze zdziwieniem stwierdził, że odpowiedziało mu milczenie. Nie wiedział, czy ma powtórzyć pytanie, czy siedzieć cicho.

- Ty nienawidzisz tego świata, prawda, Bruno?

- Tak, proszę pana. Nienawidzę.

Znowu cisza, a potem:

- Na co byś się odważył, żeby się stąd wydostać?

- Na wszystko - odrzekł z naciskiem Mann.

- To, co dzisiaj się stało, to skandal.

Bruno wyteńczył teraz całą swoją uwagę.

- Tak jest, proszę pana.

- Hańba.

Czekał. A nuż się uda...

- Chcę, żebyś poszedł się spotkać z Królem Parku.

Mało brakowało, a zsiadłby się w spodnie. Rozkaz padł tak nagle, pomysł był tak piorunujący, że Bruno odkrył, iż nie może przełknąć.

- Słyszałeś mnie, Bruno?

- Ttak, proszę pana. Aleja myślałem...

- Chcesz się stąd wydostać czy nie?

- Tak jest, ale...

- Więc wybieraj: albo pójdziesz do Króla Parku, albo spędzisz następne pięćdziesiąt milionów lat, popijając na Ziemi zupę pomidorową.

Bruno odchylił głowę i z całej siły zacisnął powieki. Właśnie wdepnął w największe gówno we wszechświecie i nie było sposobu, żeby się z niego uwolnić.

- Tak, proszę pana. Pójdę.

Chodziło o zakład fryzjerski. Bruno wiele o nim słyszał, ale tak jak inni omijał ów przybytek z daleka, wiedząc, kto tam pracuje. Nie uległ nawet ciekawości, choć nikt na świecie nie intrygował Brunona bardziej niż Król Parku. Na pierwszy rzut oka zakład nie wyróżniał się niczym specjalnym. Na wąskiej fasadzie wisiała czarnobiała tabliczka, a przed wejściem obracało się staromodne godło fryzjerskie. Budynek mieścił się przy szarej, osiedlowej ulicy zamieszkaney przez niższą klasę średnią. Naprzeciwko zielenił się niewielki park - jeden z tych, które widzi się w miastach: pełen dzieciaków biegających po zdeptanych trawnikach, wspinających się na drążki i bujających na huśtawkach pod okiem rozplotkowanych matek. Kilku potencjalnych twardzieli podpierało zagryzmołony graffiti mur, ćmiąc papierosy i tocząc dokoła znudzonym wzrokiem. Nad parkiem dominowały cztery ogromne drzewa, przez co wydawał się jeszcze mniejszy. Bruno wyobrażał sobie, że latem wylegają tutaj chmary ludzi chcących załapać się na trochę słońca lub bryzy, sączących zimne piwko z plastikowych bidonów w szarych torebkach, słuchających muzyki i próbujących nadać tej nędznej oazie zieleni pozory letniska położonego o pięć minut drogi od ich mieszkań.

Fryzjer z jednej strony sąsiedował z warsztatem szewskim, z drugiej zaś z posępnie wyglądającą pizzerią. Dochodziła dwudziesta. U szewca było ciemno. W pizzerii płonęło co prawda kilka skąpych świateł, lecz nie czyniły one tego miejsca bardziej apetycznym; wewnątrz było puste. Natomiast zakład fryzjerski był rzeświście oświetlony i wyglądało na to, że ma wielu klientów. Kto chodzi do fryzjera o ósmej wieczorem? W zwykłych okolicznościach Bruno zainteresowałby się faktem, że u podrzędnego fryzjera tłoczą się o tej porze ludzie. Ale nie teraz. Już raczej wolałby przebiec boso dwadzieścia mil po roztopionej lawie, niż wykonać to, co - jak wiedział - wykonać musiał.

Obliznął nerwowo usta, podciągnął spodnie i ruszył na drugą stronę ulicy. Był tak cholernie przerażony, że zatrzymał się w połowie drogi. Widział stąd twarze poszczególnych osób.

Sami mężczyźni, wyglądali całkiem zwyczajnie, ale dla wtajemniczonych zakład fryzjerski stanowił jedno z najbardziej

nadzwyczajnych miejsc na ziemi. Mieszkał w nim Król Parku. Czwarty raz w ciągu ostatnich paru godzin trzewia Brunona skrzyły się, grożąc nagłym wypróżnieniem, ponieważ zmuszał je do

wejścia do tego budynku. Za to też gardził ludźmi - za ich ciało, które buntowało się, kiedy kazano mu robić coś wbrew niemu.

Bruno zebrał się na odwagę i poczłapał dalej, choć dziewięć dziesiątych jego ciała zawodziło nienienie! To nie należało do jego obowiązków zawodowych. Dawno temu, gdy usłyszał o Królu Parku, przyjął tę nowinę jak ktoś, kto dowiaduje się o Yeti czy o smoku z Komodo - owszem, przerażające stwory, ale nie ma się czego obawiać, bo nigdy w życiu nie zamierzam się wyprawić ani w Himalaje, ani do Indonezji. I oto - wskutek cudzej decyzji - miał stanąć twarzą w twarz z Królem Parku. Doszedł do zakładu fryzjerskiego i z lekkim drżeniem otworzył drzwi.

W środku grała głośna muzyka. Elvis śpiewał Viva Las Vegas! Paru mężczyzn podniosło głowy, spojrzęło na niego obojętnie i wróciło do przerwanych czynności: czytania magazynów, rozmów, drzemki w oczekiwaniu na swoją kolej. W lokalu znajdowały się trzy fotele fryzjerskie; wszystkie były zajęte. Pod ścianą stało siedem krzeseł dla czekających - jedno było wolne. Wyglądający na Turka fryzjer, z wąsem jak szczotka do butów i dłońmi wielkości tacek do pizzy, pokazał Brunonowi głowę, żeby usiadł na pustym miejscu. Jego kolega zerknął na Brunona, uśmiechnął się i przystąpił do golenia głowy swojego klienta.

Najwyraźniej to był zwykły zakład fryzjerski. Czarne fotele, brązowożółta farba, kilka fotosów na ścianie podpisanych przez trzeciorzędne gwiazdy, które tu kiedyś zbłądziły. Uśmiechnięty czarny bokser z uniesioną gardą, bejsbolista z kijem zarzuconym na ramię, śpiewak z ufryzowanymi jak beza włosami, ściskający w rękę mikrofon z lat pięćdziesiątych. Wnętrze wypełniał ostry zapach świeżo zaparzonej kawy i żelu do włosów.

Minęło kilka minut i piosenka się skończyła. Siedzący obok Brunona mężczyzna podniósł się i podszedłszy do drzwi, wyjrzał na ciemną ulicę. Czy to on, ten sławny Król? Nosił starannie odprasowane spodnie khaki, dzinsową kurtkę i robocze buty. Miał kruczoczarne lśniące włosy i długie baki. Nie należał do ludzi, którzy ściągają spojrzenia na ulicy. Ale może o to chodziło: Bruno nie znał nikogo, kto kiedykolwiek widział Króla Parku. Wszyscy za to wyrażali się o nim ze strachem i zachwytem, powtarzając zasłyszane informacje z trzeciej ręki.

Mężczyzna odwrócił się od drzwi i ogarnął wzrokiem wnętrze. Uśmiechnął się i zakołysał na obcasach. I wtedy Bruno zobaczył ze zdziwieniem, że facet zaczyna stepować.

- Oo, ten znowu swoje.

- A to co, darmowy wodewil?

- Zamknij się! Podoba mi się, jak Gary tańczy.

Gary bowiem rzeczywiście tańczył. Jego robocze buciorzy miały grube gumowe podbicie, więc Gary nie tyle stepował, ile wytupywał głuchy takt na pokrytej żółtozielonym linoleum podłodze.

Zebrani u fryzjera mężczyźni zaczęli wymieniać uwagi na temat tancerza. Większość ich komentarzy była zabawna bądź pochwalna, nikt się nie wyłóśliwiał. Było jasne, że zdążyli przywyknąć do tych występów i że je lubią. Stepujący Gary. Bruno byłby mniej zdumiony, gdyby ukazał mu się dwugłowy, ziejący ogniem cyklop.

- Ej, przyjacielu. Twoja kolej.

Uzmysławiając sobie, że fryzjer zwraca się do niego, Bruno spojrzęł na pozostałych klientów.

- Niech pan się nimi nie przejmuj. Przyszli na występ taneczny. - Fryzjer poklepał zagłówek fotela. - Zapraszam. Ostrzygę pana.

Bruno podszedł i usiadł. Fryzjer owinał mu szyję pasem szorstkiego papieru i przykrył pierś ręcznikiem.

- Jak ma być? - Spojrzał na Brunona w lustrze i kilka razy ciachnął nożyczkami, pokazując, że jest gotowy do pracy.

- Umm, proszę tylko trochę skrócić.

Gary nadal tańczył, choć zwolnił nieco tempo. Patrząc pod nogi, wyrzucił ręce na boki i raz po raz zginał się w przysiadach. Część mężczyzn wróciła do rozmów albo lektury. Fryzjer ze szczerkawym wąsem zmienił płytę kompaktową. Ponownie zaśpiewał Elvis - Suspicious Minds. W dupę kopany Elvis. Człowiek nie może normalnie pójść do fryzjera, żeby go zaraz nie zalała muzyka Elvisa.

- Mój lokal, moja muzyka.

Na dźwięk tych słów oczy Brunona śmignęły na lewo, aby przyjrzeć się panu Wąsowi. Czyżby ten gość był Królem Parku? Bruno szukał w nim jakichś śladów czy wskazówek dowodzących tego, że patrzy na kogoś więcej niż zwykłego golibrodę z wielkimi łapskami. Mężczyzna był ubrany w czarną koszulkę polo i spodnie khaki. Khaki. Tancerz też je nosił. Czy to coś znaczy? Czy mają je na sobie wszyscy mężczyźni u fryzjera? Szybka lustracja wnętrza upewniła go, że nie. Nikt inny nie nosił też czarnego polo.

— No i gdzie te pączki? Nie wiem jak wy, ale ja liznąłbym trochę lukru.

— A co, najwyższy czas. Kto dzisiaj kupił pączki? Dean?

— Tu są. - Dean wsunął rękę pod krzesło i wyciągnął ogromny karton z logo Krispy Kreme. Otworzył je z miną świętego, który za moment skona lub osiągnie religijną ekstazę, spojrzał na zawartość pudła i wciągnął głęboko powietrze. - Prosto z wrzącego oleju, chłopcy. Sam widziałem, jak je wyjmowali. - Wybrał glazurowanego pączka i podał karton na prawo.

Wędrownice pudła towarzyszyły rozlegające się co chwilę „achy” i „ochy”.

Bruno przypatrywał się temu nerwowo, powtarzając sobie w duchu: „To jakieś wariactwo. Zupełna paranoja”. Jego oczy przeskakiwały od kartonu do wąsatego fryzjera. Czuł, że za chwilę coś się stanie. Ale nic się nie stało. Mężczyźni jedli pączki, niektórzy ubielili sobie przy tym palce i podbródki cukrem pudrem. Nawet fryzjer Brunona przerwał strzyżenie, wsunął nożyczki do kieszonki na piersi i - gdy pudło dotarło do niego - wyciągnął gniazdko z cynamonem. Bruno zerknął na bok i pochwycił jego spojrzenie.

- A panu co podać? Został zwykły pączek, z czekoladą i francuski obwarzanek. Co dla pana?

Ręka Brunona uniosła się pod ręcznikiem, gdy bezwiednie wskazał kciukiem własną pierś.

- Dla mnie? Jasne! To taka nasza tradycja: co wieczór opychamy się pączkami. Jedno ciastko na łebka.

- Nie ma pan wyboru - potwierdził jeden z klientów.

- Właśnie. - Fryzjer skinął głową.

- Uum, zwykłego - wybąkał zmieszany Bruno. - Poproszę zwykłego pączka.

Podsunięto mu niemal do cna opróżniony karton. Fryzjer puścił do niego oko i odgryzł wielki kęs cynamonowego gniazdko. Skinął na Brunona podbródkiem, żeby ten wziął z niego przykład. Cóż

miał robić? Uszczknął kawałek - ciasto rozpuściło mu się w ustach. Uwielbiał pączki, jadł je prawie codziennie na śniadanie.

- Prawda, że smaczne? Nic nie może się równać z Krispy Kreme.

Gdyby w tym momencie ktoś akurat przechodził ulicą i zajrzał do środka, zobaczyłby kilku mężczyzn objadających się pączkami i oblizujących palce. Był to obraz dziwny, ale sympatyczny. Mężczyźni sprawiali wrażenie wyrosniętych przedszkolaków podczas przerwy na mleko i ciasteczka; wszyscy byli wielce szczęśliwi.

Bruno dojadł właśnie swego pączka, gdy spojrzął w lustro i zastygł w bezruchu. Na dobrą sprawę przyjrzał się sobie pierwszy raz, odkąd tancerz rozpoczął swój wieczorny show. Odbicie, które ujrzał w lustrze, było tak wstrząsające, że nie dotarło do niego, iż muzyka umilkła i że wszyscy wywalają na niego oczy.

Uniósł pomału rękę do twarzy i dotknął jej drżącymi, złęknionymi palcami - widział ją bowiem po raz pierwszy. Wyczuł pod palcami skórę na policzkach.

- A to co? - wykrztusił Bruno. Pytał siebie, fryzjera i całą resztę.

Nikt nie kwapił się z odpowiedzią. Twarz nie wyglądała okropnie. Nie miała żadnych znaków szczególnych, ale z pewnością nie należała do niego. A przecież widział ją i dotykał jej, wodząc palcami po nieznanym policzkach, oczach, nosie. Wąski wykrój ust i wydatny, kwadratowy podbródek nie bardzo pasowały do struktury twarzy.

- Już kończę - powiedział fryzjer i wziął się do obcinania włosów. Tyle że teraz nie były one ciemnobrązowe, jak pół godziny temu, ale jasne i przyprószone siwizną.

- Co to znaczy? - zapytał znowu Bruno, patrząc już tylko na fryzjera.

- Przyszedł pan tutaj, szukając Króla Parku, prawda? - Fryzjer wskazał na lustro, na widniejącego tam nowego Brunona Manna. - No więc znalazł go pan.

- To ja?

- Pan. Każdemu, kto szuka u nas Króla, pomagamy go odnaleźć. Widzi pan tych facetów? - Zrobił gest w stronę jedzących pączki mężczyzn. - Jak skończę pana strzyc, oni pokażą panu, co potrafią. Każdy z nich ma jakąś wyjątkową smykałkę. Ja jestem specem od głów. - Przyłożył delikatnie nożyczki do skroni Brunona. - I od mózgu - dodał.

- Ja jestem Królem Parku? Jak to?

Odezwał się tancerz:

- Dzisiaj pan, jutro ktoś inny. Majstrujemy króla, kiedy jest nam potrzebny. Jak tylko wykona powierzone mu zadanie, odchodzi.

Bruno Mann miał nadzieję to usłyszeć.

- Znaczą się, wraca tam, skąd przyszedł? Może odejść do...

- Pewnie. Nie ma po co dłużej tu żyć. Składamy cię do kupy, robisz swoje i na końcu wracasz do domu.

Bruno poczuł, jak opada w nim napięcie. Odetchnął z ulgą.

- I nigdy nie było tylko jednego Króla Parku?

- Tak jak jednego Złego Wilka? Nie, za dużo pracy na jedną osobę. Podzieliliśmy ją między różnych ludzi, dzięki czemu Król cieszy się tak złą sławą. Jeden Król odwala jedno zadanie i po zawodach. Droga do domu stoi otworem, panie Zwykły Pączek. Przecież tego pan chciał, no nie?

- Jak najbardziej. Co mam dalej robić?

- Najpierw pana poskładamy. Potem się pan dowie reszty.

Mężczyzna wychodzący nazajutrz rano z zakładu fryzjerskiego w niczym nie przypominał tego, którego Bruno widział w lustrze przed kilkoma godzinami. Był to niski i tłusty jegomość, który idąc, kołysał się lekko na boki niczym pingwin. Na nogach miał gładkie, wypolerowane lakierki. Jego imbiroworude włosy były zbyt rzadkie, żeby okryć wielką głowę, dlatego zebrano mu je z tyłu i zaczesano na czoło. Można by go wziąć za dworaka Juliusza Cezara. Fryzura przedstawiała się żałośnie, podobnie jak jej właściciel. Jego błękitny garnitur oraz sztywna, biała koszula błyszczały nylonową tanioczą, nie było w nich ani jednego naturalnego włókna. Krawat miał żółtozielony deseń przywodzący na myśl krętki bakterii. Po wyjściu od fryzjera Bruno nie zdołał się oprzeć pokusie, by nie wypróbować swych nowych mocy na pierwszej napotkanej osobie. Trafił mu się stary mężczyzna, któremu zostało niewiele prócz dobrej postury, nędznej emerytury i kilku wspomnień o długim, udanym małżeństwie, zakończonym przed sześcioma miesiącami śmiercią ukochanej żony. Nowy Król Parku wiedział o nim wszystko. Zanim jeszcze staruszek go zauważył, Bruno mrugnął i przekręcił jego szczęśliwe wspomnienia o jeden stopień, nasycając je zgorzknieniem albo smutkiem. Niedużo, jeden czy dwa stopnie wystarczą, żeby zniszczyć chwilę lub całe życie. Trwający zbyt długo pocałunek, słowo obracające wszystko wniwecz, złośliwość zamiast milczenia... Jedno drgnięcie jego nowego umysłu - i Król Parku zatrzał to, co w życiu staruszka liczyło się najbardziej. Jedyнным widocznym skutkiem tych zmian było nagle przygarbienie się mężczyzny, jakby ktoś wsadził mu na plecy ciężki worek i kazał go nieść przez resztę życia. Zebrani u fryzjera mężczyźni długo dyskutowali o wyglądzie Brunona. On nie miał nic do gadania. Wałkowali go na wszystkie strony, jakby wcale go tam nie było. Nie czuł się jednak zaniepokojony - słuchając ich fachowych uwag i inteligentnej debaty, upewnił się, że jest w dobrych rękach. Tej nocy przeszedł pięć metamorfoz. Mężczyźni pozwalali mu schodzić z fotela tylko po to, żeby się wysikał; raz, gdy w swojej nadgorliwości przemienili go zbyt szybko, jego organy wewnętrzne się zbuntowały i Bruno zwymiotował do zlewu.

To dziwne, ale wcale nie czuł tych zmian. W sekundę stawał się zupełnie innym człowiekiem, różniącym się od poprzedniego wzrostem, wagą i aparycją. Przemiany zachodziły poza jego odczuciami: spoglądał w lustro i widział nagle nową wersję siebie siedzącego we fryzjerskim fotelu. Wrażenie było niesamowite. Mężczyźni formowali go jak bryłę gliny. Fryzjer przedstawił się jako Franz. Bruno zdobył się wreszcie na odwagę i zapytał, czemu zmiany wyglądu nie mają na niego żadnego wpływu.

Franz umył ręce.

- Ponieważ dajemy ci postacie umarłych. Wypróbujemy na tobie ich ciała jak kostiumy. One nic nie czują, więc i ty nic nie czujesz.

- Skąd je bierzecie? - spytał z niesmakiem Bruno. Nie podobało mu się to, że tamci wykopują z grobów ludzkie zwłoki, odkurzają je miotełką, po czym wkładają na niego jak jakąś znoszoną kurtkę ze sklepu z używaną odzieżą.

- Nie martw się. Łowimy tych, którzy akurat umierają - wpadają do nas jak w siatkę rozpiętą pod cyrkowym trapezem. - Fryzjer wytarł dłonie w czerwony ręcznik. Pozostali mężczyźni stali za plecami Brunona, naradzając się. - Facet, którym się stałeś, właśnie wyleciał z szosy pod Dubrownikiem. Niemiecki turysta jadący za szybko swoim nowiutkim oplem. Dostałeś od nas świeże ciało, Bruno. Ludzie bez przerwy umierają.

Czy te wyjaśnienia poprawiły mu nastrój? Nie wiedział.

Mężczyzna, który przyniósł pączki, obwieścił:

- Wszyscy zgadzamy się co do jednego, Franz: on musi wyglądać tak, jakby miał w nogach parę mil nocy. Wiesz, co mam na myśli? - Gapili się teraz na Brunona. Mężczyzna przytknął cztery palce do dolnej wargi i dodał: - Ten gość sprzedaje subskrypcje przez telefon albo wciska inne gówno, którego nikt nie potrzebuje. Mieszka samotnie i gotuje sobie posiłki w mikrofalówce za czterdzieści dolarów. Nie jest całkiem niewidzialny, ale sporo już przez niego widać.

- Czemu to takie ważne, żebym był niewidzialny?

Odpowiedział mu tancerz:

- Są dwie kategorie ludzi niewidzialnych: starcy i nieudacznicy, o których wspomniał ci Dean. Starzenie się na ziemi polega na stopniowej utracie widzialności. Nie zorientowałeś się jeszcze? Starych ludzi dostrzega się tylko wtedy, gdy robią kłopoty albo stają się dokuczliwi, albo gdy umierają. Nie wnoszą do życia nic poza tym, czego się nauczyli, a komu by się chciało słuchać ich gadaniny? Drugim rodzajem niewidzialnych są nieudacznicy, patałachy, zera. Podobnie jak starcy - nic nie dają, więc nic nie znaczą. Ich życie przypomina skrawki papieru miotane przez wiatr po ulicy. Dostrzegasz je, gdy pojawią się w twoim polu widzenia, i zapominasz o nich w pół sekundy. Bo niby czemu miałbyś pamiętać? My nazywamy ich nocnymi spacerowiczami. Często z nich korzystamy, bo nikt ich nie zauważa. I słusznie - ich życie nie ma sensu. Żyją i umierają: jedyna różnica między pierwszym a drugim to ta, że na naszej planecie ubywa jednego papierka. Tancerz urwał na chwilę.

- Po tym fałszywym alarmie, który podniosłeś, mówiąc Ettrichowi, że ludzie wiedzą o twojej śmierci, facet nabierze podejrzeń. Kiepski ruch, Bruno. Nieprzemyślany. Zanim sięgnąłeś po telefon, trzeba było zaplanować wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Ale ty od razu chciałeś się popisać swoim genialnym pomysłem. Zapomniałeś odrobić wcześniej zadanie domowe. No i dziewczyna Ettricha cię przechytryła - zadzwoniła do jego żony i odkryła, jak się rzeczy mają. Nie możesz sobie więcej pozwolić na takie błędy. Dostyc błędów, dostyc Pemmagast, dostyc idiotyzmów. Zamienimy cię w nocnego spacerowicza - będą zdani na twoją łaskę i niełaskę. Większość czasu nie będą w ogóle wiedzieć, że przy nich jesteś.

Mężczyźni skinęli z aprobatą i skrzyżowali ręce na piersiach, pokazując, że pora zakończyć dyskusję - klamka zapadła.

- Nie.

- Co? Powiedziałaś „nie”?

- Owszem. Nie. - Bruno potarł się po nosie. Czy raczej po nosie niemieckiego turysty. - Nie zgadzam się. Nie chcę. Dean od pączków rozejrzał się po swoich towarzyszach i zadał pytanie, które cisnęło się im na usta:

- Wolno wiedzieć dlaczego, Brunonie?

- Dlatego że nienawidzę Vincenta Ettricha. Kiedy go dostanę, chcę, żeby wiedział, że ma do czynienia ze mną, a nie z jakimś szkopem, którego nigdy nie widział. - Nienawidzisz go? Czego tu nienawidzić? Facet wydaje się zwykłym, bałamutnym kobieciarzem. Po co marnować energię na nienawiść?

Bruno pokręcił głową.

- Nie, tutaj idzie o coś więcej. Była żona Ettricha powiedziała kiedyś, że on jest jak gołąb na ulicy, którego ma rozjechać samochód. Ale jemu ciągle udaje się w ostatniej sekundzie uciec. Ettrich ma szczęście, a ja nie znoszę szczęścia. Poza tym nie zasługuje na te ucieczki, na to, żeby wrócić do życia... Jakim cudem on został ojcem tego dziecka? Niech ktoś mi to wytłumaczy. Jak ten pajac został ojcem takiego dziecka?

- Daj spokój, Bruno - poradził łagodnie Franz.

- Bo co? Czy prawo zabrania zadawać pytania?

- To dziecko, choć nie narodzone, jest bardziej niebezpieczne niż ty, my i wszyscy Królowie Parku razem wzięci. Jeśli się urodzi i rozwinie swoje zdolności, wszyscy ugrzęźniemy po uszy w gównie. Nie wiadomo, co Anjo robi ani co myśli... Mógłby nawet być tutaj, a my nie mielibyśmy o tym pojęcia. Radzę więc wypowiadać się o nim z umiarem. Im mniej słów, tym lepiej. Bruno rozejrzał się po twarzach mężczyzn. Ich miny nie pozostawiały żadnych wątpliwości, że woleliby zmienić temat.

- W porządku, ale muszę zapytać o jeszcze jedno: skoro Anjo jest tak silny, to jak mamy go pokonać?

- My go nie pokonamy, ale mogą to uczynić jego rodzice.

Mamy zamiar ich nakłonić, żeby go zabili. Anjo istotnie tam był. Tkwił w zielonym grzebieniu, którym Franz wygładzał nowe, brzydkie włosy Brunona. Potem stał się kęsem czekoladowego pączka sunącym w głąb czyjegoś gardła. Śmignął, okręcił się i zatańczył chwilę na nerwie wzrokowym Brunona, by sprawdzić swoją sprężystość. Słyszał każde zdanie. Dowiedział się, że mężczyźni chcą go zgładzić. Pragnął, aby jego ojciec również to usłyszał i zrozumiał, lecz umysł Ettricha zamknął się przed nim na zawsze. Anjo nie był w stanie do niego dotrzeć. Dlaczego? Tak bardzo się przecież starał. Z matką porozumiał się od początku. Wobec Ettricha jednak był bezsilny. Gdy mężczyźni opuszczali zakład fryzjerski, Anjo stał na środku ulicy. Był czarnobrunatnym gołębkiem czekającym na przyjazd samochodu, który by go rozjechał na miazgę. Chciał się dowiedzieć, jak to jest poderwać się i uciec w ostatnim momencie. Chciał poznać to uczucie, gdyż Bruno tak scharakteryzował jego ojca. Chciał wiedzieć o Ettrichu wszystko, łącznie z tym, co mówią o nim inni ludzie. O tak wczesnej porze jednak ulice były puste. Anjo przechadzał się sztywno, kolebiąc łebkiem i pogruchując z cicha. A więc tak wygląda życie gołębia.

Mężczyźni stali przed budynkiem, rozmawiając i paląc papierosy. Franz odchrząknął i splunął na ulicę; zobaczył go. Przez kilka smakowitych sekund fryzjer przyglądał się ptakowi. Czy go rozpoznał? Czy domyślił się, że chłopiec ich słyszy i że obmyśla już plan, jak pobić ich na głowę? Dziobiąc i chrupkając, gołąb stąpał w kółko i obserwował mężczyznę w białym fartuchu. Z głębi ulicy doleciało buczenie nadjeżdżającej ciężarówki. Choć gołąb je słyszał, wciąż nie spuszczał z oka fryzjera.

Anjo czekał do ostatniej chwili, aż cień auta padł na jego ciało, dając mu zaledwie sekundę na to, aby wzbić się w powietrze lub zginąć pod kołami. Zdążył wyskoczyć, uciekł, wtedy jednak stało się coś, co sprawiło, że jego życie zawisło na włosku.

W momencie, gdy gołąb zatrzepotał skrzydłami, pierwsze grupy komórek w mózgu Anjo osiągnęły etap, na którym zaczyna się rozwijać struktura śródmózgowia. W ułamku sekundy Anjo stał się w pełni człowiekiem i zapomniał o wszystkim. Zniknęli i zielony grzebień, i pies broniący Isabelle w restauracji, i Abraham Lincoln z czarnym melonikiem. Gołąb odlatujący w siną dal znów był tylko zwykłym ptakiem, Anjo zaś wrócił na stałe do matki, stając się jednym z oczekujących narodzin dzieci.

Wodny sandwicz

- „Mężczyźni traktują seks jak gimnastykę. Kobiety jak mszę”.

- Naprawdę to napisałeś, Vincencie? Ale z ciebie świntuch. - Lecz Isabelle uśmiechała się. Siedziała oparta plecami o ścianę, z podciągniętymi pod brodę kolanami. Po drugiej stronie Ettrich siedział w swojej garderobie i świecąc latarką, odczytywał nagryzmolone przez siebie napisy. To ona podsunęła mu ten pomysł. Może napisał tam coś, co okaże się teraz pomocne. Nic lepszego nie przyszło im do głowy.

- „Przetrwają tylko kabotyni”.

- Po co to pisałeś? Po ciemku, w garderobie?

- Uznałem, że powinienem napisać wszystko, co przyjdzie mi na myśl, bo nigdy nie wiadomo, kiedy, próbując się odnaleźć, coś sobie przypomnę.

Nagle w brzuchu Isabelle rozległ się głośny chłupot. Glump. Przestraszona opuściła wzrok i przyjrzała się sobie. Nigdy wcześniej nie słyszała podobnego dźwięku - jakby ktoś upuścił wielki kamień do basenu. Spytała Anjo, czy dobrze się czuje, ale nie otrzymała odpowiedzi. Było to dziwne, czasami jednak Anjo nie odzywał się do niej przez kilka dni. Zastanawiała się wówczas, czy aby Anjo po urodzeniu nie będzie markotnym dzieckiem.

Vincent wysunął się z garderoby na rękach i kolanach.

- Czy pamiętasz moje pięć pytań?

- Te, które wymyśliłeś wtedy w Krakowie?

- Tak. Pamiętasz je?

Isabelle uniosła głowę i zamknęła oczy.

- Które trzy posiłki chciałbyś zjeść jeszcze raz? Które dwa przedmioty chciałbyś znowu posiadać? Który czyn chciałbyś cofnąć albo wymazać ze swego życia? Umm, nie pamiętam dwóch ostatnich. Ettrich podczołgał się i usiadł w tej samej pozycji co ona.

- Kogo chciałabyś jeszcze raz zobaczyć i które doświadczenie pragnęłabyś powtórzyć?

- Właśnie. Uwielbiam te pytania. Są zabawne, ale też zmuszają cię do namysłu nad życiem. Coś na kształt wielkich domowych porządków. Zapisałeś je w garderobie?

- Nie. Trochę to dziwne, bo przecież takie pytania mogłyby mi przywrócić pamięć. Położyła rękę na jego kolanie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wydaje mi się, że ktoś tu wszedł i zmasał niektóre napisy.

Jestem tego niemal pewny. Usunięto je. Ale co ważniejsze, razem z tymi pytaniami przypomniałem sobie jeszcze o czymś.

- O czym, Vincencie?

Twarz wypogodziła mu się, jakby zamierzał jej opowiedzieć cudowną historię.

- O tym, że po śmierci uczysz się robić wodny sandwicz.

- Hę?

- Mam ci pokazać?

- Noo, tak. Proszę.

- Chodź. - Podniósł się i wziął ją za rękę. - Oświeciło mnie, kiedy przypomniałem sobie te pięć pytań.

Zaprowadził ją do kuchni i wskazał gestem, by usiadła przy małym stoliku. Znowu pomyślała o tym, jak smutno musiało mu być tutaj, kiedy jadł samotnie chińszczyznę na wynos. Ettrich podszedł do zlewozmywaka i odkręcił kran. Gdy trysnęła woda, złączył dłonie w miseczkę, wsunął ją pod strumień i podniósł. Woda rozdzieliła się na dwie połowy i utworzyła w powietrzu wirujące, przezroczyste wiatraczki. Ettrich opuścił pomału lewą rękę i zakręcił kran. Strumień nie opadł jednak, lecz nadal wirował. Isabelle klepnęła się w kolana i patrzyła z zachwytem w oczach, jak małe dziecko. Vincent wsunął ręce pod oba wiatraczki i zaczął ugniać wodę, jakby to była miękka glina. Wkrótce uformował z niej podłużny przedmiot, przypominający z grubsza wielką bułkę. Ale to był wodny sandwicz, przejrzysty i połyskliwy.

— O Boże, Vincencie. Jak tyś to zrobił?

— Mówiłem ci: nauczyli nas tego po śmierci. To była jedna z pierwszych rzeczy, jakie wykonałem. Czy to nie zbzikowany pomysł: wodny sandwicz? Ale wierz mi, wtedy nie myślałem o niczym innym.

- Kiedy? Gdzie?

- Kiedy byłem martwy, Fizz. I teraz nagle przypomniałem sobie, jak to się robi.

- Wspaniale, tylko co z tego?

- To, że przypomniałem sobie coś z okresu mojej śmierci.

Isabelle wyglądała na zainteresowaną, ale jednocześnie nie kryła rozczarowania.

- I to wszystko, co się dzieje z tobą po śmierci: uczą cię, jak urabiać wodę? - Skojarzyło jej się to z warsztatami malarskimi, na których ubrana w beret i kitel nauczycielka demonstruje kobietom w średnim wieku, jak maluje się farbami olejnymi. - Przecież mówimy o śmierci, Vincencie. Na pewno chodzi o coś więcej...

Usłyszawszy w jej głosie sceptycyzm, Ettrich odpowiedział z naciskiem:

- Masz rację: uczą też, że wbrew temu, co kiedyś sądziłaś, rzeczywistość może być także tym. - Wyciągnął w jej stronę wodny sandwicz. - Spójrz. - Przesunął ręką po przezroczystej powierzchni, która wystrzeliła zaraz błękitnym płomieniem. - Możesz zapalić wodę. Możesz nadać jej twardość kamienia lub miękkość jedwabiu. Za życia myślisz, że woda to tylko woda i nic więcej. Nieprawda. Ale ja przypomniałem sobie coś jeszcze.

- Na temat śmierci? Co takiego?

- Proszę. Weź to. - Zrobił krok naprzód i stanął nad nią z sandwichem, zanim zdążyła się ruszyć. Chciała zapytać:

„Jak mam to trzymać?“, ale Vincent cisnął jej sandwichem w twarz. Oślepiąca przez wodę, Isabelle była nie tyle zdumiona, ile zaszokowana. Dlaczego to zrobił?

Gdy otworzyła oczy i otarła wodę z twarzy, stwierdziła, że nie przebywa już w kuchni Vincenta. Była gdzie indziej. Poznała ten pokój od razu, gdyż przeżyła w nim wiele szczęśliwych chwil. Znajdowała się w sypialni, której ściany były poobwieszane obrazami. W łóżku ktoś leżał i oglądał telewizję. Była to babka Isabelle, która zmarła pięć lat temu. Ostatnie lata życia spędziła z rodziną Isabelle, pomagając wychowywać dzieci. Wszystkie za nią szalały. Lubiły zwłaszcza wślizgiwać się rankiem do jej łóżka i oglądać z nią telewizję. Miały swoje ulubione programy; przytulały się do siebie, zwinięte pod grubą puchową kołdrą, pachnącą babcinym kremem do rąk. Wczesnym rankiem łóżko to było najmiłszym miejscem na świecie.

- Isabelle, komm zu mir. - Staruszka uśmiechnęła się i kiwnęła na nią chudą, ociążoną ręką w dobrze znanym geście. Dorosła Isabelle zawahała się, lecz nie mogła się oprzeć zaproszeniu. Podeszła. Usiadłszy na skraju łóżka, omal nie zemdląca - usłyszała płynącą z telewizora austriacką pieśń ludową. Babka oglądała poranną prognozę pogody na publicznym kanale. Zawsze chciała wiedzieć, jaka będzie w kraju pogoda. Widok Isabelle wcale jej nie zdziwił. Pogderała trochę o codziennych sprawach w ten swój niepowtarzalny sposób, który czynił te chwile wzruszającymi.

Isabelle usłyszała za sobą szmer i odwróciła się. Vincent stał w drzwiach i uśmiechał się. Próbowwała odwzajemnić jego uśmiech, ale zdołała jedynie wyciągnąć ku niemu rękę i opuścić je bezwolnie na kolana.

Vincent przytaknął na znak, że rozumie. Tamtej nocy, w Krakowie, Isabelle wyznała, że nikogo nie pragnęłyby zobaczyć powtórnie tak bardzo jak tej kobiety, którą kochała ponad wszystko.

Babka oglądała telewizję, wyraźnie nieświadoma, że w sypialni jest też Ettrich.

- Widzisz: przypomniałem sobie, jak to się robi, Fizz. Poradzisz sobie tutaj sama?

- Tutaj? Oczywiście, Vincencie. Ale dokąd idziesz?

- Do szpitala. Wracam do czasu sprzed mojej śmierci. Musi być tam jakaś wskazówka, która nam pomoże. - Spojrzał na jej babkę.

Isabelle pobiegła za jego spojrzeniem, po czym popatrzyła na niego z wielką miłością.

- Trudno mi uwierzyć, że byłeś w stanie tego dokonać.

- Jak się czujesz, znów ją widząc?

- Chciałabym jej tyle powiedzieć. Czy mogę, Vincencie? Znaczą się...

- Naturalnie. To tak jak z wodnym sandwichem - sądzimy, że czas sprowadza się do przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, ale to wcale nie jest takie proste. Powiedz jej wszystko, co ci leży na sercu, nic to nie zmieni. Jak będziesz chciała wrócić, zawołaj mnie. Sprowadzę cię w mgnieniu oka. Okej?

- Tak. Tobie nic się nie stanie?

Już chciał ją zapewnić, że nie, skądże, w gruncie rzeczy jednak nie wiedział tego na pewno, a nie chciał jej okłamywać.

- Mam nadzieję, że nie. Ale słuchaj, jeśli coś pójdzie nie tak, zostań tutaj. Cofnęłaś się o pięć i pół roku, jesteś oczywiście w Wiedniu. Będziesz musiała tylko wytłumaczyć swojej babci, jak to się stało, że zaszłaś w ciążę. To słowo ciągle wylatuje mi z głowy - jak to jest po niemiecku?
- Schwanger. Powiem, że to dziecko jest owocem miłości. Ona zrozumie. Zawsze naśmiewała się z konserwatyzmu mojej matki.
- W porządku. W razie czego wołaj mnie. Ale tutaj jesteś bezpieczna. Daję słowo. Tu nie mogą dotknąć ani ciebie, ani Anjo.
- O nas jestem spokojna. Anjo zawsze mnie ochraniał.
- Mimo wszystko lepiej, że jesteś tutaj niż tam. Przyjdę po ciebie, jak tylko będę mógł. - Ujął jej dłoń, ucałował ją i wyszedł z sypialni.

Babka odwróciła głowę od telewizora i odezwała się:

- Komm hier, Schatz. Sag mir alles.

Isabelle położyła się na łóżku. Spojrzawszy ostatni raz na drzwi, obróciła się twarzą do babki i zaczęła opowiadać. Stara kobieta, swoim zwyczajem, wpatrywała się w ekran telewizora, ale wnuczka wiedziała, że jej Oma bacznie słucha każdego słowa. Ettrich zahaczył po drodze o swoje mieszkanie, żeby zabrać stamtąd kilka przedmiotów. Po chwili wyruszył we własną przeszłość.

Pół godziny później rozległo się pukanie do drzwi. Uplłynęła dłuższa chwila. Kiedy nikt nie otworzył, drzwi rozwarły się i do mieszkania wszedł Bruno Mann. A ściślej powiedziawszy, człowiek, w którego Mann się zamienił. W ręku trzymał teraz tani neseser z imitacji skóry. Wyglądał jak łażący po domach akwizytor. W normalnej sytuacji wmaszerowałby pewnym krokiem, ale - jak się o dziwo okazało - Ettrich był groźniejszy i znacznie sprytniejszy, niż ktokolwiek przypuszczał. Bruno otrzymał wytyczne nakazujące mu działać ostrożnie.

- Halo? Jest tam kto? - Wiedział, że jeśli kogoś zastanie, osoba ta będzie zapewne wściekła, że wtargnął nieproszony do środka. Bruno jednak załagodził spór. Ten przysadzisty, ostrzyżony na Cezara mężczyzna odznaczał się niebywałą elokwencją. Stwierdził z lekkim zdziwieniem, że mieszkanie jest puste.

Tym lepiej: miał okazję spokojnie je sobie obejrzeć. Nigdy nie gościł u Ettricha i był ciekaw, jak ten mieszka. Skromne umeblowanie wprowadziło go w szczerze zdumienie. Wyobrażał sobie, że Ettrich zabałaganiał swoje mieszkanie sprzętami tak, jak zabałaganiał sobie życie kobietami. Okazało się, że jest inaczej. Upewnił się, że jest sam, i przeszedł się między pokojami; zaglądał na chybił trafił do szuflad i szafek, podnosił fotografie i zastanawiał się, w jakich okolicznościach je wykonano. W sypialni zajrzał do garderoby i pod łóżko.

Na kuchennym stole stała miseczka, w której było jabłko. Zadowolony, że trafia mu się ostatnie, Bruno ugryzł je i pomyszkował jeszcze trochę po kuchni. W szufladzie odkrył stopy chińskich pałeczek i białe torebki z sosem sojowym. Na górnej półce nad zlewozmywakiem sterczały dwie nie napoczęte butelki angielskiej przyprawy „Branston Piekło”. Bruno był w Anglii z Vincentem. W Londynie zjedli wyborną kolację w restauracji „Langan’s”. Wyborną dopóty, dopóki wzrok Vincenta nie padł na intrygującą kobietę siedzącą w kącie sali. Natychmiast stracił zainteresowanie towarzystwem kolegi. Dotknięty do żywego Bruno zrewanżował mu się złośliwym i zbędnym żartem, na którego skutek bolesna śmierć Ettricha stała się jeszcze bardziej

smutna i ponura. Bruno Mann wolał nękać przeciwników tego rodzaju okrutnymi, ustawicznymi żartami, niż zadawać jeden nokautujący cios. Działał wolno, lecz konsekwentnie; oskubywał swoje ofiary jak cebulę, dopóki w końcu nie zostawało nic. W czasie gdy Vincent Ettrich umierał na raka, Bruno opracował kilka sprytnych sposobów, żeby mu przypomnieć, ile niebawem utraci, a także jak niewielką stratą będzie jego śmierć dla innych. Głęboka antypatia, jaką Bruno czuł do Vincenta, wynikała po części z zazdrości, znudzenia i ze złośliwości, ale w głównej mierze brała się z nienawiści do ludzi i faktu, że Mann był skończonym skurwysynem. Domyślał się, że z tego powodu wybrano go na nowego Króla Parku.

Przerzucił książki i płyty Ettricha. Był ciekaw, czy należy przywiązywać jakąś wagę do tego, że Vincent trzyma cztery egzemplarze Pustelni parmeńskiej Stendhala. Otworzył je kolejno i zaczął kartkować, szukając miłosnych liścików, nie zapłaconych rachunków i innych obciążających Ettricha świństw, które mógłby przeciw niemu wykorzystać. Każdy okruch brudu był na wagę złota. Przetrasając mieszkanie, Bruno pogwizdywał sobie piosenki Barr/ego Manilowa. Natrętnie powtarzał przy tym motyw z Oh Mandy.

Natknął się na kilka zdjęć dzieci Vincenta, jedno Isabelle w białych bawełnianych majteczkach i biustonoszu, z kowbojskimi butami, i jedno jego byłej żony w stroju kąpielowym z zielonego jedwabiu. Trzymał obie fotografie i zezował od jednej do drugiej, próbując zdecydować, którą z kobiet by wybrał, gdyby to zależało od niego. Spotkał się z Kitty tylko raz; była sympatyczna, ale raczej chłodna.

Zadzwoił telefon. Bruno podszedł i położył rękę na aparacie, zastanawiając się, czy powinien odebrać. Potrafił doskonale naśladować ludzkie głosy, toteż udawanie Ettricha nie nastreczyłoby mu żadnego problemu. Kiedy tak stał, nie mogąc się zdecydować, włączyła się automatyczna sekretarka.

- Cześć, tatku, mówi twój genialny syn, Jack.

Podczas gdy chłopiec ćwierkał wesoło, Bruno uważnie mu się przysłuchiwał. Przybrał głos Jacka i zaczął natychmiast powtarzać padające słowa. Obraz był rzeczywiście niezwykły: oto mężczyzna w średnim wieku mówił swojemu ojcu, że bardzo go kocha, głosem małego chłopca. Kiedy mu się znudziło, pomyślał, jak mógłby użyć Jacka, a także jego siostry i ich matki do rozdarcia Ettricha na strzępy. Natrafił w kieszeni na landrynkę i odwinąwszy ją z papierka, wrzucił cukierek do ust.

- No, to na tyle, tatku. Zadzwonię później. - Jack odwiesił słuchawkę i rozległ się urywany sygnał. Identyczny ton wyszedł z gardła Brunona. Musi być w tym mieszkaniu coś, co przeoczył albo zignorował. Każdy dom zawiera jakąś tajemnicę, która wywołuje w jego właścicielu zarówno poczucie wstydu, jak i dreszczyk emocji. Coś, czego pod żadnym pozorem nie chciałby on zdradzić innym ludziom. Kawalerka Ettricha wyglądała co prawda dość spartańsko, ale Bruno był gotów się założyć, że znajduje się tu coś ważnego.

Telefon umilkł i w mieszkaniu zapadła cisza. Bruno ssał landrynkę. Nagle znieruchomiał znalazłszy to, czego szukał. Drewniany koszyk po torciku, który Isabelle przywiozła z Wiednia, leżał na podłodze pod oknem.

- Aa, czo my tu maamy? - Bruno był dumny z tego, że nigdy nie gryzł cukierków. Ssał je cierpliwie, aż zamieniały się w cienkie płateczki, które połykał. Teraz jednak tak się ucieszył z powodu koszyka, że wbrew swoim zasadom zmiądzzył zębami kawową landrynkę z triumfalną miną. Miał to, czego chciał. Ettrich popełnił błąd. Było to zresztą zrozumiałe - jego wspomnienia ze śmierci wróciły do niego w postaci ogromnej, bezładnej masy, któraomalże nie ścięła go z nóg.

Cudem było już to, że udało mu się przy pierwszej próbie sprowadzić Isabelle do jej babki. Być może to go zmyliło - Ettrich poradził sobie tak dobrze, że pomyślał: ejże, to proste jak drut. Wiem, co robię. Tymczasem wcale nie wiedział, co robi, i w tej chwili przekonywał się o tym. Nie wiedział dokładnie, gdzie się znajduje, tyle że jest to pokój hotelowy. Pożółkła tapeta na ścianie, stary zlew i bidet w kącie sugerowały, że jest gdzieś w Europie, ale nie miał pewności. Chciał wrócić do szpitala, w którym umarł, a zamiast tego wylądował w tanim hotelowym pokoju. Chociaż go nie poznawał, musiał trafić tutaj za życia, gdyż taka była zasada: człowiek mógł po śmierci przemieszczać się wskroś życia, jak przez tor kolejowy. Zachęcali cię do tego, bo studiowanie własnego życia - czasem klatka po klatce - pozwalało głębiej wnikać w istotę doświadczeń, które zostawiłeś za sobą. Ten pokój pojawił się więc w życiu Ettricha. A że Vincent zupełnie go nie poznawał, nasuwało się pytanie: kiedy? Nie musiał długo czekać na odpowiedź. Nie zdążył się dobrze rozejrzeć, gdy otworzyły się drzwi i usłyszał kobiecy śmiech. Ettrich rozpoznał go: był niezwykle niski, seksowny i należał do jego matki. Tyle że kobieta, która weszła do pokoju, nie przypominała tej, która przyrządziła mu około pięciuset kanapek z masłem orzechowym i składała w kostkę jego majteczki w dolnej szufladzie szafki, kiedy był dzieckiem. Miała długie, lśniące włosy uczesane w stylu gwiazd filmowych z lat czterdziestych. Nosila zwiewną niebieskozieloną sukienkę bez rękawków, wspaniale uwydatniającą jej pełny biust i długie nogi. Gdyby dawny Vincent Ettrich ujrzał tę kobietę na przyjęciu, wylazłby ze skóry, żeby ją uwieść. Widział zdjęcia swojej matki zrobione, gdy była młoda: tak, to była ona. Wyglądała zarazem tak samo i inaczej, była to bowiem prawdziwa, żywa Ruth Ettrich. Roztaczała wokół siebie blask. Ten śmiech, ta szeleszcząca, obcisła sukienka, te szczupłe, zgrabne ramiona... Była zjawiskowo piękna. Po chwili do pokoju wszedł mężczyzna - ojciec Ettricha, Stan. Miał na sobie czarną koszulkę polo i stare dżinsy. Był szczupły, a jego twarz wyglądała tak interesująco, że wydawał się niemal przystojny. Głowę porastała mu bujna czupryna ciemnych włosów, co zaciekało Ettricha, ponieważ znał ojca jako człowieka łysego. Oboje robili olśniewające wrażenie. Ile mieli lat - dwadzieścia parę? Trzydzieści? Ojciec taszczył walizkę, którą postawił wolno na podłodze, i odetchnął z ulgą. Ettrich przypomniał sobie - pierwszy raz od lat - że ojciec ciągle biadolił, że ilekroć wybierają się w podróż, jego żona pakuje zbyt wiele rzeczy.

Ruth podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Skinęła zapraszająco na Stana. Podszedł do niej od tyłu i położył ręce na jej ramionach. Ileż to razy Ettrich widział swoich rodziców stojących w tej pozycji! Wysoki ojciec góruje nad matką, ona trzyma jego dłonie spoczywające na jej ramionach. Ettrichem wstrząsnął ból miłości i tęsknoty. Rodzice zginęli przed laty w koszmarnym pożarze tunelu, jaki wybuchł na autostradzie w Szwajcarii; Vincent nie tylko został sierotą, ale stracił też dwoje dobrych przyjaciół.

- Och, popatrz na ten widok, Stan. Jak pięknie. - Otarła się policzkiem o jego dłoń.

Vincenta świerbiło, aby również zerknąć przez okno i obejrzeć ów uroczy krajobraz. Ale wystarczało mu całkowicie, że jest w jednym pokoju ze swoimi żywymi rodzicami. O ironio, oboje byli dużo młodszy od niego.

- Jak się nazywa to miasteczko?

- Recey.

Na dźwięk tej nazwy Ettrich rozdziawił usta: wiedział już, gdzie jest, co się za moment wydarzy i - przede wszystkim - dlaczego tutaj przybył. Pokój ten stał się załącznikiem jednej z najsympatyczniejszych opowieści z życia jego rodziców. Dorastający Vincent kazał ją sobie ciągle powtarzać. Czasem słuchał wersji matki, a czasem ojca, ale żadne z nich się nią nie znudziło. W

trzy lata po ślubie Ettrichowie dostali posadę nauczycieli w międzynarodowej szkole w Zurychu. Ponieważ nie byli wcześniej w Europie, przyjechali latem, przed rozpoczęciem roku szkolnego, wynajęli samochód i ruszyli na zwiedzanie nowego świata.

Pewnego wieczoru, dotarłszy nad granicę francuskoszwajcarską, zatrzymali się w jednym z szarych francuskich miasteczek. Znużeni wielogodzinną jazdą poprosili, by wskazać im drogę do jedynej w Recey auberge, która z zewnątrz nie wyglądała zbyt zachęcająco. O tej porze jednak nie mieli wyboru; weszli tam, żeby wynająć pokój.

Okazało się, że wewnątrz rodzinnego hoteliku jest urocze. Szczególnie ujął ich widok z okna pokoju wychodzącego na obszerne błonia, na których pasły się owce. Również sala jadalna pochodziła jakby z innej, magicznej epoki. Z grubo ciosanych sufitowych belek zwisały się serpentyny czosnku w odcieniu kości i czerwonej cebuli. W wysokim na sześć stóp kominku paliły się drewniane kłody, roztaczając wokół sosnową woń i ogrzewając nierówne kamienne płyty pod nogami. Ruth zsunęła gumowe klapki i co chwilę przesuwała stopami po podłodze. Przy wejściu do restauracji powitał ich ogromny, przyjazny chart irlandzki, należący do właściciela oberży, i nie odstępował już na krok. Przez cały wieczór zjawiły się tam tylko dwie inne pary. Zjadły prędko kolację i zostawiły Ettrichów samych, aby mogli sycić się baraniną udźcem i świeżymi warzywami z hotelowego ogródka. Potem wypili zamówionego calvadosa w pękatach kieliszkach, bo po pierwsze na dworze się ochłodziło, a po drugie - był to calvados, ulubiony alkohol SaintExupery'ego. Stan Ettrich zostawił w pokoju plecak z tomikiem *Wiatr, piasek i gwiazdy*, z którego co wieczór czytał fragmenty Ruth, zanim udawali się na spoczynek.

Jedno z okien jadalni było uchylone, dlatego usłyszeli, jak rozległ się grzmot i zaczęło padać. Wielkie, zacinające krople deszczu jeszcze bardziej wzmogły ich poczucie szczęścia, że znaleźli się w tej oberży. Właściciel, zachwycony goszczącymi u niego pierwszymi raz Amerykanami, nalegał, by na podwieczorek zamówili *creme brulee*. Żadne z nich nie próbowało wcześniej tego francuskiego specjału, który stał się odtąd ulubionym deserem Ruth.

Tej nocy długo się kochali, a dziewięć miesięcy później urodził się Vincent. Byli pewni, że został wtedy poczęty. Kilka godzin później otrzymali magiczny znak potwierdzający ich przecucie.

Stan zbudził się około trzeciej nad ranem i podszedł do okna. Deszcz ustał, księżyc świecił niesamowitym srebrzystoszarym blaskiem. Mimo późnej pory kształty rzeczy były jasno oświetlone. Stan chciał najpierw obudzić Ruth i pokazać jej tę srebrzystą poświatę, ale ostatecznie się rozmyślił. Widok był tak piękny, że wiedział, iż będzie chciał mu się przyglądać jak najdłużej.

Wysunął cicho krzesło spod stołu i umieścił je koło zamkniętego okna. Usiadł na nim nagi, oparł łokcie o parapet i obserwował puste błonia odcinające się od smolistego nieba. Pomyślał o pasących się tam owcach, które oglądali. Raptem uzmysłowił sobie, że dorodny baran, którego spałaszowali na kolację, pochodził zapewne z tejże trzody. Wszystko jedno - wieczór ułożył się idealnie, a teraz jeszcze to. Zastanawiał się, w jaki sposób opíše rano tę scenę Ruth. Uwielbiał słowa i uwielbiał opowiadać żonie o tym, co widział, patrzeć na jej twarz, kiedy słuchała go z pełną uwagą.

Kiedy dobierał w głowie słowa, na błonia wbiegły pies i jelen. Był to chart irlandzki z restauracji. Jeleń był od niego

trochę wyższy. Ruth i Stan doszli później do wniosku, że jelen musiał być bardzo młody i dlatego nie bał się bawić z niewiele mniejszym odeń psem.

W ciągu lat Ettrichowie wypytywali znawców tematu, czy kiedykolwiek czytali lub słyszeli o tym, by pies i jelen bawiły się razem; wszyscy zaprzeczyli. Zatem scena, której oboje byli świadkami, była absolutnie wyjątkowa. Oto, co się stało tamtej nocy na łące za oberżą, w której się zatrzymali: zwierzęta podskakiwały i zrywały się do biegu, robiły uniki i nagle zatrzymywały się z poślizgiem, niczym dwóch najlepszych kumpli na świecie. Przystawały na moment i znów wypryskiwały naprzód, uganiając się za sobą, grając w jakiegoś tajemniczego berka, by w końcu popędzić ile sił, jakby uciekały przed stadem wilków. Stan podszedł do łóżka i potrząsnął Ruth, żeby ją zbudzić. Miała twardy sen, z którego nie lubiła być bezceremonialnie wrywana. Już miała mu to oświadczyć, kiedy zobaczyła zdumienie malujące się na jego twarzy i niecierpliwość, z jaką pokazał jej, by do niego dołączyła. Zwykle wstydliva, natychmiast wstała z łóżka, nie okrywając się, i stanęła obok nagiego męża przy oknie. Vincent nieraz to sobie wyobrażał: dwoje młodych, nagich ludzi stojących w oknie i oglądających mistyczny taniec psa i jelenia na księżycowych błoniach. Teraz zaś stał w pokoju i patrzył, jak zdarzenia te rozgrywają się przed nim. Ujrawszy dwa nagusieńkie ciała przy oknie, Vincent złożył dłonie jak do modlitwy. Wpadł mu do głowy pewien pomysł i wyszedł szybkim krokiem z pokoju. Rodzice ani przez sekundę nie zwrócili na niego uwagi. Chciał zobaczyć, jak wyglądają z dołu. Chciał stanąć na łące, wymierzyć spojrzenie w ich okno i zobaczyć ich obramowanych futryną. Ujrzyć twarze dwojga ukochanych ludzi w momencie, gdy obserwują harujące w dole zwierzęta. Pragnął przyjrzeć im się tej magicznej nocy ze wszystkich stron, tak aby zachować ich obraz w pamięci.

Z późniejszych relacji rodziców Vincent wiedział, że zwierzęta bawiły się na błoniach prawie piętnaście minut i że obserwowali je przez cały czas. Choć nie musiał się więc spieszyć, mocno wyciągał nogi. Strome, skrzypiące schody, gryzące się wzory tapet na ścianach, wspaniałe, przenikliwe zapachy owiewające go zewsząd: stare drewno, tytoń fajkowy, zupa. „Muszę to zapamiętać” - powtarzał sobie w duchu. „Nie mogę zapomnieć”. Jedna chwila zawiera tyle ulotnych zjawisk - to cud, że udaje nam się zachować je później przy życiu. Na frontowych drzwiach wisiał duży mosiężny dzwonek, toteż Vincent musiał otworzyć je i zamknąć tak, aby go nie zbudzić. Przez krótką, zabawną chwilę poczuł się jak dzieciak wykradający się z domu bez wiedzy rodziców. W rzeczywistości wykradał się po to, żeby obejrzeć rodziców z innego punktu widzenia. Do ulicy wiodła ścieżka złożona z pięciu kocich łbów. Następnie trzeba było przejść na tył oberży i wejść na błonia. Maszerujący dziarsko Vincent pilnował się, żeby się nie zgubić, i zarazem chłonał otoczenie wszystkimi zmysłami. „Zapamiętaj to”, mówił sobie w myślach. Spójrz na to i na to i postaraj się nie zapomnieć.

Obszedłszy budynek, ujrzał niski kamienny murek oddzielający błonia od sporych rozmiarów ogrodu. Rosnące tu warzywa, skąpane w księżycowej poświacie, miały czarny albo błękitnobiały kolor.

Ettrich dosłyszał odgłosy zwierząt. Głuche dudnienie na murawie i ciężkie sapanie, ilekroć zwierzęta się zbliżały, najwyraźniej zataczając w biegu wielkie koło. Przypomniały mu się wyścigi konne - tętent kopyt, przyspieszony, chrapliwy oddech wierzchowców. Stanął z rękami na biodrach i patrzył na nie. Pies wyskoczył w górę i tryknął łbem w bok jelenia. Tamten chrząknął donośnie, ale nie zwolnił biegu ani nie zбочzył. Prowadził w wyścigu i nie zamierzał dać się nabrać na sztuczki swego rywala. Mijające go pędem zwierzęta wyglądały tak pięknie, że Ettrich zapomniał o wszystkim i tylko gapił się na nie jak zahipnotyzowany.

Gdy zniknęły mu z oczu, przesadził murek i wyszedł na łąkę. Trawa była mokra od deszczu i rosy. Nogawki spodni nasiąkły wodą i zaczęły ocierać się o jego nagie nogi. Wciągnął do płuc ciężkie, świeże, wiejskie powietrze.

Jesień często nadchodzi nocą i dlatego mało kto spostrzega jej przybycie. Pogoda zmienia się, deszcz - podobny do tego, który

dopiero co spadł - jest dużo chłodniejszy niż latem, przygruntowe przymrozki utrzymują się do rana. Chmury nie czernią się już sierpniowymi burzami, ale stają się sinopurpurowe, zapowiadając rychły śnieg. Mimo że panowało jeszcze kalendarzowe lato, Ettrich wyczuł tamtej nocy wiszącą w powietrzu jesień. Poczł się jak jedyny na Ziemi człowiek, który o tym wie. Zrobił około piętnastu kroków i obrócił się. Spojrzał na budynek i poszukał rodziców wzrokiem. Byli tam. Jego młodzi rodzice stojący po drugiej stronie zamkniętego okna i patrzący w dół. Ojciec stał tuż za matką. Jej smukłe, zgrabne ciało miało teraz odcień alabastru. Oparła dłonie o szybę, jakby próbowała wypchnąć okno na oścież, żeby znaleźć się jak najbliżej biegających zwierząt. Ettrich, gdyby tylko mógł, ucałowałby oboje i schował ich głęboko w swoim wnętrzu, gdzie byliby na zawsze bezpieczni.

Nadal wpatrywał się w okno, gdy z głębi błoni doleciało szczeknięcie psa. Dał parę kroków wstecz i omal nie przewrócił się o coś leżącego na ziemi. Sądząc, że to duży kamień, spojrzł pod nogi i odkrył ze zdumieniem, że w trawie leży drewniany koszyk. Co on tu robi? Ettrich pochylił się, by go podnieść, i zobaczył wytłoczony na wieczku napis: „Hotel Sacher, Wiedeń”. Znieruchomiał zgięty wpół. W głowie miał pustkę, a jedyne słowo, jakie zdołał wydusić, to przeciągłe „Cooo?” Przed nim tkwił ten sam koszyk, w którym Isabelle przywiozła z Wiednia tort czekoladowy. Nie miał co do tego wątpliwości. Czterdzieści lat temu we Francji, na błoniach ciągnących się pod pokojem, w którym został przed chwilą poczęty, znalazł koszyk widziany dziś rano w swoim mieszkaniu. Nie dotknął go. Chciał to zrobić, ale przecucie kazało mu go zostawić - oddalić się stąd. A więc go namierzyli. Już tutaj są. Czy to znaczy, że znaleźli również Isabelle i dziecko? Wyprostował się zbyt gwałtownie i stracił równowagę. Chwiejąc się, wyrzucił ręce na boki, żeby nie upaść. Musiał niezwłocznie się stąd wynieść. Jego pierwszą myślą było wrócić do Isabelle i sprawdzić, czy jest bezpieczna. A jeśli nie wiedzieli, gdzie jest Isabelle, i jego powrót doprowadzi ich do niej? Ettrich zrobił kilka kroków w lewo, zatrzymał się, po czym ruszył na prawo. Przestraszony i zmartwiony podniósł odruchowo wzrok na budynek. Jeszcze raz mignęli mu przelotnie jego stojący w oknie rodzice. Tym razem nie dotarło do niego nawet, kim oni są.

Hietzl Bruno był zawiedziony tym, że Vincent nie otworzył koszyka. To on dwoi się i troi, niczym szef kuchni odpowiedzialny za kunsztowny piknik, a ten kretyn po prostu ucieka jak oparzony, nie doceniając jego majstersztyku. No cóż, trudno. Poszedł tam i podniósł koszyk. Przysunął go do ucha i potrząsnął, myśląc z czułością o znajdującym się w środku przedmiocie. Koszyk zagrzecgotał twardo i metalicznie. Może wykorzysta go później. Tak. Może znajdzie taki czas i okoliczności, w których Vincent będzie go musiał otworzyć. Bruno wsunął koszyk pod ramię i podreptał przez łączkę. Spojrzał w stronę okna Ettrichów. Widział goniące się po trawie zwierzęta. Znał historię Vincenta i uważał ją, owszem, za dosyć interesującą, ale bez przesady. Gdyby to od niego zależało, bez pardonu zniszczyłby tę uroczą rodzinną bajkę Ettrichów. Pchnąłby nożem któreś z baraszkujących zwierząt, podłożył ogień w oberży albo zatrzał rogaliki, które Stan i Ruth dostaną jutro na śniadanie. Nabawiliby się porządnego zatrucia pokarmowego. Ale Bruno nie był w stanie wpłynąć na przeszłość. Chaos nie może dotknąć ani zmienić historii, gdyż jest ona okrzepłym tworem. o ile można bełtać i mieszać w terażniejszości i przyszłości, o tyle przeszłość jest twarda i stała. Co było, to jest - i kropka. Bruno wiedział, że musi w jakiś sposób zwabić Ettricha i Isabelle z powrotem do terażniejszości. Wtedy ich dostanie. Stąpając po mokrej murawie, zaczął planować w myślach pierwsze posunięcia. Nie mógł się doczekać dobrej zabawy.

Isabelle nie wiedziała, jakie emocje budzi w niej ponowne

spotkanie z babką. Z jednej strony zdarzył się cud. Babcia żyła i wyglądała tak, jak Isabelle ją zapamiętała, w najdrobniejszych szczegółach, jakoś pielęgnowała tkliwie w pamięci. Z drugiej strony całe to doświadczenie wydawało się fałszywe, tak iż Isabelle nie potrafiła się z nim w pełni utożsamić. Pytała siebie, o co chodzi, jaka nieuchwytna siła powstrzymuje ją od pełnego zaangażowania się w to spotkanie.

- Pamiętasz Petera Jordana? - zapytała babka. Siedziała przy stole nieopodal łóżka i popijała rumianek z kruchej porcelanowej filiżanki firmy Augarten.

- Nie, babciu. Kto to jest?

- Był na wsi naszym przyjacielem. Malował zwierzęta. Kiedyś do wioski przyjechał cyrk, w którym był stary wielbłąd. Rozchorował się ciężko i wszyscy myśleli, że niedługo umrze. Zapytali Petera, czy go weźmie. Przygarnął wielbłąda, który żył jeszcze pięć lat. Szliśmy do ich domu, patrzemy, a tu wielbłąd siedzi sobie na podwórku. Mało co robił... chyba nawet był ślepy na jedno oko.

- Peter Jordan czy wielbłąd?

- Wielbłąd. Peterowi zmarło się parę dni po moich osiemdziesiątych trzecich urodzinach. Przyszedł na nie. Chciałabyś go poznać?

- W jakim sensie? - Isabelle wiedziała, że pod koniec życia babka odrobinę szwankowała na umyśle.

- Co to znaczy w jakim sensie? Czy chciałabyś poznać Petera?

- Przecież powiedziałaś, babciu, że on nie żyje.

- Ja też nie żyję, serdeńko. Czy to coś zmienia?

Isabelle opadła wolno na drugie krzesło przy stole.

- Wiesz, że jesteś martwa?

- Naturalnie. To bardzo ciekawy człowiek. Jestem pewna, że ci się spodoba.

- Babciu, nie chcę poznać Petera Jordana. Chciałabym porozmawiać o tym, co przed chwilą powiedziałaś.

- Co? Że nie żyję? O czymże tu gadać? Sama o tym wiesz. - Staruszka dołała sobie rumianku. Trzęsły jej się ręce, ale tak było od dawna. DzbANEK brzdęknął cicho, stykając się z brzegiem filiżanki. Wlała napar i ostrożnie odstawiła dzbanek na miejsce. Jak zawsze objęła go na moment rękoma, żeby skraść trochę ciepła. Zobaczyła, że Isabelle przygląda się jej chudym, plamistym dłoniom. - Jak byłam mała, nie mogłam dotykać dzbanka. Byłam strasznie wrażliwa na ciepło i zimno. Nie mogłam nawet lizać lodów, tak mnie zęby bolały. A teraz - popatrz tylko. Jestem jak ta jaszczurka wygrzewająca się na słońcu.

Choć Isabelle kochała babkę bardziej niż kogokolwiek innego na świecie, miała teraz ochotę solidnie nią potrząsnąć.

- Babciu, pomówmy o tobie. Nie opowiadaj mi o jaszczurkach. Wiesz, że nie żyjesz, ale kiedy tu przyszedłam, nie wspomniałaś mi o tym.

Stara kobieta upiła duży łyk rumiankowego wrzątku. Gdy przytknęła filiżankę do ust, wzbil się stamtąd obłoczek pary.

Zrobiła kwaśną minę i oznajmiła:

- Przychodząc tutaj, wiedziałas, że nie żyję, Isabelle. Czemu jesteś taka zdziwiona?

Isabelle dotknęło zimne jak lód poczucie winy; miała wrażenie, jakby zwodziła dotąd staruszkę, zatajając przed nią część prawdy.

- Ale skąd ty wiesz?

- Wierz mi, jak człowiek nie żyje, to wie.

- Tak, ale...

Babka skinęła głową.

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Wszystko, co tu widzisz, jest lekko koślawe. Zauważyłaś to już? Przyjrzyj się dobrze. Ta sypialnia powstała z naszych wspólnych wspomnień. Dlatego te meble, obrazy i tak dalej nie są takie, jak trzeba. Isabelle знаła sypialnię jak własną kieszeń. W ostatnich latach życia staruszka prawie się stąd nie ruszała, chyba że po to, aby udać się do toalety. Isabelle spędziła w tym pokoju tyle godzin, że chcąc nie chcąc, nauczyła się go na pamięć. Teraz jednak znajome otoczenie stało się raptem jej wrogiem; patrzyła z lękiem na to, co знаła tak dobrze od tak dawna. Babka ujęła jej rękę w pokrzepiającym geście.

- Nie ma się czego bać. Widziałas, jak minutę temu piłam rumianek? Jak zmarszczył mi się nos? To dlatego, że rumianek zamienił się nagle w gorącą czekoladę.

- Piłyśmy ją tutaj - podchwyciła łapczywie Isabelle. - Niemal codziennie, kiedy wracałam ze szkoły. To był nasz rytuał. - To prawda, serdenko, ale mogę ci już zdradzić pewien sekret: nie cierpię gorącej czekolady. Zatyka mi gardło. Isabelle wybuchnęła głośnym śmiechem. Przez lata czekolada była ich tradycją. Isabelle wpadała do sypialni babci i zasypywała ją historyjkami ze szkoły. A tamta już siedziała przy stole, na którym były świeży dzbanek kakao i waniliowy rożek, zwany Kipferl.

Znów się roześmiała.

- Po tylu latach wyszło szydło z worka.

- Zgadza się. Śmierć ma swoje dobre strony. Jedną z nich jest to, że nie trzeba pić kakao. Ale wracając do tego, o czym mówiłam: ja wyobraziłam sobie w filiżance rumianek. Ale ty wyobraziłaś sobie czekoladę, bo zawsze ją piłyśmy. Twoje wspomnienie okazało się silniejsze i nagle miałam w filiżance czekoladę.

- Skoro to nie twoja sypialnia, babciu, to gdzie jesteśmy?

- Gdzie? No cóż, ja jestem martwa, a ty mnie odwiedzasz.

Twój narzeczony pytał, czy możesz się tu zatrzymać, do czasu aż zapewni ci bezpieczny powrót.

- Tak wygląda śmierć? - Isabelle rozejrzała się niepewnie po pokoju.

- Lub stan zawieszenia między życiem i śmiercią. Ty przyszłaś z jednej strony, a ja z drugiej. - Babka uśmiechnęła się w swój dawny sposób, który znaczył, że za moment wygłosi błyskotliwą uwagę. - Stoimy na postoju na Autobahn między Salzburgiem i Wiedniem. Chcesz wyskoczyć do ubikacji, zanim pojedziemy dalej?

- Mówisz jak moja matka, kiedy wybierałyśmy się na wycieczkę. Czy wiesz, gdzie jest w tej chwili Vincent?

- Nie, serdeńko.

- Czy możesz mu jakoś pomóc?

- Niestety. Jestem kompletnie zielona. Dopiero niedawno nauczyłam się patrzeć na swoje życie mniej więcej obiektywnie. Nie mam żadnych szczególnych zdolności. Isabelle przypomniała sobie słowa Coco, że po śmierci wchodzi się najpierw do czyścica, a potem w mozaikę.

— Możesz mi opisać swoje wrażenia?

— Pewnie tak, ale nic byś nie zrozumiała. Nie, że jesteś głupia, ale żeby wyraźnie ujrzyć życie, naprzód musi ono dobiec końca. Nie wolno ci się spodziewać żadnych korzyści, musisz porzucić nadzieje i ukryte pragnienia... Mówić, czego się nauczyłam, to jakby tłumaczyć ci coś, podczas gdy ty doznajesz orgazmu.

— Babciu!

— To prawda, serdeńko. Tym różni się spokojna jasność, która przychodzi po miłosnym akcie, od tego, co przeżywa się w trakcie.

Isabelle uśmiechnęła się łobuzersko.

- Myślałam, że życie to kabaret. A ty mi mówisz, że to jeden wielki orgazm?

Ettrich otworzył oczy, bojąc się tego, co za chwilę zobaczy. Jego obawy okazały się słuszne: miał nadzieję ujrzyć zupełnie co innego. Jeszcze raz próbował wrócić do szpitala, do czasu tuż przed własnym zgonem.

Zamiast tego znalazł się w nocy i na otwartej przestrzeni. Zobaczył płomienie wielkiego ogniska. W krótkich odstępach między trzaskami i chrupotem drewna rozlegał się plusk rozbijającej się o brzeg wody.

Obracając głową na cztery strony świata, Ettrich zorientował się, że jest na plaży. Trzydzieści stóp od niego paliło się ognisko. Gdy zastanawiał się, gdzie go znowu, u diabła, rzuciło, usłyszał głos Meduzy i momentalnie skamieniał. Tak Isabelle określała ów stan paraliżu, który ogarnia cię na dźwięk niektórych znajomych głosów. Głosów, których mogłeś nie słyszeć pół życia, ale gdy tylko się rozlegają, natychmiast obracasz się w kamień, wiedząc, kto to mówi.

Głos tej Meduzy brzmiał piskliwie i nosowo. Miał tylko jedną intonację, jedną skalę, jedną barwę: skomlał. Jedyne, co potrafił - i robił to rzeczywiście świetnie - to skowycić. Nie bacząc na szczęście czy smutek, rozpacz czy ekstazę, zawsze skomlał, beczał, kwilił i żalił się.

- Nie możesz przynajmniej poczekać, aż zrobi się ciemno, żeby nikt nas nie widział?

Oto, co sparaliżowało Ettricha. Nie tylko sam głos, ale też

fakt, że wypowiedział to zdanie. Jedną z kilku niezapomnianych sentencji z przeszłości, którą wyryto mu w duszy dłutem i młotem.

Leżała pod nim na piasku. Kątem oka dostrzegł jej żółte szorty. Nie musiał opuszczać głowy, aby wiedzieć, że to Gigi Dardess, pierwsza dziewczyna, z którą się kochał. Miała ładną twarz, nie najgorsze ciało, parszywą reputację i ten właśnie głos. Szesnastoletni Ettrich zaprosił ją na szkolną zabawę wydaną na zakończenie roku, ponieważ chciał koniecznie stracić dziewictwo, a wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że Gigi najpewniej pomoże mu to uczynić. Tak jak inni

młodzi mężczyźni na tej planecie Ettrich żywił nadzieję i marzył o tym, że śliczne dziewczyny z jego szkoły, w rodzaju Andrei Schnitzler czy Jennifer Holbert, pewnego magicznego dnia powiedzą mu tak. Lecz Vincent Ettrich był dla nich niewidzialny i w głębi serca rozumiał nawet dlaczego. W rezultacie, jak większość młodych mężczyzn, zaczął obniżać swoje seksualne aspiracje, aż w końcu zszedł tak nisko, że pograżyły się w odmętach jak łódź podwodna. Wyjrawszy któregoś dnia przez iluminator, Vincent zobaczył przepływającą obok Gigi Dardess w stanie pełnego zanurzenia.

Nie wyglądała na zdziwioną, gdy zaprosił ją na zabawę. Jej zgoda wyraziła się w westchnieniu, odwróconym wzroku i drewnianym „Okej”, jak gdyby szła z nim bardziej z obowiązku niż z przyjemności.

Niemniej dwa tygodnie później wylądowali na plaży, a temperatura ich związku gwałtownie się podniosła. W miarę jak zapadał zmierzch, młode parki rozchodziły się w co bardziej ustronne zakątki plaży.

Począwszy od pierwszego pocałunku, Gigi pozwalała mu dotykać każdej części jej ciała. Ta nieoczekiwana swoboda zabiła Ettricha z tropu i jednocześnie strasznie go podnieciła, gdyż nie miał pojęcia, co robi. Bez przerwy gadał o tym z przyjaciółmi. Żaden jednak nie znał się na tych rzeczach, więc ich domysły były tylko czczymi spekulacjami. Z zapartym tchem czytał też kolumnę „Playboy radzi”. Ale co tam suche słowa, kiedy masz pod ręką chętne kobiece ciało? Teraz, gdy nadeszła ta chwila, Ettrich czuł się tak, jakby wśród zawieruchy prowadził wyladowaną nitrogliceryną ciężarówkę po wąskiej, górskiej drodze.

Usiłując rozpaczliwie rozgryźć tę zagadkę, trzeci raz wsunął rękę w jej majtki. Może tym razem uda mu się zlokalizować lechtaczkę. W następnej sekundzie jego „ja” zamieniło się w kupę dymiących zgliszczy, kiedy Gigi zaskomlała żałośnie:

- Nie możesz przynajmniej poczekać, aż zrobi się ciemno, żeby nikt nas nie widział?

Ponowne przeżywanie tego koszmarnego, uwłaczającego ludzkiej godności momentu byłoby nie do zniesienia, gdyby nie fakt, że tym razem oboje, młody i dorosły Ettrich, trwali w nim równocześnie.

Młody Ettrich stanowił interesujące bagienko sprzecznych emocji. Z jednej strony był gotów oddać pół życia, żeby zaliczyć dziewczynę. Z drugiej chciał się przyłożyć i dać Gigi trochę szczęścia. Chciał, żeby pokazała mu, jak się do „tego” zabrać, nie ulegało bowiem wątpliwości, że góruje nad nim doświadczeniem. Zarazem życzył sobie również, aby Gigi, po spędzonej z nim nocy, uważała Vincenta Ettricha za cholernie ostrego ogiera.

Jeżeli dziś wieczór sprawy przyjmą właściwy obrót, pobzyka sobie pierwszy raz od szesnastu lat. Później stanie się autentycznym bon vivant i znajdzie sobie olśniewającą kobietę, z którą będzie się kochał w hollywoodzkim stylu, póki śmierć ich nie rozłączy. Zostało mu jeszcze dużo czasu, na początek zaś - jak zawsze - trzeba opanować podstawy. Ale jak miał opanować podstawy, skoro jego partnerka mu nie pomagała? Owszem, pozwalała mu na wszystko, tylko co ci z sandwicza, jeśli nie wiesz, jak go ugryźć?

Odczekał dłuższy czas - miał nadzieję, że dość długi - po czym ponownie zaczął ją całować. Żadnego macania czy miętoszenia. Tylko niewinne jak lemoniada pocałunki, żeby wywołać odpowiedni nastrój.

Ale Gigi całowała się tak, jakby lizała znaczki pocztowe. Ettrich już wtedy dobrze się całował, nawet jednak jego umiejętności nie zdołały jej zachęcić. Choć jego wargi muskały ją finezyjnie, a

język ślizgał się jak tancerz na lodzie, Gigi odwzajemniała mu się lizaniem znaczków. Kiedy dorosły Ettrich uznał, iż rzecz zbyt się przeciąga, poradził swojemu młodszemu wcieleniu:

- Dotknij jej twarzy. Przesuń po niej dłońmi. Dotknij lekko jej uszu i szyi. Potem ją tam pocałuj.

Powodowała nim frustracja, tak naprawdę nie wierzył w to, że dotrze do szesnastoletniego Vincenta. Miał wrażenie, jakby wołał do ekranu na seansie filmu grozy: „Nie otwieraj tych drzwi!”, „Nie schodź do piwnicy!” Lecz występujący w filmie aktorzy zawsze złażą do piwnicy i zostają pożarci. Ani na moment nie przyszło mu do głowy, że jego młodsza wersja usłyszy go i posłucha.

Mylił się. W następnej sekundzie, przy kolejnym drętym pocałunku, chłopiec otworzył oczy i spojrzał na Gigi, jak gdyby naraz zaświtało mu, że dziewczyna jest tuż pod nim. Jego ręka uniosła się do jej policzka i przesunęła po krągłym podbródku. Wyraz twarzy obojga zmienił się, jakby między nimi rzeczywiście zaiskrzyło.

Tak doszło do pierwszego z wielu marnych sztosów w życiu Vincenta. Ten był pierwszy, więc zapadł mu w pamięć. Niespodziewane pieszczoty młodego Ettricha rozbudziły w Gigi iskrę namiętności. Nie mogła raczej zagrozić Kleopatrze, ale przynajmniej jej serce i skóra nabrały nieco rumieńców. Poza tym dzięki radom, których udzielił sobie dorosły Ettrich, jego inicjacja seksualna nie przypominała bitwy pod Waterloo czy zatonięcia Titanica; jednego z tych nieszczęść młodości, które prześladują nas długo potem. Ettrich na zawsze zapamiętał gruboskórą uwagę Gigi, żeby zaczekali, aż zrobi się ciemno. Zapamiętał również, jak trudno wkłada się nie nawilżoną prezerwatywę, którą optymistycznie nosił przy sobie, aż w końcu skóra portfela wybrzuszyła się w tym miejscu.

Z racji „pierwszego razu” wieczór ten zapisał się w jego pamięci, ale Ettrich zapomniał o całkiem zasadniczym fakcie, że to rady jego starszego Ja” uratowały go od katastrofy. Skończyło się na wzruszeniu ramionami, nostalgicznym uśmiechu i zajmującej historii - zamiast ostrza tkwiącego mu na zawsze w sercu.

Przeszłość to zamknięta księga. Bez wątplenia. To, co zdarzyło mu się tego wieczoru z Gigi Dardess, było wierną kopią wypadków sprzed dwudziestu pięciu lat:

Letnia namiętność + słaba reakcja = jeden prawiczek mniej. Dorosły Ettrich uświadomił sobie teraz, że może wchodzić do swego minionego życia i wychodzić stamtąd, jakby to były pokoje w domu. Co prawda nie mógł zmienić wymiarów tych pomieszczeń ani znajdujących się w nich przedmiotów, ale bez trudu mógł przesunąć meble. Odsunąć tę okazałą komodę od okna, aby wpuścić więcej światła. Przesunąć tę piękną kanapę na środek pokoju, żeby z niej korzystano, nie tylko ją podziwiano.

Wtedy przypomniał sobie o kostkach, które mu pokazała Coco, i o tym, jak się je układa w osobistą mozaikę. Zaczął dostrzegać związki między jednym a drugim. Zrobiło mu się nieco różnie na myśl, że jeśli odpowiednio połączy te kropki, to być może wygra.

Seks dobiegł końca. On i jego młodsze wcielenie leżeli na plecach i patrzyli na rozgwieżdżone niebo. Jeden Ettrich cieszył się zarówno z tego, co przed chwilą się stało, jak i z tego, że było już po wszystkim. Starszy Ettrich wodził spojrzeniem po niebie, usiłując połączyć miliony gwiazd w sensowne konstelacje.

- Zawsze byłeś optymistą.

Upłynął nieokreślony czas. Ettrich w dalszym ciągu spoglądał na gwiazdy, gdy dobiegł go ów znajomy głos. Nieświadomość Ettricha rozpoznała jego właścicielkę, zanim on zdążył to uczynić. Ta sama częśćka niego zadała retoryczne pytanie:

- Coco?

- Tak, Vincencie. - Stała o parę kroków od niego, z rękoma wsuniętymi w kieszenie nowych, obcisłych dżinsów. Miała na sobie czarną koszulkę i gumowe japonki. Jej rzeczy były idealnie nowe, prosto spod igły. Miała teraz dłuższe włosy, które opadały jej aż do ramion. Choć wciąż była niska, nowa fryzura zdawała się dodawać jej wzrostu i tuszy. Ettrich nie uważał tego za specjalny komplement.

- Co ty tu robisz? - Ugryzł się w język. Korciło go, by powiedzieć: widziałem cię martwą. Widziałem resztki twojego ciała po zakończonej rzezi. Ale udało mu się nad sobą zapanować. Czekał.

- Chodź ze mną. Nie przeszkadzajmy gruchać gołębcom.

- A mogę? - Nie wiedział, jak ma się od siebie oddzielić i ruszyć za Coco.

- Oni są wytworem twojej wyobraźni, Vincencie. Nierealne omamy. Chodźmy. - Co rzekłszy, odwróciła się i pomaszerowała.

Uwolnił się od siebie - całkiem zwyczajnie, z łatwością - i poszedł za nią. Przyjrzał się swemu ciału, chcąc sprawdzić, ile zeń zostało. Wszystko było na swoim miejscu: dorosły Vincent Ettrich od stóp do głów. Obrócił się i posłał spojrzenie w stronę młodego Ettricha, który nadal leżał na plecach, z ręką wsuniętą pod głowę. Gigi obróciła się ku niemu i zagała rozmowę.

Po paru minutach Coco dotarła do wieży ratowniczej i zaczęła się wspinać po drabinie na szczyt. Ettrich stąpał o parę kroków za nią. Dogonił ją, ale nie wdrapał się na drabinę.

- Ładny widok. Nie przyłączysz się do mnie?

- Na dole nie jest mi źle. Powiedz, co jest grane, Coco.

- Idziesz na łatwiznę, Vincencie.

- Nie rozumiem. - Mechanizmy obronne Ettricha poderwały się i zawarczały na Coco.

- Nie możesz dawać sobie dobrych rad w przeszłości, Vincencie. To absurd. Czyżby śmierć niczego cię nie nauczyła?

Przeszłość to zamknięty rozdział. Gigi nie rozkręciła się dlatego, że zasugerowałaś pocałunek w szyję. On to wymyślił seksowny, szesnastoletni gówniarz Vincent Ettrich. Najpierw wybrałaś się na przespiergi do Francji, a teraz przyszedłaś na plażę. Nikt cię nie wysyłał. Polazłaś z własnej woli. Teraz chcesz wrócić do szpitala, w którym zmarłaś, i poszukać wskazówek, co dalej. Oszczędzę ci podróży: nie ma żadnych wskazówek. Łudzisz się, że przełomowe momenty życia podsuną ci odpowiedź, ale nic z tego. Nie ma odpowiedzi, przeszłość jest raz na zawsze zamknięta i skończona. Posłuchaj mnie: klucz leży w teraźniejszości. To, czego szukasz, znajduje się tu i teraz. Przestań chować głowę w piasek. Czy wiesz, kto podłożył ten koszyk na łące we Francji? Bruno Mann. Jeśli faktycznie interesuje cię połączenie wszystkich kropek, zacznij od swego kumpla Brunona. Pamiętasz początek swojej przygody? - Coco zagarnęła swoje nowe, długie włosy i wskazała drugą ręką na kark. - Pamiętasz mój tatuaż?

Podniósł głowę i spojrzął na nią, stojącą na końcu drabinki. Jej postać była ledwie bladym odcieniem szarości, ale nie miało to znaczenia. Myśli Ettricha błędziły wokół tego, co mu oznajmiła, i wokół tamtego wieczoru, gdy pierwszy raz ujrzał tatuaż na jej karku.

- Czemu tak dziwnie to urządziłaś, Coco? Po kiego diabła zaczęłaś od tatuażu? Też wybrałaś sobie sposób, żeby mi pokazać prawdę.

Coco podrzuciła ręce do góry i spojrzała błagalnie w niebo.

- Nie ja to urządziłam, Vincencie, ale ty! To ty umieściłeś ten tatuaż na mojej szyi. Zrobiłeś ze mnie chodzący notatnik, a mimo to odcyfrowanie własnej wiadomości zajęło ci całą wieczność.

- O, jasna dupa. - Prawda uderzyła w niego jak płomień z miotacza. Coco miała rację. Oczywiście, że miała rację.

- Tak, przyjacielu: jasna dupa. Zaczynaj dostrzegać i rozumieć notatki, które napisałeś dla siebie. Znajdziesz je w swoim obecnym życiu. Nie w przeszłości z udziałem Gigi Dardess ani na kosmicznym wygwizdowie. Są tutaj. W tej chwili. Wiedziałeś, że umarłeś i że zostałeś wskrzeszony. Wiedziałeś od początku, co musisz tutaj zrobić. Lecz nie chciałeś stawić temu czoła w obawie przed niebezpieczeństwem i trudnościami.

Ettrich odezwał się cienkim, drżącym głosem zagubionego dziecka:

- To mnie przeraża.

Coco złagodniała.

- Wiem. To jest przerażające.

- Coco, kiedy byliśmy w zoo, czyja naprawdę rozmawiałem z sobą umarłym?

- Oczywiście, że tak. Właśnie ci to objaśniałam. Był to jeden z tych rzadkich przypadków, gdy świadomie użyłeś mocy, którymi dysponujesz, żeby przetrwać. Mogłeś ich użyć od początku. Ale większość czasu, od powrotu do życia, zmarnowałeś na świadomym ignorowaniu tego, co wiesz i co potrafisz, byle tylko uniknąć odpowiedzialności.

Zaległa długa cisza, po której Ettrich wybąkał ledwie słyszalnym głosem:

- Chyba łatwiej pracować w biurze, niż walczyć z bogami.

Coco zachichotała.

- Łatwiej też podrywać kobiety w sklepie z damską bielizną.

- O, tak. - Poczul się strasznie głupi, słaby i niekompetentny. Przykucnął i nabrał garść chłodnego piasku. Przesypując ziarenka przez palce, patrzył na falujący miarowo przed nim nocny ocean, biel na czarnym tle. Gdzieś na plaży zapiszczał kobiecy śmiech. Czy to Gigi? Czy młody Vincent rozbawił ją tej nocy? Miał nadzieję, że tak; nie pamiętał. Oby zdrowo się razem uśmiali. Przypomniał sobie, że w którymś momencie, późną nocą, złapał ją za rękę i zaciągnął nad wodę, do której oboje wskoczyli w ubraniach. Lodowato zimna woda zmroziła mu jądra, ale czuł się wspaniale. Uśmiechnął się do tego wspomnienia i wziął następną garść piasku.

Niebawem z tego samego kierunku napłynęły dźwięki muzyki. Beatlesi śpiewali Get Back. Ettrich zasłuchał się, a potem zaczął podśpiewywać. Wesoła, znajoma piosenka uniosła część wielkiego strachu z jego głowy i serca. Pośpiewał jeszcze chwilę, po czym wstał. Obrócił się do wieżyczki ratowniczej i zasygnalizował Coco, żeby zeszła na dół.

- Co jest?

- Zejdź tutaj.

Opuściła się szybko po szczeblach, sądząc, że coś się stało.

Na dole stwierdziła zdumiona, że Vincent tańczy sam ze sobą.

Tancerz był z niego fatalny, ale liczyły się dobre intencje. Coco uśmiechnęła się, postąpiła naprzód i nieśmiało włączyła się w taniec. Szło jej to jeszcze gorzej niż jemu. Płasali tak mniej więcej razem, póki piosenka nie wybrzmiała do końca. Żalowali, że skończyła się tak szybko. Na szczęście muzyka popłynęła dalej - Major Lance zaśpiewał *Monkey Time*.

Wciągnięta w zabawę Coco kręciła się dokoła i wymachiwała w podnieceniu rękami nad głową. Wyglądała jak fanka na zlocie miłośników zespołu. Ettrich był bardziej powściągliwy; tańczył z rękoma w kieszeniach a la Fred Astaire i poruszał ramionami w rytm muzyki.

- Dobrze. Kto to śpiewa? Podoba mi się ten kawałek.

- Major Lance. Utwór nazywa się *Monkey Time*. Zdaje się, że to jego jedyny przebój.

- Świetny rytm. Ale dlaczego tańczymy, Vincencie?

- Nietzsche powiedział, że czasem dochodzimy do momentu, w którym robi się tak źle, że można uczynić tylko jedno z dwojga - śmiać się albo oszaleć. Dzisiaj trzecią możliwością jest taniec.

Oboje chcieli powiedzieć sobie o kilku sprawach, teraz jednak nie była po temu odpowiednia pora. Za wiele już padło słów. Zbyt wiele się wydarzyło. Nie należało poganiać wypadków. Taniec był lepszy.

Kundelek gnał przez plażę na złamanie karku i cieszył się pędem. Nie miał żadnych planów, nie musiał donikąd iść, żadna suka w rui nie wabiła go syrenim śpiewem. Po prostu biegł przed siebie. Plaża znakomicie się do tego nadawała, bo była płaska, równa i miękka. Szczególnie lubił biegać tutaj nocą, bo kręciło się niewielu ludzi, a ci, którzy byli, nie zwracali na niego uwagi. Nie wrzeszczeli i nie próbowali go złapać. Spoglądali tylko, po czym oddawali się swoim zajęciom. Ktoś czasem pogłaskał przechodzącego psa, ale na tym się kończyło. Po zmroku plaża była otwarta dla wszystkich. Pies przemknął obok dwojga tańczących ludzi, a chwilę później obok grupki młodzieży siedzącej przy resztkach dogasającego ogniska. Słuchali przenośnego radia. Dobiegająca z niego muzyka ginęła wśród szumu morskiej nocy. Zbliżający się kundelek słyszał ją niemal milę stąd. Niosła się w powietrzu. O tej późnej porze słychać było tylko wiatr, fale, ściszoną muzykę i tupot psich łap na piasku.

Dorosły Ettrich zobaczył przebiegającego psa. Zwierzak poruszał się jakby w takt muzyki. Natomiast młody Ettrich, odwrócony plecami do morza, nie dostrzegł go. Wpatrzony w ognisko myślał: „Stało się. To się naprawdę stało”. Nie wiedział jednak, co z tym fantem zrobić, i upłynie jeszcze szmat czasu, zanim nabierze do tego odpowiedniego dystansu. Pół mili dalej kundelek zatrzymał się, podniósł głowę i zdawał się nasłuchiwać. Potem zmienił kurs i skierował się w głąb ładu. Ocean został z tyłu, świat był w tym miejscu cichszy. Zgarbione domy, czarne i milczące, majaczyły w ciemności. Gdzieś palilo się światło, które ktoś zapomniał zgasić. W jednym z okien, zbyt wysoko, aby pies mógł je dojrzeć, siedziała przy stole okutana w płaszcz kobieta i zanosila się szlochem. Przed nią płonęła świeczka. W chwili gdy pies mijał jej dom, dotknęła palcami miękkiego wosku ściekającego po białej świecy.

Kundelek popędził dalej. Przebiegł przez miasto, przebiegł przez Amerykę. Następnie pokonał Ocean Atlantycki i spory kawał Europy, aż wreszcie przybył do Wiednia. Nazajutrz, tuż po wschodzie słońca, stanął pod oknem dużego domu w Osiemnastej Dzielnicy. Z pyska wysuwał mu się różowy język. Pies dyszał, ale nie był zmęczony. Przysiadł energicznie na tylnych łapach i wlepił czujny wzrok w jedno z okien. Mniej więcej dziesięć minut później firanka odsunęła się i w końcu ktoś się tam pojawił, spoglądając w dół z uśmiechem. Osoba ta pomachała do kundelka, ale ten nie zareagował. Siedział i czekał.

- Isabelle, podejdź do okna. Chciałabym ci coś pokazać - wychrypiała staruszka do swojej wnuczki. Rozmawiały przez kilka godzin, a potem zasnęły obok siebie na łóżku, tak jak dawniej trzymając się za ręce.

Babka spała zaledwie parę godzin, lecz obudziła się rześka i wypoczęta, gotowa zmierzyć się z niespodziankami dnia. Gdy tylko wstała, chciała obudzić wnuczkę i porozmawiać z nią jeszcze trochę. Tak dawno przecież się nie widziały. Ale nawet śpiąc, Isabelle wyglądała na wyczerpaną. Toteż babka podniosła się i zakrzętnęła po pokoju, robiąc porządki, włączając elektryczny czajnik do herbaty. W szafce leżały dwie świeże drożdżówki serowe, zwane Topfen Golatsch, z cukierni „AIDA” ulubione śniadanie Isabelle. Babka wyjęła je z białoróżowej torebki i położyła na talerzu pośrodku stołu. Trzy razy przekładała ciasto, zanim jego ułożenie na talerzu ją usatysfakcjonowało. Wszystko musiało być idealnie. Wiedziała, że będą się sobą cieszyć niedługo, ale nie wiedziała, ile zostało im czasu. Po powrocie z krainy śmierci wyraźniej dostrzegała i lepiej potrafiła docenić pewne rzeczy, ale nie zatęskniła raptem za życiem. Było zbyt skrzywione, niesprawiedliwe i ciemne, samo nie wiedziało, czego chce i co jest gotowe dać w zamian. Była to jedna z głównych lekcji, jaką staruszka wyniosła ze śmierci - życie żądało od ciebie poświęceń. Jeśli nie byłeś do nich gotowy, robiło obrażoną minę i przestawało się o ciebie troszczyć. Było kapryśne, niewyrozumiałe i stronnicze. Gdyby udało ci się jakoś rzucić mu w twarz pytanie o jego sens, nie znalazłoby odpowiedzi. Sens życia bowiem zmienia się z dnia na dzień i w zależności od człowieka. Babcia chciała przekazać tę wiedzę Isabelle. Nie o wszystkim, czego dowiedziała się po śmierci, mogła powiedzieć swej ukochanej wnuczce; niektóre rzeczy były zakazane.

Podeszła do okna i wyjrzała na nowy dzień. Słońce już wstało - odbijało się od powierzchni rzeczy, łącząc je swoimi promieniami. Staruszka popatrzyła wokół siebie - na drzewa, na ulicę, na jadące samochody i szare pióropusze spalin wydobywające się z ich rur wydechowych. W końcu opuściła spojrzenie na podwórko przed domem. Coś ścisnęło ją za gardło; ujrzała siedzącego psa, który patrzył wprost na nią. Gorzko rozczarowana, wiedząc, co to znaczy, wolno wypuściła z płuc powietrze.

To nie fair. Czemu dali jej tak mało czasu? Jedna noc była dalece niewystarczająca. I jedno życie byłoby za krótkie, ale to już inna sprawa. Potraktowali ją rażąco niesprawiedliwie. Mogli ją przynajmniej uprzedzić, że ma tylko jedną noc. Że będzie jej wolno omówić z wnuczką wyłącznie te ważne kwestie i nic więcej. Lepiej by to sobie zaplanowała. A tak rozmawiały z Isabelle głównie o ludziach i dawnych czasach - i chociaż wspominki te przyniosły iin wiele radości, w żaden sposób nie przygotowały jej wnuczki na spotkanie tego, co ją niebawem czeka.

Staruszka uśmiechnęła się nieszczerze i pomachała do psa.

Odpowiedział jej tak samo jak dotąd, gapiąc się na nią. Wiedziała, po co przyszedł, i że trzeba działać od razu, gdyż czas się skończył. Zaciągnęła firankę i podeszła do stołu. Dziabnęła palcem jedną z drożdżówek. Koniec z przyjemnościami w rodzaju intymnych rozmów przy śniadaniu. Zakomunikowali jej, że może wrócić i zobaczyć Isabelle. Określili warunki, na których ta wizyta

się odbędzie. Ona oczywiście się zgodziła. Nie powiedzieli jej tylko, jak długo będzie mogła przebywać z wnuczką.

Kobieta zaczęła się przechadzać po swojej małej sypialni. Wsunęła ręce do kieszeni podomki, ale zniecierpliwiona zaraz je stamtąd wyciągnęła. Świerbiło ją, by odsunąć zasłonkę i ponownie zerknąć przez okno. Jej głowę opanowała szalona, nieprawdopodobna nadzieja, że pies zniknął sprzed jej domu. Wiedziała jednak, że on tam jest. Warował na podwórku, a tymczasem życie i śmierć nie zostawiały jej innego wyjścia, niż obudzić Isabelle i oznajmić jej, że musi odejść.

- Ale dlaczego, Omal Dopiero wczoraj tu przyszedłam.
- Ponieważ twój przyjaciel jest gotowy i cię potrzebuje.

W parę minut Isabelle stanęła koło babki i spojrzała przez okno na psa.

- Jak on się wabi? Ma jakieś imię?
- Hietzl. - Nazwa brzmiała trochę jak „hycel”.

Imię było tak idiotyczne, że mimo woli Isabelle parsknęła śmiechem.

- Hietzl? Kto to wymyślił?
- Nie wiem, serdeczko. Tak się wabi i już.

Isabelle powtórzyła to słowo, próbując wydobyć zeń jakiś sens.

- Co za absurdalne imię.
- To prawda. Czy dobrze się czujesz?

Młodsza kobieta wypuściła firankę i obróciła się twarzą do babki, tak że stanęły naprzeciw siebie.

- Nie, Oma, nie czuję się dobrze, ale moje samopoczucie nie ma teraz żadnego znaczenia. Jeśli muszę iść, to trudno. Pójdę.

- Tak, ja nie mogę temu zaradzić. Wiesz, że gdyby to ode mnie zależało, zatrzymałabym cię na zawsze. Jestem rada, że mogłam cię znowu zobaczyć. Myślałam, że będziemy miały więcej czasu. - Mówiła z takim bólem, że Isabelle zapomniała na chwilę o swoim lęku i zapragnęła pocieszyć swoją najstarszą przyjaciółkę.

- Skoro odsyłają mnie tak szybko, to chyba znaczy, że Vincent dowiedział się czegoś ważnego i że nic mu nie grozi. Musiał nauczyć się z nimi walczyć.

Babka skrzyżowała ramiona na piersi i odwróciła wzrok.

- Nie. To znaczy, że musisz wracać, bo nie można dłużej czekać. On cię potrzebuje: jesteś jego podporą i nadzieją. Wczoraj ruszyła nagle lawina zdarzeń, którą trzeba powstrzymać, zanim będzie za późno. - Przypomniała sobie, jak na początku drugiej wojny światowej polska kawaleria rzuciła się do bohaterskiej, donkiszotowskiej obrony kraju przed nacierającymi czołgami Wehrmachtu. Choć Vincent Ettrich nie będzie zmagał się z chaosem sam, to jednak siedział na koniu, podczas gdy jego przeciwnik jechał na bitwę uzbrojony w najnowocześniejszy sprzęt bojowy, jaki kiedykolwiek wymyślono. Jej serce płakało za Isabelle i Vincentem, ale nie było innego wyjścia.

Chyba że...

Podreptała do małego cedrowego sekretarzyka i wysunęła górną szufladę. Był tam tylko jej skarb: stary srebrny długopis marki FaberCastell. Wyjęła go ostrożnie, jakby był wytopiony z

najkruchszego szkła. Podeszła do stołu i równie delikatnie położyła długopis obok talerza i sztućców.

- Podejź tu, Isabelle. Mam coś dla ciebie.

Isabelle pozostała przy oknie. Nadal wpatrywała się w psa.

- Niczego nie chcę.

- Chodź tu zaraz! Guzik mnie obchodzi, czy chcesz czy nie.

Isabelle okręciła się natychmiast, oszołomiona porywcznością babki, która nigdy nie podnosiła głosu, a na pewno nie w jej obecności.

- Słucham, Oma?

- Chodźże tutaj, to ci pokażę - babka dodała chłodno i nieprzyjaźnie.

Tkwące w Isabelle dziecko skrzywiło się płaczliwie. Za nic nie chciała urazić swojej babci. To było nie do pomyślenia. Szybko podeszła do stołu i usiadła.

- Ten długopis jest najcenniejszą rzeczą, jaką posiadam. Po śmierci wolno nam zabrać ze sobą jeden przedmiot. Ja wybrałam ten długopis. Dostałam go w prezencie od jedynej osoby, którą kochałam całym sercem. Ale nie prosz mnie, żebym ci o tym opowiedziała, bo i tak nic z tego nie będzie. Zdjęta ciekawością Isabelle ledwie zdołała utrzymać język na wodzy. Za to jej oczy zrobiły się wielkie jak talerzyki.

- Zamierzam ci go dać. Zadbaj o niego najlepiej, jak umiesz, bo jest w nim moja śmierć.

- Proszę? Nie rozumiem. - Isabelle sięgnęła odruchowo w stronę długopisu, ale zamiast go dotknąć, zatrzymała nad nim rękę, po czym wolno ją cofnęła. - Czy możesz mi to wyjaśnić, Oma?

- W tym długopisie tkwi moje doświadczenie śmierci i wszystkiego tego, co się wtedy ze mną działo. Jeśli znajdziesz się w niebezpieczeństwie albo będziesz się chciała ukryć, przekręć nasadkę, o tak, jakbyś wysuwała końcówkę. Wejdiesz w moją śmierć i będziesz bezpieczna.

- Kiedy Vincent mnie tu sprowadzał, też obiecał, że będę bezpieczna - zauważyła zrezygnowana Isabelle.

- Na razie jesteś, ale w coraz mniejszym stopniu. Po wejściu w moją śmierć będziesz mogła zostać tam, jak długo będziesz chciała, ponieważ ja nie żyję. Moja śmierć jest stałym elementem przeszłości, którego nie można naruszyć. Tym razem Isabelle podniosła długopis, ale nadal obchodziła się z nim bardzo uważnie. Spoglądała to na niego, to znów na babkę.

- Jako mała dziewczynka oglądałaś z ojcem filmy kowbojskie - pamiętasz? Bałaś się i uciekałaś, chowając się w pralni. No cóż, wyobraź sobie, że ten długopis jest taką pralnią...

- Nie mówisz mi wszystkiego, Oma. Coś przemilczasz.

Stara kobieta przyjrzała jej się spokojnym wzrokiem i skłamała:

- Nie. To wszystko, co mam do powiedzenia.

- Co stanie się z tobą, jeżeli wejdziesz w twoją śmierć?

- Nic, Isabelle. Co by się miało ze mną stać?

Jej kłamstwo wylądowało na stole obok srebrnego długopisu i złotej drożdżówki. Lśniło czarnym, obsydianowym blaskiem i było oszlifowane niczym diament. Staruszka widziała je. Młodsza kobieta - nie. Ale ponieważ już raz zanurzyła się w śmierć, aby odzyskać Vincenta, wyczuła je, jego obecność i wielkość. Wlepiła nawet wzrok w ten punkt na stole, w którym kłamstwo leżało, i zmarszczyła czoło. Widząc to, babka wysunęła od niechcenia rękę i zmiotła kłamstwo ze stołu, jak gdyby strzepywała okruszki. Czarny, szklisty kamień łgarstwa przeleciał przez stół i wtoczył się pod łóżko. W istocie prawda przedstawiała się następująco: gdyby Isabelle wstąpiła w śmierć babki, staruszka zostałaby na wieki uwięziona w tym pokoju. Nigdy nie byłoby jej wolno go opuścić. Nie wróciłaby do czyścica. Straciłaby możliwość wtopienia się w mozaikę.

Z dołu doleciało szczekanie psa.

- Musisz iść. On cię wzywa. - Ucieszyła się. Prawie nigdy nie okłamywała Isabelle i zdawała sobie sprawę, że z wielu pytań mogłaby nie wybrnąć.

- To tylko pies, babciu. Skąd wiesz, że to on?

W przyływie miłości do tej dziewczynki - tej kobiety noszącej w swoim łonie dziecko - babka wyciągnęła ręce i uściśnęła Isabelle.

- Bo wiem. Czas ruszać w drogę, serdeńko. Jestem wdzięczna za to, że miałyśmy dla siebie przynajmniej kilka godzin. Isabelle przywarła do niej mocniej.

- Co się stanie z tobą, kiedy odejdę?

- O, siądę sobie tutaj i napiję się herbaty. Jest piękny dzień.

W sam raz na wycieczkę do miasta.

Isabelle odstąpiła o krok.

- Możesz wyjść? Możesz opuścić ten dom i wyjść na miasto?

- Mówiłam o tobie. Zaraz będziesz musiała to zrobić. Zobaczysz. - Wypuściła Isabelle z objęć i podniosła się. Wzięła długopis ze stołu, włożyła go stanowczo do ręki wnuczki i zacisnęła na jej dłoni swoje palce. - Strzeż go - dodała szeptem, mając na myśli zarówno bezpieczeństwo Isabelle, jak i własną śmierć. Żywiła szczerą nadzieję, że jeśli zajdzie taka potrzeba, jej wnuczka użyje długopisu bez wahania.

W tej chwili czystej, bezinteresownej miłości uzmysłowiła sobie, że cokolwiek się z nią stanie, nic jej nie będzie. Czy pozostanie na zawsze w tym pokoju, czy też - jak by wolała powrócić na tamtą stronę, czuła się spełniona. Przemknęło jej przez głowę przysłowie: „Puste naczynia hałasują najgłośniejsz”, ale w tym momencie, o dziwo, jej serce i głowa nie czyniły najmniejszego hałasu. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek - czy w życiu, czy po śmierci - czuła się tak bezbrzeżnie wypełniona miłością.

Isabelle zamknęła za sobą frontowe drzwi i nie obejrzała się. Nie miała pojęcia, czy jeszcze kiedyś zobaczy ten dom. Nie miała pojęcia o niczym, z wyjątkiem tego, że musi pójść za psem, tak jak poleciła jej babka.

Kundelek siedział w tym samym miejscu na trawniku i obserwował ją bez ruchu. Podeszła do niego i przywitała się:

- Cześć, Hietzl. - Na wpół spodziewała się, że jej odpowie „cześć”.

Nie odezwał się. Dłuższą chwilę zastanawiała się, czy babka przypadkiem sobie z niej nie zażartowała. Kto przy zdrowych zmysłach ochrzciłby psa takim imieniem? Hietzl jej nie pomógł. Gapił się na nią swoimi wielkimi, brunatnymi ślepiami, lecz nie uniósł nawet łapy na powitanie.

- Czy ty rozumiesz, co ja do ciebie mówię, psie? Sprechen sie Deutsch?

- Zawsze chciał się nauczyć - powiedział mężczyzna w średnim wieku. Nadszedł, trzymając ręce w kieszeniach długiego, sztywnego płaszcza z zielonej pilśni.

Isabelle widziała go pierwszy raz.

- Siemasz, Hietzl. - Mężczyzna pstryknął palcami i kundelek zerwał się w podskokach, okazując na jego widok nieposkromioną radość. Co rusz na niego wskakiwał. Mężczyzna pogłaskał go po łbie, najwyraźniej nic sobie nie robiąc z błota i mokrej trawy, którymi pies powalał jego elegancki płaszcz. - Dzień dobry, panno Neukor - dodał, prostując się. Słońce znalazło się dokładnie za jego plecami. Żeby dojrzeć jego twarz, Isabelle musiała osłonić oczy.

- Pan mnie zna?

— Znam.

— Jak się pan nazywa? - Chivas. Proszę mi mówić Chivas.

- Jak ta whisky?

- Właśnie. Stwierdziła pani, że nie podobają jej się dziwne imiona typu Hietzl, posłużmy się więc nazwą pani ulubionej whisky.

- Bardzo pan uprzejmy.

Uśmiechnął się i znowu poskrobał wniebowziętego psa.

- I co, mam teraz pewnie pójść z panem?

- Gdyby była pani tak miła. Mój samochód stoi tam. - Pokazał palcem duże zielone audi zaparkowane w pobliżu.

- A Hietzl?

- Idzie z nami. Będzie jechał z tyłu.

- Dokąd jedziemy, panie Chivas?

- Proszę mi mówić zwyczajnie Chivas. Do centrum. Mam panią dostarczyć do „Cafe Diglas”. Isabelle nie posiadała się ze zdumienia.

- Diglas? Dlaczego akurat tam?

- Dlatego, że będzie tam na panią czekał pan Etrich.

- V i n c e n t? W „Diglasie”? - Zasepiona przytknęła dłoń do czoła i zmrużyła oczy, jakby usiłowała się skupić. Kundel usiadł na trawniku i zaczął się dziko drapać tylną łapą po brodzie. Rozległo się miarowe szszuszsuszsuszu. Chivas uśmiechnął się i skinął głową.

- Sam to zaproponował. Stwierdził, że spotkaliście się tam na pierwszej randce.

Rzeczywiście, odpowiadało to prawdzie, tylko dlaczego Vincent przesiadywał w wiedeńskiej kafejce, skoro, jak twierdził, miał tyle do zrobienia?

- W porządku, jedźmy.

Jakby zrozumiał jej słowa, pies wstał z ziemi i potruchtał w stronę ulicy.

Isabelle zatopiła przeciągłe spojrzenie w samochodzie. Wiedziała, że coś się w nim nie zgadza. Coś.

- Chwila, moment. Już wiem: przecież to nowy samochód.

Masz nowy samochód. Znam tę markę. Moja przyjaciółka Córa Yaughan kupiła taki sam w tym roku. A my cofnęliśmy się o pięć lat.

Chivas pokiwał jej palcem i puścił oko. - Brawo, panno Neukor. Jest pani bardzo bystra. W aucie mam nawet kompakt The Bloodhound Gang. Lubi pani ich muzykę?

— Nie znam ich. Ale jak to możliwe, że masz tegoroczny model samochodu, kiedy wszystko wokół nas pochodzi sprzed pięciu lat?

— Bo Hietzl i ja jesteśmy z tego roku. Wróciliśmy tutaj po panią. - Podszedł do drzwi pasażera, przekreślił kluczyk w zamku i otworzył je przed nią.

- Wyjaśnij mi to. - Nie miała zamiaru ruszać się stamtąd, dopóki Chivas nie udzieli jej satysfakcjonującej odpowiedzi. A już wcale nie zamierzała wsiadać do samochodu z panem Whisky i cudpsem Hietzlem.

- Musimy ściągnąć panią z powrotem do teraźniejszości, a to najwygodniejszy sposób. Gdy tylko dotrzemy do „Cafe Diglas”, nadgonimy nasz czas.

Odpowiedź nie zadowoliła jej. Wtedy jednak dobiegło ją z tyłu wołanie babki. Obróciwszy się, Isabelle zobaczyła, że staruszka rozwarła okno sypialni i wychyla się nad parapetem. Złożyła dłonie w trąbkę wokół ust.

- W porządku, serdeńko, możesz mu ufać! Mówi prawdę.

Isabelle odkrzyknęła:

— Mówi, że jak dojedziemy do Pierwszej Dzielnicy, upłynie pięć lat od tej chwili.

— Jeśli tak twierdzi, to znaczy, że to prawda. Możesz mu zaufać.

Pies zaszczekał dwa razy, niecierpliwiąc się.

- A jeśli nie pojedę z tobą?

Chivas uniósł poddańczo ręce, nie chcąc jej obrazić.

- Nie musi pani. Decyzja należy do pani, ale samochodem jest znacznie szybciej. Woląaby pani jechać publicznym środkiem transportu? Czy gdzieś tutaj kursuje tramwaj? Patrzyła na Chivasa, osądzając go i jego słowa, kiedy babka zawołała do niej ponownie:

- Jedź z nim, Isabelle. Uwierz mi, wszystko będzie dobrze.

- Tak? No cóż, mam lepszy pomysł: pojedę z tobą, ale pod warunkiem, że to ja będę prowadzić. Powiedziałeś, że jedziemy do centrum, tak? Mężczyzna w pilśniowym płaszczu skinął głową.

- Tak jest. Nie widzę przeszkód.

Wręczył jej kluczyki do audi. Odebrała je, pomachała ostatni raz babci i usiadła za kierownicą. Chivas obszedł samochód, pokazał psu, żeby wskoczył na tylną kanapę, a potem wsiadł i zamknął

drzwi. Sięgnął ręką do pasa przy siedzeniu. Isabelle patrzyła na niego w milczeniu; nigdy nie zapinała pasa.

Wpiął klamrę z pstryknięciem i odezwał się:

- Uważam, że powinna pani zapiąć pas. Będziemy jechać przez obszar paskudnej pogody, nigdy też nie wiadomo, na jakie natrafimy drogi.

Isabelle wyrzała przez przednią szybę na cudowny letni dzień budzący się przed nimi do życia.

- Wolne żarty. Co pan opowiada, panie Chivas?

- Zauważam tylko, że byłoby rozsądniej, gdyby zapięła pani pas. Lecz decyzja znowu należy do pani.

Wkrótce się okazało, że „rozsądniej” to mało powiedziane. Ujechali ledwie jedną przecnicę, gdy pogoda gwałtownie się załamała. Co dziwniejsze, pory roku nie następowały stopniowo jedna po drugiej.

Drzewa i kwiaty przed domem Isabelle rozkwitały w wielobarwnych plamach. Słońce omywało je łagodną, poranną żółcią. Lecz gdy tylko samochód skręcił za pierwszy narożnik, niebo momentalnie nabiegło ołowianą purpurą. Była to późnolistopadowa szarówka, która zapowiadała rychłe opady śniegu. Kwiaty dawno już obumarły. Drzewa potraciły liście i zrobiły się tak ciemnobrunatne, że z oddali wydawały się wręcz czarne. W ciągu sekundy świat przemienił się z filmu w systemie technicoloru w czarnobiałą.

Zaskoczona Isabelle raptownie nadusiła na hamulec, tak iż siedzący z tyłu pies uderzył łbem w oparcie jej fotela.

- Przepraszam najmocniej, Hietzl. Co to jest?

Chivas wyjął niebieską paczuszkę gumy do żucia „Airwaves” i wyjął jedną drażetkę.

- Uprzedzałem panią: czeka nas po drodze do centrum mnóstwo zmian pogody.

- Dlaczego? Takich jak te? - Gorszych. Znacznie bardziej uciążliwych. Podczas ostatnich pięciu zim panowały w tym rejonie ciężkie śnieżyce. Zerknęła na bok i otaksowała go sceptycznym spojrzeniem.

- I będziemy przez nie wszystkie przejeżdżać w ciągu dwudziestu minut?

Spojrzał na nią z politowaniem, jak gdyby zadała najbardziej oczywiste pytanie pod słońcem.

- Pięć lat to dwadzieścia pór roku. Musimy się przez nie przedrzeć, jeśli chcemy dotrzeć do Pierwszej Dzielnicy, czyli wrócić do naszego czasu. Dlatego wzięłem wóz z napędem na cztery koła.

Isabelle przyjrzała się swoim ręką ściskającym kierownicę, a potem, bez żadnego logicznego powodu, ręką Chivasa.

- Jesteś dobrym kierowcą?

- Za życia zająłem trzecie miejsce na Rajdzie Akropolu i czwarte w Monako.

- Okej, przejmujesz ster. - W zacinającym teraz ostro wietrze spadły pierwsze, ogromne płaty śniegu i zawirowały wokół Isabelle, która wysiadła z samochodu i zamieniła się miejscami z byłym kierowcą rajdowym.

Hietzl obserwował z tylnego siedzenia tajemnicze ludzkie manewry z niewzruszoną obojętnością.

Pięć minut później, przy wjeździe do Gersthofu, natknęli się na pierwszy wypadek. Śnieg zalegał tutaj na grubość czterech cali. Srebrna ciężarówka do przewozu mebli wpadła w poślizg na oblodzonym odcinku jezdni i zderzyła się czołowo z białoczerwonym tramwajem. Wokół miejsca, gdzie tkwiły dwa wielkie pojazdy, zamarł wszelki ruch. Kilku ludzi opatulonych po uszy w zimowe skafandry stawiało czoło śniegowi i wiatrowi i oglądało poczynione szkody.

Chivas przekręcił ogrzewanie na pełny regulator i uruchomił napęd na cztery koła. Mimo to autem co chwilę zarzucało, gdyż temperatura na zewnątrz spadła poniżej zera, a na drogach porobiły się koleiny ze śniegu i lodu.

Pomimo nawiewu ciepłego powietrza Isabelle, w cienkim

kaszmirowym swetrze i koszulce, było zimno. Objęła się mocno za łokcie, nie przejmując się specjalnie chłodem - jej uwagę zaprzętało to, co działo się na zewnątrz. Odezwała się głośno, przekrzykując szum powietrza:

- Jak długo jeszcze będzie zima?

Chivas patrzył prosto przed siebie, trzymając oburącz kierownicę.

- Nie mam pojęcia. Wiem na ten temat tyle samo co pani.

Mam nadzieję, że już niedługo. Jest coraz gorzej. Drogi są pokryte zamrzniętym błotem.

Ominął wraki ciężarówki i tramwaju, skręcił pod przejazd kolejowy i wyjechał... wiosną. Z tamtej strony wiaduktu sypał śnieg. Po tej stronie niebo było wprawdzie zaciągnięte, ale nie działo się nic strasznego. Słońce raz po raz wyzierało zza chmur. Śnieg zniknął. Płaszcz z kapturem ustąpiły miejsca dżinsowym kurtkom i wełnianym swetrom. Co bardziej odważni paradowali w szortach i sandałkach. Jakiś mężczyzna niósł bukiet egzotycznie kolorowych kwiatów. Jednak przecnicę dalej zaczęło padać, a potem zerwała się ulewa. Po chwili Isabelle i Chivas przedzierali się przez burzę z piorunami. Spowiły ich takie ciemności, że stracili orientację. Isabelle sięgnęła do deski rozdzielczej i wyłączyła ogrzewanie. Nawiew ucichł, przez co tym głośniejsz zabębniły chłoszczące samochód krople deszczu. Niebo przecinały zygzaki błyskawic, a tuż po nich rozlegał się mrozący szpik w kościach grzmot piorunów. Nawałnica huczała nad ich głowami. Spływający deszcz wzbierał nieustannie na ulicach, aż zamienił się w rwącą powódź.

- Myślę, że powinniśmy...

Piorun rąbnął tuż obok ich samochodu. BUM! Świat rozbłysł jak przy eksplozji bomby. Isabelle wrzasnęła. Chivas powiedział, że zatrzyma się na kilka minut i zaczeka, aż burza przejdzie. Nie czekając na jej zgodę, skręcił w stronę krawężnika. Jadący za nimi samochód nie wyhamował i uderzył w ich audi. Rozległ się przerażający łomot i zgrzyt metalu ocierającego się o metal. Od samochodu odpadło coś wielkiego i spadło z impetem na jezdnię.

- Jezu!

Isabelle i Chivas odwrócili się i zobaczyli, że kierowca białego jeepa suzuki omija ich jak pijany i pędzi dalej z piskiem opon. - Eej, ten facet ucieka z miejsca wypadku!

Nie tracąc zimnej krwi, Chivas uchylił nieco szybę i wypluł gumę.

- To była kobieta. Nie widziałas jej długich, jasnych włosów?

- Co z tego? Ucieka z miejsca wypadku.

- Mamy teraz na głowie inne zmartwienia.

Isabelle zeszywniała.

- Na przykład?
- Czy zwróciłaś uwagę na markę jej samochodu?

Isabelle wskazała kierunek, w którym popędziła drogowa piratka.

- Jeep suzuki. Bo co?

Chivas wlepił w nią wzrok, ale milczał. Sprawiał wrażenie, jakby czekał, aż Isabelle coś rozgryzie. Dokoła wciąż hulała burza. Nadal wisiała nad ich głowami. Może słyszała ich rozmowę, która tak ją zafrapowała, że nie chciała na razie się stąd ruszyć. Czy mina Chivasa miała Isabelle coś powiedzieć, wyjawić jej prawdziwy sens jego słów?

Żeby wypełnić pustkę, wybąkała bez przekonania:

- Miałam kiedyś taki samochód. To znaczy, suzuki.

Chivas gapił się na nią. Nie musiała obracać głowy, żeby być pewna, że Hietzl również wywala na nią ślepią.

- Mój jeep też był biały. Jeździłam wtedy fatalnie. Miałam wypadek i samochód poszedł do kasacji. - Spojrzała na Chivasa i uniosła pytająco brwi. - Nie bardzo mi pomagasz. Czy ja mam coś rozszyfrować?

Ciągle wpatrując się w nią, pokazał kciukiem kierunek, w którym odjechało prowadzone przez kobietę suzuki.

- Pomóc ci? W porządku, pomogę ci to rozszyfrować. Rusz głową, Isabelle. Właśnie uderzył w nas biały jeep suzuki. Kierownicą była blondynka. Do centrum mamy wciąż daleko, co znaczy, że znajdujemy się w odległej przeszłości. Powiedziałaś, że parę lat temu miałaś samochód tej marki... Isabelle odsunęła się na fotelu, aż oparła się plecami o drzwi.
- W tym samochodzie to byłam ja? Czyja uderzyłam w nas chwilę temu? Przytaknął.
- Jak to? To niemożliwe. - Sprowadziłaś ją z powrotem. Ściągnęłaś tutaj, żeby nas zatrzymała. Nie chcesz, abyśmy dotarli na wasze spotkanie w centrum Wiednia. Wkrótce przywołasz inne swoje wcielenia, żeby udaremnić nam powrót do naszego czasu. To była jedynie pierwsza próba.
- To przeze mnie? Ale dlaczego? Dlaczego miałabym zatrzymywać siebie? Chcę być z Vincentem. Teraz bardziej niż kiedykolwiek. Na niczym innym mi nie zależy. Chivas oderwał rękę od kierownicy i przeciął między nimi powietrze, jakby zadawał cios karate.
- Akurat! Boisz się tego, co się stanie, jak do niego wrócisz.

Przed chwilą to udowodniłaś, próbując staranować nas na drodze. Boisz się o życie dziecka i o własne. Jesteś śmierzącym tchórzem, Isabelle. Dzięki rodzinie i pieniądzom udawało ci się cało wychodzić z opresji. Ale nie stałaś się przez to mocniejsza - przeciwnie. Przy byle okazji ratowałaś się ucieczką, czy to fizyczną, czy psychiczną. - Chivas włożył rękę do kieszonki koszuli i wyciągnął kartkę papieru. - Kiedyś przeczytałaś ten fragment i zrobił on na tobie takie wrażenie, że zapisałaś go w swoim pamiętniku. Wiedziałaś, że opisuje ciebie. „Najpotężniejszą bronią strachu jest jego zdolność do czynienia nas ślepych na wszystko oprócz nas samych. W obliczu strachu zapominamy, że trzeba pamiętać o innych, ratować nie tylko własną skórę, własne

uczucia". Jeżeli chcesz połączyć siły z Ettrichem, to wiedz, że będziesz musiała się wykazać większą odwagą niż do tej pory...

Posiniała ze złości Isabelle trzepnęła ręką w kolano.

- Gówno prawda! Poszłam aż do śmierci, żeby go odzyskać.

Tchórz by tak nie postąpił.

- Nie ty tak postąpiłaś, Isabelle, tylko mała, głęboko ukryta* ta cząstka twojej jaźni. Cząstka, z której istnienia w ogóle nie zdawałaś sobie sprawy. Mała wysepka pośród oceanu, która nie widnieje na żadnej mapie. Gdybyś nie była w ciąży, nie szukałabyś tej wyspy. Z pewnością też nigdy byś jej nie odkryła w swoich codziennych podróżach. Poszłaś po Vincenta ze względu na dziecko. Nie oszukuj się. Zrobiłaś to wyłącznie dla Anjo. Dzięki niemu odnalazłaś w sobie tę nadzwyczajną odwagę. I tyle. Ponownie uderzyła się w kolano.

- Nieprawda! Zrobiłam to dla Vincenta. Ponieważ go kocham.

- Gdybyś go kochała, nie uciekłabyś od niego w Londynie.

Zdobądź się na odrobinę uczciwości, Isabelle. Okłamywałaś się przez całe życie. Z upływem lat stajesz się coraz bardziej zakłamana i przerażona. Zamiast zmierzyć się z trudnościami, bierzesz ogon pod siebie. Weszło ci to w krew. Potem wymyślasz żalosne wykręty, żeby usprawiedliwić swoją słabość. Zanim pojawił się Anjo, nie walczyłaś w życiu o nic ważnego. Dlatego jesteś tchórzem. Myślę zresztą, że w głębi serca o tym wiesz.

Nie miała okazji, aby przemyśleć słowa Chivasa. Kiedy perorował, wyglądała przez okno, żeby nie musieć na niego patrzeć. Nie odwróciła się nawet wtedy, gdy usłyszała zapalony silnik i poczuła, że znowu ruszają.

- Widzę ją na końcu ulicy. Zbliży się do nas.

Isabelle rzuciła szybkie spojrzenie za przednią szybę. Zza kurtyny deszczu wyłonił się jadący z naprzeciwka biały samochód. Usiłowała zapanować nad drżeniem w głosie, zwłaszcza po tym, co przed chwilą o niej powiedział.

- Co zamierzasz?

Odparł chłodno, ze znajomością rzeczy:

- Z nią? Napędzę jej pietra. To tchórz, pamiętasz? Nie ona mnie teraz martwi. - Skręcił w kierunku białego jeepa. Trzydzieści stóp dalej zjechał na przeciwny pas ruchu i przyspieszając, ruszył wprost na auto. Suzuki zaczęło hamować. Mimo zamkniętych szyb doleciał ich wizg opon i szum poślizgu na mokrej nawierzchni. Manewr Chivasa był tak niespodziewany, że Isabelle nie zdążyła zaprotestować ani się przestraszyć. Odkąd ujrzeli na swojej drodze białego jeepa, minęło zaledwie kilka sekund. Isabelle wydała z siebie tylko zdumiony pisk. Tuż przed kolizją suzuki odbiło na prawo i wjechało prosto w stojącą na poboczu tramwajową wiatę. Na szczęście przystanek był pusty. Samochód zmiotł cherlawą konstrukcję z powierzchni ziemi, rąbnął w słup sygnalizacji świetlnej i nagle znieruchomiał.

Isabelle zobaczyła jasnowłosą kobietę podnoszącą głowę znad kierownicy. Miała poobijaną twarz, Isabelle Neukor bowiem nigdy nie zapinała pasów. Starsza Isabelle wykręciła tułów, usiłując dojrzeć, co się stało z jej młodszym wcieleniem. Chivas uspokoił ją.

- Nic jej nie jest. Nabiła sobie guza i tyle. Na szczęście skasowała przy tym wóz, i jeden problem mamy z głową. Ale to nie ona mnie niepokoi.

- A kto?

Dowiedziała się w kilka minut później. Stanęli na czerwonym świetle o przecnicę od Gurtel, drogi obiegającej śródmieście i stanowiącej linię demarkacyjną między centrum Wiednia a dzielnicami podmiejskimi. Isabelle czuła się rozdarta - z jednej strony chciała odgryźć się Chivasowi za jego gorzkie uwagi, a z drugiej musiała zachować czujność na wypadek, gdyby zostali ponownie zaatakowani. Chivas wydawał się zadowolony z tego, że nie podejmują dyskusji. Kierowanie zresztą nie było łatwe - tak jak przewidywał, pogoda zmieniała się bez ustanku. Czasem zmiany następowały gwałtownie, innym razem były prawie niedostrzegalne. Drzewa znów okryły się liśćmi. Rabatki zapieniły się letnimi kwiatami. Parę przecnic dalej zrobiło się zbyt zimno i kwietniki schowały się w domach. Ponownie zapanowały plucha i śnieg, choć nie tak ekstremalne jak burza, którą pokonali wcześniej. Niemniej oboje byli przygotowani na to, że warunki mogą się zmienić w okamgnieniu.

Przed nimi stało czarne bmw. Isabelle kiepsko znała się na samochodach, toteż nie potrafiła określić rocznika. Otworzyła usta, by spytać o to Chivasa, gdy na bmw spadł pierwszy kamień. Uderzył w czarny dach z głośnym, metalicznym łomotem. Był wielkości dużego grejpfruta, ale musiał być ciężki, skoro zamiast odbić się i stoczyć na ziemię, wgiął dach i utkwiał we wgłębieniu.

Żadne z nich nie powiązało tego ataku z tym, co zaszło wcześniej. Następny kamień, równie wielki jak poprzedni, wyrznął w sam środek ich przedniej szyby i sturlał się na maskę. Gdyby szyba nie była odporna na wstrząsy, oboje mieliby twarze pocięte kawałkami szkła. Pajęczna sieć miliona krystalicznych pęknięć zasłoniła im widok.

- O, w mordę - zaklął Chivas. Sięgnął do schowka w drzwiach i wyciągnął stamtąd młotek z kulistym noskiem. - Zasłoń twarz! - krzyknął. Nie czekał, aż Isabelle się skuli. Wybił szybę zaokrąglonym końcem obucha.

Isabelle odwróciła się na bok i uniosła obronnie ręce. Czuła twarde jak drewno strach dławiący jej gardło. Mrużąc oczy, wyjrzała zza gardy na całkiem zmatowiałą szybę, w której Chivas wybijał dziurę. Pomyślała o łowieniu ryb na skutym lodem jeziorze. Pomyślała, że Chivas wybija przerębel. Kiedy otwór miał około dziesięciu cali średnicy, Chivas wysunął głowę nad kierownicę i rozejrzał się na boki, żeby zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. Kolejny kamień trafił w przód maski. Chivas wrzucił wsteczny bieg. Natychmiast wpadli na stojącą za nimi półciężarówkę. Skreślił kierownicę w lewo, podjechał do przodu, znów się cofnął, aż w końcu zdołał ominąć czarne bmw i oddalić się stamtąd. Na ziemię spadł następny kamień. Wokół nich posypał się kamienny grad. Rozległy się dziwne, przerażające trzaski. Ale miało to tę dobrą stronę, że zatamowało cały ruch na ulicy. Chivas dodał gazu i pojechali dalej.

Wytań w płaszcz ręce oblepione drobinami szkła i piaskiem.

— To były kocie łby Te kamienie mają ze sto lat i są diabelnie ciężkie! Pewnie je wykopała z ulicy. Potem wlaźła z nimi na dach tego budynku, żeby nas zbombardować.

— To byłam ja, prawda? Jeszcze jedna przestraszona Isabelle próbująca nie dopuścić mnie do Vincenta?

- Tak.

- Zawracaj - rzuciła Isabelle mocnym, zdeterminowanym tonem. Chivas spojrzął na nią.

- Co takiego?

- Chcę, żebyś zawrócił i pojechał tam.

- Nie, nie mogę tego zrobić. - Zdjął rękę z kierownicy i wskazał nią przed siebie, jakby wydawał polecenie komuś siedzącemu na wprost. - Nie wolno mi jechać do tyłu. Tylko naprzód.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Nie, Isabelle. Naprawdę nie mogę wracać. To wbrew instrukcjom.

- W takim razie wysiadam. Dotrę do kawiarni o własnych siłach, najszybciej jak się da. - Zdążyli pokonać dwie przecznice za Gurtel w kierunku centrum. Chivas ponownie zjechał do krawężnika. Na dworze mżył deszcz.

- I co dalej?

Zlustrowała niebo i prychnęła nieśmiało.

- Powiedziałeś, że jestem tchórzem. Najwyższa pora się zmienić.

Skinął głową, ale nie zapytał, jakie ma zamiary. Oboje zapadli w milczenie, dryfując we własnych myślach. Wreszcie Chivas odezwał się:

- Zaczekam tutaj na ciebie.

Położyła dłoń na klamce drzwi.

— To miło z twojej strony, ale nie wiem, kiedy wrócę. Nie wiem nawet, czy wrócę. Czuję tylko, że muszę tam pójść.

— Wobec tego weź ze sobą Hietzla.

- A na co mi on?

- Może się przydać. Sporo potrafi. No i dotrzyma ci towarzystwa.

- Nie, muszę się z tym uporać sama. Bez niczyjej pomocy, żadnej magii ani... Po prostu muszę to zrobić sama.

- Rozumiem, Isabelle. Zaczekamy tu na ciebie.

Skinęła głową i otworzyła drzwi. Gdy wysiadła, na jej ręce i twarz opadła zaraz mżawka. Chciała powiedzieć coś Chivasowi, lecz nie wymyśliła nic mądrego, toteż ruszyła przed siebie. Wtedy wpadła jej do głowy pewna myśl i zrobiła w tył zwrot. Ujrzawszy ją stojącą za oknem pasażera, Chivas opuścił z tej strony szybę. Schyliła się ku niemu i oznajmiła:

- Dziękuję, że mnie tutaj przywiozłeś. I dzięki za prawdę.

Dziesięć minut później stanęła przy skrzyżowaniu, na którym runął na nich grad kamieni. Z jezdni usunięto już kocie łby i ułożono je równym rzędem na poboczu. Na chodniku parkowało też czarne bmw; kierowca tłumaczył coś dwóm zasłuchanym policjantom.

Wskazał na dach budynku usytuowanego po drugiej stronie ulicy. Isabelle domyśliła się, że to stamtąd posypały się

kamienie. Trzymała się z daleka od trójki mężczyzn, nie miała ochoty zostać uwikłana w rozmowę. Stojąc na rogu, przyjrzała się dachowi budynku. Piesi mijali ją z obu stron, a samochody przystawały na światłach, by po chwili ruszyć w dalszą drogę.

Policjanci skończyli spisywać protokół. Bmw, z wgiętym dachem, zjechało tyłem na jezdnię i włączyło się do ruchu. Jeden z policjantów wsunął podręczny notes i pióro pod ramię i ruszył za swoim kolegą do budynku.

Kiedy tylko zniknął, nad krawędzią dachu na piątej kondygnacji ukazała się mała jasnowłosa główka. Isabelle nie była zdziwiona. Równie obojętnie przyjęła to, że spadł stamtąd następny kamień. Upadł daleko od niej i potoczył się po ziemi. Isabelle - podobnie jak wcześniej jej babka - złożyła dłonie w trąbkę i wrzasnęła ile sił w stronę postaci na dachu.

- Zejdź na dół. Chcę z tobą porozmawiać.

W odpowiedzi obie ręce cisnęły kolejny kamień. Spadł bliżej. Isabelle podeszła go obejrzeć. Był czarny i prążkowany, wyglądał na ciężki. Kiedy jednak wsunęła pod niego dłonie, żeby spróbować go podnieść, ku swemu nieopisanemu zdumieniu odkryła, że kamień waży tyle co nic: piłka tenisowa, drewno balsy albo puste kartonowe pudło.

Uniosła wzrok w samą porę. Następny kamień runął na ulicę z głośnym „plok!” Jadący nią samochód nie zdążył go ominąć. Koci łeb nawet nie drgnął, gdy koło przetoczyło się po nim z chrobotem i całe auto aż się zatrzęsło. Isabelle pomyślała, że ten kamień musi być inny - dużo cięższy. Bez wahania wypuściła z rąk pierwszy i pomaszerowała szybko do drugiego, sterczącego na jezdni.

Naparła na niego nogą. W pierwszej sekundzie wyczuła spory ciężar. Ale po chwili - jakby kamień uświadomił sobie, kto go dotyka - cała jego waga spadła niemal do zera. Nagle stał się równie lekki jak pierwszy. Isabelle podniosła go jedną ręką i wróciła na chodnik. Popatrzyła na dach. Złotowłosa główka nadal tam była; obserwowała ją z góry. Isabelle nie miała pojęcia, co powinna lub może teraz zrobić. Zamyślona uniosła bezwiednie kamień do twarzy i powąchała go.

Natychmiast uderzył ją trzydziestoletni zapach lęków, kłamstw i podstępów. Zwyczajna, metaliczna woń, przypominająca trochę świeżą krew. Zarazem świeża i stara, a nawet pradawna. Wszyscy znamy ten odór, ale nie przyznajemy się do tego, gdyż wyczuliśmy go na sobie zbyt wiele razy. Jest niemiły; przyprawia nas o zmieszanie. Szlachetne intencje, dobra miłość, wielka nadzieja. Byliśmy tacy pewni, że tym razem nam się ułoży. Że to właściwa osoba, idealna okazja, rzecz, na którą czekaliśmy całe życie. A jednak się pomyliliśmy. Obawy, łgarstwa i oszustwa znów naznaczyły sobą tę okazję - i odór powrócił. Myśli te kłębiły się w głowie Isabelle, ponieważ kamień, który trzymała, cuchnął właśnie tak. Nie był to koci łeb, tylko broń, którą się posłużyła, żeby zniszczyć samą siebie. Zdała sobie sprawę, że gdy tylko dotknęła tej broni, stała się ona niegroźna. Isabelle przypuszczała, że zawdzięcza to temu, iż wysiadła z samochodu i z pełną świadomością wróciła, by stawić czoło kobiecie miotającej kamienie z dachu. Wpadła w złość. Była wściekła. Na siebie, na kobietę na dachu, na Isabelle z Londynu, która uciekła od Vincenta, kiedy usłyszała nie to, czego sobie życzyła... Wszystkie te zdarzenia popchnęły ją do tego, że...

Kamień był nieco większy od grejpfruta, ale ważył tyle co piłka tenisowa. Isabelle postanowiła rozładować złość, ciskając nim ze wszystkich sił w tę idiotkę na dachu. I zrobiła to. Kiedy ogarnia cię taka wściekłość, dorzucenie piłką tenisową do piątego piętra to pestka. Isabelle Neukor była tak rozsiedzona, że kamień poszybował jeszcze wyżej. Przeleciał ponad budynkiem. Co prawda Isabelle spodłowała, lecz jasnowłosa główka schowała się za załomem dachu, najwyraźniej w obawie, że zostanie trafiona. Jeden kamień to za mało. Wciąż kipiąc ze złości, Isabelle poszła na chodnik, wzdłuż którego leżała reszta kamieni, i zaczęła rzucać nimi, jeden po drugim, w stronę dachu. Nie celowała ani nie mierzyła. Po prostu śmigła nimi ile sił w rękach. Gdy wyczerpała jej się amunicja, zmrużyła oczy i przyjrzała się uważnie dachowi. Główka zniknęła.

Nieopodal zatrzymała się gruba staruszka i patrzyła na Isabelle; niosła dwie plastikowe siatki z taną kapustą kupioną na rynku. Pierwszy raz widziała coś podobnego. Kiedy młoda kobieta skończyła swój niezwykły sportowy popis, staruszka zapytała, jak ona tego dokonała. Nie

interesowało jej, czemu ktoś stoi w biały dzień na chodniku i rzuca w dach kocimi łbami. Chciała jedynie wiedzieć, jak to się robi. Młoda kobieta podrapała się w nos, jakby czuła nieznośne swędzenie. Przez moment amatorka kapusty bała się, że tamta szykuje się do zadania następnego gwałtu. Isabelle jednak próbowała tylko ująć w słowa to, co chciała powiedzieć. Wskazała na staruszkę i pogroziła jej palcem.

- Nie możesz zmienić przeszłości, ale przeszłość zawsze powraca, żeby zmienić ciebie. Zarówno twoją terażniejszość, jak i przyszłość.

Staruszka uznała tę uwagę za całkiem interesującą. W istocie jednak chciała się dowiedzieć, jakim cudem ta chuda, eterycznie wyglądająca kobieta posłała ciężkie kamienie na dach.

- Przeszłość jest zamknięta, niezmienna - ciągnęła jak natchniona Isabelle. Słowa wypadały z niej coraz szybciej i głośniejsze. Wkrótce gruba staruszka pogubiła się w zawiłościach jej monologu. - Jest martwa, lecz ciągle wraca, żeby nas zatrzymać. Staje w poprzek naszej terażniejszości... i przyszłości. - Wskazała w stronę dachu, nie spuszczać wzroku ze staruszki. - Te kamienie, którymi mnie obrzuciła, były stare. Pochodziły z mojej przeszłości. Przedtem nie mogłam ich obejść. - Urwała na chwilę dla zacerpienia oddechu. Obok nich przejeżdżał sznur samochodów.

- Ale jak pani rzuciła tymi wielkimi kamieniami tak daleko?

Isabelle spojrzała na kobietę, jakby ta odezwała się w języku suahili.

- Co?

- No, te kamienie... Jak je pani tam wrzuciła?

- Przepraszam. Muszę już iść. - Isabelle zrobiła krok przed siebie.

- To jakaś sztuczka, tak? Jesteśmy w telewizji? - Staruszka rozbłysła uśmiechem, sądząc, że znalazła się w „ukrytej kamerze”. Rozejrzała się wokół z nadzieją, ale nikt nie pokiwał do niej zza kamery.

Oddalając się tyłem w stronę samochodu Chivasa, Isabelle ponownie wymierzyła palcem w kobietę. - Niech pani nie pozwoli się więcej zastraszyć własnej przeszłości. - Objęła swoje ręce w nadgarstkach, jakby były skrępowane. - Ona chce związać pani ręce albo podłożyć nogę, niech jej pani na to nie pozwoli. - Odwróciła się i odeszła szybkim krokiem.

Kobieta popatrzyła za nią chwilę, z resztkami dogasającej nadziei, że może teraz pokażą się kamery. Nic z tego. Westchnąwszy, schwyciła mocniej siatki i znowu powlokła się do domu, gdzie zamierzała wieczorem ugotować kapuśniak. Rozmawiające kobiety nie zauważyły, że jasnowłosa postać zrzuciła na nie z dachu kolejny koci łeb. Gdy tylko jednak kamień opuścił jej dłoń, podmuch wiatru uniósł go w górę jak papierową chusteczkę albo pustą torebkę po cukierkach. W następnym momencie porwała go silna bryza szukająca igraszki, którą mogłaby się pobawić.

Chivas karmił akurat Hietzla pikantną kielbasą debreziner, kiedy Isabelle po raz drugi zastukała kłykiem w jego szybę. Zwolnił blokadę drzwi. Usłyszała to i obesła samochód na stronę pasażera.

- Hoho, już wróciłaś? Szybka jesteś.

Odebrała od Chivasa kartonowy talerzyk, na którym leżała kielbasa. Hietzl siedział na tylnej kanapie i patrzył spokojnie, jak jego obiad przechodzi z rąk do rąk. Isabelle odłamała kawałek

mięsa i podała go psu. Przeżuł go powoli, rozkoszując się smakiem. Nim zaferowała mu następny kęs, przyjrzała się nadjedzonej czerwonej kiełbasie na talerzyku.

- Może powinnam jej była poradzić: „Niech pani nie pozwoli na to, żeby przeszłość stała się solą w pani mięsie”. Chivas nie wiedział, o czym Isabelle mówi, ale spodobała mu się jej rada.
- To prawda. Smak zmienia się z czasem. Jak byłem mały, lubiłem twarożek. Teraz nie mogę na niego patrzeć: przypomina mi białe rzygowiny.

Podczas gdy Isabelle karmiła psa ostatnimi kaskami kiełbasy, Chivas zapuścił silnik i ruszył. Przy Ringstrasse, zamiast jechać prosto, do miasta, skręcił w lewo. - Czemu jedziesz tędy? Myślałam, że jedziemy do „Cafe Diglas”?

- Zmiana planów. Pojedziesz na lotnisko.
- Dlaczego na lotnisko? Czy tam jest Vincent?
- Nie, jest w Ameryce. Polecisz tam, żeby się z nim spotkać.
- Niedawno przyleciałam do Ameryki.
- Wiem, ale to jedyny sposób, żeby cię tam dostarczyć. Po przekroczeniu Gurtel wróciliśmy do dzisiejszego dnia. Nie mam więcej magicznych sztuczek, z wyjątkiem tej. - Wyjął z kieszeni bilet lotniczy i paszport - jej paszport, który zostawiła w mieszkaniu Vincenta.

Odebrała je od niego i jęknęła w duchu na myśl o czekającym ją znów dwunastogodzinnym locie.

- Jak zdobyłeś mój paszport?
- To zasługa Hietzla. Dopiero co wrócił. Dlatego jest taki głodny.

Isabelle obróciła wsteczne lusterko, aby zobaczyć psa. Był zajęty lizaniem swoich jajek.

- Skąd wiedziałeś, że wrócę, Chivas? Że nie zostanę tam na zawsze?
- Moja znajomość z tobą, choć krótkotrwała, każe mi sądzić, że właśnie nauczyłaś się walczyć. Stałaś na wysokości zadania i poszłaś zmierzyć się z własnym strachem. Jego słowa podziałały na nią jak balsam. Była pewna, że się rumieni, ale nie przejmowała się tym.
- Dziękuję. Ale dlaczego Vincent nie czeka na nas w kawiarni?
- Uległ poważnemu wypadkowi samochodowemu. Jest w stanie śpiączki i lekarze nie wiedzą, czy przeżyje.

„Mój liif!

Ettrich brylował na scenie. Publiczność śmiała się do rozpuku i musiał dłużej niż zwykle czekać między dowcipami. Kiedy opowiadał kawał o szatanie i pękających kopertach, reakcje ludzi upewniły go, że jest na fali. Bez trudu można ocenić, czy publiczność jest z tobą czy przeciwko tobie. To tak jak z zalecaniem się do kobiety: jeśli od razu skłonisz ją do uśmiechu, który zagości dłużej na jej ustach, odniosłeś połowę sukcesu. Albo jeśli wysunie lekko głowę, by lepiej usłyszeć, co mówisz, ponieważ chce się dowiedzieć, co masz do powiedzenia. Jej ramiona są otwarte, nie blokują cię... Tego typu sygnałów należy szukać. O tak, publiczność przypomina nową kobietę, która powoli otwiera się przed tobą. Był to jeden z jego ulubionych snów. Za każdym razem, gdy mu się śnił, Ettrich budził się rano szczęśliwy i pełen energii do życia. Na jawie wiedział, że nie

ma za grosz talentu, żeby zostać komikiem estradowym. We śnie natomiast był nie gorszy od innych, a może i lepszy.

- Czy zauważyliście państwo, że grube kobiety kochają się w lakierowanej skórze? Dlaczego tak jest? - Zbliżał się do ulubionej części swego występu, w której środku tkwił gwóźdź programu. Zaraz polecą najlepsze dowcipy, najbardziej wariackie uwagi. Nawet kiedy zdarzało mu się spalić pierwszą część, wiedział, że od tej pory ma publiczność w kieszeni. Odsunął się od mikrofonu. Potarł dłonie i wziął głęboki oddech. Następny kawał był długi i Ettrich musiał wyrzucić go z siebie jednym tchem, jeśli chciał trafić w sedno. Gdy ponownie chwycił mikrofon, ktoś na widowni wstał z miejsca. Ettricha korciło, żeby wrzasnąć: „Siadaj, człowieku! Ten numer rozbawi cię do łez, przysięgam. Odlejesz się za pięć minut. Weź na wstrzymanie i posłuchaj...” Był to wysoki mężczyzna. Ettrich nie widział go zbyt wyraźnie, gdyż w sali panowała ciemność, a światła były skierowane wprost na niego. Niemniej rozróżnił postawną sylwetkę mężczyzny wstającego od stolika w pierwszym rzędzie i przesuwającego się bokiem.

Znalazłszy się w takiej sytuacji, komik może zrobić dwie rzeczy: zignorować ją albo się do niej odnieść. Ettrich czuł się na tyle swobodnie, czuł taką energię na sali, że postanowił dobrać się facetowi do skóry.

- Spójrzcie państwo na tego dżentelmena, który wychodzi w połowie mojego występu. To znaczy, że albo... - Nie dokończył, ponieważ modnie ubrany czarny mężczyzna podszedł do sceny. Raptem Ettrich rozpoznał go - Tillman Reeves, jego sąsiad ze szpitala, w którym umarł.

- Cześć, Vincencie.

- Till! Co ty tu robisz?

Z czeluści sali dobiegło wołanie:

- Głośniej! Nic nie słychać.

- Możemy porozmawiać, Vincencie?

- Tutaj? Teraz? - Ettrich przesunął wzrokiem po widowni, zdziwiony, że Tillman zwraca się doń z tak absurdalną prośbą.

- To tylko sen, Vincencie. We śnie możesz czynić, co dusza zapragnie.

- Wiem, Till, aleja tutaj występuję...

- Ale również umierasz, drogi przyjacielu, a to jest ważniejsze. Czy nie uważasz, że pora o tym porozmawiać?

- Głośniej tam! Nie słychać was.

Tillman wysunął rękę, przepuszczając Vincenta przodem. W połowie dowcipu! Ettrich zwlókł się zrezygnowany ze sceny i poszedł do stolika, przy którym siedział Reeves. Czuł się jak uczeń, którego wywołano podczas lekcji z klasy, żeby udał się na dywanik do dyrektora szkoły. Publiczność nie obraziła się. Na scenę wskoczył mistrz ceremonii i poprosił zebranych o brawa. Rozległy się letnie oklaski. Ettrich wiedział, że gdyby zdążył dokończyć występ, dostałby owację na stojąco.

Zgodnie z logiką snu, facet, który zjawił się po nim na scenie, nazywał się Richard Krosiak i był największym wrogiem Ettricha w piątej klasie. Choć wydorósł, zaczął opowiadać te same stare dowcipy o pierdzeniu i seksie, którymi już wtedy wszystkich zanudzał. Ale ta publika je

uwielbiała. Ludzie wyli i gwizdali z zachwytu. Sądząc po salwach ich śmiechu, Ettrich musiał z bólem serca uznać, że występ Krosłaka spodobał się znacznie bardziej niż jego.

- Czy wiesz, co się z tobą stało, Vincencie?

Nawet siedząc przy stoliku Tillmana, Ettrich mimowolnie słuchał wciąż i patrzył na tego bałwana Krosłaka.

- Vincencie?

Zamrugał i skierował zarówno swoją głowę, jak i uwagę na przyjaciela.

- Tak, Till?

- Pamiętasz, co się z tobą stało?

- Chodzi ci o wypadek?

Na twarzy Reevesa odmalowała się ulga.

- Tak. Pamiętasz go?

Ettrich zamyślił się na moment, po czym oznajmił:

- Jechałem przez skrzyżowanie i oślepił mnie jadący z naprzeciwka samochód.

- Świetnie! A więc pamiętasz.

- Jak mógłbym zapomnieć? Przecież chcieli mnie zabić.

Tillman pokręcił głową.

- Nie. Chcieli, aby stało się dokładnie to, co się stało. Żebyś został ciężko ranny albo zapadł w śpiączkę. Ettrich nie okazał emocji. Splótł palce na kolanie.

- Mam gdzieś, co się stało. Nie mogę narzekać. - Kiedy Ettrich żył, często słyszał, że gdy ludzie oglądają po śmierci swoje życie, pojmują, jakie było ono puste i miałkie. I po co ja się tak namordowałem? Teraz wiedział, że to prawda - życie jest głupawą błażostką.

Do ich stolika podeszła śliczna kelnerka i nie proszona podała im na tacy ich ulubione drinki. Wzięli szklanki, spełnili toast i wypili pierwszy, cudowny łyk.

Tillman postawił swoją szklankę na stole.

- Śpiączka to miły stan. Dobrze w niego zapaść, kiedy nie można się zdecydować: żyć czy umierać.

Ettrich nie oderwał szklanki od ust. Czy ludzie pogrążeni w śpiączce zawsze trafiają do nocnego klubu? - zapytał.

- Nie. Wybierają swoje wymarzone miejsce: Malediwy albo hamak w ogrodzie, z którego gapią się wieczorem na świetliki... Miejsce, gdzie odnajdą spokój ducha i jasność myśli. Stojący na scenie komik musiał powiedzieć jakiś świetny dowcip, gdyż sala zatrzęsała się od śmiechu. Ettrich rozejrzył się wokół siebie.

- Więc po cholere wybrałem nocny klub, w którym Richard Krosłak trzyma publikę za gardło?

- Nie wiem, Vincencie. Sam sobie odpowiedz na to pytanie.

Czy postanowiłeś już, co zrobisz?

- Teraz?

- Tak. Czy umrzesz powtórnie? - Tillman obracał szklanę na stole w swoich długich palcach.

- Nie zastanawiałem się nad tym. - Ettrich uzmysłowił sobie coś i spojrzał na Tilla. - Znowu jestem w szpitalu, tak? Dlatego spotkałem tutaj ciebie. Ostatnio mówiłeś, że nie chcą cię wypuścić. Czyli że znowu wylądowałem w szpitalu, he?

- Kiedy ludzie zapadają w śpiączkę, umieszczają ich zwykle w szpitalach, Vincencie - wyjaśniła Coco. Podeszła do ich stolika i usiadła. Miała na sobie obcisłą sukienkę ze srebrzystego jedwabiu, która nadawała jej wygląd seksownego nożyka do listów.

- Hej! Coco, wyglądasz obłędnie!

Rozpromieniła się i cmoknęła go w policzek.

- Dziękuję. Widzimy się po raz ostatni, Vincencie. Pomyślałam, że wciągnę dla ciebie jakiś elegancki ciuszek. Zerwała się burza gromkich braw. Kroslak zbiegł ze sceny niby truchcikiem, machając rękami do swoich urzeczonych wielbicieli. Zapłonęły światła i zrobiło się gwarno.

- Jesteś jak kot, Coco: żyjesz dziewięć razy. Myślałem, że po raz ostatni widzieliśmy się wtedy w zoo, kiedy cię zabili.

- Owszem, w tamtym wymiarze. Teraz jesteśmy w innym i spotykamy się na pewno ostatni raz. - Pochyliła się, ujęła obie jego dłonie, ucisnęła je i wypuściła.

Wówczas oboje, Coco i Tillman, wpatrzyli się czujnie w Ettricha, jak gdyby spodziewali się, że oznajmi im coś istotnego albo decydującego. On jednak nie miał nic do powiedzenia.

Dobrze mu było w tym śnie i nie miał ochoty go opuszczać. Lubił swoje sceniczne występy i był przekonany, że jeśli tylko będzie wystarczająco dużo ćwiczył, zostanie wielkim komikiem. W zakamarkach jego umysłu snuły się wprawdzie wspomnienia o Isabelle i Anjo, lecz były one mgliste jak obce miasta, które zwiedził niegdyś z przyjemnością, ale z którymi nie czuł teraz żadnego związku.

Coco, sfrustrowana przedłużającą się ciszą i nieodgadnionym wyrazem jego twarzy, zdecydowała się postawić wszystko na jedną kartę.

- A co z „moim liifem”, Vincencie? Czyżbyś zapomniał?

Jego ciało zdrętwiało, a oczy błysnęły wściekłością. Podniósł się.

- Niech cię szlag, Coco. Nie miałaś prawa mi tego robić. - Ku zdziwieniu Reevesa, Ettrich oddalił się od ich stolika, nie obejrawszy się za siebie.

Coco pacnęła się ręką w czoło.

- Cholera!

Tillman Reeves milczał. Mimo to Coco była tak zdeprimowana, że omijała go wzrokiem.

- Palnęłam straszną gafę, Till. Straszną, koszmarną gafę. - Co rzekłszy, podniosła się i wyszła za Ettrichem z klubowej sali. Nie patrząc na nią, Reeves uniósł szklanę do ust, jakby chciał pociągnąć z niej łyka, po czym nagle zatrzymał się i odstawił ją delikatnie na stół.

Coco znała reguły gry, toteż wiedziała, iż złamała właśnie jedną z fundamentalnych zasad. Ludzkie decyzje muszą zapadać samorzutnie. Przymus i podstęp są wykluczone. W przeciwnym razie bieg wypadków ulega zakłóceniu, co prowadzi do opłakanych skutków.

Zniecierpliwiona Coco, chcąc wyrwać Vincenta z jego głupiego snu i przywrócić go życiu, w którym był potrzebny od zaraz, przekroczyła dopuszczalne granice.

O „moim liifie” wiedzieli jedynie Vincent i Isabelle. Był to ich pilnie strzeżony skarb i tajemnica. Żadne nikomu jej nie

zdradziło. Gdy Coco się zorientowała, że Vincentowi nie zależy na powrocie do życia, zanurzyła się w jego umyśle. Bez wahania zapuściła się na poszukiwanie klejnotu, którym mogłaby podryndać mu przed nosem i powiedzieć: spójrz, oto dlaczego musisz wrócić. To przecież wystarczający powód. Na początku ich związku, kiedy oboje wiedzieli już, że są dla siebie stworzeni, pewnej nocy Ettrich i Isabelle kochali się. Nagle Isabelle zaczęła płakać. Najpierw przyczyną jej łez była obawa przed siłą uczuć, jakie wzbudzał w niej ten nowy mężczyzna. Potem jednak płacz przeszedł w coś większego. Ettrich nie wiedział, co ma robić. Isabelle płakała i jednocześnie nie chciała go wypuścić z objęć, przestać się z nim kochać. Poruszała się i dotykała go, a łzy skapywały z jej policzków na jego nagą skórę. Szloch nasilał się, jej ciało podrygiwało coraz szybciej i gwałtowniej. Ettrich czuł, że nie są to łzy szczęścia, ale nie wiedział, co oznaczają. Czy była smutna? Radosna? W miarę jak płacz wzbierał, jej miłość stawała się coraz bardziej namiętna, aż w końcu przerodziła się w rodzaj wspaniałego ataku, z którym Ettrich ledwie zdołał sobie poradzić.

Po chwili wir tej namiętności wessał go i Ettrich wyłączył myśli. Odtąd jego ciało reagowało spontanicznie. Stracił nad sobą kontrolę. Nigdy przedtem - ani razu - nie zatracił się tak bez reszty w akcie seksualnym. Po prostu zniknął. Było to niesamowite uczucie.

Raptem Isabelle zaczęła szczytować i zapiszczała gardłowo. Przez kilka sekund można było odnieść wrażenie, jakby mówiła językami. Dochodząc, zawołała: „Mój liif!” Jej długie „i” ciągnęło się w miarę trwania orgazmu. Ettrich miał wrażenie, jakby szczytowała bez końca, coraz dłużej i intensywniej. Pochłonęło go to tak dalece, że zapomniał o własnym orgazmie.

Gdy było po wszystkim, Isabelle opadła z powrotem na ziemię. Jej ciało rozplatało się, palce przestały wpijać się w jego ramiona - spojrzeli sobie głęboko w oczy. Zobaczyli tam wszystko to, co pragnęli ujrzyć u drugiej osoby. Przez tych kilka świętych sekund oboje czuli się pełni i spełnieni. Jakby obcowali z czymś transcendentnym. Uczucie to nigdy więcej się nie powtórzyło. Kiedy odzyskali normalny oddech, Ettrich oznajmił, że czuje się w tej chwili tak, jakby powołali do istnienia stworzenie, które jest tylko ich i zarazem osobne. Ono żyje: jest na ziemi i przetrwa na niej, dopóki ktoś z nich tu jest. Isabelle przeczytała kiedyś wiersz o podobnej treści, ale nie wspomniała o tym, gdyż była pod wrażeniem tego doświadczenia. Zachwycił ją także fakt, że Vincent niezależnie wpadł na ten sam pomysł. Nieśmiało zapytał, co znaczy „liif”. Spojrzała na niego zdziwiona, więc wyjaśnił sens swego pytania.

- Nie wiem, skąd się to wzięło, Vincencie. - Urwała i pogłaskała go po twarzy. Jej dłoń była gorąca i spocona. - Może tak się nazywa: to coś, co urodziliśmy. Mój liif. Nasz liif. Ponieważ była nieśmiała, a może dlatego, że słowa te natychmiast stały się dla niej świętością, Isabelle nigdy więcej nie zawołała: „Mój liif!” w miłosnym uniesieniu. Żadne nie wracało do tego tematu, chyba że rozmawiali o tamtej nocy i o tym, jaka była dla nich ważna. Oboje zgadzali się, że właśnie wtedy, jeden jedyny raz, doświadczyli boskości. Gdy Coco otworzyła tylne drzwi klubu, owiał ją gorzki zapach świeżego asfaltu i spalin samochodowych; Vincent twierdził, że bardzo lubi obie te wonie. Budynek mieścił się w pobliżu autostrady, w tle słychać było ciągły szum jadących pojazdów. Coco przeszła na parking i rozejrzała się za Ettrichem. Ponieważ była w jego śnie, ten świat rządził się ustanowionymi przez niego prawami. Kilka

kroków dalej zobaczyła dwóch uczesanych na Beatlesów chłopaków w szkolnych kurtkach, okładających pięściami dorosłego Richarda Krosłaka. Mężczyzna darł się wniebogłosem:

- To był ostatni raz! Przysięgam na Boga, że już tu nie wrócę. - Jego oprawcy nie zaprzestali wymierzać mu razów. Dwie śliczne nastolatki stały oparte o czerwonego chevroleta chevelle i paląc papierosy, układały rapsody o seksualnych wyczynach Vincenta Ettricha. Coco przysłuchiwała im się przez chwilę, po czym podeszła i zapytała, czy nie widziały go w pobliżu. Obie wskazały na lewo i ciągnęły dalej:

- A jego język! Nie uwierzysz, jak on umie poruszać językiem. Usłyszawszy to, Coco musiała przyznać, że Vincent był mistrzem świata w całowaniu. I pierwszorzędnym kochankiem. Kiedyś obwieścił, powołując się na swoje doświadczenie, że ogromna większość kobiet sprawuje się w łóżku fatalnie. Ale wzruszające było to, że większość z nich wierzy, iż jest wspaniała. Coco zastanowiła się, czy jest dobra w łóżku. Na pewno sprawiało jej to przyjemność. Gdyby umarła, to w odróżnieniu od Vincenta tęskniłaby w swoim życiu do wielu rzeczy, między innymi do seksu.

Idąc przez parking, w kierunku wskazanym jej przez dziewczyny, pogwizdywała sobie cicho My Favorite Things z musicalu The Sound of Music. Jak miała go nakłonić, co mu powiedzieć, żeby powrócił do życia?

- Nic.

Zrazu Coco pomyślała, że to ona odezwała się na głos. Ale nie. Przed nią stały zaparkowane rzędem samochody. Na masce jednego z nich siedział Bruno Mann.

- Jak się masz, panienko?

Coco zatrzymała się i wybałuszyła na niego oczy, jakby był nadciągającą w jej stronę trąbą powietrzną.

- Bruno, ciebie nie powinno tu być. Daję głowę, że Vincent nie umieściłby cię w swoim śnie.

Ręce trzymał za plecami, oparte na masce. Odchylił się dla większej wygody. Wyglądał na zupełnie zrelaksowanego.

- Zgoda. Ty zaś nie powinnaś wygrzebywać mu z głowy liifów i tym podobnych bzdur. A więc oboje nabroiliśmy. Nie powiem nikomu, jeśli i ty nie powiesz. Poza tym czyż moja obecność nie robi na tobie wrażenia? Nie tak łatwo wślizgnąć się bez zaproszenia do ludzkiej śpiączki.

- Czego chcesz? - Zerknęła szybko na boki, by sprawdzić, czy ktoś mu towarzyszy.

- Nikogo mi nie potrzeba. Mam ciebie, mała - oznajmił Bruno, wyśpiewując ostatnie zdanie. Czytał w jej myślach, co było nieuczciwe, ale czemu nie mogła się przeciwstawić. Emanowała z niego siła, której Coco nigdy przedtem u niego nie wyczuła. Przeraziła ją.

- Powiedz mi, po co przyszedłeś, Bruno.

Na jego twarzy rozlał się triumfalny uśmiech. - Żeby być świadkiem ostatniego aktu. Zebrać owoce mojej pracy. Czy słyszałaś, że zostałem Królem Parku? Mam teraz sprawczą moc, która pozwala mi spełnić niemal każdą zachciankę. Fajnie, co? - Wyszczrzył się z dumą. - A co do Vincenta: w zasadzie nie muszę kiwać palcem, on sam prędzej czy później się wykończy. Słyszałaś: jemu jest tutaj dobrze. Po tym wszystkim, co przeżył i czego doświadczył? W głowie się nie mieści. Ten człowiek żył, umarł i został wskrzeszony. Otrzymał nadzwyczajne moce i ma wszelkie powody, aby żyć. Ale nic z tego się nie liczy - chce tu zostać i odgrywać swoje

żałosne komedie w klubie „Koma”. Niewiarygodne. Ludzie są naprawdę niemożliwi. Nie zasługują na to, żeby znaleźć się w mozaice. Są ślepi jak pierdolone krety.

- On po prostu nie rozumie.

Bruno uznał tę uwagę za śmieszna.

- Oo, rozumie doskonale. Przestań go usprawiedliwiać. Przegrałaś, Coco. Przyznaj się do porażki. Spójrz tylko - on się niczego nie nauczył. Myśli tak jak dawniej. Nie obchodzi go jego życie, dziewczyna i ich dziecko, a także to, co się z nimi stanie, kiedy on umrze... Tak czy siak, Ettrich przegra. Jeśli wybierze śmierć, nie przekaze Anjo swojej wiedzy. Zwróć uwagę: ma wolny wybór. Załóżmy jednak, że zdecyduje się wrócić do życia. Wówczas znajdzie się w stanie śpiączki powypadkowej i będzie potrzebował krwi. Wiedziałaś, że Ettrich i jego dziewczyna mają tę samą rzadką grupę krwi? Szpital, w którym leży, jest obstawiony naszymi ludźmi. Isabelle zjawi się tam i spyta, czy może mu jakoś pomóc. Nasi lekarze odpowiedzą, że aby Vincent przeżył, trzeba mu natychmiast przetoczyć krew. - Bruno odepchnął się od maski auta i zjechał z wdziękiem na ziemię. - Dochodzimy do najpiękniejszego momentu: Isabelle poinformuje lekarzy, że ma tę samą grupę krwi co Vincent. Lekarze zaszepczą i powiedzą - zgodnie z prawdą - że kobietom w ciąży nie wolno oddawać krwi. To niebezpieczne, anemia mogłaby poważnie uszkodzić płód. No ale Isabelle bardzo kocha Vincenta, więc dobrowolnie zaryzykuje. Świadomie wymieni życie Anjo na jego. Oddając swoją krew mężczyźnie, którego kocha, odważna Isabelle okaleczy ich niezwykle dziecko. Kiedy się urodzi, będzie zdrowe, ale ciut ograniczone. Na tyle upośledzone, aby nie zrozumieć nauk, które tatuś będzie chciał mu później przekazać. Bez względu na to, co się stanie, będzie to wynikiem dokonanego przez nich wyboru. Sami sobie wybiorą swoje nieszczęście. Czy to nie genialne rozwiązanie? Musisz przyznać, że nie najgorzej się spisałem.

- Skąd wiesz, że Isabelle, kiedy się dowie, że transfuzja krwi bywa niebezpieczna dla dziecka, zdecyduje się oddać swoją krew Vincentowi? - Coco czuła się jak tonący, który chwyta się brzytwy.

- Bo ich historia to prawdziwa love story, słoneczko, a prawdziwa miłość jest zawsze chaotyczna. Gubisz się, tracisz trzeźwy osąd. Nie umiesz się bronić. Im większa miłość, tym większy chaos. Oto i cały sekret. A ja nieszczęsny zachodziłem w głowę, jak ich zniszczyć. I nagle mnie oświeciło: nie wtrącać się, niech miłość ich zgubi. Nic tu po mnie. Miłość jest jak płytka Petriego. Starczy położyć na nią kilka bakterii i czekać, aż się rozmnożą. - Przytknął jedną rękę do brzucha, drugą zaś wyciągnął przed siebie, jakby prowadził partnerkę po parkiecie. Zaczął śpiewać na melodię My Favorite Things:

Miłość to wirus niszczący komputer,

Miłość to koniec rozsądnej logiki...

Bruno tańczył. Kręcił powolne piruety. Drobił* między zaparkowanymi samochodami, kładł swoją niewidzialną partnerkę, obracał ją w powietrzu albo przyciągał do siebie z teatralną przesadą. Bawił się przy tym na całego. Cieszył się, gdyż jego praca dobiegła końca. W tej chwili był Królem również tego Parkingu.

Coco obserwowała go z obrzydzeniem, wiedząc, że racja jest po jego stronie. Nie musiał robić nic więcej. Bez względu na to, jak potoczy się związek Vincenta i Isabelle, los Anjo i tak był przypieczętowany.

Kiedy na nocnym niebie wybuchły sztuczne ognie, oświetlając ich zdumione twarze eksplozjami i girlandami kolorów,

każde z nich pomyślało, że to sprawka tego drugiego. Bruno uznał, że Coco niespodziewanie pokazała klasę, nagradzając go oklaskami. Coco sądziła, że Bruno oklaskuje samego siebie. Widok był tak piękny i olśniewający, że oboje milczeli i patrzyli. Bruno myślał z dumą, że mu się to należy. Coco myślała - co za kutas, co za kutas, co za nadęty kutafon. Na niebie rozbłyskały kwiaty i proporce, rakiety i króliki, oświetlając ich twarze, samochody, parking i wszystko wokół. Biała brzoza, schowana dotąd wśród nocy, nagle rozjarzyła się jasno. Wytarte linie namalowane na parkingowym asfalcie stały się ponownie widoczne w świetle spływających z góry fajerwerków.

Było to bajeczne widowisko, jedyne w swoim rodzaju, które sprawiało, że znów stawałeś się dzieckiem patrzącym na świat szeroko otwartymi oczyma. Bruno i Coco chcieli porozmawiać, lecz nie mogli oderwać wzroku od błysków i lśnień. W finale, gdy barwny wodospad trysnął i popłynął po całym niebie, Bruno usłyszał, jak ktoś szepcze tuż przy jego uchu:

- Jak ci się podoba mój spektakl?

Obrócił się i ujrzał Vincenta Ettricha stojącego o pół kroku od niego i patrzącego mu prosto w oczy.

Huk i syk sztucznych ogni zagłuszyły odpowiedź Brunona.

- Witam pana Śpiączkę. To twoje?

Ettrich przyłożył dłoń do ucha, pokazując, że nie słyszy.

Bruno zawołał:

- Twoje te fajerwerki?!

- Tak! - krzyknął Ettrich. - W końcu to mój sen. Postanowiłem nadać mu uroczystą oprawę.

Bruno nie miał nic do powiedzenia. Vincent nie wydawał się w najmniejszym stopniu zdziwiony jego widokiem.

- Jak się masz, Vincencie?

Ettrich klepnął go trochę za mocno w ramię.

- Po tym, jak usiłowałeś mnie rozjechać? Dobrze, Bruno.

Cieszę się, że przyszedłeś.

Bruno nie potrafił opanować zaskoczenia.

- Serio? Nie jesteś na mnie zły, że tu przybyłem?

- Jestem zachwycony.

Coco nie słyszała ich rozmowy. Gapiała się na sztuczne ognie

jak zahipnotyzowana i spojrzała na nich dopiero wtedy, gdy na niebie zgasła ostatnia raca. Nie spodziewała się zobaczyć tutaj Vincenta. Położył rękę na ramieniu Brunona i nachylał się ku niemu jak bliski przyjaciel opowiadający nowy, sprośny dowcip.

Odezwała się smutnym głosem:

- Przepraszam cię, Vincencie, za to, co powiedziałam w klubie...

Potrząsnął głową, dając do zrozumienia, że uważa temat za zakończony.

- No, Bruno, nie zapytasz mnie, po co te fajerwerki? Nie interesuje cię, dlaczego je zorganizowałem?
- W porządku, Vincencie: dlaczego zorganizowałeś fajerwerki? - spytał melodramatycznie Bruno, gotów odgrywać przed Ettrichem tępego gamonia.
- Żeby uczcić mój powrót. Dzięki tobie postanowiłem wrócić i jeszcze trochę pożyć.

Coco klasnęła w dłonie z radości. Ale w następnej sekundzie przypomniała sobie, co się stanie, jeśli Ettrich rzeczywiście powróci.

Bruno dodał poufałym tonem:

- Bardzo mi miło, Vincencie. Cieszę się.
- Nie wyglądasz na ucieszonego.

Bruno Mann wzruszył ramionami. Nie było sensu dłużej udawać. Miał w dupie Ettricha i jego powrót. Chciał już stąd odejść. Może jeszcze tylko, w pożegnalnym geście, wypuści w niebo garść własnych fajerwerków, żeby zaakcentować swoją wyższość. Sztuczne ognie to znakomity pomysł. Żałował, że sam na to nie wpadł.

- Słyszałem, co powiedziałaś Coco. - Ettrich obrócił się w jej stronę. Czuł jej współczucie płynące od niej niczym ciepło.
- No trudno, Vincencie. Czasami się przegrywa.

Ettrich uściśnął mu ramię.

- Nigdy nie potrafiłeś ogarnąć całego obrazu, Bruno. Dlatego tak miernie wykonywałeś swoją pracę. Czy wiesz, że w biurze nazywaliśmy cię „imbecylem w ładnym garniturze”? Bruno zamierzał odpowiedzieć, lecz Ettrich mocniej ścisnął mu ramię, na znak, że ma się zamknąć. - Masz rację: miłość jest chaosem. Ale nie tylko. Tak, gubisz się. Tracisz trzeźwy osąd. Ty. W pojedynkę. - Ettrich wyszczerzył się w uśmiechu, wiedząc dokładnie, co chce powiedzieć. - Ale kiedy między dwojgiem ludzi rodzi się prawdziwa miłość, to nie są już sami. Tę naukę najtrudniej sobie przyswoić. Że nie są sami. Stwarzają coś nowego, trzeciego... „Mojego liifa”, który ostatecznie ratuje ich od...
- Nie przeszkadzam? - Tillman Reeves zbliżył się, przecinając parking. Nikt nie zauważył, kiedy wyłonił się z budynku. Jego nagłe pojawienie się mogłoby im pomieszać szyki, gdyby wszyscy troje nie byli tak pochłonięci rozgrywającymi się wydarzeniami.

Ettrich zirytował się. Widział jasno sens tego, co chciał powiedzieć, zarówno sobie, jak i pozostałym. Głos Tilla zmącił mu tę jasność.

Wtedy zdarzył się cud. Gdy Vincent spojrział na Tillmana Reevesa, dotarło do niego, kim naprawdę jest ów człowiek. Przejęty grozą Ettrich parokrotnie otwierał i zamykał usta, niezdolny wydobyć z siebie głosu. Wreszcie zamknął je powoli i zamilkł.

Nikt z pozostałych się nie odezwał. Wszyscy patrzyli na niego. Bruno był pewien, że obserwuje pierwszy symptom nieuchronnej zapaści Ettricha.

- Wiem, kim jesteś! - wykrztusił Ettrich, wpatrując się w Tilla jak w obrazek. Myśli przelatywały mu przez głowę. Jakby siedział w pędzącym pociągu i próbował uchwycić fragmenty przesuwanego się za oknem krajobrazu. Pamiętał, że kiedy umierał, Tillman

Reeves leżał na sąsiednim łóżku. Potem spotkał go w szpitalu, dokąd zawiózł chorego Jacka. W końcu, parę minut temu, Tillman stanął przy scenie i rzekł do Ettricha:

„Ty również umierasz, drogi przyjacielu...”

- Już wiem, kim jesteś! Jesteś moim liifem.

Tillman nie odpowiedział, ale też nie zaprzeczył. Ettrich ożywił się. Zaczął odliczać swoje argumenty na palcach ręki.

- Byłeś przy mnie, jak umierałem. Byłeś w szpitalu, gdy natknąłem się na Brunona. Następnie byłeś pierwszym człowiekiem, jakiego rozpoznałem w tym śnie... - A w tej chwili jestem w tym samym szpitalu i mam na ciebie oko, Vincencie.

Mimo swoich niezwykłych zdolności ani Bruno, ani Coco nie wiedzieli, kim w istocie jest Tillman Reeves. Dwójka wrogów popatrzyła na siebie z jawną trwogą i niepokojem, bo nawet oni dali się wyprowadzić w pole.

- Ale co to znaczy, Till? Nie rozumiem.

Bruno miał tego dosyć. Najpierw Ettrich zamienił jego moment triumfu w wykład o miłości, a teraz ten stary Murzyn zaczyna wciągać ich w głupie pogaduszki.

- Nie ma czasu, Vincencie. W realnym świecie twój stan właśnie się pogorszył. Jeśli zamierzasz wracać, nie zwlekaj dłużej. - Bruno nie krył rozdrażnienia. Stawiał ultimatum: albo dostosują się do jego żądań, albo napytają sobie biedy. Tillman Reeves zignorował go, zwracając się wprost do Ettricha.

- Chaos niczego nie tworzy, tylko i wyłącznie niszczy. Być może w mozaice potrafi myśleć, ale nie jest zdolny niczego złożyć - może tylko rozkładać. Dlatego nienawidzi ludzi, bo oni zawsze coś tworzą, czy to będzie wielka miłość, czy zamki z butelek po cocacoli. Ty i Isabelle stworzyliście mnie, a ja od tamtej chwili nad wami czuwam.

- Przecież aniołowie stróże nie istnieją - wtrąciła się Coco.

- Nie jestem aniołem. Raczej kimś w rodzaju... dobrego Frankensteina. - Tillman wskazał na Vincenta. - Wzięli od siebie najlepsze części i stworzyli mnie. Chociaż Ettrich nie do końca to pojmował, w oczach stanęły mu wielkie jak groch łzy, gdyż jego głupie, cierpliwe serce rozumiało wszystko.

Bruno odsunął się od Ettricha i uderzył Tillmana Reevesa pięścią w twarz. Stary Murzyn był wysoki, ale bardzo szczupły i wąły. Zatoczył się do tyłu i przewrócił, upadając na kość ogonową. Sparaliżowany bólem, zakwilił jak małe zwierzątko. Bruno Mann stanął na nim i kopał go po głowie i twarzy, nie chybiając ani razu. Rozległy się straszne odgłosy padających ciosów. Niemal równie okropne jak samo bicie było milczenie, które po chwili zapadło - Tillman przestał kwilić, Bruno zaś kopał go bez słowa. Vincent Ettrich nie był urodzonym wojownikiem. Tych kilka sposobności, przy których widział bijących się ludzi, zdziwiło go albo rozbawiło. Również teraz widok poniewieranego Tillmana wywołał w nim zdumienie. Zaraz jednak ochłonął i nie namyślając się dłużej, skoczył naprzód, żeby powstrzymać Brunona. Z tyłu doleciał go kobiecy krzyk, wołanie Coco:

- Nie! Nie dotykaj go!

Ale nawet gdyby okrzyk przedarł się do Ettricha, nie odwiódłby go od jego zamiaru. Chwytał Brunona za koszulę, szarpnął go ku sobie i oplótł Króla Parku rękoma. Sekunda, dwie, pięć - jak

długo przytrzyma Brunona, zanim ten strzepnie go jak muchę? Nieważne. W ciągu tych kilku sekund Vincent Ettrich obejmował chaos. Nie Brunona Manna, nie człowieka, nie śmiertelnika. Chaos. Wniknął w niego i przebiegł przez jego ciało jak zastrzyk czystej heroiny, która pędzi z prędkością smutku wprost do serca i mózgu. Już raz umarł i został wskrzeszony. Teraz zmarł ponownie, lecz powrót nie był już taki łatwy. Ponieważ Ettrich pozostał tym razem przy życiu, podczas gdy jego człowieczeństwo obumarło w beznadziejnym wirze chaosu, w świecie bez końca. Z tej krainy nie mógł wyjść jako odrodzony Łazarz, bo nie było żadnej krainy. Tylko proces, wir, rozkład, jak określił to trafnie Tillman. Było to coś na kształt fali bez wody, która zalewała go i rozkładała w nieskończoność. Bruno nie pofatygował się, żeby odwrócić się do Ettricha, dalej wymierzał kopniaki leżącemu staruszkowi. Till zwinął się w kłębek i próbował osłaniać głowę chudymi rękami. Ciosy spadały na niego z nieprzyjemnym łomotem. Wstrząs spowodowany dotknięciem chaosu sprawił, że Vincent Ettrich po raz pierwszy odzyskał pełnię świadomości. Ettrich, który prowadził wygodne i jałowe życie, a potem zmarł w bólu, mając za towarzyszy własne lęki i Tillmana Reevesa. Ettrich, który wstąpił w Śmierć, poznał ją, dowiedział się rzeczy, które mógł przekazać swemu nie narodzonemu synowi. Wreszcie Ettrich, który został uwolniony od Śmierci przez Isabelle i jej miłość do niego. Wszyscy oni zbudzili się w tym momencie i podnieśli. Patrząc wskroś czasu i doświadczeń, śmierci i wskrzeszenia - zobaczyli i rozpoznali się wzajemnie. Buchbuchbuch! Bruno nadal stał odwrócony plecami. Czemu nie - cóż mogło mu grozić ze strony tego parszywego świata? Vincentem zajmie się później. Najpierw skończy tańczyć na staruszkę.

Ettrich pozbierał się z ziemi i tym razem wolniej natarł na Brunona. Coco ujrzała jego oczy i momentalnie wrzasnęła. Był to tak donośny i osobliwy wrzask, że nawet Bruno znieruchomiał i podniósł głowę. W tym momencie odsłonił szyję. Ettrich obrócił Brunona w miejscu, wbił mu zęby w tchawicę i przegryzł ją.

Poczuł na języku smak krwi i mięsa - usta wypełnił mu mokry chaos. Każda komórka jego jaźni ryczała: wypluj go, wypluj! Ale inne części ciała wiedziały, że jeśli ma zwyciężyć, musi zjeść go do końca. Bruno Mann zwił się na ziemi, trzymając rękoma wydartą połowę gardła, a Ettrich tymczasem przeżuwał chaos.

Był nadzwyczaj zdumiony, stwierdzając, że nie cały chaos smakuje źle. Ma się rozumieć, był gorzki i czarny, gdyby Ettrich musiał mu nadać jakiś kolor. Składały się nań wszystkie te smaki, których nienawidził i które przyprawiały go w życiu o mdłości. To oczywiste. Ale miał w sobie także coś smacznego, chaos bowiem jest pyszny. Zostawiał w ustach miły posmak, który zaskoczył Ettricha tym bardziej, że przejęty obrzydzeniem omal nie wypluł pierwszego kęsa.

Jakaś cząstka Ettricha, nie wiadomo która, pragnęła dalej sycić się tym smakiem i prawdopodobnie by jej się to udało, gdyby Coco nie złapała go za rękę i nie zmusiła, żeby na nią spojrzeć. Wiedziała. Szalone oczy Ettricha dostrzegły, że Coco zna jego zamiary.

- Nie, Vincencie. Stój!

Nie od razu zareagował na jej słowa. Częściowo się im sprzeciwił. Inne jego cząstki zaczynały się już wykruszać, przygasać. Zrobiły to, co do nich należało. Ettrich próbował je zatrzymać, uchwycić. Były mu potrzebne, jeśli miał kontynuować swoje dzieło, ale w tej chwili czyniły to, co chciały.

Na szczęście Coco dalej ścisnęła jego rękę. U ich stóp leżał martwy Bruno Mann, z twarzą, na której odcisnęło się zdumienie. Tillman Reeves poruszał się z trudem, ale żył. Chaos przebiegł przez ciało Ettricha. Gdy szarpnął go za wnętrzności, Vincent zadygotał z bólu.

Zamrugał kilkakrotnie i popatrzył na Coco. Powiedziała coś, czego nie dosłyszał. Straszliwy ból - ogromny jak księżyc w pełni - rozdarł mu żołądek. Chaos w ruchu.

- Vincencie?

Resztkami sił trzymając się na nogach, spojrział na Coco.

- Zwyciężyłeś.

Wokół Vincenta i w nim samym tkwiło tyle urządzeń, że Isabelle ledwie się precyzyjnie, aby trzymać go za rękę. Białe przezroczyste rurki ginęły w jego nosie i ustach. Do klatki piersiowej i palców przyczepiono mu przewody. Beżowe maszyny wykreślały żółte linie na czarnych tłach. Cała ta aparatura wydawała profesjonalnie brzmiące piknięcia i piski. Maszyny całkiem wyparły ludzi z tej części sali intensywnej terapii, tak przynajmniej wydawało się Isabelle. Jedyne pacjent, którego podobno nie podłączono do aparatu, leżał niedaleko Vincenta. Jego łóżko było szczelnie zaciągnięte zasłoną. Isabelle zresztą nie zwracała na niego uwagi. Siostra oddziałowa, Michelle Maslow, wykonywała swoje obowiązki cicho i kompetentnie. Wyjaśniła Isabelle, że tamten pacjent padł ofiarą ulicznego rabunku i odniósł obrażenia wewnętrzne. Wcześniej Vincenta odwiedzili Kitty i dzieci. Zanim weszli, Isabelle udała się do poczekalni na końcu korytarza, żeby mogli pobyc z Vincentem sam na sam. Po około półgodzinie do poczekalni wsunął się Jack Ettrich i podszedł do niej wolno. Byli sami.

Założył ręce za plecami i obwieścił:

- Byłem w tym szpitalu z tatą parę dni temu.

Isabelle miała ochotę wziąć jego rączkę i pocałować ją, a potem oba pyzate policzki. Zamiast tego skinęła jedynie głową, jakby oznajmił jej coś niesłychanie ważnego.

- Mój tato to równy gość.

Łzy ścisnęły ją za gardło. Spuściła więc głowę i przytaknęła, tak aby chłopiec nie zobaczył wyrazu jej zbolanej twarzy.

Nim podniosła wzrok, Jack zdążył zniknąć. Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że chłopiec nie miał pojęcia, z kim rozmawia - chciał po prostu powiedzieć komuś, że jego ojciec jest równym gościem. To wystarczyło, by złamać jej serce. Po dłuższym czasie poszła do stanowiska pielęgniarek zapytać Michelle, czy rodzina Vincenta jest wciąż u niego. Siostra zaprzeczyła, dodając, że wkrótce do pokoju przyjdzie lekarz, który prosił o rozmowę z nią. Michelle była zwykle rozmowna, więc jej nagła lakoniczność zaniepokoiła Isabelle. Co nowego miał jej do zakomunikowania lekarz? Isabelle pospieszyła do pokoju, żeby być przy Vincencie. Fizyczna bliskość rozpraszała jej czarne myśli.

Parę minut później wszedł tam lekarz i zwięźle wytłumaczył, o co chodzi. Stan Vincenta pogarszał się. Trzeba było - najszybciej jak to możliwe - przetoczyć mu krew, w przeciwnym bowiem razie sytuacja stanie się bardzo poważna. Kłopot w tym, że Vincent miał nadzwyczaj rzadką grupę krwi, której nie posiadał ani szpital, ani żaden z miejskich banków krwi.

Isabelle rozpogodziła się i odparła, że to żaden kłopot, ponieważ ona ma tę samą grupę krwi co Ettrich. Lekarz przyjął jej słowa z równie wielką ulgą jak ona. Zaraz jednak spojrział na jej brzuch i przypomniał sobie, że Isabelle jest w ciąży. Poinformował ją, że oddanie krwi przez ciężarną wiąże się ze sporym ryzykiem uszkodzenia płodu.

Nie zareagowała. Lekarz wyjaśnił, na czym konkretnie polega owo ryzyko. W odpowiedzi Isabelle ofuknęła go i oznajmiła:

- Nie dbam o ryzyko. Weźcie moją krew.

Miał wrażenie, jakby wiedziała od początku, że podejmie taką decyzję i że zdążyła ją sobie przemyśleć. „Weźcie moją krew”. Tę kwestię miał zapamiętać na długo, ale nie był pewien, czy podziwiać jej odwagę, czy obruszać się na jej głupotę.

Isabelle Neukor nie była głupia. Podróże, z których wróciła, tchnęły w nią optymizm i nawet tutaj, w tym posępnym miejscu, otoczona chłodnymi maszynami, spoglądała w przyszłość z nadzieją. Gdyby Bruno Mann żył, pewnie nie zrozumiałaby jej myślenia, bo ani przez moment nie zadała sobie pytania

alboalbo. Albo życie Vincenta, albo Anjo. Obaj liczyli się dla niej tak samo - najpierw uratujemy jednego, a potem razem wychowamy drugiego. Chaos w żaden sposób nie wpłynął na jej decyzję. Isabelle zdawała sobie sprawę z ryzyka, jakie wiąże się z oddaniem krwi w jej stanie. Nie miało to jednak znaczenia, gdyż głęboko wierzyła w to, że wszystko będzie dobrze. Gdy lekarz wyszedł z pokoju, wyjęła z plecaka walkmana i wsadziła srebrne słuchawki do swoich małych uszu. Włączyła magnetofon. Słuchała kasety z wybranymi przez siebie utworami, którą nagrała jeszcze w Wiedniu. Zabrzmiało A Thousand Kisses Deep Leonarda Cohena. Zaczęła cicho nucić tę piosenkę. Vincent też ją lubił. Isabelle ujęła jego bezwładną dłoń i udawała, że słuchają jej oboje. Od momentu gdy Isabelle wróciła do pokoju, pacjent leżący po drugiej stronie białej zasłonki, oddzielającej jego łóżko od Ettricha, pierwszy raz otworzył oczy. Słyszał, jak Isabelle rozmawia z lekarzem, i uśmiechnął się po kilku słowach. Niebawem, już za chwilę, się do niej odezwie. Powie: przepraszam, wiem, że zachowałem się niegrzecznie, przyznaję, że podsłuchałem pani rozmowę z lekarzem.

Tak się składa, że mamy tę samą grupę krwi, i byłbym szczęśliwy, mogąc oddać ją pani przyjacielowi, jeśli zgodzi się przyjąć krew od starego człowieka. Nie wspomni rzecz jasna o tym, że to ich krew płynie w jego żyłach. Ponownie zamknął oczy i z wielką przyjemnością słuchał, jak piękna kobieta nuci pieśń w przestrzeni, która przez jakiś czas będzie ich domem.

Koniec

Miłośników twórczości Jonathana Carrolla

zapraszamy do sieci

Szczególnie polecamy następujące strony:

Oficjalna strona Jonathana Carrolla

www.jonathancarroll.com

Angielskojęzyczna strona poświęcona wyłącznie

najnowszej powieści Jonathana Carrolla

Białe jabłka

www.whiteapples.com

Polska strona Jonathana Carrolla

www.jonathancarroll.mikser.net